

Foden Giles

Ostatni król Szkocji



calibre 0.9.27



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

950

Giles Foden

Ostatni król Szkocji

(The Last King Of Scotland)

Przełożyli Joanna i Piotr Sowańscy

Tytuł oryginału:

THE LAST KING OF SCOTLAND

Copyright © 1998 by Giles Foden

Copyright © 2007 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Ilustracja na okładce:

Copyright © 2006 Twentieth Century Fox Film Corporation.

Redakcja: Ewa Penksyk-Kluczkowska

Korekta: Jolanta Olejniczak

Pierwsze wydanie: styczeń 2007

ISBN: 978-83-7508-003-2

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.

pl. Grunwaldzki 8-10, 40-950 Katowice

tel. (32) 782 64 77, fax (32) 253 77 28

Skład i łamanie:

Studio Graficzne Sonia Draga Group

Katowice 2007. Wydanie I

Bezczynność, sprawy bez związku, zmiany, koszmarne podróże, miasta, do których przybywamy i z których wyjeżdżamy, spotkania, porzucenia, zdrady, związki wszelkiego rodzaju, cudzołóstwo, zwycięstwa, klęski... to są fakty.

Alexander Trocchi,

Podziękowania

Ponieważ jest to relacja historyczna (ale nie tylko dlatego), jestem wielce zobowiązany następującym autorom książek, artykułów prasowych, filmów i fotografii, jak również naocznym świadkom, którzy przekazali mi swoje opowieści ustnie. Są to: nieżyjący już Mohamed Amin, Tony Avirgan, Adioma Ayubare, Philip Briggs, Wilson Carswell FRCS (członek Królewskiego Collegium Chirurgów), John Craven FRCS, Anthony Daniels, Richard Dowden, Richard Ellis, S. S. Farsi, Mary Anne Fitzgerald, Sandy Gall, Iain Grahame, Max Hastings, Denis Hills, Martha Honey, John Isoba, Judith, hrabina Listowel, zmarły już biskup Festo Kivengere, Henry Kyemba, David Lubogo, Ali Mazrui, David Martin, prezydent Ugandy Yoweri Museveni, nieżyjący kabaka Bugandy Edward Mutesa, Phares Mutibwa, A. F. Robertson, Barbet Schroeder, George Ivan Smith, Rolf Steiner, dr Harriet Stewart, zmarły już John Stonehouse, zmarły Brian Tetley, Philip Warnock.

Chciałbym również podziękować tym informatorom obecnie żyjącym w Ugandzie, którzy rozmawiali ze mną, ale prosili o nieujawnienie ich nazwisk, jak również wielu przyjaciółom i kolegom, którzy byli uprzejmi przeczytać rękopis.

Fragmenty z *Bailey & Love's Shorts Practice of Surgery* przytoczyłem za uprzejmym przyzwoleniem wydawnictwa Chapman & Hall Ltd. Fragment *Duchów Kampali* Goergea Ivana Smitha wykorzystałem za zgodą wydawnictwa Weidenfeld and Nicolson.

GE

CZEŚĆ PIERWSZA

Pierwszego dnia pracy na stanowisku osobistego lekarza Idi Amina nie robiłem prawie nic.

Właśnie przybyłem z jednej z zachodnich prowincji, gdzie pracowałem w ośrodku zdrowia w buszu. Teraz Kampala, miasto, wydawała mi się rajem.

Wcześniej, w poprzednim miejscu pobytu, widziałem raz Idiego. Na zwyczajowe zastraszające wizyty składane wodzom plemiennym obutym w kalosze jeździł czerwonym maserati, prowadząc po drogach gruntowych jak szalenię. Jeśli ktoś przeszedłby wieczorem pod słupami telegraficznymi, obsiadłymi przez pustułki, odgadłby trasę przejazdu Idiego - zielony pasek trawy biegnący środkiem traktu osmalony był brązem od rozgrzanej miski olejowej nisko zawieszzonego samochodu.

Wtedy akurat zderzył się z krową - jakiś biedny małorolny pewnie tuczył ją na rzeź - wpadł w poślizg, a kontruując kierownicą, nadwerężył sobie rękę w nadgarstku. Żołnierz, który podążali za nim w powolnym dziupie pomalowanym w barwy ochronne, przyjechali po mnie. Musiałem udać się tam i udzielić mu pomocy przy drodze. Jęcząc w trawie, Idi był przekonany, że złamał rękę, a kiedy go opatrywałem, przeklął mnie w języku suahili.

Musiałem jednak zrobić coś jak należy, ponieważ kilka miesięcy później otrzymałem od ministra zdrowia, Jonaha Wasswy list z mianowaniem na osobistego lekarza prezydenta Amina - czyli Lekarza Jego Ekscelencji. Miałem się przeprowadzić do State House, jednej z jego rezydencji. Tak właśnie robił Idi, proszę państwa. Albo karał, albo nagradzał. Nie można było odmówić. A przynajmniej wtedy nie sądziłem, że można odmówić. Zresztą może w ogóle nie przyszło mi to do głowy.

Obejrzałem dokładnie swój lśniący czystością gabinet, który przydzielono mi wraz z sąsiadującym bungalowem. Bardzo mi się spodobała czarna kanapa i obrotowe krzesło, zielone szafki na akta, półki wypełnione raportami medycznymi i starymi numerami „Lancetu”,

chromowany osprzęt i lampa kreślarska. Moje narzędzia podręczne - stetoskop, zawinięte w chustę narzędzia chirurgiczne, księgę rejestracyjną i tym podobne - ułożono na biurku w nienagannym porządku. Schludność i ogólna nieskazitelność były dziełem Cecylia, pielęgniarki, którą odziedziczyłem po swoim poprzedniku, niejakiem Taylorze. Skoro już Amin zniósł moje zabiegi na poboczu, odprawił Taylora w trybie przyspieszonym. Wiedziałem, że powinienem w związku z tą zaszłością odczuwać wyrzuty sumienia, ale szczerze mówiąc, nie czułem. Cecilia nie pozostawiła mi złudzeń co do tego, że mnie nie lubi ani nie aprobuje - pewnie podkochiwała się w starym Taylorze - i że wkrótce powróci do siebie, do Ashford w hrabstwie Kent.

A niech jedzie, pomyślałem, odsuwając artykuł na temat schorzeń ucha wewnętrznego - moje osobiste badania, mój mały problem. I tak się cieszyłem, że wyjechałem z buszu i że będę zarabiał trochę więcej. Słońce świeciło, a ja byłem szczęśliwy. Od wielu miesięcy nie czułem się tak szczęśliwy. Wyjrzałem przez okno na zadbany trawnik, który spływał zboczem nad jezioro, mieniąc się z daleka. Lekki wiatr poruszał liśćmi krzewów bugenwilli, płomienia Afryki i poinsecji.

Przez żaluzje widziałem grupę więźniów w białych płóciennych kombinezonach, ścinających trawę sierpami. Pilnował ich przysypiający żołnierz, wsparty na karabinie. Z daleka dobiegał mnie regularny świst. Przyglądałem się najbliższemu aresztantowi, nieco zahipnotyzowany ruchami jego ostrza i kościstego ramienia. Nie sądzę, żeby dobrze ich karmiono: pewnie dostawali trochę gotowanych zielonych bananów albo mączki kukurydzianej, a przy odrobinie szczęścia - jakąś gotowaną szyjkę kurczaka.

Odwróciwszy się od okna, postanowiłem, że skoro po południu nie szykują się żadne konsultacje prezydenta, udam się autobusem od miasta. W buszu zwykle nosiłem szorty i koszulę, a na dzisiejszy wieczór musiałem sobie uszyć lniany garnitur. Uliczni krawcy o zepsutych zębach i posługujący się angielskim dalekim od doskonałości jeden przy drugim

siedzieli przy swoich żeliwnych singerach na pedały i tylko czekali na robotę. Potrafili uszyć garnitur w kilka godzin, a klient w tym czasie mógł rozglądać się po targu albo zejść do któregoś z zadziwiająco marnie zaopatrzonych sklepików. Nie była to może Savile Row, ale jak na tutejsze warunki taki strój będzie w każdym razie dobry jak na przyjęcie u Idiego. Chociaż on sam akurat swoje stroje o przesadnie szerokich klapach i wyrazistych obszyciach zamawiał na Savile Row. Zapakowane w foliowe torby, garnitury przylatywały cotygodniowym lotem z londyńskiego Stansted, a z nimi skrzynki szkockiej, kije golfowe, radioodtwarzacze, kartony papierosów, rowery, zgrabniutkie czajniki oraz lśniące sandwiczarki o mrugających światełkach. A poza tym rzeczy zwyczajne: cukier i herbata - produkty, które mogły pochodzić nawet stąd, tylko że po drodze zmieniły jutowe worki na celofan.

Potrzebowałem garnituru tak nagle, ponieważ tego wieczoru Idi wydawał Obiad Ambadorski, coroczną biesiadę, na której podejmował korpus dyplomatyczny z Kampali, miejscowych dostojników, urzędników wyższego szczebla, co bogatszych koncesjonariuszy (Lonrho, Cooper Motors, Siemens), ważne figury z banków (Standard, Commercial, Grindlays) i wodzów plemiennych z całego kraju. Minister Wasswa powiedział mi wcześniej, że Jego Ekscelencja specjalnie zaznaczył, że powinienem wziąć udział w uroczystości.

- Jak pan wie - wyjaśnił (czytałem już dokumentację medyczną dotyczącą Amina, o ile na coś mogła się przydać, bo znajdowała się w stanie całkowitego chaosu, Jego Ekscelencja uparł się przy osobistym jej opracowywaniu) - prezydent Amin od czasu do czasu cierpi na lekkie dolegliwości gastryczne.

Kiedy zamknąłem za sobą drzwi gabinetu, poruszone przez przeciąg z korytarza listewki żaluzji brzęknęły jak małe czynele. Ten odgłos przypominał mi coś, co widziałem w czasie wakacji na Malcie - maleńkie, lśniące noże wiszące jak dzwonki wietrzne przed warsztatem szlifierskim.

- Ostrza Eola - zauważył wtedy mój przyjaciel.

Po powrocie z miasta wziąłem prysznic w wylanej betonem kabinie w bungalowu. Wielkie stalowe sitko wyrzuciło pojedynczy strumień letniej cieczy, a ja podniosłem ręce, by rozprysnął go po plecach. Potem, kiedy już pokonałem niewykończone łukowate przejście, oddzielające parną łazienkę od dusznej sypialni, poczułem się, jakbym wkraczał z jednego wymiaru w drugi. Świeży pot wymieszał się ze strumykami wody.

Wtedy stwierdziłem, ku swej wielkiej irytacji, że muszę się wypróżnić, a nie znoszę tego robić tuż po natrysku - to pewien rodzaj świętokradztwa. Jak zwykle obejrzałem dokładnie to, co wydalilem: to najłatwiejszy sposób wykrycia wczesnego stadium obecności pasożyta, który w tym cuchnącym klimacie mógł dać się we znaki w ciągu kilku godzin. Zauważyłem ze smutkiem, że dzisiejsza ofiara jest bledsza niż zwykle, co sugeruje, że bakteria już została wchłonięta w jelitach. Zanotowałem sobie w pamięci, żeby rano przeprowadzić kilka badań.

Od wysiłku towarzyszącego wydalaniu spociłem się jeszcze bardziej, kiedy więc włożyłem nowy garnitur, miałem już na sobie to, co nazywałem moim afrykańskim strojem przedsiębiorcy pogrzebowego: powłokę wilgoci, która pokrywa ciało dniem i nocą. Ten tropikalny potwór, upiorna zapowiedź mnóstwa żółtawych malarycznych trupów, najpierw przysiada na ramionach, a potem ścieka i skupia swą osobliwą moc w zagłębieniach pod kolanami i w kostkach nóg.

W tym właśnie makabrycznym stanie zdążyłem przez trawnik do samego State House - z włosami uczesanymi nienagannie, w niebieskiej koszuli z krótkim rękawem i szykownym zielonym krawacie do kremowego garnituru. Po drodze widziałem, jak żniwiarzy wtłaczano do ciężarówki, która miała ich zabrać z powrotem do więzienia na obrzeżach miasta. Jeden za drugim znikali pod płócienną plandeką, po drodze wrzucając sierpy do drewnianej skrzyni umocowanej pod dyszlem holowniczym. Kiedy przechodziłem, ich strażnik pozdrowił mnie machnięciem krótkiego kija.

Marabut afrykański dziobał w stosie śmieci nieopodal, a ja obszedłem go szerokim łukiem.

Te ptaki, o patykowatych nogach, wielkich dziobach i ciężkich różowawych podgardlach, wysokością dorównujące małemu dziecku, wyglądały, jakby miały się zaraz przewrócić. Miejscy padlinożercy - zbierały się wszędzie, gdzie był brud albo zgnilizna. Nie znosiłem ich, a jednocześnie mnie intrygowały. Były niemal imponujące w swoim metodycznym przetrząsaniu stosów gnijących produktów rozrzuconych po całym mieście, odpadków organicznych zmieszanych z błotem i łajnem, kawałków plastiku i metalu.

Przeszedłem przez bramę w murze i ruszyłem ku głównemu portykowi, przed który zajeżdżały już wielkie czarne limuzyny ambasadorów, mercedesy co bogatszych handlowców i różnorodne białe toyoty i peugeoty o przybrudzonych błotnikach. Funkcjonariusz w czerwonym surducie o mosiężnych guzikach (strój był nań za ciasny, a guziki z wielkim trudem łączyły poły) odprowadzał je na miejsca parkingowe, rozdając uśmiechy i ukłony. Kiedy już znalazłem się w środku, minister Wasswa skinął na mnie niecierpliwie ze szczytu szerokich schodów. Wraz z kilkoma innymi ministrami i wyższymi oficerami czekał tam, by powitać gości i poprowadzić ich przez wielkie wykładane hebanem drzwi do głównej sali, gdzie miał się odbyć bankiet.

Wasswa zdecydowanie prezentował się uroczyście, kiedy jego surowa młoda twarz (nie miał pewnie więcej lat niż ja, a w każdym razie na pewno nie skończył trzydziestki) marszczyła się pod ciężarem urzędu.

- Ach, Garrigan, przybył pan. Miałem nadzieję, że dotrze pan na czas. Musi pan być pod ręką, gdyby któryś z gości źle się poczuł.

- Oczywiście - odparłem uprzejmie.

Śmiesznie wyglądał ten mój szef - zdobył skądś frak, ale o zbyt krótkich rękawach, a wystające spod nich mankiety, spięte kawałkami cienkiego drutu, sterczały jak połamane skrzydła małych ptaszków.

Na schodach utworzyła się już długa kolejka dygnitarzy czekających na uścisk ręki Idiogo.

Dzisiaj miał na sobie niebieski mundur - chyba sił powietrznych - ze złotymi galonami i koronkowymi epoletami. Wyglądał wspaniale.

Wasswa popchnął mnie ku trzyosobowej grupce stojącej w beładnej kolejce oczekujących.

Jedną z tych osób był Stone, jasnowłosy urzędnik z ambasady brytyjskiej. To on zarejestrował mnie w swoich księgach, kiedy przybyłem do Kampali. Domyśliłem się, że pozostała dwójka to ambasador i jego żona. Ona była niska, ale muskularna, i miała na sobie sukienkę w kwiaty.

Podchodząc, przyjrzałem się jej ukradkiem ponad ramieniem Wasswy. Miała długie rzęsy, twarz spokojną, ale nieuśmiechniętą, otoczoną czarnymi włosami ostrzyżonymi na pazia. Nagle nasze oczy się spotkały i musiałem odwrócić wzrok. Jej usta zwinięte w ciup wyglądały jak mała figa, a kiedy spojrzała na mnie, na jej obliczu przez chwilę coś się odmalowało. Coś nie do końca niemiłego, pomyślałem.

Jej mąż, trochę od niej starszy, był standardowym wytworem ministerstwa spraw zagranicznych: przylizane włosy, wielkie ciało w szorstkim garniturze, okrągłe okulary na okrągłej twarzy - gąbka urzędowego łagodzenia, gotowa wchłonąć każdy konflikt, który rzuci mu świat.

Wasswa nas sobie przedstawił.

- Panie ambasadorze - zwrócił się do Perkinsa - poznał pan już nowego lekarza w State House, Nicholasa Garrigana?

- Jeszcze nie, prawdę mówiąc, ale Stone już mi opowiedział dokładnie, jak dobrą pracę pan doktor wykonał na zachodzie. Przyjechał pan więc dopilnować spraw tu na miejscu? Muszę panu powiedzieć, że czuliśmy się trochę zagubieni, odkąd wyjechał doktor Taylor.

Spojrzał na Wasswę znacząco.

- To moja żona, Marina. A Stone'a już pan zna. Stone zadarł nos wysoko w górę. Już wtedy

coś mnie drażniło w jego zachowaniu.

- Witam, pani Perkins - powiedziałem. Wyciągnęła do mnie rękę, przechylając głowę na bok.

Kiedy mówiła, lekko odsłaniała zęby.

- Dobrze znowu mieć lekarza na podorędziu. Człowiek od razu czuje się pewniej.

Kiedy nadeszła kolej naszej grupki na powitanie Idiego, ten poklepał mnie po ramieniu swoją wielką ręką, a drugą pomachał mi przed nosem.

- Jak pan widzi, doktorze, całkiem już wyzdrowiałem po wypadku. Ale chociaż jestem silny jak lew, mam kilka małych ran w brzuchu, które musi mi pan wyleczyć.

Witając się z każdym z nas po kolei, odprężony i ujmujący, zachichotał, kiedy przesuwaliliśmy się dalej, pod migoczącymi zyrandolami.

Na ścianach wisiało trochę obrzydliwych masek plemiennych, jak również rząd sztywnych, ciężkich portretów gubernatorów z epoki kolonialnej: kilku miało bokobrody, a jeden trochę przypominał mojego ojca. Znaleźliśmy swoje miejsca przy długim mahoniowym stole, który już się zapełniał oficerami o groźnych obliczach i cywilami wszelkiej maści. Dookoła miało się kilku dziennikarzy z notatnikami, a także fotograf z aparatem wiszącym na szyi na szerokiej płóciennej taśmie. Niektórzy goście mieli na sobie smokingi i suknie wieczorowe, inni lniane garnitury, bawełniane sukienki, stroje safari, sari. Niektórzy wodzowie, ale zdecydowanie nie wszyscy, przybyli w tradycyjnych szatach, a kilka matron w zawijanych sukniach z barwnej tkaniny. Jedna młoda Ugandyjka - księżniczka, jak mi później zwrócono uwagę - nosiła różowe spodnium, uszyte chyba z kaszmiru. Pod warkoczącymi drewnianymi wentylatorami nie wydawała się jednak ani trochę bardziej zgrzana niż my wszyscy.

Towarzystwo stało niespokojnie przy wysokich krzesłach, czekając, aż powitania dobiegną końca i zacznie się właściwy posiłek. Znalazłem swoją wizytówkę. Nazwisko napisano z błędem i nierównymi literami: doktor Gargan. Pani Perkins siedziała z jednej mojej strony, a Wasswa z

drugiej, Perkins i jego amerykański odpowiednik, Todd („Nathan Theseus Todd”, jeśli pan łaskaw), naprzeciwko nas. Dalej Włoch Bosola, Lessing z Niemiec Wschodnich i Portugalczyk Dias. Wszyscy byli grubi albo grubawi i prezentowali nienaganne maniery. Jestem pewien, że wszystkich ambasadorów robią w jednym miejscu.

Spojrzałem nad stołem, nad rzędami sreber i kryształów, na wejście do kuchni, w którym migiała procesja wchodzących i wychodzących kelnerów. Delikatna woń dymu drzewnego, powiew rzeczywistości, napłynęła nad stół, napędzona wahadłowymi drzwiami. Wszystko to - porcelana, serwetki, kompozycje egzotycznych kwiatów, miseczki z perfumowaną wodą do rąk, a przede wszystkim Marina Perkins tuż obok mnie - było trochę obezwładniające po tych długich miesiącach na zachodzie. Wszystko obiecywało, sugerowało zbyt wiele.

Nalano wina. Wśród szmeru cichych rozmów czekaliśmy, aż Idi zakończy witanie gości. W końcu się wtoczył, uśmiechając się przyjaźnie w drodze do szczytu stołu, gdzie ustawiono dla niego krzesło z poręczami. Na ścianie za nim wisiała wielka tarcza ze złotego metalu, ozdobiona godłem kraju: ugandyjskim żurawiem koroniastym.

Nasza grupa siedziała jako druga czy trzecia od miejsca Idiego. Perkins i Todd byli co prawda najbardziej znaczącymi emisariuszami, z politycznego punktu widzenia, ale że przedłożyli swoje listy uwierzytelniające stosunkowo niedawno, protokół dyplomatyczny wymagał, by nie usadzono ich tuż obok władcy. Podejrzewam, że w duchu się z tego cieszyli. To lekcja warta odnotowania, że uciążliwy podobno konwenans może czasami się komuś przydać.

Idi stał więc tam masywny jak byk odlany z brązu, zupełnie jakby on także czekał, aż coś się wydarzy. A wydarzyło się tyle, że jakiś siwiejący urzędnik we fraku, coś w rodzaju majordomusa, który dreptał tam i z powrotem, odkąd weszliśmy do sali, uderzył w gong, a potem wyprostował się i odczytał z kartki te słowa:

- Jego Ekscelencja dożywotni Prezydent, marszałek Al Hadż, doktor Idi Amin Dada, Kawaler

Krzyża Królowej Wiktorii, doktor nauk ścisłych, Pan Wszystkich Stworzeń na Ziemi i Ryb w Morzu i Pogromca Brytyjskiego Imperium w całej Afryce, a szczególnie w Ugandzie, wita na dorocznym bankiecie wszystkich dostojników z Kampali i najznakomitsze osobistości miasta. Zerknąłem na ręce Mariny Perkins zwinięte na podołku.

- Ciekawe, jak długo to potrwa - mruknąłem.

- Yhm - odparła, odwracając się do mnie. - Dłużej, niż pan sądzi, zapewne...

Podniosła brwi szelmowsko. Ale w tej samej chwili mistrz ceremonii podniósł głos.

- Panie i panowie, witamy. Marszałek Amin prosi, byście zaczęli jeść dopiero, kiedy on poczyni kilka wprowadzających uwag dotyczących spraw wewnętrznych i zewnętrznych.

Amin dźwignął się do pozycji stojącej, wyprostował swoją imponującą sylwetkę, a światło migotało na jego lśniącym czole i ostro zarysowanych policzkach. Dziewczynę w różu usadzono przy nim.

- Przyjaciele, muszę to zrobić, bo jeśli nie zabiorę głosu teraz, będziecie zbyt pijani, by mnie usłyszeć. Zauważyłem, że w Ugandzie, a w zasadzie i na całym świecie, można się straszliwie upijać piwem i innymi alkoholami. Ta prawda dotyczy zwłaszcza sił zbrojnych. Patrząc na przykład na twarze członków Zespołu Jazzowego Sił Powietrznych Entebbe i od razu widzę, że ci ludzie lubią sobie wypić.

Biesiadnicy zachichotali, kierując wzrok na zespół, ustawiony na podium w ciemnym kącie i czekający na swoją kolej. Muzycy najpierw wyglądali smętnie, potem na zmartwionych uwagą Idiogo, w końcu roześmiali się z całego serca.

- Tak, niektórzy wyglądają jak pomalowani kosmetykami, a tymczasem oni po prostu piją alkohol. A i kosmetyki same w sobie mogą być niedobre, i peruki również: nie chcę, żeby Ugandyjczycy nosili włosy zmarłych imperialistów albo Afrykanów zabitych przez imperialistów.

Poklepał po głowie różową księżniczkę. Na chwilę przerwał, mrugając oczyma, jakby był zmieszany albo niepewien tego, co widzi - wiedziałem z jego dokumentacji, że ma problemy ze wzrokiem. Potem pociągnął nosem i podjął przemowę.

- Żadna osoba z mojej rodziny nie może nosić peruki, a jeśli będzie ją nosić, przestanie należeć do mojej rodziny. Ponieważ wszyscy jesteśmy jedną szczęśliwą rodziną w Ugandzie, tak jak wszyscy się tu zebraliśmy przy stole w naszym jednym domu. Ja osobiście zacząłem porządkować w swoim domu, i tak długo sprzątałem, aż udało mi się umieścić rdzennych Ugandyjczyków na wszystkich ważnych stanowiskach. Pamiętajcie, że nawet kucharze w hotelach byli biali? Tylko ja nie byłem biały. Jako chłopak sprzedawałem słodkie ciastka przy drodze, a jak poszedłem do wojska, to najpierw mieszałem w kotle, zanim zostałem generałem. Poza tym wcześniej panowała niepewność. Teraz jeśli pojedziecie na wieś, przekonacie się, że mamy dość żywności. Produkuje żywność na eksport i importujemy wyroby zagraniczne. Mam tu również raport od Parastatal Food and Beverages Ltd. Mówi on, że sprzedajemy produkty Blue Band, Cowboy, Kimbo Sugar, sól, ryż, Colgate, Orno i pastę do butów. Widzicie więc, nie usłyszycie nigdzie, że Uganda ma dług. Tak mówi tylko oszczercza kampania brytyjskiej prasy.

Perkins wytarł widelec serwetką, potem podniósł go niemal do nosa, oglądając uważnie wszystkie zęby. Wyglądał na nieco poirytowanego.

- Bo Bank Światowy jest bardzo zadowolony z Ugandy. A nawet zdecydowałem się pomóc Bankowi Światowemu. Zdecydowałem się dostarczyć pomoc żywnościową do krajów cierpiących głód: proso, kukurydza i fasola zostaną wysłane w workach do wszystkich biednych krajów. Również maniok.

Pomyślałem o tarasowatych poletkach na zachodzie kraju. Często patrzyłem, jak kobiety wychodzą do pracy, kiedy ja jadłem śniadanie na drewnianej werandzie. Niosły na ramionach dziwne motyki o szerokich łopatach, do pleców przywiązane miały dzieci, a przy tym

balansowały tobołkami na głowach. Kiedy przechodziły, słyszałem ich rozmowy.

- Proszę zgromadzonych tu ambasadorów, by dopilnowali sprawiedliwego podziału żywności dostarczonej do ich krajów. Również ci, którzy są z wielkich mocarstw, niech sobie zapamiętają: nie chcę być kontrolowany przez żadne mocarstwo. Sam uważam siebie za najpotężniejszą postać na świecie i dlatego właśnie nie pozwolę, by mnie jakieś mocarstwo kontrolowało.

Zapamiętajcie też sobie to: przywódcy mocarstw mogą upaść. Poszedłem kiedyś na obiad do premiera Wielkiej Brytanii, pana Edwarda Heatha, do jego oficjalnej rezydencji na Downing Street numer dziesięć. A nawet on mógłby upaść z wielkiej wysokości. Gdyby tak się zdarzyło i tak pozostałby moim dobrym przyjacielem.

- Nie musimy chyba zbyt głęboko w to wierzyć - mruknął Perkins. Jego żona bawiła się swoimi sztuczkami, wkładając łyżeczkę deserową w łyżkę do zupy. A potem zmieniła układ całej reszty.

- Ale prawda jest taka, że chciałbym się przyjaźnić z wami wszystkimi. Jak ciągle podkreślam, w Ugandzie nie ma miejsca na nienawiść i wrogość. Powtarzałem zawsze, że nie będę nikogo ani karać, ani faworyzować. Naszym celem musi być jedność i miłość. I dobre maniery. Więc partyzanci przeciwni państwu spotkają się z przeciwdziałaniem. Wybaczcie mi, proszę, że skończę na tym swoje przemówienie. Powiedziałem już wcześniej: nie jestem politykiem, tylko zawodowym żołnierzem. Jestem więc człowiekiem oszczędnym w słowach i byłem zwięzły przez całą swoją zawodową karierę. Pozostaje mi jeszcze zwrócić waszą uwagę na jedną rzecz: na dobre jedzenie, które zaraz pojawi się przed wami na stołach. Człowiek to człowiek i, jak samochód, potrzebuje paliwa oraz świeżego powietrza po ciężkiej pracy. A więc jedzcie!

Z tą ostatnią deklamacją wyrzucił w górę ramiona i stał tak bez ruchu przez chwilę, jak kapłan albo celebrant na mszy. Jego podniesione ramiona odbiły się niewyraźnie w złotej tarczy

na ścianie, zmieniając świetlny wzór padający na obrus.

A potem usiadł. Biesiadnicy patrzyli na niego w bezruchu. Idi rozkoszował się tym widokiem, sam bezgłośnie poruszając ustami, jakby dalej przemawiał. Dopiero turkot wózków wwożących przystawki sprawił, że czar prysnął, i wszyscy zaczęli klaskać.

Przed nami pojawiły się przekąski, trzy do wyboru: filet z okonia nilowego, gęsta zupa gumbo z ketmii i langusty oraz, najbardziej niepokojący dla Europejczyków (Idi celowo robił takie rzeczy), półmisek z zestawem *dudu*, na który składały się pszczele larwy, pasikoniki zielone, cykady i latające mrówki, smażone z odrobiną oleju i soli. Prawdę mówiąc, były nawet pyszne - chrupiące i brązowe, smakowały trochę jak smażone małe rybki.

- Chyba pozostanę przy gumbo - powiedział przerażony Todd, podczas gdy Wasswa schrupał kilka smakołyków z półmiska.

Minister pchnął ku niemu *dudu*.

- Ale to jest miejscowa specjalność. Pewnie pan nie wie, że gumbo jest daniem importowanym nawet w naszej Ugandzie. Pochodzi zza granicy naszej południowozachodniej prowincji, z Zairu, gdzie, jak może pan z kolei wie, mnóstwo przygranicznych ludzi mówi suahili jak nasi ugandyjscy żołnierze tutaj, i przyjeżdża handlować rybami albo w poszukiwaniu opieki medycznej z rąk takich ludzi jak doktor Garrigan, który wcześniej przebywał właśnie w tych rejonach.

- Zgadza się - dodałem niepewnie. - Zanim przybyłem do Kampali, przebywałem na zachodzie kraju.

- Zgaduję, że życie tam było ciężkie. Udałem się tam na wycieczkę w zeszłym roku - powiedział Todd.

- Ale w Zairze jest jeszcze gorzej - wtrącił Wasswa. - Mieszkają tam prawdziwi *washenzi*, dzikusy. W tamtym kraju, proszę pana, to gumbo nazywa się *nkombo*, co w języku Nkongo

oznacza „uciekający niewolnik”. To właśnie stamtąd to danie przybyło do pańskiego kraju, do Ameryki. Na pewno pan o tym nie wiedział.

- Nie, rzeczywiście, nie mogę powiedzieć, że wcześniej zdawałem sobie z tego sprawę, panie ministrze. Niewątpliwie amerykańską kuchnię zasilają wszelkiego rodzaju narodowe tradycje: duńskie, niemieckie, angielskie, ale również koreańskie i, jak pan mówi, afroamarykańskie. Taki kocioł, rozumie pan. To fascynujące, prawda, to całe łąsuchowanie? Każdy półmisek opowiada jakąś historię.

- Myślałem, że wy jadacie tylko hamburgery - powiedział Stone. W sali biesiadnej było gorąco i dwa wilgotne pasma płowych włosów przykleiły mu się do czoła jak łodygi morskiej trawy.

- Och, proszę sobie ze mnie nie żartować - zachichotał Amerykanin. - Za młodu piastowałem urząd w Paryżu. Na pana mówiliby tam Monsieur Rosbif albo John Buli.

- Ale ci ludzie w Zairze jedzą też małpie mięso - huknął Wasswa, urażony, że nie jest już w centrum uwagi.

Nagle sam Amin, który najwyraźniej nas podsłuchiwał, odezwał się od szczytu stołu:

- A co pan ma przeciwko małpiemu mięsu, ministrze zdrowia? Ja, pański prezydent, jadałem małpie mięso.

Wasswa tchórzliwie bawił się swoimi sztuczkami.

- I jadłem również ludzkie mięso.

To Jego Ekscelencja niemal wykrzyczał. Nad stołem zapadła pełna zgrozy cisza - niemal widoczna, jakby jakaś przezroczysta tkanina spadła z sufitu i osiadła na parujących wazach i tacach. Spojrzeliśmy na niego, niepewni, jak zareagować.

Amin w końcu wstał z krzesła.

- Jest bardzo słone - powiedział. - Nawet bardziej słone od mięsa lamparta.

Poruszyliśmy się na krzesłach.

- W czasie wojny, jeśli nie masz jedzenia, a twój towarzysz jest ranny, masz pełne prawo go zabić i zjeść, żeby przeżyć. Tak możesz przejąć jego siłę. Jego mięso może cię ulepszyć, może sprawić, że najedzony ruszysz do walki.

A potem ponownie usiadł. Świece migotały, w srebrnej zastawie odbijały się zniekształcone twarze biesiadników. O dziwo, zdałem sobie sprawę, że myślę o mrówkach, glinianych kopcach i dystrybucji kwasu mrówkowego - podejrzewam, że to na skutek spożycia robaków.

Nikt nic nie mówił, póki kelnerzy nie wwieźli głównego dania. Była to pieczona w całości łania kudu. Jej przyżegane kikutki sterczały w górę jak iglice kościelne i nadziano ją, jak wyczytaliśmy w karcie, awokado oraz mięsem. Farsz właśnie się rozlał w nieregularne, pokryte skorupką kałuże u jednego końca, podczas gdy u drugiego leżały bajecznie kolorowe owoce i warzywa.

Ekspozycja podjechała do Idiego. Patrzyliśmy, jak rytmicznie pociera nożem o pręt do ostrzenia, a odgłos podkreślał jeszcze bardziej ciszę panującą przy stole. Potem rozciął pierś i z surowym majestatem odrąbał dla siebie ceremonialny płat mięsa, po czym rzucił go na obramowany złotym paskiem talerz. Kapka tłuszczu spadła na kaszmir księżniczki, która podskoczyła na swoim siedzeniu, potem zaś, kiedy Amin na nią spojrział, uśmiechnęła się doń służalczo. W końcu podał nóż jednemu z kelnerów, a ten zręcznie układał warstwami płat po płacie - mięso odpadało jak fale na plaży - na skraj półmiska. Inni kelnerzy przekładali je na talerze. Jeszcze inni, przesuwając się żwawo za krzesłami w skomplikowanym systemie wahadłowym, zanosili je kolejnym gościom.

Dźgnąłem postawiony przede mną stek z kudu. Wyłynął cienki strumyczek soku.

Wyobraziłem sobie, jak to zwierzę tropiono i zastrzelono, zaciągnięto, a może zaniesiono zawieszony na tyczce do domu, odarto ze skóry i wypatroszono. Jak przykucnięci myśliwi

układali należne im porcje (serce, nerka, wątroba) na zakrwawionych bananowych liściach, by zabrać je do domu, do żon. Możliwe też, że i samą tuszę zawinięto w te liście na czas transportu ciężarówką do Kampali: mówi się, że prócz tego, że odstraszały muchy, zawierają enzymy zmiękczające. Kiedy przebywałem w buszu, często rozmyślałem, żeby je zbadać i wyizolować, po czym sprzedać recepturę i po powrocie do domu zarobić fortunę.

Nathan Theseus Todd zaatakował swój stek z zapalem. Odciął tak wielki kawał, że kiedy go wsadził do ust, ciemne mięso, ciemniejsze niż wołowina, zakryło jego wargi, nadając im - choćby i przez chwilę - wygląd knebla. Albo ust. Drugich ust.

Zemdlilo mnie, więc zwróciłem się do Martiny Perkins:

- W tym wszystkim najbardziej interesujący jest fakt, że żadne z tych mięs ani przez chwilę nie było mrożone. W chłodni niszczy się struktura tkanek, wie pani? Dlatego właśnie te dania smakują inaczej niż mięso angielskie.

Spojrzała na mnie nieco kpiąco.

- Ma pan szczęście, że jest człowiekiem nauki. Ja czasami żałuję, że nie umiem kojarzyć takich rzeczy.

Nadciągały liczne dania towarzyszące kudu: sos chilli w małych naczynkach, kopce warzyw

- kotleciki ze słodkich ziemniaków, frytki z jamu, smażone orzeszki ziemne, nikła indyjska oraz siekana papka zieleniny, którą nazywałem sałatką dżunglową: szpinak, *shushu* i liście czarnej fasoli.

- Uważajcie na to jedzenie - zawołał Idi, stukając w talerz. - Jest takie stare przysłowie w języku suahili: jeśli nakarmisz osła nikłą, pierdnie. Dlatego właśnie nigdy tego nie jadam.

Pomyślałem o osle, którego miałem jako dziecko w Fossiemoir. Zdechł na wzdęcie, bo najadł się ściętej trawy, którą zostawiłem w pojemniku za padokiem. Trawa sfermentowała mu w żołądku, nadymając go jak balon. Można było mu pomóc jedynie, wtykając czubek noża

pomiędzy zebra i rozcinając ścianę żołądka w miejscu, gdzie się o nie opiera. Pamiętam, jak wypłynęła zielona ciecz, kiedy zrobił to weterynarz, ale zwierzę było już w takim stanie, że nie mogliśmy go uratować.

Nathan Theseus, podekscytowany kęsami mięsa, machał w powietrzu widelcem.

- Kiedy wyprawiliśmy się pod granicę rwandyjską, widzieliśmy wspaniałe krowy. Wiecie, te takie z długimi rogami i garbem. Całe stada, a na ich grzbietach siedziały białe ptaki.

- One się nazywają zebu - powiedział Wasswa. - Ptaki zjadają ich kleszcze, a garb służy do przechowywania płynu w czasie suszy.

- Jak u wielbłądów, jak sądzę - odezwał się Perkins. - Doktorze Garrigan, czy krowy nie mają aby dwóch żołądków?

- Trzy. Trawa jest bardzo ciężkostrawna. Chociaż założę się, że system trawienny zebu jest jeszcze bardziej skomplikowany niż u bydła europejskiego. Bardziej zapewne przypomina bawoła albo gnu.

- Bosola, wy macie we Włoszech ser bawoli, prawda? - zapytał Todd, pochylając się do przodu.

- Tak, to mozzarella. Ale dzisiaj robi się go najczęściej z mleka zwykłych krów.

Amin przerwał mu, grzmiąc:

- Tylko w Afryce są prawdziwe bawoły, takie silne jak ja.

- Ładna kompozycja - szepnęła do mnie Martina Perkins, dotykając kwiatów stojących przed nami. Po raz pierwszy zobaczyłem jej uśmiech. Podniosłem swój kieliszek wina i ponad jego krawędzią spojrzałem jej prosto w oczy.

Desery, podobnie jak przystawki, podano trzy do wyboru: mus z guajawy, placek dyniowy ze śmietaną, i coś, co menu określało mianem „wybornego puddingu” - rodzaj budyniu podanego w porcjach uformowanych w kształt uroczego zameczku.

Właśnie ten ostatni deser wybrał Idi i szuflował go błyskawicznie, przy każdej łyżeczce zmniejszając odległość pomiędzy ustami a talerzem. Pod koniec niemal złożył się w pół.

- Zjadłem wszystko - oznajmił, odsuwając talerz jak małe dziecko.

Kiedy ja skończyłem swoją porcję wybornego puddingu, kelnerzy zaczęli wnosić kawę i likiery, a zespół jazzowy zagrał do tańca. Patrzyłem jak zaczarowany, jak Nathan Theseus jednym płynnym ruchem ściera kroplę potu z czoła, sięga do marynarki, dobywa z jednej kieszeni cygaro, z drugiej obcinaczkę i zapalniczkę, obcina i zapala cygaro i na powrót chowa srebrne ustrojstwo. Wszystko w ciągu kilku sekund. To był bardzo imponujący pokaz prestidigitatorski. Niemal go poprosiłem o powtórzenie wszystkich czynności, bym mógł się przekonać, że to się rzeczywiście zdarzyło. Ale już było po wszystkim, koniec doskonałego pokazu: koniuszek cygara żarzył się wściekle.

Późną nocą udałem się na spacer nad jeziora Księżyc stał wysoko, a pierwsze ptaki odzywały się w krzakach i trawach bagiennych na brzegu. Kiedy spojrzałem ponad wodą, wyobraziłem sobie krokodyle poruszające się na ciemnych mieliznach, które się rozciągają w stronę ogni i lamp Kenii po drugiej stronie. I stojąc tam, wyobraziłem sobie, że mógłbym zobaczyć kręgi tilapii podpływających pod powierzchnię po komarnice, wychylających się, jakby w poszukiwaniu powietrza. Mieszkanki jeziora, nasi łuskowaci przodkowie: białe oczy, ślepe usta.

To wszystko wydaje się takie odległe. Dziwne czasy w dziwnym miejscu. Ale tutejsze sprawy też wydają się dziwne, na swój sposób. Na przykład w ostatnim tygodniu wybuchła bomba.

„Ładunek”, jak to określono, został zdalnie zdetonowany na stałym lądzie. Zwalił się słup trakcji elektrycznej i zginęła jedna osoba. W telewizji pokazywali jej pogrzeb. Było tam ujęcie wieży kościelnej i dało się słyszeć podzwonne - jego brzęk - a to mi o czymś przypomniało.

Skojarzyłem to mianowicie z marnym dowcipem, który kiedyś krążył w mojej rodzinie. Nie pytaj, komu bije dzwon, bije on tobie. Tak właśnie mawiał mój ojciec, kiedy sięgał po szklaneczkę czegoś mocniejszego, a zwykle była to właśnie whisky Bells. Nie robił tego często, ale że za każdym razem powtarzał ten dowcip, stał się on nużący.

Może na początek powinienem rzetelnie wyjaśnić, jak doszło do tego, że to piszę, moją tyrańską opowieść, moją smętną rapsodię. Zamiast szwendać się jak pijak. Przyznaję zresztą, że nim jestem. A może raczej jestem drobnym pijaczkiem.

Mieszkanie, które obecnie zajmuję, też nie jest za duże. Moja tropikalna opowieść zaczyna się, paradoksalnie, dość daleko od tropików. Kiedy bowiem biorę pióro do ręki, śnieg pada od kilku godzin i do rana najpewniej droga stanie się nieprzejezdna. Znam już dobrze swoje nowe siedlisko, nauczyłem się miejscowych mądrości. Wiem, że jutro wszyscy będą powtarzać wieść, że droga do wioski jest nieprzejezdna, a Nicholasowi Garriganowi kończy się mleko.

A naprawdę godzin rozmów temat jest, oczywiście, zupełnie inny. „Napiszę to w swojej książce. Napiszę, co zrobiłem źle, a co zrobiłem dobrze”. To są słowa człowieka - Jego Ekscelencji, Idiego, numeru jeden - którego czyny zamierzam opisać. On nigdy swojej książki nie napisał, więc oto ja przystępuję do dzieła. To jest historia różnych dziwnych wydarzeń, które rozegrały się w Afryce Środkowej i zaangażowały autora, Nicholasa Garrigana, prywatnie i zawodowo. Zdecydowałem się opublikować to nie w celu usprawiedliwienia się, jak zapewne

niektórzy będą uważać, ale by przedstawić prawdziwą relację naoczego świadka. Bo chociaż gazety nieustannie odsądzają mnie od czci i wiary, jestem zobowiązany zachować dla potomności sprawiedliwy osąd historii krwi, nieszczęścia i głupoty.

Chcę to zrobić należycie. Mój ojciec był prezbiteriańskim pastorem, a mnie wychowywano zgodnie z najsurowszymi zasadami.

- Czasami naprawdę myślę - mawiał, patrząc ponad swoimi stalowymi oprawkami przy stole śniadaniowym, kiedy doniesiono mu o jakimś moim występku - że jesteś skazany na potępienie równie nieodwołalnie jak szczur w pułapce.

Moja siostra Moira chichotała do swojej miski, a matka wzdychała, przygotowując się na pełen pokaz ojcowskiego krasomówstwa skoncentrowany na mnie, ponad tostami i marmoladą.

To było imponujące. Na jego kazania w Fossiemuir zawsze stawiały się rzesze słuchaczy A jednak choć zawsze straszył ogniem piekielnym mój ojciec nie był człowiekiem gwałtownym.

Miał swoiste, sarkastyczne, choć banalne, poczucie humoru, jak już można wnosić z tego okropnego porzekadła o Bell's.

Powiniennem nadmienić, że ojciec zmarł, kiedy byłem za granicą. Do śmierci będę żałował, że nie miałem szansy na coś w rodzaju pojednania z nim (choć nie byliśmy tak do końca skłócen), zwłaszcza że zaraz po nim umarła moja matka. Umarła z czystego smutku. Na twardych drewnianych ławkach sal wykładowych uniwersytetu nie słyszałem z ust uczonych doktorów o takiej możliwości, ale wiem, że ona istnieje.

Jeśli nie liczyć tej kościelnej atmosfery - religia pokrywała naszą rodzinę jak subtelna sadza, która czasami spadała z chmur, wypluta przez fabrykę części samochodowych na skraju

Fossiemuir - początki mojego życia były nieciekawe. Chodziłem do miejscowej szkoły, w środy na basen, a w soboty do kina. Biegałem z kolegami po porośniętych lasem sosnowym wzgórzach nad miastem - wzgórzach zaczynających się tuż za owym padokiem, na którym napasł się mój

osiół, i ciągnących się, przynajmniej moim zdaniem, aż do nieba. Na płaszczyźnie emocjonalnej śmierć Freda była najbardziej znaczącym wydarzeniem mojego dzieciństwa. Ilekroć spojrzę na krem miętowy, widzę tę zieloną ciecz wypływającą z jego brzucha.

Nawet wtedy jednak nie okazywałem za bardzo swych emocji: o ile odziedziczyłem po matce zdolność do ciężkiej pracy i do frasunków, od ojca nauczyłem się, że uczucia, jeśli człowiek chce odnieść w życiu sukces, trzeba ściśle kontrolować. Nikt z naszej rodziny nie miał mentalności zasługującej na miano ekspresyjnej, które to słowo jest dzisiaj na ustach wszystkich. O ile więc jako chłopiec w ogóle byłem szalony, to tylko w swojej wyobraźni, przepełnionej tęsknotami za wędrówką: miałem fioła na punkcie map, znaczków pocztowych i powieści przygodowych. Zatoki i wioski rybackie, wzgórza i pola golfowe - różnorodny, szacowny pejzaż Fife nudził mnie, a w swojej przegrzanej wyobraźni odgrywałem historie z Dzikiego Zachodu Hickoka, Afryki Tarzana i Arktyki Pearyego i Nansena. O dziwo, zawsze byłem czerwonoskórym, Zulusem, Eskimosem...

Z nadejściem dojrzewania tęsknoty za wędrówkami przerodziły się w tradycyjny sposób, chociaż cnotę straciłem dopiero po szkole średniej, z córką sąsiada. Poczyłem pewne specjalistyczne badania naukowe na ten temat, a moje wrodzone poczucie porządku bardzo mi się wówczas przydało. Och, jakąż ja miałem kartotekę! Potem pojechałem do Edynburga, gdzie długo i ciężko pracowałem na tytuł lekarza i odbywałem rozmaite szpitalne praktyki.

Moje studenckie życie było bardziej ekscentryczne niż rewolucyjne czy skandaliczne.

Mieliśmy z przyjaciółmi z college'u zniszczony stary zeszyt, o nazwie Spocona Betty, w którym zapisywaliśmy wyniki cotygodniowych partii pokera i szanse proponowanych (i najbardziej nieprawdopodobnych) podbojów miłosnych - ale wtedy to wyglądało jakoś inaczej niż z dzisiejszej perspektywy. Jeśli chodzi o te rozróby uliczne roku 1968, nie widzieliśmy ani jednej, w każdym razie nie zauważyliśmy takiej na wydziale medycznym w Edynburgu.

Lubiliśmy pić. Mam w głowie taki oto obrazek: zataczamy się po szarawej ulicy o świcie, wracając z balu przebierańców, jeden z nas jest przebrany za klauna, drugi za pirata, a trzeci trzyma plastikowy szkielet podprowadzony z wydziału. Ja byłem Drakulą, miałem usta (zobaczyłem to na swoim odbiciu w witrynie sklepu) stosownie poplamione na czerwono od spożytego tego wieczoru wina: szczęśliwy wampir!

Ale abstrahując od takich wybryków - w Edynburgu mieszkałem na stacji, wraz z innym lekarzem i dwoma studentami humanistyki, pod uważnym okiem pani Berkeley. Było to naprawdę porządne stare babsko, ale myślę, że to po części połączenie jej zakazu sprowadzania do domu dziewczyn i mojego trochę opresyjnego życia domowego sprawiło, że chciałem rozwinąć skrzydła, kiedy już zdałem egzaminy zawodowe. Spędziłem krótkie, burzliwe wakacje na Malcie - była tania - z kilkoma przyjaciółmi, a potem oddałem się rozmyślaniom o swojej przyszłości.

W końcu, zamiast zostać specjalistą albo lekarzem ogólnym, w październiku 1970 roku zdałem egzamin na urzędnika Służby Cywilnej (Oddziału Medycznego), zaznaczywszy w podaniu, że zamierzam wyjechać za granicę. Większość pozostałych miała nadzieję na ministerstwo spraw zagranicznych i zdawała egzamin główny. Kiedy czekaliśmy na chłodzie na stopniach przed salą, wszyscy rozmawiali o bombach OWP w Izraelu i losie brytyjskiego dyplomaty, którego porwali w Kanadzie jacyś separatyści z Quebecu. Ja trzymałem się z dala od grupy.

Oczekiwanie na wynik egzaminu okupiłem, oczywiście, wielkimi nerwami - wszystko we mnie zamierało, kiedy każdego ranka z łomotem zbiegałem po pocztę i niepokieszony podnosiłem tylko kolejny numer „Scotsmana”. Koperta przyszła w końcu tego dnia, kiedy zastrajkowali elektrycy. Pamiętam, że wieczorem jak szalony czytałem raz za razem to pismo przy świecy. Przyjęli mnie. Byłem jednym z wybranych, choć mój ojciec, który chciał, bym

praktykował w Fossiemuir, uważał inaczej. Posprzecaliśmy się o to, więc wyjechałem w niełasce.

W takich to właśnie okolicznościach przybyłem do Ugandy - w niedzielę, 24 stycznia 1971 roku - by objąć posadę lekarza przy Ministerstwie Zdrowia. Chociaż oddelegowała mnie do tej pracy brytyjska agencja rządowa Overseas Development Agency, miałem podlegać bezpośrednio urzędnikom ministerstwa. Zakres moich obowiązków określono jako praktykę kliniczną w odległym rejonie wiejskim i prowadzenie niezbyt szczegółowo określonych, wskazanych przez zwierzchników badań zmierzających do polepszenia stanu zdrowia społeczeństwa. Gdybym wtedy, w chwili przybycia, znał zakres działań wiążących się z tym ostatnim obowiązkiem, bez wahania wróciłbym do samolotu.

Jeśli chodzi o opowieść, którą na tych stronach przedstawiam, są to notatki z wówczas prowadzonego dziennika. Miałem również sposobność przeprowadzenia licznych rozmów z Idi Aminem, na jego życzenie. Część tych materiałów jest już znana czytelnikom z gazet i audycji radiowych na całym świecie. Do tej pory ujawniony został jednak tylko fragment taśm „dyktatorofonu”, jak z uporem nazywali je tytularze. To niesamowite - wcisnąć teraz guzik i usłyszeć jego głos. Wiem, że nie powinienem słuchać go tak długo, tak uważnie.

Wszystkie te myśli nachodzą mnie trzeciej nocy pisania. Kiedy patrzę w dal, ponad zarysem zalesionych wydm i skalnych wychodni, ciągnących się do nabrzeża i dalej, do niemilknącej nigdy Inner Sound, przytłacza mnie straszliwe poczucie żalu. Ponieważ teraz dobre rzeczy wydają mi się złe - nawet światło jest dla mnie udręką. W lampach wiszących w oknach moich sąsiadów, w obwiedzionym mrokiem skupisku złota, które oznacza portową wioskę, w lśniących trawersach nielicznych przepływających tędy statków widzę obraz tylko i wyłącznie swojego odosobnienia.

Chociaż wiem, że te światła wioski zapowiadają towarzystwo, tak jak białe grzywy fal w

zatoce obiecują inny rodzaj pocieszenia, pogrążam się w skłębionych wspomnieniach. Tak jak wycie Inner Sound, nie daje mi spokoju pytanie: Czy można powiedzieć prawdę, kiedy rozmawiasz sam ze sobą? Jaka jest prawda o człowieku na wyspie?

W czasie lotu do Kampali - zamknięty w stęchłym powietrzu z Londynu na dwanaście godzin, z międzylądowaniem w Larnace i Nairobi - przeczytałem jedną cienką książkę, *Uganda dla podróżnych*, Charlesa Sabon Frazera, i przekartkowałem jedną grubą, *Praktyka chirurgiczna w zarysie* Baileya i Love'a. W trakcie lektury mój nos i uszy zatykały się i odykały w miarę, jak zmieniało się ciśnienie w kabinie. Odnosiłem wrażenie, że dzieje się tak niemal przy każdym odwróceniu kartki.

Od ośnieżonych szczytów masywu Ruwenzori, nazwanego przez Ptolemeusza Górąmi Księżycowymi, po bujne lasy deszczowe i suchą pustynię, ugandyjski krajobraz prezentuje bogatą różnorodność dla żądnych przygody podróżników. Obfitujący we florę i faunę, może się pochwalić źródłem Nilu, wodospadami, takimi jak imponujące Wodospady Murchisona, i dwoma największymi jeziorami Afryki - Jeziorem Wiktorii i Jeziorem Alberta [...].

Uganda to bez wątpienia kraj safari, można tu oglądać i fotografować słynną afrykańską przyrodę w całej okazałości. Życzliwi przewodnicy oprowadzą was po obfitujących w zwierzynę rezerwatach [...]. Chmara szarańczy stanowi jedno z wielkich widowisk afrykańskiej sawanny, na swój sposób równie niesamowite jak stado spłoszonych bawołów. Wśród upraw miejscowej ludności sieje ona jednak spustoszenie i może się stać przyczyną klęski głodu. Szczęśliwie dla Ugandy, atakowane są jedynie uprawy prosa i kukurydzy, a nie uprawy podstawowego produktu żywnościowego kraju, którym są banany [...].

W epoce kolonialnej nadzy członkowie plemienia z odległego regionu Karamodża sprawiali brytyjskim żołnierzom sporo kłopotów. Komisarz Regionu nie mógł sobie poradzić z tradycyjnym u Karamodża sposobem zarabiania na życie przez kradzież bydła. Nadal można zobaczyć ich w północnej Ugandzie - warto jednak pamiętać, że

często noszą broń automatyczną i ogólnie nie ufają obcym [...].

Te dziwne istoty gryzły i drapały, a były tak silne i niebezpieczne, że Hanno musiał je zabić. Po powrocie żeglarzy skóry tych stworzeń pokazywano zadziwionym oczom ludu Kartaginy. Wiemy, że istoty, które Hanno i jego kompania błędnie uznali za włochate kobiety, były tak naprawdę gorylami, ogromnymi małpami znalezionymi w Ruwenzori, tajemniczym paśmie górskim, które ciągnie się przez Ugandę, Zair i Rwandę. Przedstawiciele tego wymierającego gatunku - dzisiaj pozostało zaledwie czterysta goryli - mają ogromne ręce, a kiedy łamią i żują gałęzie w swoich górskich kryjówkach, wydają dźwięk, który przywodzi na myśl człowieka gryzącego łądygę selera [...].

Kiedy pilot powiedział, że przelecieliśmy nad granicą Ugandy, wyjrzałem przez okno. Popatrzyłem na ziemię i wyobraziłem sobie, jak jestem stamtąd widziany - kiedy z każdym pochyleniem skrzydła, z każdym ruchem lotki samolot zmienia swoją relację w stosunku do tego, co na dole: do zwierząt na równinie, blaszanych dachów samotnych budynków, rowów zwietrzałej ziemi, żyznych zielonych prostokątów, na których rolnicy uprawiają kawę i banany. Nawet, tak sobie rozmyślałem, w stosunku do złotawobrazowej, zezowatej ryby *Hydro - cynus vittatus* poruszającej się pod powierzchnią jeziora.

Podchodziliśmy bowiem od tej właśnie strony - od Jeziora Wiktorii. Potem się przechyliliśmy i, schodząc stromo w dół, przeszliśmy przez wyłom w siedmiu wzgórzach miasta Kampala. Przeżywając charakterystyczny moment strachu, uderzyliśmy w płytę lotniska. Kiedy już rozległ się łoskot ciągu wstecznego, podskoki na nierównościach pasa - drzewa w oddali, spalona słońcem trawa na obrzeżach - trwały, zdawać by się mogło, w nieskończoność'.

Upał był wszechogarniający, powinienem być się tego spodziewać. Książka *Uganda dla podróżnych* uprzedziła mnie o tym: „Mimo klimatu bardziej umiarkowanego niż w innych

wschodnioafrykańskich krajach, ze względu na swoją wysokość nad poziomem morza, Uganda jest krajem równikowym i..." itd., itd. Nic nie mogło mnie jednak przygotować na hydrauliczny podmuch gorącego powietrza, który poczułem, wysiadając. Dochodziła szesnasta czasu miejscowego i chociaż słońce nie było już w zenicie, grunt nadal oddawał wszystko, co zgromadził w ciągu dnia, gorąco i kurz zmieszane z zapachem paliwa lotniczego.

Wcześniej przez brudną szybkę przyglądałem się obsłudze lotniska toczącej trap za oknem kabiny. Teraz, kiedy schodziłem po chwiejnych stopniach, patrzyłem na mężczyzn w gorącym powietrzu - temperatura odrzutowca tworzyła nienaturalne wzory w naturalnym świetle, oni w swoich niebieskich kombinezonach odkręcali grube węże, otwierali luki albo po prostu sobie stali. I też się na mnie gapili, chociaż bez zainteresowania. Albo tak przynajmniej mi się wydaje. Kto by to odgadł z ich twarzy?

Przez płytę postojową przeszliśmy z innymi pasażerami do przeszklonego terminalu: o wiele mniejszego niż ten w Wielkiej Brytanii i samowystarczalne. To było po prostu lotnisko, wszystko o tym świadczyło - również zaskakujący widok eskadry wojskowych odrzutowców zaparkowanych w szyku. Pod drzwiami terminalu odwróciłem się, żeby jeszcze raz rzucić na nie okiem. Ich skrzydła wisiały jak klapki kopert.

W środku przeszedłem do odprawy celnej i paszportowej, kierując się oznaczeniami. Po odprawie paszportowej ruszyłem odebrać bagaż z karuzeli. Wyciągając szyję, wpatrywałem się niespokojnie w gumowe klapy, które rozchyłały się, by odsłonić kawałek dziennego światła.

Widziałem, jak na zewnątrz ręka pracownika sięga do drucianego wózka. Po chwili rozpoznałem sunącą ku mnie moją własną walizkę, kręcącą się, zgodnie z jakimś osobliwym prawem fizyki, wokół własnej osi.

Czekaliśmy w kolejce do odprawy celnej, ściskając paszporty w spoconych dłoniach.

Przynajmniej moja była spocona. Żołnierze stali oparci o ściany, ich karabiny zwisały pod

dziwnym kątem, kiedy oni palili i gadali. Z przodu gestykulował żywo Hindus z wielką rodziną i kartonami po sprzęcie stereo zawiązanymi sznurkiem (podwójny żółty sznurek dzielił na pół czerwony napis AIWA). Ale kiedy nadeszła moja kolej, nie było żadnych problemów.

Przygarbieni w swoich boksach urzędnicy podstemplowali moje dokumenty, leniwym ruchem ręki i kiwnięciem głowy kwitowali otwarcie walizki, zamknięcie walizki, mrugnięcie okiem.

W sali przylotów wymieniłem w małej budce Barclays Bank trochę funtów na ugandyjskie szylingi. Rozejrzałem się. Ktoś z ministerstwa miał po mnie wyjść. Nikogo nie było. Wyszedłem zwawym krokiem na zalany słońcem parking. Przy drzwiach rosło wysokie, gęste drzewo.

Obsiadło je dwadzieścia czy trzydzieści jasnozielonych papugowanych ptaków, skrzeczących bardzo głośno. Przedstawiały dziwny widok. Obserwowałem je przez krótką chwilę, a potem znowu się rozejrzałem. Nikogo. Wróciłem do terminalu.

W sumie czekałem około godziny, wchodząc do środka i wychodząc na zewnątrz, ze swoją niebieską walizką i małą podręczną torbą brytyjskich linii lotniczych BOAC. Wkrótce ze wszystkich stron obiegała mnie banda obdartych chłopców.

- Taxi, *bwanal* - krzyczeli. - Taxi! Znajdziemy ci dobrą taxi, dobry hotel.

Ciągnęli mnie za uchwyt walizki i machali rękoma w kierunku zalanego słońcem postoju, gdzie taksówkarze rozkładali się na maskach samochodów, pewni mojej ostatecznej kapitulacji.

Mieli słuszość. Zazdrośnie tuląc do siebie torbę, w końcu wsiadłem do jednego ze starych peugeotów.

- Poproszę do jakiegoś hotelu w Kampali. Jakiegoś czystego.

W kabinie brzęczały muchy. Roztargniony, usłyszałem głos taksówkarza, który powtarzał:

- Zabiorę *bwana* do Speke Hotel. To jest dobry hotel. Naprawdę bardzo czysty. *Bwana* z Londynu?

Odparłem, że owszem, z Londynu, a potem, nagle zmęczony podróżą, próbowałem uniknąć

dalszej rozmowy. Droga, którą jechaliśmy, na początku była asfaltowa. Minęliśmy doki i kilka rządów hangarów o zardzewiałych blaszanych dachach, a potem wyjechaliśmy na teren wiejski. Po lewej widziałem błękit Jeziora Wiktorii. Po drugiej stronie stały słomiane chaty ze stosami produktów na zewnątrz - owalnych owoców drzewa chlebowego i awokado, malowanych wiklinowych stołków, drzewa opałowego, węgla drzewnego i nierównych cegieł z wysuszonego błota. Za chatami rozciągały się całe kilometry sawanny, wśród których gdzieniegdzie rosły kwitnące żółto akacje i wznosiły się tajemnicze kopce termitów.

Po mniej więcej dwudziestu minutach i ostatecznym przeistoczeniu się asfaltu w coś w rodzaju bitej gliny dotarliśmy do ronda. Pośrodku stał ostro zakończony słup z wieloma drogowskazami. Czarne litery na białej łuszczącej się farbie układały się w napisy: Północ (Kampala, Gulu, Sudan), Wschód (Jinja, Tororo, Kenia), Południe (Entebbe, Jezioro Wiktorii) - z tego kierunku przybyliśmy - i Zachód (Mbarara, Rwafida, Tanzania, Zair). Nigdy wcześniej nie widziałem znaków drogowych z wypisanymi nazwami państw, teraz poczułem się, jakbym miał nieograniczone możliwości - jakbym był królem bezkresnej przestrzeni.

Tępo patrzyłem na zielony krajobraz przewijający się za oknem w drodze do Kampali. Silnik wył z wysiłku, kiedy kierowca zmieniał biegi, by pokonać pochyłości, za każdym razem cmokając z frustracji. Przez przerwę między przednimi fotelami widziałem zakurzoną osłonę dźwigni zmiany biegów ze zniszczonej czarnej gumy. Powyżej widniała czarna dziura, w której powinno znajdować się radio. Z lusterka zwisał jakiś amulet z garbowanej zwierzęcej skóry i nasion, który dyndał w przód i w tył, jakby wskazując drogę. Patrzyłem na to wszystko, aż drzewa zamieniły się w chaty, chaty w betonowe budynki i nagle znaleźliśmy się na głównej szosie w środku miasta.

Zameldowałem się w Spekeu, wziąłem prysznic i zszedłem na dół. Już się pocąć, ruszyłem w poszukiwaniu baru. Znajdował się w ogromnym pomieszczeniu o wysokim suficie ze

strukowymi rozetami. Na ścianach wisiały ciemne drewniane tablice z nazwiskami graczy krykieta i rugby - D. G, Rider, R. Inglis i wielu dawno zmarłych Brownów, Smithów i Jonesów - wyróżnionymi na biało-złoto. Pomiędzy tablicami wisiały poroża antylop i jeden, samotny, niewiarygodnie długi, groteskowo wykrzywiony róg nosorożca. Poniżej, zupełnie nie na miejscu wśród kolonialnych bibelotów, stały trzy czy cztery automaty do gry: flipper i staromodne maszyny do jednorękiego bandyty z warczącymi tarczami.

Bezskutecznie i nieracjonalnie zastanawiając się, kiedy pojawi się ktoś z ministerstwa, rozejrzałem się dookoła. Wysoko na ścianie widniał wielki napis: „Twój kraj to twoja rodzina”. Wisiał tam też płócienny portret mężczyzny, w którym dzięki ziarnistej fotografii zamieszczonej w książce *Uganda dla podróżnych* rozpoznałem prezydenta Obote, obecnie sprawującego urząd. Przy jednym końcu baru siedziała grupa kobiet w nylonowych sukienkach i plastikowej biżuterii. Przyglądały mi się i szeptały między sobą. Kiedy podszedłem do kontuaru, otyły barman w brudnawej białej kurtce spojrzał na mnie wyczekująco.

- Bliznę?

- Słucham? - miałem spóźniony refleks.

Wyglądał na urażonego. Jedna z kobiet, jakby właśnie coś razem uradziły, wstała i zaczęła się przemieszczać wzdłuż podestu w moim kierunku. Przed nią podążał pełen zębów uśmiech, jakby był oddzielony od jej drobnej twarzy i jakiś mechanizm kierował go wzdłuż baru.

Odsunąłem się nerwowo, rozstawiając szeroko łokcie.

- Pije pan bliznę? - powtórzył barman, kciukiem wskazując z rozdrażnieniem rząd butelek za swoimi plecami.

Wtedy pojąłem - chodziło mu o Pilsnera.

- Tak - odparłem, i podałem mu kilka szylingów z zasobów wymienionych na lotnisku.

- Na północy są zamieszki, wie pan o tym? - powiedział nagle biały mężczyzna, podtykając

mi pod nos swoją głowę, kiedy chwyciłem butelkę. Miał wielką czarną brodę i rozpiętą pod szyją koszulę khaki, a mówił z silnym południowoafrykańskim akcentem.

- Tak? - odparłem zaskoczony.

Jego ciało, sposób bycia, wszystko w nim było toporne i ciężkie, nawet twarz: wyglądała, jakby ponad czarnymi włosami pracował specjalny biceps do policzków.

- Idź sobie - powiedział.

Przez chwilę myślałem, że mówi do mnie, ale on właśnie odprawiał dziewczynę, władczo muskając jej ramię. Zdążyła już prawie do nas dojść, moją ucieczkę udaremnił gruby, surowo rzeźbiony słup wpuszczony w dziurę w podium. Skrzywiona, zrobiła w tył zwrot.

- Musi pan uważać na to towarzystwo - ostrzegł mnie Południowoafrykańczyk. - Oni obłupią pana ze wszystkiego, zanim się pan obejrzy A poza tym... wie pan... choroby i tak dalej. -

Zakończył swoją wypowiedź serdecznym śmiechem.

Zmieszany, uśmiechnąłem się i odwróciłem, by przejść na drugą stronę sali do stolika. Ale on poszedł ze mną.

- Nie ma pan nic przeciwko temu, żebym się dołączył, prawda? - zapytał. Zdałem sobie sprawę, że towarzyszy mu pies. Owczarek alzacki sunął za nami, stukając pazurami po parkiecie.

- Nie - odparłem. - Proszę bardzo. Usiedliśmy.

- Nazywam się Freddy Swanepoel. - Biorąc sobie papierosa, przesunął paczkę po blacie.

- Nie, dziękuję. Nicholas Garrigan. - Wyciągnąłem rękę.

- Miło cię poznać, Nicholasie. Co robisz w Kampali? Lekko się wzdrygnąłem, trochę zaniepokojony, a trochę zadowolony, że wzbudziłem jego zainteresowanie.

- Jestem lekarzem, mam umowę z rządem.

- To raczej umowa z diabłem. W każdym razie ma pan tu mnóstwo roboty.

Upił piwa. Kiedy wymienialiśmy informacje, owczarek usiadł nam u stóp, zlizując sól z

opakowania po chipsach. Od czasu do czasu zerkał na swego pana smętnym wzrokiem.

- Wabi się Boetie - powiedział Swanpoel, widząc, że obserwuję delikatną operację zlizywania soli. - Zabieram go czasami do samolotu. - Z dumą poklepał psa po łbie.

- A czym pan się zajmuje? - zapytałem.

Wyjaśnił mi, że jest emigrantem z Afryki Południowej, że osiadł w Nairobi.

- Jestem pilotem. Pracuję dla zespołu o nazwie Rafiki Aviation. Wozimy różne rzeczy dla rządu kenijskiego i ugandyjskiego. I takie tam.

- Nie mają nic przeciwko temu, że jesteś z Południowej Afryki? To dziwne, że pozwalają ci tu pracować.

Podniósł brwi. Zdałem sobie sprawę, że może moje słowa zabrzmiały grubiańsko. Zapadła chwila niezręcznej ciszy, zanim odpowiedział na moje pytanie.

- Moja matka była Angielką, zdołałem więc załatwić sobie brytyjski paszport. Tak właśnie dostałem robotę w czarnej Afryce. Dzięki brytyjskiemu herbowi. W przeciwnym wypadku nie wpuściliby mnie tu, masz słuszość.

Zacząłem go wypytywać o sytuację w kraju.

- Znosi się na zamach stanu. Dowiedziałem się tego od chłopaków z wojsk lotniczych. Nie ma się co martwić, widywałem już zamachy w takich miejscach, zazwyczaj zostawiają białych w spokoju.

Rozmawialiśmy jeszcze chwilę, a potem dźwignąłem się z krzesła, by przynieść nam następną kolejkę. Czując się, jakbym zostawił część swego ciała w krześle, podszedłem do baru i kupiłem piwo.

Kiedy się odwróciłem, w drzwiach wybuchło jakieś zamieszanie. Pięciu czy sześciu mężczyzn, wszyscy w rozkloszowanych spodniach i ciemnych okularach, wpadło do pomieszczenia. Jeden z nich miał na głowie kwiecisty kapelusz frote i coś bardzo ciężkiego w

górnjej kieszeni kurtki safari. Ruszyli dziarskim krokiem prosto do Swanepoela, machając rękoma i krzycząc. Stałem jak wryty, z butelką piwa w każdej ręce.

Ten w przeciwsłonecznym kapeluszu szepnął coś w podnieceniu do

Południowoafrykańczyka, ciągnąc go za rękaw.

Swanepoel jednak położył stopy na stole, rozmyślnie, aby ich zdenerwować. Mężczyzna

trzepnął go po nogach. Swanepoel wstał i pochylił się nad nim groźnie. Pies zerwał się też i

warknął. Mężczyzna cofnął się o krok, grzebiąc w swojej ciężkiej kieszeni. Zobaczyłem czarny

pistolet.

Potem Swanepoel roześmiał się głośno i poklepał po ramieniu mężczyznę we frotowym

kapeluszu. Ten też się roześmiał i odłożył broń, a potem wszyscy się roześmiali. Swanepoel

zabrał swoje papierosy i zapalniczkę, wsadził je do kieszeni koszuli i wziął ostatni haust piwa.

Przystanął, by wykonać w moją stronę przepaszający gest bezradności, i podążył do wyjścia za

mężczyznami. Pies podreptał za nimi.

Oszołomiony wróciłem do stolika i spędziłem kolejne pół godziny, niezłomnie pijąc z dwóch

butelek. Potem poszedłem na górę do swego pokoju. Kiedy otworzyłem drzwi, dostrzegłem trzy

karaluchy biegnące po linoleum. Każdy z nich był spasiony jak ręcznie zwijane cygaro.

Rozebrałem się i położyłem na łóżku. Nade mną wisiała brudna moskitiera. Moja otwarta

walizka leżała na podłodze, z zawartością rozrzuconą, odkąd szukałem świeżego ubrania po

wyjściu spod prysznic. Teraz znowu czułem się brudny. Pokój był stęchły i duszny (okno było

zablokowane), a po piwie kręciło mi się w głowie. Wyjąłem z walizki przewodnik i próbowałem

czytać.

Na początku wieku pojawili się arabscy handlarze niewolników, a epoka

kolonializmu w Ugandzie rozpoczęła się na dobre z przybyciem Johna Hanninga Speke'a

24 stycznia 1862 roku. Wkrótce potem przybyła wielka liczba europejskich badaczy,

kupców (Brytyjska Kompania Afryki Wschodniej) i misjonarzy ewangelickich. Okres 1885-1887 był uciążliwy dla chrześcijańskich konwertytów w Ugandzie, wielu zostało spalonych, wykastrowanych, poćwiartowanych, jako że rozpałała się wrogość między nimi a zwolennikami kabaki, czyli bugandyjskiego króla. W roku 1892 wybuchła wojna pomiędzy samymi konwertytami: anglikanami popierającymi brytyjski kolonializm a katolikami popierającymi kolonializm francuski i niemiecki [...].

Rządy brytyjskie w formie protektoratu trwały aż do odzyskania niepodległości w roku 1962, ale w 1903 roku nastąpił dziwny zwrot w ugandyjskiej historii. Wtedy to brytyjski sekretarz do spraw kolonii, Joseph Chamberlain, zaproponował Theodorowi Herzlowi i Światowej Organizacji Syjonistycznej, by ustanowili w Ugandzie państwo żydowskie. Oferta została odrzucona, gdyż syjoniści nie chcieli zrezygnować z dążeń do zajęcia Palestyny [...].

Ponieważ nie mogłem się skoncentrować, przestawiłem budzik na czas miejscowy, który miałem już na zegarku na rękę, i wyłączyłem lampkę. Wciąż myślałem o karaluchach i od czasu do czasu włączałem lampkę, by się przekonać, czy jeszcze są. Były dla mnie za szybkie. To przez nie, jak również przez odgłos ciężkiej maszyneryi przemieszczającej się pod oknami rzucałem się na łóżku bezsenność.

I myślałem. Jako nastolatek cierpiałem na straszliwą bezsenność, ale nigdy z powodu karaluchów. Leżałem po prostu, nie śpiąc i martwiąc się o siebie. A kiedy już spałem, nękały mnie straszliwe koszmary: że wpadam w płomień albo pomiędzy lodowate kry jakiejś styksowej rzeki. Trwałem w błędnym przeświadczeniu, że popełniłem jakąś niewybaczalną zbrodnię. W niektóre noce myślałem nawet, że jestem samym diabłem, że wcielił się we mnie, że jego łuskowate rogi stały się moimi ciemnymi lokami. Ale miałem też sny całkowicie odmienne. W inne noce posuwałem się do wyobrażeń, że jestem nowym Chrystusem - że mam do

wypełnienia misję na ziemi i że wszystkie te szatańskie identyfikacje to są zwykłe pokusy. Każdy z tych snów rozgrywał się w zmysłowej geografii świątyń, dżungli i tym podobnych. Wszystko to było bardzo erotyczne - i wszystko zniknęło nagle, kiedy po raz pierwszy zaznałem wytrysku. To zaś nastąpiło w zagajniku za naszym domem, w rękach Lizzie Walters, wspomianej już córki sąsiada. Młodo wyszła za mąż i - o ile wiem - mieszka nadal w Fossiemuir. Ilekroć podczas studiów jeździłem do domu i widywałem ją na ulicy, jak szła z wózkiem i torbami pełnymi zakupów, myślałem tylko o tej jednej cudownej chwili: gałęzie wgniatające mi się w plecy, niebiańskie światło w mojej głowie, jej filuterny chichot - a potem wilgoć na moim brzuchu.

Uśmiechnąłem się do siebie, kiedy to sobie wszystko przypominałem, i w końcu zapadłem w dość spokojny sen. A przynajmniej tak myślałem. Później, już nad ranem, budząc się z pęcherzem pełnym pilsnera, po raz kolejny włączyłem światła. Na szczycie mojego wielkiego budzika siedział karaluch największy, jakiego w życiu widziałem. Machał swoimi czułkami i zerkał na mnie spekulatywnie. Zrzuciłem go na podłogę i zdzieliłem przewodnikiem. Jego pancerz pękł głośno. Wciągnąłem buta i popchnąłem żółtą packę w róg pokoju. Drugą stopą ściągnąłem but, a potem na chwilę siadłem nagi na skraju łóżka. Pełen obrzydzenia, ale też triumfu, w końcu położyłem się z powrotem, pewien, że odrażające trofeum w kącie - jak kawki, sójki i gronostaje, które szkoccy gajowi wieszają na ogrodzeniach z drutu kolczastego - odstraszy ewentualnych naśladowców.

Wyłączyłem światło i już miałem na powrót zapaść w sen, kiedy znowu usłyszałem dudnienie maszynarii. Tym razem o wiele głośniejsze. Dochodziła trzecia nad ranem i miałem już serdecznie dość swej pierwszej nocy w Ugandzie. Było gorąco, a prześcieradła przyłgnęły do mnie jak całun. Wstałem i podszedłem do okna. Ciepłe, brudne linoleum przylegało do podeszew moich bosych stóp, a jeszcze miękło z każdym krokiem postawionym w nieoświetlonym pokoju.

Czułem się, jakbym zostawiał ślady - Piętaszek szuka myśliwego, jeszcze nieznanego.

Ale to ja byłem prześladowcą, kiedy odsunąłem zasłonę i stałem tam wśród ciemności, obserwator ukryty przed światem zewnętrznym. Ulicą przesuwała się kolumna czołgów, ich ciemne kształty odcinały się od mroku nocy. Widziałem również w wieżyczkach sylwetki mężczyzn w hełmach i co jakiś czas chyba słyszałem krzyki przez oblepione brudem szkło.

Chociaż wiedziałem, że oni nie mogą mnie widzieć, zawstydziłem się swojej nagości, bladości, prezbiteriańskiej twarzy okolonej prostymi, kruczoczarnymi włosami, wąskiej piersi pokrytej wilgocią i porośniętej skąpą kępą włosów, ostrej krzywizny bioder - tych kości miednicy widocznych ponad udami - i długich, chudych nóg. Jak para pogrzebaczy, mawiała moja matka, a ja spoglądałem wtedy na zestaw przy kominku, tym małym kominku, który migotał jak czerwone oko, ale nigdy nie rozgrzewał mieszkania, i myślałem: „O nie, wcale nie wyglądają jak pogrzebacze”.

Zjadłem śniadanie przy drzwiach werandy, w głębi rozsypującej się jadalni hotelu Speke. Spożyłem papkowaty pomarańczowy owoc, którego nie rozpoznałem, gotowane jajko z szarym żółtkiem i kawę z obitego srebrnego dzbanka z wygrawerowanym napisem E. A. R. i - mniejszymi literami - „Własność Kolei Wschodnioafrykańskich”. Przypomniałem sobie, jak nazwał je mój przewodnik - „Szalona kolej” - i że wjechał nimi do Ugandy Winston Churchill, przypięty pasem do odgarniacza pociągu, żeby mieć lepszy widok.

Zauważyłem, że wszyscy kelnerzy gromadzą się przy miedzianej kratce radia, umieszczonej w ścianie obok windy kuchennej. W tamtej chwili nie zdawałem sobie jeszcze sprawy z doniosłości nadawanego komunikatu. Było to jakieś obwieszczenie wygłoszone przez nieco drżący „Głos Ugandy”. Nadstawiłem ucha, by coś usłyszeć przy swoim stoliku.

Siły Zbrojne Ugandy zdecydowały się przejąć dzisiaj władzę od Obote i przekazać ją żołnierzowi, generałowi Idi Aminowi Dada... Niniejszym powierzamy mu więc prowadzenie Ugandy, naszego ukochanego kraju, drogą do pokoju i życzliwości.

Apelujemy do wszystkich, by kontynuowali swoją pracę normalnie. Przestrzegamy wszystkie zagraniczne rządy, by nie ingerowały w wewnętrzne sprawy Ugandy. Wszelka taka ingerencja zostanie odparta z wielką siłą... ponieważ jesteśmy gotowi... Władzę sprawuje teraz generał Idi Amin i musicie zaczekać na jego oświadczenie, które nadejdzie we właściwym czasie. Uczyniliśmy to dla Boga i naszego kraju.

Mój żołądek podjechał do gardła ze strachu, pomimo jedzenia, które właśnie spożyłem. Kiedy wstawałem od stołu, mięśnie ramion miałem napięte i twarde jak kamienie. Z filiżanką kawy w ręku, rozlewając płyn na spodeczek, wyszedłem na taras. Balkon wychodził na dziedziniec hotelowy. Widać było z niego Nile Avenue i róg Pilkington Road. Z gałęzi drzew na podwórku zwisały senne stada nietoperzy - ciemnych i pomarszczonych, jak wielkie rodzyнки a

w powietrzu unosił się zapach palonego drewna. Upiłem kawy i niespokojnie rozejrzałem się w poszukiwaniu oznak zamieszek.

Ludzie zbierali się na ulicy, rozmawiając w małych grupkach przy zaparkowanych samochodach. Nie wydawali się zbytnio zaniepokojeni. Wielu najwyraźniej zajmowało się codziennymi obowiązkami: sprzedawcy żywności układali stosy zielonych bananów i wystawiali porzewiałe metalowe wiadra z grochem i fasolą. Rękodzielnicy ustawiali hebanowe figurki na jutowych matach. Waluciarze w swoich wyświeconych garniturach rozglądali się, wsparci o ściany. Kobiety w kolorowych sukienkach z wizerunkiem prezydenta Obote zajmowały się dziećmi i robiły zakupy. Inni przejeżdżali na ogromnych czarnych rowerach, niektórzy mieli przymocowane do bagażników bele bawełny lub kanki z mlekiem albo jechali w starych samochodach z okrągłymi dachami i drewnianymi okładzinami na błotnikach.

To właśnie widziałem. Żaden z tych elementów nie wydawał się dziwny, jeśli wziąć pod uwagę wiadomości w radiu. Zdałem sobie jednak sprawę, stojąc tam i popijając kawę, że trafiłem do Ugandy w przełomowej chwili. I nie byłem do końca pewien, co o tym myśleć. Pamiętałem coś, co powiedział Swanepoel, ten mężczyzna poznany w barze: „Przewroty w Afryce są na porządku dziennym, po prostu nadchodzą regularnie, jak pora deszczowa i pora suszy”.

Patrząc wstecz, uświadamiam sobie, że bardzo się mylił - przecież na tym wielkim kontynencie jest mnóstwo spokojnych miejsc, prawda? A z drugiej strony, często przychodziło mi do głowy, że na mapie Afryka wygląda jak wielka kabura.

Obejrzałem rozsypującą się fasadę Spekea po prawej i po lewej. Potem odstawiłem filiżankę ze spodkiem i podszedłem do końca balkonu, gdzie mój wzrok podążył ku obskurnej kolumnadzie sklepów przy Pilkington Road. Zainteresowała mnie grupa kobiet robiących pranie przy pompie. Śpiewając, szorowały i okładały pięściami mokre rzeczy. Wzięły prześcieradło z dwóch stron i zaczęły wytrząsać z niego wodę. Kiedy tak trzęsły, prześcieradło kłapało z

nienaturalnym dźwiękiem, trochę przypominającym odgłos bębna, trochę klaps, i odbijającym się echem od drzew przed hotelem.

Na ten właśnie dźwięk jeden z nietoperzy nagle zerwał się do lotu, czy raczej urwał się do lotu - spadł ze swojej gałęzi, potem się zawinął i, stając się czarnym punktem na obrzeżu siatkówki, zniknął na niebie.

Wmieszany w odgłosy wywoływane przez praczki, stopniowo przybierał na sile inny dźwięk, bardziej niepokojący. Nile Avenue zaczęła się wypełniać tłumem, tak bardzo, że stojący na niej wcześniej ludzie musieli mu ustąpić. To, co się zaczęło jako strumyk, hałas z oddali, w ciągu kilku chwil zmieniło się w pędzącą masę ciał, która wyla i wykrzykiwała hasła. Wojskowe dziipy z długimi antenami radiowymi i karabinami maszynowymi pojawiły się na zakręcie, torując sobie drogę wśród ludzi.

Nastoletnie dziewczęta wskakiwały na stopnie dziipów, wręczały żołnierzom girlandy kwiatów. Rozbrzmiały krzyki, wznoszące się do mojego balkonu: „Niech żyje Idi Amin Dada! Wspieramy gó! Amin to zbawca Ugandy!”.

Zdumiało mnie to nagłe poparcie siłą narzuconego rządu i wstrząsnęła mną szybkość zmian zachodzących na ulicy. Samochody i ciężarówki toczyły się przez tłum, w ślad za dziipami. Ich pasażerowie machali z okien. Autobusy i rowery też dołączyły do parady, jak również jeden czołg - niezgrabny, z lufą zagadkową jak czułek insekta. Zastanawiałem się, co się stało z czołgami, które widziałem w nocy, w jakim ważnym miejscu je umieszczono.

Pojazdy i ludzie byli udekorowani liśćmi bananowca - symbolem radości i płodności, jak się później dowiedziałem. Przypomniały mi się puby Green Man, które widziałem w podróży do Anglii, też ozdobione zielenią, kołyszącą się na szyldzie na wietrze. Nagle moją uwagę przyciągnęła grupa młodych mężczyzn zdzierających plakat z Obote z jednej z kolumn.

- Obote *afudel* - krzyczeli, depcząc strzępy papieru.

Obote nie żyje. (Nie była to prawda, jak później się dowiedziałem. W rzeczywistości, wracając z Konferencji Wspólnoty Brytyjskiej w Singapurze, Obote uciekł do Kenii, gdzie zbył go byle czym wiceprezydent Moi, a stamtąd wpadł w pocieszające ramiona prezydenta Tanzanii Nyerere).

I nagle zobaczyłem następną grupę młodych mężczyzn, niosących na drągach płonące portrety Obote, i rzucających na ziemię melony z wizerunkiem jego twarzy. To było bardziej komiczne niż złowieszcze, chociaż domyślałem się, że niekiedy te dwie rzeczy zlewają się w jedno.

Po krótkim namyśle zdecydowałem się zejść na dół i przyjrzeć wszystkiemu z bliska. W końcu cokolwiek się działo w tym zapomnianym miejscu, nadal musiałem przedstawić ministerstwu swoje listy uwierzytelniające. Zastanawiałem się, czy może powinienem się też zgłosić do ambasady brytyjskiej, tak na wszelki wypadek.

Zszedłem więc na dół, rad z tak rzadkiego u mnie przyływu odwagi. Na zewnątrz dookoła mnie kłębił się tłum, zbliżając się i oddalając jak pływ syzygijny. Teraz już żołnierze byli wszędzie, nędzni w czapkach z daszkiem, nasadzonych na bakier, i nieodpowiednim kamuflażem. Zobaczyłem, że czołg, przejeżdżając, zniszczył asfalt. Szedłem dalej, ustępując tłumowi. Minałem witrynę sklepu odzieżowego z jaskrawym napisem „Sklep Odzieżowy Khan”.

Po drugiej stronie ulicy jedną z kobiet ubranych w suknie z wizerunkami twarzy Obote nagle otoczyli ci sami młodzi mężczyźni, którzy wcześniej ściągnęli plakat. Szydząc i skandując, rzucili ją na krawężnik. Jej głowa uderzyła o beton z suchym trzaskiem.

Odwróciłem się. Byłem przerażony i nie chciałem brać w tym udziału. Właściciel sklepu z odzieżą, Azjata, ścigał stalowe żaluzje na froncie wystawy ze zwojami tkanin i manekinami odzianymi w sari. Kiedy nurkował pod żaluzją, odwrócił się na chwilę do mnie, kręcąc głową jednocześnie rozpaczliwie i przepraszająco, jakby tłumacząc, że nie może mnie wpuścić i że on

także nie ma nic wspólnego z tym wszystkim. A potem zatrzasnął drzwi.

Dalej szedłem przez tłum. Nieopodal stała mała buda z płóciennym dachem. Stara kobieta sprzedawała tam napoje gazowane z lodówki turystycznej. Na markizie widniały napisy „Bar i jadłodajnia Shongololo”, a pod nim „Coca Cola: to jest to”. Kupiłem colę i usiadłem przy chwiejnym stoliku, ciesząc się, że jestem z dala od ścisku. W kącie stał ruszt, na którym posykiwały kawałki kurczaka nadziane na drewniane patyki.

W pobliżu, przy drugim stoliku, dwóch mężczyzn, mieszkańców Kampali, rozmawiało z ożywieniem. Jeden był wielkim siwiejącym słoniem, ubranym w koszulę safari, a drugi miał długie nogi i okulary. Bardzo wysoki, wyglądał jak uczonec albo marabut. Słuchałem ich rozmowy, udając, że moją uwagę pochłania kawkada przechodząca na zewnątrz.

- Już od konferencji UPC wiedziałem, że do tego dojdzie. Teraz mówią, że to kula Amina Dady roztrzaskała wtedy policzek Obote. Ale słyszałem też, że kiedy rozległ się strzał, Amin uciekł przez ogrodzenie z drutu kolczastego, i mówił potem Obote, że bał się, że to zamach na jego życie.

- Cóż, od tamtego czasu Obote go gonił. Ale nie mógł go złapać, bo Dada biegnie za szybko. Wiesz, że jeszcze w wojsku u białych był mistrzem w bieganiu. Jest szybki jak gepard.

- On się też boksował z białymi i grał w rugby na znaczącej pozycji, a biali żołnierze, którzy grali, uderzyli go młotkiem w głowę przed meczem wiele, wiele razy, żeby był jeszcze szybszy. Ci ludzie to normalnie są jak zwierzęta.

- Może teraz wszystko się ułoży. Mam taką nadzieję. Wiesz, że kiedy Dada poszedł z pielgrzymką do Mekki, ludzie mówili, że po powrocie trafi do więzienia.

- Mekka to ważna rzecz w tej sprawie. To dlatego, że Dada jest muzułmaninem, nie cieszy się już łaską Obote, i dlatego że jest Kakwą, a nie pochodzi z Acholi ani Langi, tak jak ludzie Obote.

- I dlatego że Obote jest lewicowy, a Dada jest prawicowy *Wazungu* w Europie i Stanach

Zjednoczonych, tego to jestem pewien, muszą się dzisiaj cieszyć, bo bali się, że będziemy jak chińscy bandyci z Dar es Salaam i Maputo.

- I dla nas, ludu Baganda, to może być tylko dobre, bo Dada na pewno przywróci nam króla.

To na pewno na rozkaz Obote Dada zbombardował pałac i wysłał kabakę do Anglii. *Kabaka Yekka!*

- *Kabaka Yekka!*

Wstali do wyjścia, zamienili kilka słów ze starą kobietą, a potem wyszli na ulicę. Szybko dopiwszy colę, ruszyłem za nimi, żeby zapytać o kierunek.

- Sir, to niemądrze z pańskiej strony przebywać w tym miejscu - powiedział z troską mężczyzna w koszuli safari. - Mądrzej by było, gdyby pan wrócił do swojego mieszkania, dzisiaj w Kampali może się wydarzyć wiele rzeczy.

- Jestem na posadzie rządowej, muszę się dostać do Ministerstwa Zdrowia. - Kiedy to mówiłem, tłum mnie popychał.

- Ale proszę pana, rząd się zmienił - zaprotestował ten drugi. - Żołnierze mówią, że *wazungu* muszą wrócić do siebie. Słyszałem, że na lotnisku postrzelono kilku misjonarzy, kilku z zakonu Białych Braci. Obawiam się, że niektórzy z tych wojskowych mogą być bardzo okrutni.

- Naprawdę muszę się dostać do ministerstwa - powiedziałem z niepokojem. - I muszę też się dostać do ambasady brytyjskiej.

- Ministerstwo jest przy Kimathi, obok kina Neeta, w tamtą stronę, a ambasada na Parliament Avenue, a to jest dalej, musi pan najpierw...

Powtarzałem sobie wskazówki, przepychając się przez tłum. Minąwszy kino, przed którym jaskrawe plakaty reklamowały hinduski film, w końcu dotarłem do celu - ponurego budynku z pustym parkingiem. Askari przy bramie, górujący nade mną w swoim brązowym mundurze, zapytał, czego chcę. Odparłem, że muszę się zobaczyć z ministrem Wasswa. Przekrwionymi

oczyma spojrział na mnie podejrzliwie, potem wzruszył ramionami i mnie wpuścił.

Wszedłem na górę i wędrowałem od biurka do biurka, póki nie znalazłem kogoś, kto mógł mi pomóc. W końcu musiałem czekać przez pół godziny pod gabinetem na najwyższym piętrze, podczas gdy jedna z sekretarek, wysoka dziewczyna z lśniąco czarnymi włosami i jasną szminką, rozpatrywała moją sprawę. Kiedy ja czekałem, większość personelu wyglądała przez okna, patrzyła na tłum i rozmawiała w podnieceniu. Przyglądałem się przyglądającym, a moje uda poczęły się na plastikowym krześle, na które skazała mnie sekretarka.

W końcu wyszła, ściskając podkładkę do pisania. Wstałem.

- Przykro mi - powiedziała. - Pana Wasswy nie ma. Zauważyłem, że jej usta są spierzchnięte.

- Cóż, co mam zrobić? Powinienem być jutro w Mbararze. Jak mogę się tam dostać?

- Może pan odbyć podróż. Najlepiej to zrobić autobusem. Musi pan znaleźć doktora Merrita.

To z nim właśnie będzie pan pracował w Mbararze. Oto numer jego telefonu. Mam też dla pana dokumenty do zabrania, dokumenty potwierdzające pana tożsamość. A tu jest jeszcze jeden, który pan dla mnie podpisze.

Było to zrzeczenie się odpowiedzialności, stanowiące, że jeśli jakiś pacjent złoży na mnie skargę, która zostanie podtrzymana w sądzie, to minister zdrowia nie będzie za to ponosił odpowiedzialności. Wziąłem to od niej i podpisałem, chwając się niezgrabnie, kiedy oparłem podkładkę *na kolanie*.

- Czy mógłbym otrzymać zaliczkę a konto poborów? - zapytałem, oddając jej podkładkę. -

Przywiozłem ze sobą jedynie trzysta funtów angielskich.

- W Ugandzie trzysta funtów to dużo pieniędzy. Ja zarabiam tylko dziesięć funtów miesięcznie, i to jest za mało. Czasami muszę sobie radzić bez śniadania i lunchu, żeby przeżyć. -

Popatrzyła na mnie oskarżycielsko.

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

- Taka zaliczka wymagałaby podpisu ministra - ciągnęła - a i tak jest niemożliwa. Niestety, minister Wasswa jest w samolocie z... byłym premierem Obote. Nie Wiemy, czy wróci.

Wyszedłem z bezministrowego ministerstwa w lekko popsutym nastroju. Niosąc swoje listy uwierzytelniające pod pachą, brnąłem przez rzednące już tłumy do ambasady. Okazało się, że jest to wielki biały budynek z wysokimi antenami na dachu. W bramie stało dwóch ogorzałych Brytyjczyków.

Zerknąłem przez przegrodę z siatki.

- Właśnie tu przybyłem. Muszę się z kimś spotkać w sprawie mojej pracy.

- A jaka to ma być praca, sir? - zapytał jeden z żołnierzy. Miał rude wąsy, a na dokładkę mówił z akcentem z okolic Newcastle, czego słuchałem z prawdziwą rozkoszą.

- Mam być lekarzem, w miejscu o nazwie Mbarara.

- Musi się pan spotkać z Nigelem Stoneem. Jeśli tylko poczeka pan chwilę, zadzwonię do niego. Czy mógłbym zobaczyć pański paszport, sir? Wiem, że mówi pan jak Brytyjczyk i wygląda jak Brytyjczyk, ale czasami przychodzą tu prawdziwe dziwaki.

Kiedy wszedłem do pokoju, Stone wyglądał przez okno, odwrócony do mnie plecami. W kącie popiskiwał dalekopis. Zakasłałem.

- Ach, doktor Garrigan - powiedział, odwracając się. Podszedł, by uścisnąć mi rękę ponad biurkiem. Miał cienkie jasne włosy i czoło tak lśniące, jakby co rano zawzięcie je polerował.

- Cieszę się, że pan przyszedł. Proszę usiąść. Zazwyczaj wiadomo nam o obywatelach brytyjskich wjeżdżających do kraju, i zastanawiałem się, co się z panem stało. Jak już zapewne się pan zorientował, tutejsza sytuacja trochę się zaogniła. Nastąpiło kilka zmian. W tej chwili raczej zalecamy ludziom pozostanie w domach, ale tam jest równie bezpiecznie... cóż, równie bezpiecznie jak w buszu - zaśmiał się krótko - dokąd ma się pan udać. Może pan więc tam wyruszyć. Widzi pan, tak naprawdę wszystkie problemy skupiają się w mieście.

- Myśli pan więc, że powinienem po prostu wyjechać? - zapytałem.

- Niewątpliwie. Myślę, że sytuacja bardzo szybko się uspokoi. My się właściwie bardzo cieszymy, że Amin interweniował. Obote miał bardzo dziwne pomysły na temat rządzenia krajem, a Amin, cóż, to nasz człowiek. Choć nie jest zbyt rozgarnięty. Myślmy, że będziemy mogli mu pomóc na zewnątrz. I vice versa.

Ktoś zapukał do drzwi. Wszedł szczupły mężczyzna w mundurze wojskowym. Kulał.

Starzejąca się skóra na szyi i policzkach zwisała smętnie jak indyjskie korale.

- Stone - powiedział, ignorując mnie - moi chłopcy się nie znaleźli. Mały przewrocik, a oni już się chowają pod łózkami.

Mężczyzna miał silny akcent edynburski. Usiadł w fotelu w rogu gabinetu Stone'a, mając zdrową nogą ponad poręczą.

- Nie mam pojęcia, jak można było ode mnie oczekiwać, że będę szkolił taką bandę.

- Doktorze Garrigan - powiedział Stone - to major Weir, nasz oficer wywiadu, szkoli nowy Korpus Wywiadu Armii Ugandyjskiej. Pan doktor wyjeżdża do Mbarary majorze, gdzie dołączy do ośrodka doktora Merrita. Jest pańskim rodakiem ze Szkocji.

- Doprawdy? - zapytał Weir. Pomyślałem, że jest w nim coś przerażającego. Niepokoił mnie i nie umiałem powiedzieć, dlaczego.

- Zgadza się - powiedziałem. - Pochodzę z Fossiemuir. - Jego nazwisko! To ono właśnie poruszyło we mnie jakąś strunę. Mglisto przypomniła mi się stara powiastka ludowa, którą mój ojciec lubił opowiadać, coś o ognisku, małpie i wędrującym patyku. Nie mogłem sobie przypomnieć, o co dokładnie chodzi.

- Dobrze wiedzieć. Powodzenia, w każdym razie. Takich jak pan właśnie tu potrzebujemy. Musi pan wiedzieć, że wszystkich wielkich rzeczy w tym kraju dokonali Szkoci: Speke, Grant i cała reszta. Tak, Uganda została zbudowana dzięki Szkoci.

- Cóż - powiedziałem, uśmiechając się z zakłopotaniem - przypuszczam, że musieliśmy się wydostać spod ucisku Anglików.

Weir wstał i posłał mi dziwne spojrzenie, szarość włosów zlała się z szarością oczu.

- W rzeczy samej - powiedział powoli, jakby myślał o czymś innym, a potem ku mojemu zdumieniu wydeklamował: - „Żeby znaleźć jaki senes, jalapę albo rumberbarum, co by stąd wyparł tych Anglików!” * Makbet - wyjaśnił i gwałtownie odwrócił się do wyjścia. - Dajcie mi znać, jeśli pojawi się któryś z moich hultajów - rzucił jeszcze do Stone'a. - Idę zbadać, skąd wieje wiatr.

Kiedy Weir zamknął drzwi, Stone uśmiechnął się do mnie przepaszająco.

- Interesujący gość z tego Weira. Odznaczony na wojnie. Bardzo zdolny pilot. Kiedy został postrzelony, przeniósł się z RAFu do wywiadu... widział pan, że kuleje?

- A dlaczego ma badać, skąd wieje wiatr?

Stone spojrział przez okno i powiedział zagadkowo:

- Och, jeszcze się pan dowie. Cóż... - podjął energicznie, siadając przy biurku - wpiszmy pana do rejestru. Nie chcielibyśmy zostawić pana na pastwę losu w Mbararze, jeśli się zrobi gorąco. Zacznijmy od podstaw. - Otworzył księgę w skórzanej oprawie i wziął wieczne pióro. - Najbliższa rodzina?

- George i Jeanie Garrigan, Tarr House, Fossiemuir, Zachodnia Fife.

- Fossiemuir? To się pisze przez y czy i? Obawiam się, że nie mam wprawy ze szkockimi nazwami.

* Przekład Józefa Paszkowskiego

Przeliterowałem, a on zapisał. Kiedy się pochylał nad rejestrem, zauważyłem małą łysinkę na czubku jego głowy. Zestawienie różowej skóry i żółtych włosów dookoła przywiodły mi na myśl jajka i bekon.

Kiedy mu się przyglądałem, spojrział na mnie i podniósł blond brwi, jakby czytał w moich myślach.

- Ile pieniędzy przywiózł pan ze sobą? Mamy ostatnio ogromne problemy z repatriowaniem ludzi - hippisami, nawiedzonymi i tak dalej - którzy myślą, że tylko dlatego, że to Afryka, mogą się po niej wałęsać bez grosza przy duszy. Wiem, że to nie dotyczy pana, ale takie pytanie zadajemy zwyczajowo wszystkim.

Powiedziałem mu o trzystu funtach.

- I jak pan zamierza dostać się do Mbarary?

- Myślałem, żeby pojechać autobusem. Słyszałem o tych - właściwie czytałem o tym w przewodniku - *matatu*, minibusach, które *jeżdżą* po całym kraju.

- Śmiertelne pułapki - westchnął. - Szkoda, że żaden samochód z ambasady tam nie jedzie, bo podwieźlibyśmy pana. Cóż, hmm, pewnie dotrze pan tam w jednym kawałku.

Musiałem wyglądać na trochę wstrząśniętego tymi słowami, bo dodał szybko:

- Och, przepraszam bardzo. Teraz tylko napędziłem panu strachu. Chodzi po prostu o to, że wskaźnik wypadków na drogach Afryki Wschodniej jest niewiarygodny. Pamiętam, jak kiedyś, na drodze do Mbarary, tak się składa, cysterna jadąca naprzeciwko nas wpadła w poślizg i zjeżdżała ze wzgórza całkowicie w poprzek. Musieliśmy wyhamować w buszu. Niemal uderzyliśmy w drzewo. Cysterna się przewróciła i wybuchła. Kierowca zginął... podjechaliśmy zobaczyć, kiedy płomienie trochę przygasły. Wszystko było zwęglone.

Zamknął księgę, jakby oznajmiając, że nasza rozmowa dobiegła końca. Wstałem, by wyjść, i zebrałem dokumenty, które przyniosłem ze sobą z ministerstwa.

- Doktorze Garrigan - odezwał się Stone - jeszcze jedno.

- Tak? - zatrzymałem się w pozycji półstojącej, przerwałem też zbieranie papierów.

- Nie miałby pan nic przeciwko temu, żeby opowiedział panu o swojej pracy tutaj?

- Proszę bardzo - odrzekłem, zaskoczony.

- Zdaje pan sobie sprawę z doniosłości naszej pracy tu, w ambasadzie. Pilnowanie interesów rządu Jej Wysokości w takim miejscu jak to jest... jak by to określić?... delikatne. Czasami ludzie, których uważa pan za przyjaciół, okazują się nimi nie być.

Przerwał.

- Taki Obote na przykład. Pracowałem tutaj dla Biura Kolonialnego, rozumie pan... przedtem, to była moja pierwsza praca i byłem świadkiem odzyskania niepodległości, *uhuru*, ceremonia. Podniesienie flagi, herbatki na trawniku, orkiestra grająca nowy hymn narodowy, parada świeżo mianowanych afrykańskich żołnierzy. Rozumie pan, o co chodzi. Amin był jednym z żołnierzy, tak swoją drogą, wyprowadzał sztandar królewski. Był tu książę i księżna Kentu. Stałem za nimi w loży, słuchając skomplikowanych prawnych procedur, modlitw arcybiskupa i muzułmańskiego duchownego.

Dalekopis wydał nagły świergot i wypluł ciąg papieru. Połączone strony, składając się niezgrabnie wzdłuż perforacji, osiadły w nierównym białym gnieździe na dywanie i maszyna wróciła do cichego stanu gotowości.

- W każdym razie Obote nas rozczarował. Zaczął się zadawać z Chińczykami - wie pan, Mao ma wielkie wpływy w Afryce Południowej - i tym podobne, i spaprał sprawę na froncie plemiennym. I muszę powiedzieć, że nie spodziewaliśmy się przewrotu. Więc teraz chcemy być bardzo czujni: nigdy nie wiadomo, czym Afryka nas zaskoczy.

Zastanawiałem się, do czego zmierza ten mały wykład. Stone stawał się całkiem wylewny, kiedy mówił i gestykulował żywo.

- Do czego zmierzam... - ciągnął, jakby w odpowiedzi na moje myśli. - Otóż potrzebujemy w całym kraju godnych zaufania Brytyjczyków, którzy mieliby oczy i uszy otwarte.

- Chce pan powiedzieć, że mam być szpiegiem? - zapytałem z niedowierzaniem.

- Nie, nie, ależ skąd. Pozwolę sobie wyłożyć to tak: muszę składać raporty do Londynu i muszę coś do nich wpisywać. Tutaj w Kampali czasami brak nam całościowego obrazu sprawy. Tak się właśnie stało z Obote. A tam, gdzie pan się udaje, niemal w całkowitą dzicz - żartuję, oczywiście - można wyczuć, co wisi w powietrzu, wcześniej niż tutaj. Do tego właśnie zmierzam.

Pochylił się do przodu, a kiedy to zrobił, pasma włosów spadły w dół.

- Widzi pan, afrykańska polityka polega na inicjatywach oddolnych. Skoro pan będzie tam na dole, czy byłby to wielki kłopot zwracać baczną uwagę na coś nieoczekiwanego? Tylko tak, niezobowiązująco.

- Cóż - odparłem - zapewne nie byłby to kłopot, ale ja tak naprawdę nie wiem, co ma pan na myśli. Na co miałbym zwracać uwagę?

- Nic szczególnego. Wystarczy, że wpadnie pan do mnie, kiedy tu będzie następnym razem. Żebym mógł się rozeznać, jak sprawy stoją. Postawię panu lunch.

Kiedy wstał - tym razem rozmowa naprawdę dobiegła końca - usłyszałem dziwny warkot. Z początku myślałem, że to znowu dalekopis. Ale ten hałas pochodził z zewnątrz.

- Ach - powiedział Stone - odwracając głowę w stronę okna - to wspaniała latająca maszyna majora Weira. Proszę podejść i zobaczyć.

Podszedłem za nim do okna. Warkot przybrał na sile. Przez deszczułki żaluzji i siatkę moskitiery zobaczyłem zawieszony - niemal prosto przed nami - coś, czego nigdy wcześniej nie widziałem, ale zawsze chciałem, jako chłopiec, mieć: sterowany radiowo model helikoptera. Wisiał przez chwilę w powietrzu - bulwiasty i okrągły, z wirnikiem jak rozmazana plama - po czym zanurkował na jedną stronę, poza pole widzenia, w zgrabnym ruchu, który przypominał mi służącego składającego ukłon.

- Tam jest Weir - pokazał Stone.

Na trawniku, w otoczeniu umundurowanych brytyjskich żołnierzy i afrykańskiej służby w białych bluzach stał major. W ręku trzymał małe pudełko z długą anteną, a u jego stóp na trawie leżało jakieś wyposażenie.

Staliśmy w milczeniu przez kilka minut, póki maszyna nie wróciła w nasze pole widzenia.

Weir, manewrując drążkami, posadził ją delikatnie na trawie. Widownia klaskała i wiwatowała.

Weir wręczył swój nadajnik jednemu z żołnierzy i kuśtykając, podszedł do modelu. Kiedy wirnik się zatrzymał, ukląkł, by go sprawdzić, a potem wstał, ostrożnie trzymając przed sobą helikopter.

- To taki jego żarcik - powiedział Stone, kiedy szliśmy do drzwi. - Za każdym razem, kiedy go puszcza, podlatuje tutaj, pod moje okna. To tylko zabawka, ale i tak zadziwiająca. Major sam ją zbudował.

Matatu wypełniony kozami o jedwabistej sierści, kurczakami i, lekko licząc, trzydziestoma ludzkimi ciałami - w przestrzeni przeznaczonej na jakieś dziesięć osób - w ogóle nie sprawiał wrażenia pojazdu. Przednia szyba była pęknięta i brunatna, brakowało kilku uchwytów drzwiowych i jednego z nadkoli, a cała konstrukcja, obita różnymi kawałkami drewnianych i metalowych tablic, tchnęła zużyciem. Mniej wyglądał na maszynę, a bardziej na przedpotopowy zabytek, przedmiot kultu albo eksponat z wystawy.

Byłem zmęczony, jeszcze zanim podróż się zaczęła. Rano wyszedłem ze Spekea, z walizkami przedarłem się przez tłum na parkingu *matatu*, próbując zamknąć uszy na nieustanne trąbienie klaksonów i gwizdanie gwizdków, a jednocześnie rozszyfrować nazwy miejscowości wykrzykiwane przez kierowców, którzy wisieli pod ostrym kątem, jak narciarze slalomiści, trzymając się jednym ramieniem drzwi swoich minibusów. W końcu zająłem miejsce w tylnej części, żeby być precyzyjnym, *matatu* numer osiem.

Ten numer nie był jednak wyeksponowany w widocznym miejscu z przodu ani z tyłu pojazdu. Widniał na małym kwadracie oddartego kartonu, opartym o przednią szybę, i zauważyłem go dopiero, kiedy już wsiałem, mając za sobą żmudne śledztwo. Wcześniej obszedłem wszystkie minibusy, a w każdym miejscu, w którym można by sobie wyobrazić umiejscowienie tabliczki z numerem, znajdowały się tylko wyraźnie wypisane przesłania w rodzaju „Podróżuj z nadzieją” i chyba „Jedźcie z Bogiem”. W innym miejscu: „Afrykański superekspress”. W środku pojazdu, naniesiony szablonem nad głową kierowcy, widniał jeszcze jeden napis:

„Warunki mogą ulec zmianie”, ale nie umiałem powiedzieć, czy przestroga, czy pocieszenie.

Moje siedzenie, pod którym ułożyłem bagaż, było tylko częściowo kryte. Sprężyny przeszły przez tapicerkę, wysunąwszy się przez włóknistą wyściółkę. Kręciłem się na nim, nasłuchując

łomotów na dachu, na który pakowano ładunek. Widziałem skrzynki fanty i coca-coli, wiązki świeżo oheblowanego drewna, ciężkie worki ryżu albo zboża ostemplowane atramentowym logo, długą wieżę (niemal tak długą jak sam bus) czerwonych plastikowych misek do prania, wsadzonych jedna w drugą, nieuniknione łądygi *matoke*, czyli zielonych bananów - i wielu innych rzeczy, których było tyle, że zwątpiłem, czy w ogóle zdołamy ruszyć.

Kiedy czekaliśmy, wyjrzałem przez okno. Na ziemi nieopodal, ignorując ludzki rozgardiasz dookoła, siedziała wrona i dziobała coś, rozdzierając to i przytrzymując nogą. Przyjrzałem się uważniej temu czemuś. To było ścierwo brązowego zwierzęcia. Zdałem sobie sprawę, że to jeden z wielkich szurów, które widziałem baraszkuje pod ścianą, gdy wracałem do Speke'a poprzedniego wieczoru. Wyobraziłem sobie wtedy, że tańczą szkockie tańce ludowe, świętując Noc Burnsa, bo nagle zdałem sobie sprawę, że jest właśnie ta noc: pierwsza noc panowania Amina. Powiedziałem, że szury, ale one poruszały się raczej jak króliki, jeden siadł na tylnych łapkach, by posłać mi ciekawskie spojrzenie.

Przyglądając się wronie, która dziobem szarpała sierść i różowe mięso padliny, poczułem mdłości. To mnie zdumiało, ponieważ zawsze miałem w miarę odporny żołądek, kiedy uczestniczyłem w sekcji. Podejrzewałem, że różnica polega na tym, że w czasie sekcji, kiedyś tam, na studiach, zapach formaldehydu na moich dłoniach ukrywał istotę rzeczy.

Zanim zatargano na górę ostatni bagaż i kierowca, który robił jednocześnie za konduktora, gwizdnął po raz ostatni i chwycił ostatnią garść brudnych banknotów, od sprężyn w siedzeniu zdążyły mnie rozboleć uda. Kiedy ruszyliśmy z rykiem, trzaskiem biegów i chmurą kurzu i spalin, zwinąłem marynarkę i wsadziłem ją pod siebie. Ta akcja zaniepokoiła jedną z kóz, wciśniętą obok mojej walizki pod siedzenie, z nogami bezwzględnie spętanymi przewodem.

Wywołałem też sporo wesołości wśród moich współpasażerów. Siedząca obok mnie stara kobieta powiedziała coś głośno. Wychwyciłem słowo *muzungu*, oznaczające białego człowieka, jak już

rozpracowałem. Po całym pojeździe rozniosły się chichoty, wszyscy patrzyli na mnie, jakbym był jakimś zwierzakiem w zoo.

W odpowiedzi uśmiechnąłem się tylko z zakłopotaniem, kiedy podskakiwaliśmy na wyboistej drodze z miasta, do zbieraniny handlarzy, głównie kobiet, z ich towarami i zwierzętami (jedna wiozła żywe kurczę wciśnięte do kosza trzymanego - na kolanach), rolników i płaczących niemowląt. Wszyscy byli bardzo biedni, chociaż zauważyłem, że jeden pasażer, może dzięki swemu szykownemu garniturowi z wełny czesankowej i sztywnej brązowej walizce typu Samsonite na kolanach, wydaje się bardziej zamożny niż reszta. Czytał gazetę - z pewnym trudem, ponieważ w tym ścisku mógł ją rozłożyć tylko trochę.

Dostrzegłem także kilku poważnie wyglądających młodych ludzi w niedopasowanych zachodnich ubraniach. Jeden siedział dokładnie za mną. Podejrzewałem, że to urzędnicy służby cywilnej wracający na wieś. Swanepoel powiedział, że zostaną zwolnieni przez nowy reżim. Ten za mną okazał się jednak studentem dietetyki na Uniwersytecie Makerere w Kampali.

- Więc jest pan lekarzem, tak? - zapytał, wypytawszy mnie o nazwisko i cel wizyty w Mbararze.

Skinąłem głową.

- Będzie pan w klinice doktora Merrita?

- Zgadza się.

- Cieszę się, że pan tam jedzie. Bardzo potrzebujemy lekarzy, o ile nie kosztują oni za drogo.

Doktor Merrit jest bardzo kosztowny. Tam nawet afrykański lekarz jest za drogi dla wielu naszych ludzi.

- Jestem pewien, że woleliby, żeby było inaczej - odparłem. - Jak wszyscy lekarze. Ale obawiam się, że ten sam problem jest wszędzie. W moim kraju trwają straszliwe kłótnie o to, kto ma płacić za opiekę medyczną. A w Ameryce musisz mieć ubezpieczenie, żeby się w ogóle

gdziekolwiek dostać.

Obserwowałem wyraz jego twarzy, kiedy chłonał tę informację. Na jego wysokim czole pojawiła się bruzda. Obrócony niezgrabnie w tył, by go widzieć, z tymi czarnymi plastikowymi okularami na nosie i w białej koszuli bez kołnierzyka, zastanawiałem się, czy powiedziałem coś niestosownego.

- Sir, myślę, że jest pan w Ugandzie od niedawna - powiedział. - Tutaj nawet w bogatych rodzinach co roku umiera dużo ludzi. Kiedy słucham serwisu zagranicznego BBC albo idę czytać gazety do British Council w Kampali, to jestem zadziwiony, sir. Oni w Wielkiej Brytanii robią tyle hałasu, kiedy zginie jeden człowiek. My w Ugandzie jesteśmy mistrzami świata w śmierci, ale nigdy nie słyszałem ani jednej wzmianki na ten temat. Przez całe swoje życie nie widziałem ani nie słyszałem żadnej relacji na ten temat.

Zrobiłem minę, która miała być współczująca, niepewny, jak powinienem zareagować.

- Bardzo mi przykro - powiedziałem w końcu. - Jestem pewien, że sam to wszystko poznam od najgorszej strony, i to całkiem niedługo.

- Moja rodzina pochodzi z Mbarary - poinformował mnie wtedy - Więc znam to miejsce.

Jadę tam, żeby się z nimi zobaczyć. Nazywam się Boniface Malumba. Musi pan mówić do mnie Bonney Bo znam kilku białych ludzi, którzy nigdy nie używają naszych imion, jeśli w ogóle z nami rozmawiają.

Zapadł w swoje siedzenie, równie niewygodne jak moje, o ile się mogłem zorientować.

- To bardzo niegrzeczne - powiedziałem, zmieszany. - Ja nie będę tak robił. - Szkoda, że mnie nie zostawiłeś w spokoju, pomyślałem sobie.

Nagle on uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Doktorze Garrigan, przepraszam, że tak powiedziałem. To nie jest pańska wina. Jest pan dobrym człowiekiem, to widać. Będzie pan mile widziany w domu mego ojca w Mbararze. Poślę

po pana.

- Dziękuję - powiedziałem. - Będzie mi bardzo miło. Wróciłem do normalnej pozycji, z ulgą uwalniając się od podwójnej udręki - prowadzenia takiej rozmowy i wiercenia się na tych dokuczliwych sprężynach. Stara kobieta u mego boku, z turbanem na głowie, okazała się właścicielką kozy pod siedzeniem. Koza robiła się niespokojna. Kobieta kopnęła biedne stworzenie, a potem uśmiechnęła się do mnie bezzębnymi dziąsłami.

Pomimo zwiniętej marynarki moje uda wciąż cierpiały, kiedy wjeżdżaliśmy na tereny wiejskie. Minęliśmy plantacje bananów przy drodze i otwarte ciężarówki jadące w przeciwnym kierunku, buchające kłębami czarnych spalin i w większości wypełnione woskowatymi owocami - jada się je zielone, w pikantnych daniach, nie żółte tak jak u nas. Byli też chłopcy, którzy, chwiejąc się, wieźli wielkie kiście bananów na bagażnikach swoich staromodnych rowerów.

Miasta po drodze miały intrygujące nazwy - Mpigi, Buwama, Lukaya, Masaka, Mbirizi, Lyantonde - ale wszystkie były zaniedbane i raczej apatyczne, większość z nich stanowił tylko pas parterowych sklepów i domów wzdłuż drogi. Tylko Masaka była trochę większa.

Zatrzymaliśmy się tam na przystanek, a ja zjadłem trochę wołowiny i ryżu w Restauracji Rajskie Tropiki, gdzie na prymitywnym plakacie ze smagłym piratem ściskającym opierającą się dziewczynę, reklamowano „smakowite jadlo”. Smakowite to ono na pewno nie było.

W pobliżu Sangi, następnej wioski za Lyantonde, doszło do najważniejszego incydentu mojej podróży. Rozległ się dźwięk klaksonu, po czym zatrzymaliśmy się z drżeniem i sapaniem - słyhać było, jak kierowca pompuje hamulce. Kopiająca kozę kobieta pociągnęła mnie za rękaw i wskazała coś, mówiąc słowa, których nie zrozumiałem.

Popatrzyłem do przodu, ponad głowami pasażerów i zobaczyłem na drodze stos gałęzi, a dalej jeszcze ciężarówkę obróconą w poprzek drogi. Zdałem sobie sprawę, że gałęzie to ugandyjski odpowiednik pachołka albo trójkąta ostrzegawczego.

Pochyliłem się, żeby mieć lepszy widok. To nie była ciężarówka z bananami, tylko z herbatą.

Na drzwiczkach szoferki, otwartych szeroko, miała wymalowaną nazwę jednej z najważniejszych firm handlowych, James Finlay. Cała szosa przed nami była zarzucona workami herbaty, z niektórych, rozciętych, wysypał się czarny proszek. Wyglądało to tak jakby asfalt się skruszył i próbował dostać do worków.

Przy drodze, trzymając się za głowę, siedział człowiek, który musiał być kierowcą ciężarówki. Widziałem też sporo żołnierzy, kilku z nich siedziało na workach z herbatą, piło piwo z butelek, inni stali przy płóciennym namiocie pod drzewem mangowym.

Rozmowy w autobusie zamilkły. Wsiadł jeden z żołnierzy. Nosił sfatygowany zielony mundur i zmiętą furazerkę i miał karabin automatyczny. Wyglądał na ciężki, miał przynajmniej trzy magazynki z amunicją, jeden załadowany, pozostałe przyklejone taśmą, w gotowości. Kiedy szedł środkiem pojazdu, ze zdumieniem zauważyłem różowe puchate kapcie na jego nogach.

Żołnierz powiedział coś głośno. Ludzie zaczęli sięgać do swoich toreb i między fałdy szat i wyciągać obszarpane dokumenty. Poszukałem paszportu. Kiedy nadeszła moja kolej, podałem go żołnierzowi potulnie, nie odrywając wzroku od lufy karabinu, który, zwieszony z ramienia z niezgrabną wiązką magazynków, uderzał o jego biodro i kołysał się groźnie pod moim nosem.

Żołnierz przekartkował mój paszport, spojrział na mnie, zamknął go, a potem znowu otworzył, jeszcze raz kartkując. Patrzyłem na niego wyczekująco, ale on najwyraźniej nie mówił po angielsku. Potem skinął, że mam z nim iść, i pomachał paszportem jak dowodem winy.

Odwróciłem się i spojrzałem niespokojnie na Boniface'a. Powiedział coś do żołnierza, ale ten tylko burknął do niego i zaczął mnie ciągnąć za ubranie.

Wstałem.

- Czego on chce? - zapytałem Boniface'a.

Ten kciukiem i palcem wskazującym dał mi znak, że pieniędzy.

- On chce szylingów - szepnął. - Da mu pan trochę. Jeśli pan mu nie da, on narobi problemów.

Odwrociłem się twarzą do żołnierza, podnosząc dłonie na znak kapitulacji, jakby mierzył do mnie z broni - poniekąd mierzył - i głupio kiwając głową. Nie okazuj strachu, powtarzałem sobie. Sięgnąłem w dół i gmerałem w wewnętrznej kieszeni marynarki złożonej na siedzeniu, próbując wyciągnąć banknot dwustuszylingowy i nie pokazać przy tym portfela. Kiedy udało mi się coś wyciągnąć, okazało się, że to pięćset szylingów.

Żołnierz bez słowa wcisnął je do jednej z ładownic swego pasa i ruszył wzdłuż autobusu, jakby całe zajście w ogóle się nie odbyło. Pozostali pasażerowie tymczasem przygotowali już pieniądze, od tych wyglądających na urzędników po najbiedniejsze staruszki. Wszyscy milczeli (nawet dzieci wydawały się ucichnąć) i sprawiali wrażenie przyzwyczajonych do takich sytuacji. Wszyscy oprócz jednego. Kiedy żołnierz podszedł do bogato wyglądającego mężczyzny w niebieskim garniturze, pochylił się nad nim i położył rękę na jego brązowej walizce, wrzeszcząc rozkaz w suahili - domyśliłem się, że kazał mu ją otworzyć.

Ze zdumieniem usłyszałem, że mężczyzna odpowiada po angielsku.

- Jestem kenijskim dyplomatą załatwiającym rządowe sprawy w Ugandzie - mówił to takim tonem, jakby składał zeznania w sądzie. - Nie macie prawa zmuszać mnie do otwarcia walizki. Mogę panu pokazać swój paszport, mogę pokazać swoje dokumenty.

Twarz żołnierza zmieniła się nieprzyjemnie. Zasypał Kenijczyka obelgami, a potem przeszedł na przód autobusu, krzycząc.

- Nie jest dobrze - wyszeptał Boniface.

Do środka wsiadło dwóch następnych żołnierzy. Podeszli do Kenijczyka i zaczęli ściągać walizkę z jego kolan. Mężczyzna pochylił się, tuląc ją do siebie, jakby była dzieckiem.

- Nie macie prawa tego robić - zaprotestował. - To, co robicie, jest złe. Moje wizy i

pozwolenia są w porządku.

Żołnierze wciąż coś mówili, nieustannie powtarzając jedno słowo.

- Oni mówią, że to szpieg - wyjaśnił mi Boniface. Jeden z nowych żołnierzy (ten w ogóle nie miał żadnych butów, a spodnie nosił tak podarte, że niemal siały zgorszenie) zamachnął się swoim pistoletem. Paskudny celownik sterczący na końcu lufy rozdarł policzek Kenijczyka. Pierwszy żołnierz wyrwał walizkę, a pozostali zaczęli bić mężczyznę po zakrwawionej twarzy. Ten zawył. Skowyt toczył się przez autobus, kiedy żołnierze wysiadali z hałasem. Patrzyłem, jak idą do swoich kompanów pod mangowcem, a jeden z nich podnosi walizkę nad głowę. Ludzie znowu zaczęli rozmawiać, a kierowca uruchomił silnik. Kiedy omijaliśmy worki z herbatą i ciężarówkę, która się nie ruszyła przez ten czas - kierowca nadal siedział z głową w dłoniach - Boniface poklepał mnie po ramieniu.

- Widzi pan, jak musimy cierpieć w Afryce - powiedział - widzi pan, że mamy tu bardzo ciężko.

- Tak - odparłem skonsternowany - tak.

Czując się winny, sięgnąłem pod siedzenie, gdzie była moja walizka (koza przestała już się miotać i zapadła w stan niemal katatonii) i poszperałem w niej. Wstałem i ze swoją plastikową apteczką precyzyjnie się do miejsca, w którym siedział Kenijczyk. Po prostu patrzył przed siebie. Krew spływała po jego policzku, wielkimi kroplami spadając na koszulę.

Rana wyglądała o wiele gorzej, niż się spodziewałem. Płat skóry zwisał oddarty, w miejscu, gdzie chwycił go celownik. Od razu wiedziałem, że niezbędne będzie szycie.

- Przepraszam - powiedziałem - jestem lekarzem. Mogę opatrzyć pańską ranę.

Pochyliłem się nad nim. Kilku innych pasażerów wstało ze swoich miejsc i stłoczyło się za moimi plecami, zaintrygowanych poczynaniami *muzungu*. Kenijczyk, jakby wytrącony z transu, podniósł rękę. Odwrócił do mnie twarz zalaną krwią.

- Jak pan śmie tak po prostu do mnie przychodzić? - powiedział cicho. - W czym mi pan teraz pomoże? Kiedy powinien był pan zareagować, milczał pan. Gdyby się pan odważył wystąpić, żołnierze by mnie nie zranili ani nie wzięliby pieniędzy od tych ludzi. Oni się boją skrzywdzić białych.

- Ale ode mnie też wzięli pieniądze - powiedziałem, trochę zbyt obronnym tonem. - Proszę posłuchać, opatrzę panu ranę. Traci pan dużo krwi.

Wyciągnąłem z zestawu trochę gazy i przesunąłem się, żeby przycisnąć to do cięcia. Ale ku mojemu zdumieniu Kenijczyk odtrącił moją rękę. Obserwatorzy zachłysłi się trochę. Kilku z nich zaczęło krzyczeć na Kenijczyka.

Stałem. Z miejsca, gdzie wisiał strzęp skóry, wypływały wielkie krople krwi.

- Nie potrzebuję pańskiej pomocy - powiedział. - Kiedy mógł pan coś zrobić, siedział pan cicho. Mówi pan, że jest lekarzem, ale myślę, że przyjechał pan do Afryki, żeby nas wykorzystać, jak wszyscy *muzungu*.

Z godnością skinął głową na koniec przemowy i usiadł, ignorując swoją ranę. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Od gorąca panującego w autobusie było mi trochę słabo - od upału, od ścisku ciał za mną, od buzowania silnika, które przechodziło przez podeszwy moich butów. Stałem przez chwilę, patrząc na niego, na strzęp skóry zwisający z jego krwawiącej twarzy, i odczuwałem coraz większe zakłopotanie.

I nagle pomyślałem - niemal ze wstydem to zapisuję - pomyślałem, żeby wyciągnąć rękę i szarpnąć to cholerstwo, ściągnąć to z jego twarzy jednym szybkim, zdecydowanym ruchem. Jak plaster.

Nie wiem, co mnie naszło, naprawdę nie wiem, i nie pamiętam, jak wróciłem na swoje miejsce, tylko pamiętam pocieszające i wredne spojrzenia innych pasażerów, którzy zaczęli dyskutować. Niektórzy chyba się podśmiewali, ze mnie albo z Kenijczyka, nie wiem.

Boniface był jednak miły. Zrozumiał moje kłopotliwe położenie.

- Niech się pan nie martwi - powiedział, głaszcząc mnie po ramieniu. - To nie jest jego wina.

Odkąd przyszli żołnierze, tak jest wszędzie.

Matatu dotarł do Mbarary około szesnastej. Miasto należało do przykurzonych. Bonney jeszcze raz kazał mi obiecać, że przyjdę odwiedzić jego rodzinę jak najszybciej, pokazał mi drogę do motelu Agip. W porównaniu z nim Speke wydawał się przybytkiem luksusowym. Po zameldowaniu się i wzięciu prysznic próbowałem się dodzwonić do Merrita z recepcji. Ale telefony nie działały.

Poszedłem więc szukać jego domu, pytając ludzi na ulicy o kierunek. Wszyscy zdawali się wiedzieć, kim on jest i gdzie mieszka, ale i tak dotarcie na miejsce zajęło mi sporo czasu i wymagało wielu pytań. Po drodze minąłem koszary wojskowe i grupę biur rządowych ze zdartymi szyldami: „Centralne Biuro Gospodarki Leśnej”, „Ministerstwo Rolnictwa i Rybołówstwa (Południowo-Zachodni Plan Odnowy), „Centrum Kształcenia Ustawicznego (Oddział Pomocy Potrzebującym w Makerere)”. I nieco mniej imponujący: „Sąd Samorządu Lokalnego Południowej Prowincji Kigati, Okręg Ibanda”.

Kiedy szedłem, wokół mnie zebrała się niezwykła grupa małych chłopców. Biegali dookoła mnie, krzycząc:

- *Muzungu! Muzungu!* Podskakiwali u mego boku.

- Skąd pan jest?

Kilku z nich pchało samochodziki wielkości mniej więcej pudełka po butach, poskręcane ze stalowego drutu. Prezentowali mi je z dumą. Zabawki miały zmyślny układ sterowniczy, składający się ze szprychy rowerowej przymocowanej do przedniej ośki i kierownicy znajdującego się na wysokości talii. W życiu nie przypuszczałbym, że dzieci mogą sobie same zrobić coś takiego.

- *Muzungu*, masz żonę?

- Nie, nie mam - powiedziałem. - A wy?

Zachichotali, zachęcając swoje pojazdy do jeszcze zwinniej szych manewrów w pyle drogi.

Bardziej przemyślane modele miały figurki kierowców zrobione ze szmatek: jeden miał nawet żołnierski mundur polowy, udoskonalony czapką z daszkiem na głowie i trupio uśmiechniętą twarzą namalowaną węglem.

- Nazywam się Gugu - powiedział jeden z właścicieli pojazdów. Był to maluch z zadartym nosem, w brudnym T-shircie, z zaraźliwym uśmiechem. Spojrzałem w dół na niego, na jego wielkie oczy i doskonale okrągłą głowę, jego zakurzone kolana i zdumiewająco stare z wyglądu stopy. Cena życia na bosaka, domyśliłem się.

- Po co panu lekarz? - ciągnął chłopiec. - Jest pan chory?

- Nie. Ja jestem lekarzem. Będę tu pracował.

- A ja będę mechanikiem - powiedział z dumą. - To jest mój samochód. To volkswagen garbus.

- Jest świetny - powiedziałem - ale czy ten kierowca nie powinien jechać czołgiem albo dżipem, skoro jest żołnierzem?

- A co to jest czołg?

- Taki pojazd z długą lufą z przodu.

Chłopiec skinął głową mądrze, a potem wskazał furtkę w ogrodzeniu otaczającym zespół budynków.

- Tam lekarz.

Dotarłem do osiedla. Dochodziła już szósta i szybko robiło się ciemno. Obok bramy stał budynek przypominający wojskowy bunkier, tylko że ten był zrobiony z błota i słomy. Na tablicy przybitej gwoździami do ściany z suszonego błota wymalowana była lista nazwisk i liczb. Na drugim gwoździu wisiała lampa sztormowa. Buzowała za szybko i za śmiało, jak na słabość dawanego światła.

1. Waziri
2. -
3. Canova
4. Chiric
5. Ssegu
6. -
7. Seabrook
8. Merrit
9. Zach

Kiedy czytałem, chłopcy, którzy zatrzymali się w kręgu za mną, nagle czmychnęli.

- Do widzenia, *muzungu!* Do widzenia!

Zbiegli ze zbocza, a ja długo jeszcze słyszałem ich dźwięczny śmiech. Skojarzyli mi się z elfami. Potem poczułem dym tytoniowy i przyszło mi do głowy słowo Woodbine. Zdałem sobie wtedy sprawę, że w bunkrze ktoś jest. Stamtąd wychodziły smugi dymu, który poczułem. Zajrzałem do środka. But, fałd odzieży, błysk fajki. Na pewno ktoś tam był - słodszy zapach stałego mieszkańca był silniejszy niż przenikliwy aromat tytoniu - ale moje najście nie wywołało żadnej reakcji. Wszedłem więc na teren osiedla i zapukałem do budynku numer osiem.

Mężczyzna, który otworzył drzwi, miał rude wąsy. Patrzył na mnie przez chwilę zdumiony.

- Na Boga! - powiedział. - Doktor Garrigan niewątpliwie. Uścisnąłem mu dłoń. Miał około pięćdziesięciu lat, lekką nadwagę, a na środku brązowej czupryny dziwne białe pasmo.

- Czekamy na pana od wieków - powiedział.

- Och, myślałem, że jestem zgodnie z planem.

- Spiny, nie każ mu myśleć, że to jego вина - odezwał się inny głos.

Za nim stanęła kobieta w niebieskiej sukience.

- W ministerstwie powiedzieli, że przyjedzie pan w zeszłym miesiącu - wyjaśniła, kiedy mężczyzna odsunął się na bok. - Wysłaliśmy im telegram, ale nie odpowiedzieli. Więc nie wiedzieliśmy, kiedy pan przyjeżdża.

- Tak czy owak, jestem Alan Merrit. Proszę wejść. Miło powitać pana na pokładzie. To moja żona, Joyce. Jestem naprawdę zakłopotany, że musiał nas pan tak szukać. Pozwolę sobie przynieść panu coś do picia, a potem usiądziemy i porozmawiamy. Przepraszam za to zamieszanie. Tu jest naprawdę okropnie, rozumie pan.

W salonie panował mrok, jasno było tylko w miejscu, w którym żaluzjowe dwuskrzydłowe drzwi prowadziły na werandę. Owady przelatwały pod rzędem światełek za drzwiami.

- Siedzimy na zewnątrz - powiedziała pani Merrit. - Zapraszam. - Miała na sobie ciężkie kolczyki z lazurytem, które kołysały się, odbijając światło.

- Co panu podać? - zawołał Merrit z kuchni.

- Piwo proszę, jeśli państwo mają - odparłem.

Rozległ się stukot i ciężki brzdęk otwieranych i zamykanych drzwi lodówki. Pani Merrit wskazała mi trzciniowe krzesło, a potem sama siadła, krzyżując nogi. Spirala zielonego sprasowanego proszku tliła się na stole, przymocowana do drucianego stojaka. Obok leżała paczka: „Spiralki na moskity, Doom, Van der Zylpyt, Bloemfontein, RPA". Smuzka dymu unosiła się pionowo. Pachniała orientalnie.

- Proszę mi opowiedzieć wszystko o swojej podróży - poleciała gospodyni. - Gdzie pan zostawił rzeczy?

Powiedziałem jej o człowieku w *matatu*, o Boniface i o motelu Agip.

- Och, ależ tam jest strasznie! Nie ma o czym mówić, musi pan zatrzymać się tutaj. Poślemy strażnika, by zabrał pańskie rzeczy.

Podeszła do skraju werandy i krzyknęła w noc:

- Nestor!

Wszedł Merrit i postawił przede mną piwo - spienioną szklanę, a obok opróżnioną do połowy butelkę. Otworzył drugą dla siebie. Na butelce widniał napis SIMBA, przecinający wizerunek lwa z otwartą paszczą.

- Nestor!

- Czemu krzyczysz, kochanie?

- Nicholas zameldował się w Agipie, nie może tam zostać, prawda? Chcę wysłać Nestora po jego bagaże.

- Proszę posłuchać - zaprotestowałem nieprzekonująco - nie ma takiej potrzeby. Wrócę później.

- Niech pan nie będzie niemądry - rzekł Merrit. - Jest ciemno. Wpadnie pan do rowu. Proszę zostać. Odkąd dzieci wyjechały, mamy mnóstwo miejsca.

- To bardzo miło z państwa strony. Na pewno nie sprawię kłopotu?

- Oczywiście - kiwnął głową. Z białym pasmem pośrodku głowy wyglądał trochę jak borsuk.

Pani Merrit wstała, zacierając z werwą ręce.

- A jadł już pan? Bo my już tak, niestety, i kucharz poszedł do domu, ale mogę coś dla pana przygotować. Może tosty z szynką?

- Byłbym bardzo wdzięczny - odparłem, zdając sobie nagle sprawę, że jestem bardzo głodny.

- No to pójdę do kuchni - powiedziała. - Zawołaj go jeszcze raz, Spiny. Denerwuje mnie, że to tyle trwa.

- Pewnie śpi.

Merrit - zastanawiałem się, dlaczego ona mówi do niego Spiny - wstał i zszedł kilka stopni do ogrodu, po czym przeszedł kawałek za róg budynku.

- Nestor! Nestor!

- Chce pan musztardę? - zawołała jego żona z kuchni.

- Mogę trochę zrobić. Mamy musztardę w proszku Colmana ze sklepu wolnościowego w Kampali.

- Ależ proszę się nie kłopotać.

- Nestor! - Głos słabł, w miarę jak Merrit wchodził głębiej do ogrodu.

Pani Merrit wróciła z miską orzeszków ziemnych.

- Mam tu coś, co panu doda sił.

- Dziękuję bardzo - powiedziałem, kiedy postawiła naczynie na stole.

- I zrobię trochę musztardy do szynki. Prawdę mówiąc, uważam, że ta sproszkowana jest lepsza niż kupowana w Wielkiej Brytanii. Jest bardziej musztardowa. Za takimi rzeczami zatęskni pan, kiedy pozna bliżej sklepy w mieście. Nawet Hindusi mają tylko podstawowe produkty.

- A więc poproszę. - Sięgnąłem po garść orzeszków.

- Gdybyśmy wiedzieli, kiedy pan przyjedzie, przygotowałabym panu godziwy posiłek - powiedziała. - Ministerstwo jest beznadziejne w tym temacie. Dopilnowałam jednak, żeby uprzątnęli dla pana bungalow To jeden z tych po drugiej stronie.

Machnęła ręką w stronę klombu, gdzie widziałem zarys kolejnych trzech domów.

- Ten środkowy. Jest w pełni umeblowany, ale będzie pan musiał sobie kupić na targu pościel i tym podobne. Na jakiś czas mogę panu pożyczyć trochę rzeczy. I musi pan tu jadać, dopóki się pan nie urządzi.

- To bardzo miło z pani strony - powiedziałem. Mój głos brzmiał jakby z daleka. Wszystko, co słyszałem wewnątrz swojej czaszki, to odgłos chrupanych orzeszków.

- Ależ nie ma za co. Wiem, jak jest ciężko, kiedy człowiek gdzieś się sprowadza. Robiłam to już wiele razy. A teraz pójdę opiec panu chleb.

Udała się z powrotem do kuchni. Wypiłem trochę piwa, a bąbelki mile polechtały język oblepiony orzeszkami.

Kilka sekund później Merrit wszedł po schodkach, ciężko sapiąc.

- Nie wiem, gdzie jest ten stary łajdak - powiedział. - Może czas znaleźć kogoś młodszego.

Usiadł i rozmawialiśmy. Zauważyłem, że ma tę woskowość skóry charakterystyczną dla niektórych ludzi w starszym wieku. Kiedy opowiedziałem mu o zajściu, które rozegrało się w czasie mojej podróży, on się tylko roześmiał. A potem - z pianą Simby na wąsach - wziął łyk ze swojej szklanki, jakby chciał zmyć ten śmiech.

- To cała niedorzeczność Afryki, Nicholasie. Przyzwyczajai się pan do tego albo przyzwyczajai się pan, że nie jest do tego przyzwyczajony Albo nauczy się pan dostrzegać w tym śmieszna stronę, albo pan zwariuje.

- Pewnie tak - odparłem, zastanawiając się, jak tamto wydarzenie w ogóle można zestawić ze słowem „śmieszny”. - Myślę, że muszę się wiele nauczyć. Chwilami wydaje mi się, że sobie poradzę, a potem dzieje się coś takiego i znowu wszystko wydaje się niemożliwe.

- Nie do końca. To bardzo proste. To miejsce to chaos, musi pan się spodziewać najgorszego.

Wydaje się panu, że kiedy się robi gorzej, to potem musi się polepszyć, ale prawdę mówiąc, jest coraz gorzej. Weźmy tę nową sprawę z Aminem. Słyszałem, że tam w Kampali wszyscy się cieszą jak dzieci, ale to się skończy we łzach, zapewniam pana. Przez naszą własną głupotę, oczywiście.

Sięgnąłem po orzeszki, a on znowu napił się piwa. Simba.

- Lew - wyjaśnił Merrit, kiedy zapytałem, co znaczy to słowo. - To w języku suahili, *simba*,

król zwierząt. W wojsku jest nawet batalion o nazwie Simba. Ich koszary są w mieście. Czasami przychodzą do szpitala na leczenie.

- Rany postrzałowe?

- No cóż, częściej syfilis.

Podniosłem butelkę. Z napisu pod lwem wyczytałem „Piwo mocne markowe”.

- Ale tutaj tak naprawdę ludzie nie mówią językiem suahili - ciągnął mój gospodarz. - Nie za bardzo. To z arabskiego. .. *sawahil* lud z wybrzeża.

Merrit powiedział *sawahil* afektowanym tonem, wyginając wargi. Zmarszczył się przy tym, a jego wąsy wyglądały jak nastroszone.

- Mombasa, Zanzibar, tamte okolice. Tam, skąd pochodzą niewolnicy. Kiedyś tam pojechałem. Wąskie zaułki, gzymsy, występy. W niektórych domach są pięknie rzeźbione drzwi. Arabskie, liczą sobie setki lat. Tutejszy lud to ludzie z gór. Całkowicie inni, mówiący zupełnie innym językiem. Niektórzy jednak mówią w suahili, to taki lingua franca, i jeśli zamierza pan się uczyć w Afryce Wschodniej jakiegokolwiek języka, to najlepiej tego.

Wyjął z paczki leżącej przy orzeszkach kolejną spiralę, przymocował ją do sprężystego stalowego uchwyty i zapalił. Zapłonęła, a potem przygasła i zarzyła się miłym światłem.

- Z syfilisem jest właściwie tak samo. Też pochodzi z wybrzeża. Szlaki handlowe.

- Myśli pan, że powinienem się nauczyć języka?

- Trochę pan podłapie. Kinjankole też, to miejscowy język. Ale jeśli mam być szczery, poradzi pan sobie po angielsku.

Podniósł wzrok na drzwi.

- Oto i Joyce z pańskimi tostami.

- Nestor się pojawił? - zapytała znad tacy ze stosem złotobrazowych trójkątów.

- Jeszcze nie.

Podstawiła tacę przede mną.

- Zrobiłam też kilka z serem.

Ona stanęła, patrząc w ogród, z rękoma na biodrach, a ja wgrzyłem się w chrupiącą kanapkę

- i natychmiast się zakrzusiałem, kiedy gorący ser sparzył mi język.

- Nestor! Gdzie on jest, Spiny? - krzyknęła. A potem zwróciła się do mnie: - Mamy tu straszliwe problemy ze służbą. Kradną i w ogóle. Proszę mi dać znać, kiedy zdecyduje się pan kogoś przyjąć, a ja rozpuszczę wici. W przeciwnym wypadku dostanie pan kogoś z tych już zwolnionych w innych domach.

- Nie wiem, czy będę kogoś potrzebował - powiedziałem, przełykając swój roztopiony kęs. - Myślę, że raczej sam się o siebie zatroszczę.

Merrit parsknął. Spiny Kłopotliwy. Zastanawiałem się, czy jego przydomek ma coś wspólnego z pasmem we włosach.

- Wszyscy tak myślą, kiedy tu przyjadą - powiedział.

- Zmieni pan zdanie, kiedy będzie pan musiał zrobić sobie ręczne pranie.

- A w pewien sposób - dodała ona - wyświadcza im pan przysługę. Oni bardzo lubią pieniądze, rozumie pan. Zarabiają o wiele więcej u nas, niż zarobiliby na tutejszych plantacjach albo wyjeżdżając na plantacje tytoniowe w Rodezji. Nestor!

Kiedy tylko słowo opuściło jej usta, Nestor - jak się domyśliłem - wyłonił się z mroku, niosąc lampę sztormową. Był to pochylony i pomarszczony starzec, w płaszczu mundurowym khaki zwisającym luźno z kościstych ramion. Pomyślałem sobie, że to były żołnierz, a kiedy dobiegł mnie zapach tytoniu, zdałem sobie sprawę, że mam oto przed sobą widmowego mieszkańca chatki przy bramie. Kiedy do nas podszedł, zasalutował elegancko.

Pani Merrit wydawała Nestorowi polecenia, a jej mąż tymczasem wypytywał mnie szczegółowo o to, co widziałem w Kampali w czasie przewrotu.

- Bał się pan? - zapytał. - Ja bym się bał, gdyby się to wydarzyło zaraz po moim przybyciu.

To było ponad dwadzieścia lat temu, proszę zwrócić uwagę, a wtedy takie rzeczy nie mogłyby się wydarzyć.

- Raczej trudno mi było mogłem w to uwierzyć niż się bałem - odparłem. - Bardziej

przerażający byli ci żołnierze w autobusie, prawdę mówiąc.

- Spiny - powiedziała pani Merrit, odesławszy Nestora - to straszne, że Nicholas musiał się tu dostać w taki przypadkowy sposób. Myślę, że powinieneś wysłać notatkę do ministerstwa.

- Nie ma sensu, kochanie, oni mnie nie słuchają. Nie martw się, wkrótce to wszystko się naprawi. Kiedy już pan się tu urządzi, przekona się, że jest tu równie wygodnie jak w Anglii.

- Szkocji - poprawiłem go.

Roześmiali się - razem, w taki harmoniczny sposób, który cechuje pary o wieloletnim stażu.

- Przesadziłeś - powiedziała. - Tutejsze życie jest bardzo trudne. Często żałuję, że nie możemy wrócić.

- Dlaczego nie możecie? - zapytałem.

- To nie miałoby sensu. Jesteśmy już Afrykanami.

- Nie, nie jesteśmy - powiedział jej mąż. - I wrócimy. Kiedy nadejdzie odpowiedni czas.

- Nie mamy tam już nic do roboty, Spiny. Wiesz, jak bardzo cię przygnębił nasz ostatni wyjazd.

- Hmm.

Wyglądał na zagniewanego, i nagle ona zwróciła się do mnie, błyskając kolczykami z lazurytem.

- Odkąd wyjechaliśmy, Anglia bardzo się zmieniła. Jeśli zostanie pan tu na kilka lat, odkryje pan, że połową swojego umysłu jest pan w Wielkiej Brytanii. Żyje pan w dwóch miejscach jednocześnie. A potem naprawdę pan wraca i zdaje sobie sprawę, że to całkowicie inne miejsce niż to, które jest w pańskiej głowie.

- Jest takie samo - powiedział Merrit zrzędlawie, wstając, by donieść piwa - i o ile wiem, nie można być w dwóch miejscach jednocześnie.

- Proszę się nim nie przejmować - powiedziała. - Kiedy myśli o przeszłości, wpada w zły nastrój. Nie mamy emerytury, widzi pan. To jest spore zmartwienie. Myślę, że Spiny powinien pojechać na praktykę prywatną do Południowej Afryki, ale on się nie zgodzi. Ale dlaczego ja tym wszystkim zawracam panu głowę?

Merrit wrócił i wlał mi do szklanki kolejne pół butelki piwa. Kiedy butelka była odwrócona, patrzyłem na obrazek Simby stojącego na głowie. Wzór lwa przywiódł mi na myśl te czarnobiałe filmy (z takimi tytułami jak *Safari* albo *Powrót łowcy*), które oglądałem jako dziecko. Ale on też był stylizowany, jak znaki heraldyczne z dalekiej przeszłości.

Stojący król, pomyślałem później w ich pokoju gościnnym. Szeleszczące prześcieradła pani Merrit owijały się wokół mnie, a cienka biała gaza moskitiery przysłaniała mi senny widok na niebieską walizkę po drugiej stronie pokoju. Była zakurzona na dole, widocznie Nestor odstawił ją gdzieś po drodze. Stojący król, powtórzyłem znowu do siebie, kiedy moje powieki opadły, stojący król i lampart z podniesioną głową...

Następnego ranka spożyliśmy wyborne śniadanie, na które złożyła się kawa, domowy chleb i pomarańcze. Pigułki na malarię leżały na małym talerzyku pośrodku stołu i Merrit kazał mi wziąć jedną. Wybadałem sprawę przed wyjazdem ze Szkocji i wiedziałem, że nie jadę w rejon wysokiego zagrożenia malarią, więc nie zamierzałem brać dziennych dawek. Ale on zaprotestował.

- Tutaj może moskity nas nie nękają tak silnie, jak w rejonach, które spryskujemy, ale nie może pan zrezygnować z nadmiernej ostrożności.

W połowie posiłku Merrit wstał, by przestawić pokrętko wielkiej krótkofalówki Eddystone, pokazując mi drut antenowy upięty na drzewie awokado na zewnątrz. Wtedy właśnie po raz pierwszy usłyszałem „Lillibullero” BBC, sygnał, z którym dobrze się oswoiłem, kiedy zamówiłem sobie własny Grundig Music Boy za pomocą kuponu w „Uganda Argus”.

- Tu Serwis BBC Wiadomości ze świata... - brzmiał głos spikera posługującego się zawsze angielszczyzną z wyższych sfer. To on utrzymywał mnie przy zdrowych zmysłach później, kiedy pogorszyły się sprawy z Aminem: zdumiewające, jak można nabrać do wszystkiego dystansu, nawet do dyktatora, kiedy usłyszysz się choćby jedną wzmiankę o Raith Rovers.

Po sygnale czasu zaczęły się wiadomości. Zebrani jak jedna z tych rodzin, które się ogląda na zdjęciach z wojny, Merrit i ja słuchaliśmy audycji. Kolejny brytyjski ambasador porwany przez partyzantów, tym razem w Urugwaju. W kraju nadal trwał strajk pocztowców, i po raz pierwszy od dziewiętnastu lat zerwano łączność telefoniczną pomiędzy Berlinem Zachodnim a Wschodnim.

Potem Merrit zaprowadził mnie do mojego bungalowu. Zauważyłem gniazdo os pod okapem. Jego szarawy budulec skojarzył mi się z papier mache, z których robiłem niezgrabne figurki w szkole podstawowej: krowy i świnki, a także ludzi.

- Musimy się tego pozbyć - powiedział Merrit, widząc moje spojrzenie. - Wykurzyć je dymem.

Weszliśmy do środka. Postawiłem swoją walizkę na środku pustego holu. Nasze kroki rozlegały się głośno na nagich deskach podłogi. Bungalow był jasny i przewiewny, jakby wyludniony, miał chropawe, pobielone ściany, meble z surowego drewna i - najdziwniejsze ze wszystkiego - betonową wannę. Jedna rzecz dawała świadectwo nieufności Merrita wobec danych o występowaniu malarii w tej okolicy: moskitiera. Jej szorstki muślin spływał z metalowej pętli pod sufitem. A jednak tego pierwszego dnia poczułem, że mogę być tam szczęśliwy. Schludność, to właściwe określenie - bungalow numer sześć na pewno był schludny.

- Po co są kraty w oknach? - zapytałem, podchodząc, by przez zdobne pręty ze skręcanego żelaza i siatkę wyrzucić na zieloną dolinę i wzgórza w oddali.

- *Kondosi* - powiedział - tak nazywają tutaj uzbrojonych bandytów i drobnych złodziejasków. Któregoś dnia skradziono mi szczoteczkę do zębów. Ktoś wsadził rękę przez kraty w oknie łazienkowym i zwędził ją z kubeczka.

- Piękny widok - powiedziałem.

- Nazywają ją doliną Bacwezi. A tak naprawdę to po prostu bagna.

Wyszliśmy z powrotem na poranne słońce i zaczęliśmy się wspinać do szpitala. Po drodze Merrit zatrzymał się, by zawiązać buty, a ja spojrzałem w dół na malejące osiedle. Najwyraźniej sklecono je w pośpiechu, ale i tak wyglądało nieźle: trzy jednakowe domy z blaszanymi dachami, stojące wśród klombów o wysokich krawężnikach. Pomędzy nimi z wysoką stalową wieżą ciśnień wiły się ścieżki. Łopaty wieży poruszały się wolno na wietrze.

Każdy bungalow ogrodzony był płotkiem z białych palików. Dzięki temu osiedle, otoczone kłębami drutu kolczastego, nabierało trochę charakteru dzielnicy willowej. Zastanawiałem się, co Afrykanie (kilku przechodziło na dole, drogą pomiędzy ogrodzeniem a plantacją bananów) myślą

o tym dziwnym obozowisku. Trochę to pewnie było tak jak z tymi ślicznymi przytułkami dla ubogich, które człowiek widzi z okna autobusu i żałuje, że w nich nie mieszka.

Przychodnia była skromna: po prostu kolejny ogrodzony zespół parterowych budynków na drewnianych palach. Niektóre zbudowano z odrapanej cegły, inne z gliny, wszystkie miały spadziste dachy z liści palmowych, wedle tutejszej mody. Gdyby nie kolejka pacjentów, trudno by mi było uznać to za ośrodek zdrowia. Kobiety z marudzącymi niemowlętami, starcy i kilku żołnierzy stało w ogonku, ciągnącym się od głównego wejścia aż do bramy zewnętrznej, przez którą weszliśmy.

- Ach - powiedział Merrit, kiedy tam dotarliśmy - hordy już nas dopadły. Cóż, Nicholasie, witam w moim zakładzie.

Zauważyłem, że pacjenci mają na szyjach, albo właśnie zakładają, sklejkowe tabliczki z wymalowanymi białymi numerami. Tym procesem zawiadywał energiczny młodzieniec w kitlu. Podawał rozpadające się tabliczki z pudła wiszącego nad jego ramieniem i rugał tych, którzy chcieli wejść bez kolejki.

- Dzień dobry, Billy - zawołał Merrit, ignorując krzyki pacjentów, które wybuchły na jego widok, i odsuwając się od kobiety ciągnącej go za rękaw.

- *Bwana* - odpowiedział młodzieniec poważnie, kiwając głową.

- Architekci chcieli, żebyśmy tu zbudowali piętro, ale odmówiłem. Byłoby tak jak tam, gdzie pracowałem wcześniej, w Blantyre. Kiedy tam przyjechałem po raz pierwszy, nazywało się to Niasa, a później Malawi. Człowiek tylko się męczy, wspinając się w upał po schodach. Dobra, pokażę panu wszystko. Najpierw na zewnątrz, a potem w środku.

Pomachał dwóm białym wysiadającym z zakurzonego peugeota. Obaj mieli ciemne kręcone włosy i nosili czerwone szorty.

- Ci dwaj to Kubańczycy, Chiric i Canova. Są podobni jak dwie krople wody. Zawsze kiedy

ich widzę, przypominają mi się te bliźniaki z ukochanego komiksu mojego starszego syna. Zna pan pewnie Tintina.

- Thompson i Thompson - powiedziałem, przypominając sobie własną chłopięcą radość z pasków komiksowych. - Wydaje mi się, że był nawet jeden zeszyt o Afryce.

- Zgadza się. Belgowie. Pamiętam, że kiedy w Niasa nastał reżim Bandy, zakazano ich z powodu rasizmu. Richard był strasznie wściekły, kiedy musiał spalić swój egzemplarz. Płakał przez całe tygodnie. Tintin, minispódniczki, długie włosy i magazyny pornograficzne. Dziwna mieszanka wyjętych spod prawa. Ale sam Banda też nie był aniołkiem, w żadnym razie.

Poszliśmy w stronę ścieżki biegnącej wzdłuż ogrodzenia za budynkiem gospodarczym, w którym jęczał generator, trzęsąc liściastym dachem i kalając powietrze smrodem diesla.

- W każdy razie ci dwaj to świetni chirurdzy. Zwłaszcza Canova. Muszę panu kiedyś opowiedzieć historię o sercu Canovy. W zasadzie przeprowadził pomniejszą operację kardiologiczną. Tutaj! Zdumiewające. Ja bym tego nie zrobił.

- Ale co Kubańczycy robią w Mbararze?

- Castro wysyła ich wszędzie. Jak Che Guevarę do Konga. Nie obchodzi mnie to, oni się trzymają razem w pracy, a potem podrywają wieczorem dziewczyny w mieście. Ale tak to właśnie wygląda, Nicholasie. Bierzemy wszystkich, którzy są finansowani, Amerykanów, Izraelczyków, bez różnicy. Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby ich nie przyjąć. To samo dotyczy ciebie, obawiam się.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc nie powiedziałem nic. Zatrzymaliśmy się pod wysoką stalową konstrukcją z wiatrakiem - taką jak ta na osiedlu, tylko większą.

- To nasz odwiert - powiedział Merrit, poklepując z czułością jedną z podpór. - Woda jest pompowana do zbiornika i filtrowana po drodze przez srebrny katalizator. Najczystsza H₂O w okolicy. Chociaż to niewiele znaczy.

- Dlaczego budynki stoją na podporach?

- Mieliśmy straszliwe problemy z wyszukaniem właściwego miejsca. Ziemia w tej okolicy jest raczej bagnista i w końcu musieliśmy zatopić drewniane słupy, by zakotwiczyć fundamenty.

Proszę spojrzeć, tam jest szpitalny landrower.

Pomachał ręką, wołając głośno.

- Waziri, chodź poznać naszego nowego rekruta ze Szkocji! Biały pojazd pokryty jasnoczerwonym pyłem zwolnił, kiedy do nas podjeżdżał, omijając centralny klomb na małym parkingu. Stał tuż przy nas. Przez otwarte okno wyciągnął do mnie rękę Afrykańczyk z siwymi bokobrodami i w koszuli safari.

- Witam - powiedział, uśmiechając się szeroko. - A więc kolejny Szkot. Myślę, że szkoccy lekarze przejmą w końcu całą Ugandę. Pewnie wie pan o Mackayu, który dawno temu zorganizował Mulago, wielki szpital w Kampali? Mnie samego szkolili tam szkoccy lekarze, zanim wyjechałem do Stanów Zjednoczonych.

- Udzielamy się towarzysko - powiedziałem, mrużąc oczy przed słońcem ponad dachem landrowera.

- Nicholas Garrigan, William Waziri - oficjalnie przedstawił nas sobie Merritt. - William na ogół zajmuje się naszymi wyjazdami w teren, realizujemy programy szczepień i opryskiwań we wszystkich okolicznych wioskach. Prawdę mówiąc, myślę sobie, Williamie, że byłoby dobrze, gdybyś wkrótce wziął Nicholasa na taki wyjazd. Żeby się oswoił.

- Pewnie. Wyjeżdżam znowu w przyszłym miesiącu. - Raz jeszcze się do mnie uśmiechnął. - Jak najbardziej pojedziemy razem. Zobacz pan, jak żyją *wananchi*.

Odjechał, a zapasowe koło zawieszona na tyle pojazdu wyglądało jak godło Cooper Motors, Kampala.

- Kim są *wananchi*? - zapytałem Merrita.

- Zwyczajni ludzie. Obywatele. To jak określenie pełne szacunku.

Kontynuowaliśmy podróż po obrzeżach.

- To jest nasza pracownia rentgenowska. Popelniliśmy błąd, ustawiając ją po wschodniej stronie. Kiedy słońce jest w zenicie, naświetla ściany. Zamienia budynek w piekarnik i niszczy negatywy. Ale i tak nie mamy pieniędzy na radiologię. Przekona się pan, że musi pan tu być bardzo oszczędny i rozważnie korzystać z wyposażenia. I z leków.

- Jak zdobywacie zaopatrzenie?

- Billy Ssegu, nasz kierownik gospodarczy, ten, który obsługiwał kolejkę, jeździ landrowerem do Kampali raz w miesiącu zebrać w ministerstwie. Robi, co może, ale czasami nie możemy dostać antybiotyków albo prostych leków przeciwbólowych.

Doszliśmy już do najdalszej części ogrodzenia. Zauważyłem, że w miejscu, gdzie grunt nienaturalnie się obniżał, unosi się dziwny zapach - taki jak wydaje grób po mniej więcej roku, kiedy ziemia osiadzie.

- Ale wszystkie moje problemy bledną w porównaniu z tym - powiedział Merrit, wskazując na opadający grunt, pokryty trawą na niemal całej powierzchni, oprócz nierównej brązowej skorupki na skraju. Posunąłem się do przodu, zastanawiając się, o co mu chodzi.

Chwycił mnie za ramię.

- Na miłość Boską, ostrożnie! To nie jest stały grunt. Cóż, a właściwie to są części stałe - zachichotał. - To nasze szambo, Nicholasie. Może w tej chwili tak nie śmierdzi, ale, proszę mi wierzyć, cuchnie, kiedy podnosi się poziom wód gruntowych. Problem leży w grząskim podłożu. To się nigdzie nie odprowadza, a w porze deszczowej do zbiornika spływa woda z okolicy i wszystko się przelewa. Gówniana fala pływowa. Bardzo niehigieniczne. W najgorsze dni musimy zamykać klinikę, póki nie przyjedzie mechanik z Kampali, żeby odprowadzić to do cysterny. Naprawdę potrzebujemy odpowiedniego dołu gnilnego, ale jakoś nie sądzę, żebym tego dożył.

- To zabawne - powiedziałem - w życiu nie zgadłbym, co jest pod tą trawą.

- Nie miałbyś czasu zgadywać, gdybyś w to wpadł. Spójrz. - Pchnął trawę nogą, a cała powierzchnia zakołysała się delikatnie. Skorupka przysuwała się i odsuwała od darni wokół dołu. Odwróciliśmy się, by ruszyć z powrotem.

- Ach, jeszcze jedno.

Wskazał pokryty brezentem kopiec widniejący w pewnej odległości po drugiej stronie ogrodzenia. W siatce nieopodal była mała furka zrobiona ze spłaszczonych, bladoniebieskich opakowań po margarynie Stork, przybitych do kawałka drewna. Przeszliśmy przez nią i ruszyliśmy dobrze udeptaną glinianą ścieżką przez busz.

- Czystość zaraz po pobożności, śmieci zaraz po latrynie - powiedział Merrit.

Na skraju brezentu dostrzegłem obwódkę popiołu.

- To jest stos śmieci do spalenia: wszystko od starych ubrań po zawszone koce. Jest tu taka zasada, że każdy przynosi torbę tygodniowo - trzeba się z tym spieszyć, albo dopadną pana muchy - i w noc Guya Fawkesa mamy tu cholernie dobre ognisko.

- Czy to nie rzadko?

Kiedy ruszyliśmy z powrotem ku budynkom, posłał mi szybkie spojrzenie spod swoich sztywnych brwi. Jakby chciał powiedzieć „Nie mów mi, jak mam prowadzić swój ośrodek”. Ale na głos powiedział tylko łagodnie:

- To zbyt niebezpieczne rozpalać duży ogień, musimy uważać, żeby nie sięgnął lasu. W każdym razie miejscowi lubią duży ogień.

W pobliżu wejścia do jednego z budynków, niemal na ścieżce, dostrzegłem nieśmiałą próbę uprawiania ogródka. Przede wszystkim był pełen zielska, pomiędzy którym walkę z naturą przegrywało kilka główek kapusty i pomidorów.

- Zachęcamy rodziny pacjentów długoterminowych do uprawiania warzyw - powiedział

Merrit - ale oni nie mogą się jakoś w tym połapać. Tutaj każdy musi się sam wyżywić.

Weszliśmy do pralni. Pod ścianami leżały stosy prześcieradeł, ręczników i wyblakłych zielonych fartuchów operacyjnych. Dalej znajdował się długi oddział zastawiony żeliwnymi łózkami na kółkach. Każde miało tabliczkę ze starannie wypisaną kartą i krzywą temperatury. Personel pomocniczy krążył wokół pacjentów, popychając drewniane wózki z wyposażeniem.

- Witam wszystkich - powiedział głośno Merrit. - To jest doktor Garrigan, który do nas dołącza.

Potem wziął mnie na obchód i zapoznał z personelem. Zwłaszcza jedna osoba zwróciła moją uwagę. Pochylała się nad pacjentem, którego stan wskazywał na ciężki przypadek ospy (nogi pokrywała wysypka), miała bujne kasztanowe loki związane w trochę zbyt poważny węzeł i nosiła płócienne spodnie i rozchyłoną pod szyją białą koszulę w stylu wojskowym z zapinanymi na guziki kieszonkami na piersi.

- To jest Sara Zach - powiedział Merrit. - Przyjechała do nas z wydziału medycznego Uniwersytetu w Tel Awiwie.

- Witam - powiedziała Sara Zach, kiedy się odwróciła, by na mnie spojrzeć.

Jej skóra miała ciemnomiedzianą barwę, niemal tak ciemną jak włosy. Widziałem lekkie migotanie wilgoci zbierającej się w jej porach.

- Witamy w naszej klinice.

Zaakcentowała słowo „klinika”, a ja bawiłem się nim w myśli, podrzucając je w górę - *klinik, kalinik, klienik?* - kiedy ona odkładała swoje opatrunki i pęsetę. Zauważyłem przy tym, że jej ręce wyglądają na bardzo silne, pod skórą wyraźnie zarysowywały się ścięgna.

- Czy to ospa? - zapytałem ją, kiedy mężczyzna na łóżku jęknął.

Roześmiała się bardzo głośno, a mięśnie szyi poruszyły kołnierzyk koszuli.

- Gdyby to była ospa, musielibyśmy go izolować. Nie, to tylko ciężki przypadek choroby

wywołanej przez tse tse. Mucha składa jaja w ubraniach, kiedy się suszą na sznurze, a potem larwy zagłębiają się w skórę. Trzeba dusić je wazeliną, a potem wyciągać pęsetą, kiedy wyjdą oddychać. Można sobie z nimi radzić tylko mechanicznie, nie ma innego sposobu.

- Oczywiście - zarumieniłem się.

- Ja sama popełniałam podobne błędy po przyjeździe - powiedziała z uśmiechem. -

Medycyna tropikalna w tym rejonie bardzo się różni od tej w Izraelu.

Nagle promień słońca, przedarłszy się przez jedno z okien na oddziale, oświetlił jej czoło.

Rysy jej twarzy były jakby bezwzględne, niemal brzydkie. Albo przynajmniej nieładne w zwyczajowym pojęciu. Prawdę mówiąc, cały jej sposób bycia był taki.

- Obawiam się, że muszę wracać do pracy - powiedziała do Merrita.

Sięgnęła do wózka po pęsetę i z powrotem pochyliła się nad błyszczącą, pokrytą wazeliną nogą starca.

Później poznałem ugandyjski personel pomocniczy, który ustawił się w szeregu, jak na weselu. Jeszcze później - Ivora Seabrooka, starego Anglika z szerokim żółtym krawatem, który ściśle przylegał do białej koszuli. Powyżej widać było suche siwe włosy i uśmiechnięte, zniszczone rysy twarzy tropikalnego alkoholika.

- Mucha tse tse, tryper, sam pan wie - powiedział, pokazując palcem w dół na pocącego się, drżącego chłopca, którym się właśnie zajmował. - Nie mamy tu dużo takich przypadków, ale to coś w rodzaju mojej specjalności od czasów Bulawayo.

- Przedstawiciel starej szkoły - szepnął Merrit, kiedy obeszlśmy łóżka. - Założę się o sto szylingów, że przed końcem tygodnia opowie panu swoją historię prostego wyrobnika.

Zajrzeliśmy do kostnicy, a potem przez okna do izolatki i sali operacyjnej. W tej ostatniej szkło było zaparowane od sterylizatora, ale można było rozpoznać dwóch Kubańczyków.

Wyglądali komicznie w pełnych strojach chirurgicznych - zielone maski na twarzach i gołe nogi

wystające spod fartuchów, kiedy się poruszali wokół stołu. Jeden z nich podniósł wzrok spod stalowej lampy i pomachał nam kleszczami.

Potem poszliśmy długim korytarzem do apteki, gdzie wielka biała lodówka szemrała pomiędzy rzędami butelek z etykietami. Na podłodze obok stało małe zielone plastikowe wiadro z kilkunastoma zwitkami papieru o zaczernionych końcach - najwyraźniej zapalano je i gaszono. - Pracuje na naftę - powiedział Merrit, otwierając drzwi. - Trochę to staromodne, przyznaję, ale nie można ufać generatorowi.

Przez resztę dnia zaznajamiałem się dalej z kliniką i obowiązującymi procedurami. Potem, przed kolacją, wyszedłem na samotny spacer po terenie ośrodka. Stąpałem ostrożnie po trawiastych ścieżkach, ale i tak byłem trochę zdyszany, nim dotarłem na szczyt największego wzgórza. Stałem tam - w wieczornym powietrzu, w pierwotnym świetle prądawnych gwiazd - i słuchałem świerszczy i żab ryczących, kiedy śpiewały w swoim szczególnym kontrapunkcie. Patrząc na dolinę, która wyglądała, jakby mogła trwać wiecznie, w wyobraźni brałem w posiadanie ciemniejące papirusowe moczary, zbocza porośnięte bananowcami i kawą i brązową smugę rzeki Rwizi - i czułem się wspaniale.

Nie wiem, jak długo tam byłem, mogło to być pół godziny, może godzina. W jednym miejscu uklęknąłem i na trawie przed sobą zobaczyłem świerszcza, walczącego w jakiejś pianie - wyglądała jak plwocina - a jego doskonałe ząbkowane nogi poruszały się żałośnie tam i z powrotem w gęstych białych banieczkach. Zastanawiałem się, czy to nie żaby plują jakimś pociskiem znieczulającym, by przytępić zmysły ofiary. Szukałem dookoła w poszyciu, ale nie mogłem nic znaleźć, chociaż rechot, który nieustannie słyszałem w czasie całych moich poszukiwań, wydawał się tak bliski. Dopiero kiedy usłyszałem trzask pioruna, zdałem sobie sprawę, że powinienem wrócić do Merritów, ponieważ noc zapada szybko. Moje oczy stopniowo przyzwyczajały się do zmiany światła, więc nic nie zauważyłem.

Kiedy wracałem, padało intensywnie, ogromne strugi wody batożyły plantacje bananowe i szarpały kawowe krzewy. Droga utworzyła naturalne łożysko dla wody spływającej w kierunku mostu nad Rwizi, kurz zamieniał się w błoto i musiałem szukać silnego oparcia dla stóp. Kiedy minąłem wioskę ponad kliniką, słyszałem dziecięcy śmiech i plusk i widziałem sylwetki baraszkujących w świetle lamp dzieci. Taki deszcz jak ten dawał niewątpliwie możliwość kąpieli i niezłych wygłupów.

Zanim dotarłem do osiedla, byłem przemoczony do suchej nitki. Później, mojej pierwszej nocy zapisałem: pani Merrit raczej się nie ucieszyła, że musiałem wrócić do swojego bungalowu, by się przebrać.

- Och - tylko tyle powiedziała, kiedy po raz pierwszy podszedłem do drzwi, zostawiając ślady z czerwonego błota. - Jest pan cały przemoczony.

W zacinającym deszczu śmignąłem między budynkami. Ściągnąłem mokre ubranie, wyjąłem ręcznik z walizki i wytarłem się, po czym pognałem z powrotem.

Najadłszy się, poczułem się odświeżony i spokojny, i w takim stanie położyłem się do łóżka.

Nie przeszkadzał mi nawet deszcz tłukący o blaszany dach niczym seria z karabinu maszynowego. A nawet dawał mi poczucie bezpieczeństwa, jakbym znajdował się w niezdobytym zamku. Burza przybrała na sile i ze swojego łóżka, zapadając w sen, przez siatkę w oknie widziałem niebieskie błyskawice, które wprawiały cały pokój w migotanie. Pomyślałem o starym kinie w Fossiemuir, i śniłem tej nocy o straszliwym pojedynku potworów gigantów w wykonaniu świerszcza i żaby ryczącej - zębate nogi jednego, zielonkawoniebieskie oko i długi język drugiej. Czy ja w tym widowisku byłem widzem, czy aktorem - nie wiedziałem. Nie umiałem powiedzieć.

Dni mijały. Posadziłem kilka roślin w starych pojemnikach na farbę i powiesiłem je na belce stropowej werandy. To na werandzie właśnie zacząłem wieczorami prowadzić swoją dokumentację i dziennik. Nie każdego wieczoru, bo prąd nie należał do stale dostępnych dóbr. Prawdę mówiąc, tutaj nic nie było pewne. Były poranne mgły i przytłaczające upały, a czas mijał w piekielnej huśtawce rozleniwienia i szaleńczego pośpiechu. Jak trzaski i piski w zakłóceniach radiowych. Albo jak dźwięki potężnej świerszczowej orkiestry, które zdają się rozrywać tkanę ziemi. To wysoko, to nisko.

Zaraz na początku ktoś umarł na pełzakowy ropień wątroby i wkrótce zacząłem leczyć pasożyty jelitowe, o których istnieniu kiedyś nawet nie śniłem. Jak również inne okropieństwa: stopy zniekształcone zgorzelinowym tyfusem odkleszczowym, frambeżę wyglądającą jak oparzenie lub piętno, kwiecistą wysypkę odry na skórze niedożywionych dzieci.

Innym razem zająłem się zainfekowanym ugryzieniem psa na nosie dziewczynki. Ropa pulsowała pod skórą jak podziemne źródło. Wstrzymując oddech, naciąłem to i opatrzyłem, a Sara przytrzymała wrzeszczące dziecko na plastikowej kozetce. Jej ręka jest silna i brązowa, paznokcie twarde i jasne jak brylanty. Zostawiliśmy ranę otwartą na całą noc, by wyschła.

Niektórym chorobom pasożytniczym towarzyszy słoniowaczna, a obrzmiałe nogi wyglądają wyjątkowo straszliwie. Pamiętam jedną biedną kobietę, która się zgłosiła do leczenia. Zupełnie jakby ktoś ukląkł przed nią i wdmuchnął powietrze w jej wielki palec u nogi.

- Wygląda jak karykatura - powiedziałem do Sary, kiedy się umyliśmy.

Spojrzała na mnie surowo znad umywalki.

- Nicholasie, jesteś za mało rzeczowy i za dużo angażujesz emocji. Powinieneś nauczyć się klinicznego podejścia.

Pozamykaliśmy wszystko i ruszyliśmy w dół wzgórza do osiedla. Widzieliśmy księżyc nad

papirusowymi bagnami. Zapytała mnie o Szkocję.

- Nigdy wcześniej nie znałam żadnego Szkota - powiedziała, odsuwając się ode mnie lekko, by obejść kałużę. - Nie wiem, jacy jesteście.

- Jestem dość typowym przykładem - powiedziałem. - Tak mi się przynajmniej wydaje. Ale czy w dzisiejszych czasach można określić jakikolwiek naród?

- Oczywiście! No więc, na czym ma polegać twoja typowość?

- Cóż, lubię piłkę nożną. I rugby. I lubię pić.

- Rugby? A co to takiego? - Jej głos, z obcym akcentem, podniósł się wysoko i dziwnie w zapadających ciemnościach.

- Naprawdę nie wiesz, co to jest rugby?

- No nie wiem, a co to jest? - Posłała mi spojrzenie z ukosa, a kiedy poruszyła głową, fale włosów spoczywające na jej ramionach przemieściły się w przeciwną stronę.

- To gra. Jajowatą piłką.

- Jajowatą piłką? Żartujesz?

- Nie, ani trochę. To jest jak piłka nożna, jak futbol amerykański, tylko używa się rąk.

Dotarliśmy do obozu, i stanęliśmy twarzami do siebie pomiędzy klombami. Z lampy łukowej na wieży ciśnień spływało na nas światło - ona ze swoją płócienną torbą, ja z plikiem papierów pod pachą.

- A więc to znaczy być Szkotem? - zapytała. - Lubić te gry?

- Oczywiście nie tylko to. Ale to jest bardzo ważne. Uśmiechnęła się. W półmroku jej oczy wydawały się ogromne.

- Jesteś bardzo zabawny, Nicholasie - powiedziała. - Izraelczyk nigdy nie określiłby siebie przez sport.

Spojrzałem w dół na jej stopy.

- Hmm... a więc, dobranoc.

- Dobranoc - powiedziała, a potem kpiąco dodała: - I musisz mi któregoś razu opowiedzieć więcej o rugby.

Patrzyłem, jak odchodzi do swojego bungalowu, z płócienną torbą na ramieniu.

Kiedy tej nocy leżałem w łóżku, po dokonaniu wpisu do dziennika, zdałem sobie sprawę, że trochę mi się nie podobała jej uwaga, że jestem mało rzeczowy. Trudno nieustannie prezentować takie podejście, choroby są takie obrzydliwe. A najgorsze były robaki. Niemal zwymiotowałem, kiedy po raz pierwszy zobaczyłem, jak Merrit obraca pacjenta i wszystko to, te rzeczy, jak bladobrązowe rośliny, suszone paprocie czy inne paskudztwo, wysypały się z niego i zaczęły pełzać po prześcieradle.

Gruźlica i niezbyt jelit to kolejne choroby na porządku dziennym, a dalej plasowały się tropikalne gorączki, które lubił brać w swoje ręce Ivor, takie jak malaria i denga. Ta ostatnia nadymała twarz skazą krwotoczną podobną do siniaka. Gdybym się na tym nie znał, przysiągłbym, że to skutek pobicia.

I żółta febra. Pamiętam, jak Ivor podszedł podniecony z naczyniem pełnym ciemnego gęstego płynu.

- Spójrz - powiedział, podsuwając mi to pod nos. - Czarne wymioty. Typowy objaw.

Wrzody i ropiejące cięcia maczetą też trafiały się dość często: jeden z problemów polegał na tym, że my je opatrywaliśmy, a pacjenci stosowali później medycynę ludową - pajęczynę, korę drzew - i infekcja powracała. Niektórym w żaden sposób nie mogliśmy pomóc - jak pewnemu młodemu człowiekowi, który przyszedł z ramieniem cepowatym, długim i cienkim jak wierzbowa gałązka, oczekując od nas, że jakoś cofniemy skutki dziecięcego polio.

Większość czasu spędzałem na robieniu prostych rzeczy, takich jak opukiwanie klatek piersiowych pacjentów, wysłuchiwanie zmian gruźliczych w płucach albo aplikowanie

zastrzyków. Godzina po godzinie zmieniałem igły z rutyną godną pracownika w fabryce i spokojnie pocierałem wacikiem nasączonym spirytusem pośladki kolejnych pacjentów.

Albo na badaniu stolców (każdy starannie zawinięty w dorodny liść bananowca) wieczorami w laboratorium, krztusząc się od ich zapachu i przeklinając, kiedy światło lampy jaśniało i przygasało. Naturalnie badaliśmy też krew: próbki zazwyczaj psuły się w drodze do Kampali, więc musieliśmy robić, co się dało, za pomocą zabytkowych mosiężnych mikroskopów.

To mnie fascynowało - kształty, obrazy, ich znaczenie: smuga na szkiełku *Trypanosoma brucei*, świdrowca nagany, świrowca, jak mówił Ivor za każdym razem, kiedy o tym wspominałem, jak kropla deszczu na kalce, rzeźączkowe komórki wydzieliny z cewki moczowej, podobne do zgniecionych owoców morwy. Diplokoki.

Przypadki ukąszeń węży były szczególnie przerażające. Pacjenci siedzieli ze spuchniętymi stopami i łydkami - zazwyczaj do ukąszeń dochodziło na plantacjach *matoke* - a w glinianym garnku albo starej puszcze po oleju kukurydzianym trzymali węże, które ich ukąsiły. Oglądaliśmy je, porównując z opisami w broszurze o ukąszeniach węży Fitzsimonsa, i dobieraliśmy surowicę.

Pewnego razu przybył ukąszony pacjent z żywym węzem. Stworzenie uciekło z garnka.

Wszyscy z wrzaskiem wybiegli z przychodni. Ale Waziri zatłukł gada łyżką do opon z landrowera. Przyniósł go zawieszzonego na tej łyżce i dla żartu rzucił czarno-żółte paskudztwo pod moje nogi.

- To nie zbyt śmieszne - powiedziałem. - Mógł być jeszcze żywy.

- Nie bój się - uśmiechnął się szeroko. - Wiedziałem, że nie żyje.

Wszyscy zgromadziliśmy się dookoła i patrzyliśmy na ścierwo leżące w pyle jak kawałek gumowego węża.

Zadziwiająco mało mieliśmy do czynienia z położnictwem. Większość kobiet rodziła w wioskach, do ostatniej chwili pracując w polu. To skutkowało sporą liczbą przypadków przetoki

pochwowej, w miejscu gdzie płód przetarł dziurę w tkance. Nawet Kubańczycy rozkładali wtedy ręce i musieliśmy wysyłać te przypadki do Kampali. W podróży wiele z tych kobiet umierało, kiedy przetoka się powiększała.

- Nie ma cienia szansy - powiedział Merrit, kiedy patrzyliśmy, jak dziewczyna chyba czternastoletnia, jeden z najgorszych przypadków, wyrusza w drogę ciężarówką.

Któregoś ranka, idąc do pracy, wpadłem na Sarę. No dobrze, zaaranżowałem to wpadnięcie - dlaczego to ja zakochuję się w kobietach od pierwszego wejrzenia? To niedostatek (jeszcze jeden!), a nie dar.

Wspinając się razem na wzgórze, zatrzymaliśmy się na chwilę i spojrzeliśmy na koszary na obrzeżach miasta. Na placu apelowym, w cieniu budynku z czerwonej cegły, kucąca grupka mężczyzn. Wyglądali, jakby sprawdzali broń albo coś podobnego (mogliśmy tylko rozpoznać koce na ziemi, a na nich ciemne kawałki). Inna grupa ładowała sprzęt do dżipów. Słyszeliśmy ich głosy, podnoszące się słabo jak strzępki popiołu z ogniska.

- Dzisiaj po południu będą wielkie ruchy wojsk - powiedziała Sara twardo. - Chodźmy Spóźnimy się do pracy W następnym tygodniu do kliniki zgłosiło się więcej pacjentów z ranami postrzałowymi i od maczet. W większości byli to rolnicy, ale zdarzali się też żołnierze.

- Zaczynają się buntować - powiedział Ivor pewnego wieczoru, rzucając pustą torebkę po krwi do przepełnionego pojemnika.

Pomarszczona, wyszana jak suszony pomidor torebka wylądowała na szczycie stosu białego papieru: stare wykresy temperatury zdarte z tabliczek i stare formularze zamówień na leki. Kiedy Ivor podszedł to zamknąć, patrzyłem jak osowiałe zwierzę - ospale, w oderwaniu - i zastanawiałem się, co tu robię. Cały personel poszedł do domu, oprócz nas i nocnej pielęgniarki. Usłyszałem za plecami głos Ivora, ciepły i dźwięczny.

- Znowu kończy nam się krew. Można by pomyśleć, że tu są wampiry. Chodź popatrzeć na tę

staruszkę.

Przeszedłem przez spowity mrokiem oddział, z metalowych łóżek śledziły mnie oczy pacjentów, i dołączyłem do niego, gdy się pochylał nad ostatnim przypadkiem postrzału. Kobieta jęknęła, kiedy ściągnął prześcieradło, by pokazać mi ranę: kula przeszła przez pierś, bok, a potem strzaskała kość ręki.

- Z piersią wszystko w porządku, ale ręki nie da rady uratować. Mówi, że żołnierze oskarżyli ją o karmienie partyzantów Obote zza granicy.

Pożegnaliśmy się z pielęgniarką i wyszliśmy na parking. Nietoperze pikowały pod drzewami. W panującej ciszy słyhać było trzepot ich skrzydeł.

W drodze ze wzgórza Ivor położył delikatnie dłoń na moich plecach, w okolicy krzyża.

Odsunąłem się i dalej rozmawiałem, udając, że to się nie stało, a potem się zrobiło jakoś tak, jakby rzeczywiście nic się nie stało. Lubilem starego Ivora, rozjaśniał to miejsce, ale niezbyt mi odpowiadała rola jednego z jego chłopczyków.

- On ma znowu nowego kucharza - mówiła czasami pani Merrit głosem wstrząśniętym i przerażonym. - Tak nie może być. Pewnego dnia ktoś o tym doniesie na policję, a potem będziemy mieli kłopoty.

Zaprzyjaźniłem się z Wazirim. Po miesiącu czy dwóch wyjechaliśmy na nasze pierwsze szczepienne safari. Wschodnia część Ankole: Ruhama, Rwampara, Isingiro, Kashari. Nyabusozi, Mitoma, Kiruhura. Po nierównych drogach, z Ruwenzori rozciągającymi się wysoko nad nami, była to całkiem niezła podróż - nawet przejeżdżaliśmy brodem przez rzekę - landrower podskakiwał tak mocno, że musiałem się trzymać siedzenia. Futerał od okularów przeciwsłonecznych Waziriego ślizgał się po desce rozdzielczej, kiedy pokonywaliśmy skały i wyboje, omijaliśmy pniaki i dziwną zbląkaną kozę.

- Trzeba naprawić układ kierowniczy - powiedział, gdy się zatrzymaliśmy, aby zatankować

paliwo z kanistra na dachu. Kiedy on dolewał, ja poszedłem na skraj drogi się wysikać.

Plusk moczu wraz z gulgotem benzyny za moimi plecami sprawił, że poczułem się, jakbyśmy stanęli nad strumykiem. Kiedy już mój pęcherz zaznał ulgi, przyjrzałem się różnorodnemu pejzażowi: kurz, moczary, góry, las, pola uprawne, gładkie zielone dywany herbaty, krzaki bawełny, pastwiska dla krów - i wszędzie tam zestawy różnych chorób.

Kiedy wracałem do landrowera, na mojej koszuli usiadł jeden z największych motyli, jakie w życiu widziałem. Wielkością dorównywał mojej ręce. Patrzyłem, jak powoli otwiera i zamyka niebiesko-czerwone skrzydła. Był naprawdę przepiękny, ale oglądany z bliska, z czułkami kołyszącymi się w powietrzu tuż pod kieszonką na mojej piersi, był również nieco groźny.

- *Ekwihuguhugu* - powiedział cicho Waziri.

- Co takiego? - szepnąłem, bo to słowo zabrzmiało jak „Chattanooga Choo-Choo”.

- Motyl. W górskim dialekcie Kinjankole Luchiga nazywamy je *Ekwihuguhugu*. Znaczy to: on jest bardzo delikatny. To największe motyle na świecie.

Spojrzałem na owada i powtórzyłem to słowo. I jakbym wypowiedział tajemne polecenie, motyl odleciał, trzepocząc skrzydłami ponad zwietrzałą czerwoną ziemią na poboczu drogi i zniknął w buszu.

- Prawdopodobnie przyciągnął go zapach twojego moczu - powiedział Waziri, kiedy wsiedliśmy do landrowera. - Albo benzyny. Zazwyczaj nie widuje się ich tak daleko od gór. Jechaliśmy od wioski do wioski, spryskując chaty o rozchwierutanych dachach: trzeba było spryskać je od szczytu, w przeciwnym wypadku owady ciągle by się lęły, a w dodatku uodpornione. Moskity i *mbwa* - meszki: to właśnie był nasz wróg. Ich larwy rozdymają naczynia krwionośne, powodując wrzody, a w najgorszym wypadku ślepotę. Larwy żyją w trawach rzecznych.

A potem szczepiliśmy: przeciw gruźlicy, polio, cholerze, ospie. Puste fiolki grzechotały,

kiedy dorzucałem kolejne do starej puszki po herbatnikach.

Moim oczom obcego każda wioska wydawała się taka sama, chociaż wiedziałem oczywiście, że takie same nie są.

Kiedy wjeżdżaliśmy, kurczęta się rozbiegały, a kobiety podnosiły wzrok znad swoich mat i suszonego prosa albo platanów, które gotowały na rusztach na węglu drzewnym. Wszyscy się zbierali dookoła nas. Zgiełk. Rozstawialiśmy biały stół na kozłach i wykładaliśmy strzykawki.

Wszyscy ustawiali się w kolejce - podnieceni, nieufni albo po prostu przestraszeni. Ja przecierałem ramiona. Czasami ludzie bardziej wzdragali się na zimno alkoholu na waciku niż na igłę.

Po tym wszystkim Waziri czytał rozporządzenie w języku Kinjankole, a dym z palenisk wił się za jego plecami. Szło to tak:

1.

Wszyscy mają mieszać swoje platanów z innym owocami i warzywami i kiedy to możliwe, jeść mięso.

2.

Wszyscy muszą się myć przynajmniej raz na dobę.

3.

Każdy chory musi mieć dobrze wietrzoną chatę.

4.

Wszystkich zmarłych trzeba zakopać, a nie wrzucać do bagna.

Przedostatniego dnia naszej podróży noc zapadła, zanim zdołaliśmy dotrzeć do Butagota, wioski w okręgu Bwindi. Zaczęło padać, a deszcz przyniósł do kabiny zapach tropikalnej roślinności. Po drodze minęliśmy drogę w prawo i drewniany drogowskaz z napisem

„Nieprzebyty las Bwindi”, który mignął nam w świetle reflektorów. Nie mogłem w to uwierzyć,

ale to wszystko było prawdziwe.

- To wasi badacze tak go nazwali, nie my - powiedział Waziri. - *Bwindi* oznacza po prostu ciemny. *Bwindi* to ciemny, a *omushana* to jasny. Żyją tam pigmeje, ci, którzy jeszcze zostali. To nie jest miłe miejsce. Nigdy tam nie chodź, Nicholasie. Teraz w każdym razie i tak jest tam pełno wojska.

Tak zresztą było wszędzie. Następnej nocy, kiedy wróciliśmy do Mbarary, niemal wpadliśmy na blokadę drogową, oświetloną tylko jedną lampą sztormową. I kiedy mówię, że niemal na nich wpadliśmy, to nie przesadzam: zatrzymaliśmy się tuż przed kolczatką, która miała przebić opony.

- *Simama hapil* - usłyszeliśmy. Z pobocza wyłoniła się jakaś postać, jakby zza kulis w teatrze.

- Co to znaczy? - wyszeptalem do Waziriego.

- Stać.

Kiedy to powiedział, w oknie pojawiła się lufa karabinu. Ktoś wsadził do środka głowę z naciągniętą czapką polową, poczułem zapach piwa. Intruz coś powiedział. Waziri też, jak na niego bardzo zwięźle, a potem zapadła cisza, w trakcie której żołnierz tylko nachylał się nad swoim karabinem i patrzył na nas. W końcu Waziri rzucił mu dwustuszylingowy banknot i odjechaliśmy, omijając kolczatkę.

- Kozojebcy - rzucił Waziri, kręcąc głową.

Aby ukoić nerwy, poszliśmy się napić do Changanulu, jednego z barów w mieście. Napiliśmy się całkiem nieźle, przynajmniej ja. Pomimo zajścia przy blokadzie drogowej wpadłem w optymistyczny nastrój.

- Coraz lepiej się tu czuję - wyznałem. - Zupełnie jakbym był w prawdziwej Afryce.

Roześmiał się.

- Wy, *muzungu*, zawsze gadacie takie rzeczy, jakby tu była do odkrycia jakaś tajemnica. Był tu

kiedyś jeden taki, który szukał Kopalni Króla Salomona. Idiota myślał, że one są w Ruwenzori.

Powiedziałem mu, że znalazłby je na poletku kukurydzy, gdyby patrzył dość uważnie.

- I w ziarenku piasku - powiedziałem. - Znasz przypowieści biblijne?

- Oczywiście. Chodziłem do szkoły misyjnej. Wszyscy chodziliśmy. No może ci, co w ogóle chodzili do szkoły.

Dopił swoją szklankę i wstał, a jego wysoka ascetyczna postać rzucała cień na ścianę. -

Chcesz jeszcze?

Rozejrzałem się po barze, kiedy on poszedł po napitki. Kobieta w czerwonej chuście wycierała stoły. Robiło się późno i został jeszcze tylko jeden klient, żołnierz, wysoki rangą, jak się zorientowałam po jego czapce z daszkiem i mosiężnych gwiazdkach. Markotnie wpatrywał się w swoją szklankę. Zauważyłem, że na policzkach ma groźnie wyglądające rytualne blizny.

- Chcesz więc zobaczyć prawdziwą Afrykę, przyjacielu? - Waziri gwałtownie postawił przede mną piwo. W jego głosie leciutko pobrzmiwała nuta kpiny. - Powinieneś czasami pójść do hotelu. Co trzeci wtorek odbywają się tam diabelskie tańce albo szukanie czarownicy, czy jakkolwiek chcesz to nazwać. Dla turystów.

Podrapał się po głowie.

- Chociaż prawdę mówiąc, nie ma ich dzisiaj zbyt wielu. Ale to niezłe widowisko. Zwyczajne rzeczy: tancerki podnoszą wysoko kolana i rzucają w kurz muszle i proszek.

- Naprawdę wierzą w to wszystko?

- Kto? Turyści czy tancerze? - uniósł brew.

Oficer wstał i ruszył do wyjścia, posyłając nam po drodze ciężkie spojrzenie.

- To major Mabuse - powiedział Waziri, odwracając się, by odprowadzić go wzrokiem. -

Przed przewrotem był zwykłym taksówkarzem. Paskudny typ.

- Oni wszyscy są chyba tacy.

- Nie wszyscy - powiedział po chwili. - Amin jest najgorszy, przyznaję. Wiesz, że przyjeżdża tu w przyszłym miesiącu? Ma się odbyć odbiór stadionu piłkarskiego.

- Pójdiesz?

- Oczywiście, że nie. Nie chcę być absolutnie w żaden sposób łączony z tym potworem.

Znowu chwilę siedzieliśmy w milczeniu, a potem poprosiłem, by mi powiedział więcej o tańcu.

- Czy to jest taki zwyczaj, czy taka prawdziwa wiara?

- Prawdziwa wiara. - Niemal niedostrzegalnie skinął głową.

- Naprawdę? W dzisiejszych czasach, w dzisiejszej epoce? Nawet tutaj...

- To jest mój kraj, Nicholasie. To właśnie im odpowiada. Wierzą, kiedy im pasuje, tak jak w wypadku każdej innej religii. Czasami jest to jednak pożyteczne: do wyjaśnienia rzeczy niepojętych. A to, co w tym przerażające, działa jak psychoterapia. Terapia wstrząsowa. I jeśli tak to rozumieć, jest to coś interesującego. Zależy, jak na to spojrzeć. Doszedłem do tego wniosku przy szeleście spódniczki z suchych liści. To jest taka mglistość, wieloznaczność, dzięki której możesz sobie wyobrazić różne rzeczy, które widzisz tylko ty. No i oczywiście są również maski. Mają maskę wielkiego lwa, naprawdę imponującą.

- I tam-tamy?

- Naturalnie. I tykwy z ziarnami i wielkiego niebieskiego koguta, którego krew się wylewa w kurz. Czego tylko zapragniesz. Wyganiają złe duchy i wszyscy turyści stoją, pstrykają zdjęcia, a potem człowiek w masce lwa chodzi dookoła i zbiera datki. Wiesz, że to Nestor, nasz strażnik nocny?

- Nie! Nie przyszłoby mi do głowy, że on ma tyle energii, by w ogóle podskoczyć.

- Owszem, skacze, kiedy rośnie w nim gorączka i jakaś młoda dziewczyna podskakuje w pobliżu. Wtedy wywija nogami jak młody kozioł. Ale on też pomaga ludziom. Przychodzą do

niego, a on wciera w ich ciała takie coś, magiczną substancję, *muti*. I to niekiedy też działa. Nie często, ale od czasu do czasu.

Chłopiec, z którym rozmawiałem zaraz po przyjeździe, ten w T-shircie i z drucianym samochodzikiem, pewnego wieczoru czekał na mnie przed kliniką. Podał mi kartkę papieru.

„Szanowny doktorze Garrigan, to jest mój brat Gugu. Chyba już go Pan poznał. Piszę, żeby zaprosić Pana na lunch w niedzielę. Łączę wyrazy szacunku, Bonney Malumba”.

W wolny weekend poszedłem więc do Malumbów Boniface, elegancki, w spodniach dzwonach, powitał mnie w wejściu.

- Mój dawno niewidziany przyjaciel, doktor Nicholas.

Gugu biegał w podskokach między nami. Pani Malumba, korpulentna matrona w długiej szacie z pikowanymi rękawami zaproponowała, że umyje mi stopy, ale ja, oczywiście, odmówiłem. Był to dom całkiem wytworny, jak na tamtejsze standardy. Mieli nawet telewizor, mały czarnobiały odbiornik z anteną pokojową w kształcie litery V.

Ojciec był korpulentny i wyglądał nietuzinkowo. Później Boniface powiedział mi, że dostaje stosunkowo sporą emeryturę, jako że był Głównym Naczelnikiem Rady Nadzorczej Badań Zagranicznych. Też nosił długą szatę, a kiedy wszedłem, siedział na wiklinowym stołku, ze szklanką piwa w ręku. Boniface przedstawił nas sobie bardzo oficjalnie, a ja usiadłem na drugim stołku, by porozmawiać z głową rodziny. Zaczęliśmy od polityki i wkrótce dowiedziałem się, że nie jest wielbicielem Amina.

- Ten człowiek nie jest lepszy od Obote, pozwolę sobie powiedzieć. To przez Obote musieliśmy się wyprowadzić, i uważam, że tak samo przez Amina wielu będzie musiało to zrobić.

Dowiedziałem się, że rodzina jest bagandyjska, pochodzi z okolic Kampali, i wyjechała aż tutaj, do krainy Ankole, kiedy pan Malumba przeszedł na emeryturę. Zapytałem go o inne słowa *ganda*, które mnie zastanawiały.

Tak to szło:

Muganda (jeden człowiek Ganda),

Baganda (lud),

Luganda (język Ganda),

Buganda (ziemia Ganda).

- Tak samo jest w wielu innych miejscach, nawet w Tanzanii - powiedział pan Malumba. -

Ale czasami trzeba wstawić y albo inne litery, zależnie od tego, co było wcześniej. A więc tu dookoła żyją Banjankole, a za granicą Banrwanda. I we wszystkich tych miejscach pracowałem. Nie minęło dużo czasu, a opowiedział mi historię swojej działalności w Radzie Nadzorczej, od początków, kiedy wchodziła ona w skład Biura Kolonialnego, do czasów po odzyskaniu niepodległości, kiedy pracował przy pomiarach triangulacyjnych Afryki Wschodniej dla ODA, dla tych samych ludzi, którzy mnie oddelegowali.

- A co to dokładnie jest triangulacja? - zapytałem. Pochylił się do przodu na swoim stołku, gestykulując nad słomianymi matami na podłodze.

- To jest dzielenie terenu na trójkąty w celach kartograficznych. Mierzymy odległość i wysokość, tak że można nanieść wzgórze na mapę, która jest płaska. Musieliśmy zrobić łańcuch trójkątów, łączonych z trójkątami w innych państwach. Łańcuch ciągnął się z Tanzanii, przez Zambię i do granicy Burundi. Hen, daleko. Za moich czasów rozciągnęliśmy go przez Ugandę i Sudan, żeby połączył się z Egiptem. To było bardzo dawno temu. Nazywało się to Trzydziesty Łuk.

- To ogromny teren. - Pomyślałem o mapie w swoim przewodniku i próbowałem sobie wyobrazić ogromne odległości, które on opisuje.

- Szliśmy od jednej góry do drugiej, wyznaczając punkty pomiarowe. Ja na początku trzymałem lustro dalmiercze, a geodeta łapał promień odbitego przeze mnie światła w swoim

teodolicie, z odległości wielu mil. Czasami nawet sześćdziesięciu. Niekiedy było ciemno i wysyłaliśmy ekipy świetlne. Potem geodeta wysyłał swoim światłem sygnał kończący i przenosiliśmy się na kolejne wzgórze. I kolejne, i kolejne, i kolejne. Póki nie spotkaliśmy się z następną ekipą. Tak właśnie robiliśmy łańcuch.

- Ciężka praca - powiedziałem. Pani Malumba uśmiechnęła się do mnie ponad ramieniem męża. Potem poszła do kuchni, zostawiając mnie z Bonneyem i Gugu, którzy słuchali swego ojca równie uważnie jak ja. Chociaż podejrzewam, że wiele razy słyszeli już tę historię.

- Tak - ciągnął - i dużo chodzenia. I dużo ciężkiego sprzętu do noszenia. Jeździliśmy landrowerami i ciężarówkami i co noc rozbijaliśmy obóz. A inne sprawy też nie były łatwe.

Zacząłem w rejonie Karamodża. Na północy. Tam było trudno. Bardzo trudne miejsce.

Karamodża wciąż zabierali druty, którymi były powiązane znaczniki. Wiązaliśmy je więc łykiem, ale to też zabierali. I stada bawołów i słoni też je niszczyły.

- Ale oglądanie tych zwierząt musiało być ekscytujące.

- Pewnie tak. Teraz wszystkie zostały wybite przez żołnierzy. Dla jedzenia, a myślę, że czasami i dla przyjemności. W tamtych czasach było inaczej. Czasami lataliśmy samolotami. Z RAE Musiałem nosić ciężki aparat, którym robiłem zdjęcia ziemi. Fairchild K17. Pomierzyliśmy pięćdziesiąt tysięcy mil kwadratowych. Bardzo dużo. Na dole widzieliśmy białe drewniane krzyże, który położyliśmy na ziemi.

- A do czego one służyły?

- Do zaznaczania punktów. Płaciliśmy wananchim, żeby je odmalowywali co miesiąc, bo zbladłby, zanim zrobilibyśmy zdjęcia. I wie pan, w niektórych rejonach oni je dalej malują, po tylu latach. Na pewno, że myśleli, że jesteśmy misjonarzami. Tyle tych krzyży stało się miejscami świętymi.

- Nie wierzę w to - powiedziałem, zanosząc się śmiechem.

- Naprawdę. Ale wracając do pracy: klisze wędrowały do Anglii i tam kartografowie skalowali je i wykreślali mapy ze zdjęć - w skali jeden do pięćdziesięciu tysięcy, jeden do dwudziestu pięciu tysięcy. Potem te mapy wracały, kiedy byliśmy już w innym miejscu.

Przyglądaliśmy się im z radością. Bo były naprawdę przepiękne. Cieniowane wzgórza, drogi, rzeki, roślinność. Wszystko barwne: różowe, zielone, niebieskie, żółte. Mogę panu pokazać.

Podszedł do półki, wybrał kilka map i rozłożył je na podłodze. Jedna była stara, poprzecierana na zgięciach. Widziałem na niej zapiski typu „Prowincja Rudolfa” i „Protectorat Afryki Wschodniej”. Pozostałe były nowe.

- Nanosiliśmy nazwy, pytaliśmy ludzi i oni podawali nam nazwy, a my zapisywaliśmy je na tych mapach. Tak jak na tej.

Pokazał. Gugu przyczołgał się, żeby też popatrzeć.

- To jest Arua. *Arua* to więzienie w języku Lugbara. Kiedy Niemcy walczyli z wami podczas wojny, tu był obóz jeniecki i kiedy afrykańczycy poszli tam, żeby być strażnikami, mówili, że są *arua*. W więzieniu. Widzi pan?

A tu jest Gulu, gdzie rzeka, przepływając, wydaje odgłos *gul-gul*. Potem Nil dochodzi do miasta Jinja. Handlarze w ubraniach z kory docierali tam do prowincji Busoga i kiedy przegapili ostatnią łódź (te nie pływały po zmroku ze względu na hipopotamy), rozbijali obóz na kamieniu i mówili swoim żonom, że musieli spędzić noc *ku jinja*, na kamieniu.

Dalej mamy jezioro. Entebbe to tam, gdzie się wsiada do samolotu. To jest kwatera główna plemienia Mmamba i z jakiegoś powodu Brytyjczycy też tam zrobili swoją kwaterę główną. To siedziba rządu, bo to - wstał i pokazał na swój stołek - nazywa się *entebe* w języku luganda.

Kabarole. To znaczy „przyglądaj się” w języku Lunjoro, ponieważ tam król zbudował swój pałac na wzgórzu. Nazywamy piętrowe autobusy *kabandole* - „przyglądaj mi się”

- właśnie z tego powodu. W Kaliro myśliwi rozpalali małe ognie na wzgórzu, by pokazać, że

są bezpieczni. Ich żony w domu mówiły: „Widziałyście ogień?”, a inne odpowiadały: „*Kaliro*.
Widziałyśmy”.

Kumuli - to pochodzi od „mała trzcina”, ponieważ w tym miejscu listy nosił goniec, a
wsadzał je w nacięcie w trzcinię. Luwero znaczy „tnąca trawa”.

A Makerere to odgłos ptaków: *karere, karere!* - Zamachał rękoma w powietrzu.

Boniface, opierający się o futrynę, popatrzył na mnie i pokręcił głową, uśmiechając się.

- Chodź, chodź tutaj - powiedział jego ojciec. Wstał, wziął mnie za ramię i podprowadził do
okna, skąd mieliśmy piękny widok na Ruwenzori. Zauważyłem, że w oknach Malumbów nie ma
krat.

- Widzisz góry. Widzisz mgłę. Dlatego właśnie tak nazywa się Kasese. To znaczy poranek.

Potem popędził mnie z powrotem do mapy.

- Kumam to znaczy „poszedł na tańce, ale tam nie dotarł”. Kololo pochodzi od wodza, który
oszalał i tam właśnie został odizolowany. To oznacza „sam jeden”. Muhavara - „to, co wskazuje
drogę”, ponieważ tam postawiliśmy znacznik. Mbale pochodzi od króla Omumbale. Według
legandy latał on do tego miejsca z wysp Ssesse na Jeziorze Wiktorii i lądował tam na drzewach.

- Ojciec, musisz już zostawić Nicholasa - przerwał Boniface. - On wcale nie chce tego
wszystkiego wiedzieć.

- Jeszcze tylko trochę. To bardzo ważne, żeby wszyscy ludzie znali naszą historię. Ona jest
ukrywana. Popatrz na to. *Namagasali*. Kiedy tu pojawiły się koleje ugandyjskie, ludzie się
zdziwili na widok pociągu. Chodzili tam i mówili „*Namusa gali*”, co znaczy „Witam pociąg”.
Semuliki: „rzeka bez ryb”. Kiedy przyszli biali ludzie, myśleliśmy, że chcą nam ukraść ryby,
więc taką właśnie nazwę podaliśmy!

Znalazł błękit na mapie.

- Nakiripiripirit. Jest tam jezioro. Kiedy wieje wiatr, woda się porusza i stąd ta nazwa, która

znaczy „ruchome lśnienie”.

- Migotanie - powiedział głośno Bonney.

Jego ojciec zaczął mówić głośniejsze i szybciej, jakby chciał zatrzeć tę pomyłkę.

- Mubende, tam jest pałac na wzgórzu. Bardzo, bardzo stromym. Kiedy więc poddani króla przychodzili z ciężkimi paczkami prezentów dla niego, opadali na kolana. Stąd słowo

kubendabena, od angielskiego *bend down double*, czyli „zgięty wzdłuż aż do ziemi”. Widzi więc pan, nawet język angielski się dołożył.

- A co z Mbararą? - zapytałem z uśmiechem.

- Och, to akurat jest bardzo nudne. To od zielonej trawy, która tu rośnie dookoła. Lepsze jest Koboko, miasto Amina. Jest tam wzgórze o nazwie *kobuko*, o którym mówi historia, że zostało przyniesione przez tajemniczą siłę z Maya w Sudanie. Ta dziwna siła wpełzła je do Ugandy i tam, gdzie wylądowało, zabici zostali wszyscy ludzie, którzy tam byli. Dlatego *kobuko* w języku Kakwa oznacza rzecz, która dusi albo zakrywa tak, że nie można oddychać. Mówię ci, Nicholasie, wszystko, co ci tu teraz opowiadam, to prawda. Na przykład *maya* znaczy wzgórze również w języku Sudańczyków...

- Dobrze, dobrze, ale mam tu coś lepszego niż twoja szalona gadka - powiedziała pani Malumba, wnosząc parującą miskę.

- Pachnie smakowicie - powiedziałem. - Co to?

- To plantany z sosem z kozy i orzeszków ziemnych - odpowiedziała.

Usiedliśmy i pani Malumba odmówiła modlitwę.

- Boże Ojczy, pobłogosław to jadlo, którym nas obdarzyłeś, przez Jezusa Pana Naszego, amen.

- Amen - powtórzyliśmy wszyscy Obserwowałem innych, żeby zobaczyć, jak nabrać ręką kleistą papkę. W trakcie posiłku wkrótce znowu wszyscy zaczęliśmy rozmawiać o plemionach,

paskudny temat, czarnobiały.

- Dlaczego na mnie mówią *muzungul* - Miałem pełne usta i wybełkotałem to słowo, jakbym nie wiedział dokładnie, jak mnie nazywają.

- To tak samo jak wcześniej - powiedział pan Malumba. - *Muzungu*, tylko że wy na wielu ludzi mówicie *Wazungu*.

- Ale co znaczy to *zungu*?

- To po prostu wy, Europejczycy, tak jak Azjaci to po prostu *wahindi*. Są jeszcze *kizunguzungu*, co oznacza „roztrzepany”. Tylko nie wiem, co było pierwsze, *muzungu* czy *kizunguzungu*. Ani czy mają coś ze sobą wspólnego. W każdym razie *muzungu* to słowo, którym ochrzciliśmy was, kiedy się pojawiliście. Tylko tutejsze plemiona mają bardziej skomplikowane nazwy.

- I wielcy ludzie w mercedesach benzach - zapiszczał Gugu. W szkole mówimy na nich *wabenzi!*

Wszyscy się roześmialiśmy, a potem pani Malumba powiedziała z powagą:

- Uważaj, co mówisz, chłopcze. W dzisiejszych czasach możesz sobie napytać biedy.

Bonnie tymczasem patrzył przygnębiony znad swojego talerza. Wyczuwałem, że chciał się mną pochwalić, ale też pochwalić się przede mną, i był zirytowany, że inni zajmują centralną pozycję.

A może tylko tak sobie wyobrażałem. Wtrącił swoje trzy grosze w każdym razie.

- Ale to nie zawsze są plemiona. Czasami *ba* oznacza po prostu „z” albo jakąś grupę, tak jak Abanabugerere oznacza ludzi, którzy mieszkają w Bugerere. I tak dzisiaj nikt nie lubi myśleć o plemionach.

- Kiedy ktoś cię atakuje, musisz mieć plemię. Musicie trzymać się razem, kiedy idzie na noże

- powiedział ojciec surowo.

- Nie jesteś nowoczesny, ojczu. Teraz nie potrzebujemy tych staroci.

- Jeszcze zobaczysz. Kiedy pojechałem do Kampali, widziałem tych wszystkich bandziorów Anyanya i Kakwa, których Amin przyciągnął z północy, by ich wsadzić do policji i wojska. To nie jest dobre. Ci ludzie są inni niż my. Nawet ich ciała są inne. Oni są kościści i cały czas wyglądają, jakby byli źli. Nic dziwnego, że wycięli tylu ludzi. Ściągnęli ich trochę nawet tutaj, do koszar.

- To nadal są ludzie, ojczu, z jakiegokolwiek pochodzą plemienia.

Przeszli na swój język luganda, żeby się pokłócić. Siedziałem w milczeniu, próbując coś wywnioskować z tonacji ich rozmowy. Pani Malumba uśmiechnęła się do mnie, sprzątając talerze. Gugu wybiegł na dwór, a siatkowe drzwi kołysały się za nim na sprężynach.

Podejrzewałem, że zirytowany Boniface zmienił temat, a następnie także język, pytając mnie, czy mogę mu pomóc dostać się na uniwersytet w Wielkiej Brytanii.

- Chcę robić doktorat z dietetyki na Uniwersytecie w Reading - powiedział. - To najlepsza uczelnia. Ale będę potrzebował stypendium. Potem mogę tu wrócić i pracować dla Banku Światowego.

Kiedy zawile tłumaczyłem mu, dlaczego niewiele mogę zrobić, wybawił mnie Gugu, który wbiegł do środka, trzymając za ogon kameleona. Pan Malumba wstał i zaczął krzyczeć.

Najwyraźniej to był zły znak, zranić to zwierzę albo je niepokoić. Gad z szelestem spadł z ręki chłopca na słomianą matę. Ignorując ojca, Gugu uklęknął i zaczął go szturchać.

Pan Malumba pokręcił głową i wstał, by udać się na popołudniową drzemkę.

- Ach, doktorze Garrigan, oby nigdy nie miał pan dzieci. Muszę teraz się położyć. To bardzo miło z pańskiej strony, że spożył pan z nami posiłek.

- Ależ nie - powiedziałem zakłopotany. - Cała przyjemność po mojej stronie. To było pasjonujące spotkanie.

Kiedy wyszedł, Gugu powiedział coś do Bonneya w języku luganda i znowu szturchnął biednego zwierzaka.

Bonney odpowiedział uniesionym głosem. Chłopiec wzruszył ramionami.

- Co on powiedział? - zapytałem Bonneya.

- On chciał wiedzieć, co się stanie. Chodzi o kolory kameleona, ludzie myślą, że to są dusze ich zmarłych przodków. To głupota myśleć, że nie można im przeszkadzać. *Bagagga*, czarownicy w wioskach, udają, że można z tych zmian poznać swój los. Cóż, oni tak mówią, a my im płacimy.

Spojrzeliliśmy na pstrokate stworzenie na podłodze, siedzące bez ruchu. Tylko w jednej chwili podniosło przednią nogę, jak pies, który podnosi łapę, by służyć. Ale oczy o ciężkich powiekach wydawały się nam nieuważne, i moim zdaniem nie zmieniło koloru, ani razu, cokolwiek Gugu do niego przykładał. W końcu Bonney polecił Gugu wynieść kameleona z powrotem na podwórko.

Zostałem do późnego popołudnia. Oglądaliśmy w telewizji film kungfu. Obraz i tak był dość nieostry - zły odbiór - a kiedy spadało napięcie, wszystko robiło się szare. Idąc z powrotem, ćwiczyłem w głowie akrobatyczne manewry Bruce'a Lee: mnóstwo podskoków i chrzęstu kości, wszystko w imię jakiejś skomplikowanej i nieprawdopodobnej zemsty Hong Kong Phooey. A jednak film być dość zabawny i kiedy go oglądałem, zatęskniłem nagle za brytyjską telewizją. A może była to tak naprawdę tęsknota za Wielką Brytanią. Albo za Szkocją. Za domem.

Następna niedziela, tydzień przed wizytą Amina. Strona czy dwie z mojego dziennika, który leży przede mną, kiedy ja piszę wytrwale pod tym stalowym niebem. Boże mój, nie patrz na mnie tak srodze! Jestem zbyt zmęczony przerabianiem tego tekstu (tak zmęczony, że niemal napisałem „Jestem zbyt zmęczony, by to przeczytać”), ale myślę, że może jeśli przepiszę go słowo w słowo, to oddam lepiej klimat tego miejsca. To jest jakiś argument. A więc proszę bardzo:

Kościelne dzwony, kobiety w wiosce tłukące proso w moździerzach. Łup, łup, łup. Przez cały tydzień czułem się samotny i nie robiłem nic. Niewiele było do zapisania, prócz tego, że widziałem w ogrodzie węża. Nikt mi nigdy nie mówił, jak nudna może być Afryka: po prostu powolny upływ czasu.

Weranda, dolina, ja. Dolina Bacwezi. Waziri mówi, że Bacwezi to plemię, które żyło tu dawno temu - około roku 1350, a przywędrowało z Etiopii albo Sudanu. Stracili całe swoje bydło w zarazie, a po najeździe Luo sami zostali wybici. Tamci też już stąd odeszli, a zastąpili ich Ankole, którzy odziedziczyli część tradycji Bacwezi: przekonanie o narodowej jedności - teraz najwyraźniej straconej - i o tym, że bydło to podstawa życia. Na pewno mają setki krów rasy długorogiej. Na rondzie w mieście jest nawet betonowy posąg takiej krowy. Prawdę mówiąc, utożsamienie jest tak silne, że każdego czterodniowego chłopca, ubranego w delikatną, podobną do zamszu skórę przedwcześnie urodzonego cielęcia, kładzie się na grzbiecie krowy i obdarowuje miniaturowym łukiem ze strzałą, żeby jej bronił.

Oprócz krów, Bacwezi czcili drzewa figowe, i gdzieś tu w pobliżu znajduje się ich święty gaj. Waziri mówi, że miejscowi uważają, że jest on pełen duchów i że kiedyś mnie tam zabierze. Potem mówi mi, że sami Bacwezi właściwie wygnali Batembuzi, którzy rządili od 1100 roku. Isuza był ich ostatnim królem, ale zakochał się w

księżniczce z zaświatów. Poszedł tam za nią i nie mógł znaleźć drogi powrotnej. Ale to jego wnuk, Ndahura - „Wysiedlony” - założył Bacwezi. I teraz Ankole uważają tę dynastię za swoje dziedzictwo. Do dzisiaj są tu jeszcze osoby oddające cześć Bacwezi. Rozrzucają oni monety i muszelki porcelanki na ziemię pod świętymi drzewami. Nie mogłem jakoś w to uwierzyć.

- Więc naprawdę to jest cały czas to samo plemię? - zapytałem go.

- Och, nie - odparł. - Tak nie można powiedzieć. W rzeczywistości są dwie grupy Ankole, Bairu i Bahima, jedna arystokratów, a druga niewolników...

A może było odwrotnie? Tyle jeśli chodzi o plemiona.

Mój blaszany talerz śniadaniowy stoi na stole obok mnie, na nim leży łyżka i kawałek papai. Łódka i jej wiosło. Kocham tutejsze owoce, ale tęsknię za porządnym kawałkiem mięsa. Wciąż się wzdriagam przed przyjęciem kucharza, co oznacza, że raz w tygodniu muszę się błąkać po bazarze w mieście, targując się o cenę. Jeśli chcę iść do rzeźnika, muszę się pogodzić z tym, że będę oglądał człowieka z maczetą pod ściernem zwisającym z drzewa. Wołowina z długorogich krów nie smakuje jak wołowina, a wieprzowina jest zbyt podatna na tasiemca - zostaje wychudzony tyłek kurczaka albo kozy, tak twarde, że wymaga uprzedniego kilkumiesięcznego przeżucia przez Eskimosów. Oni tak właśnie zmiękczają skóry. Okoń nilowy też jest przeciętny i zanim tu dotrze z Jeziora Wiktorii, traci sporo ze swojej świeżości. Najlepiej zrobić go w curry, mówi pani M., ale ja nie lubię curry.

Co jakiś czas zabijają krowę na targu, werbując do tej brudnej roboty żołnierza z karabinem. Widziałem coś takiego w zeszłym tygodniu. Strzelił jej w kark. Biedne ciemnobrązowe zwierzę stało tam, patrząc przed siebie ze średnim zainteresowaniem. Kiedy rozbrzmiał strzał, zważyło się na ziemię, wyglądając przy tym dziwnie ludzko (te

kolana i łokcie). Jak ktoś, kto musiał usiąść, bo przekazano mu bardzo złe wieści. Potem ją pocięli i podzielili pomiędzy wszystkich, którzy tłoczyli się dookoła, stojąc z liśćmi bananowymi do zawinięcia mięsa.

Tak. Dni płyną. Tak to wygląda. Słońce świeci. Plantacje bananów wpełzające na wzgórze. Szeregi ich lśniących liści migocą z oddali. Kiedy na nie patrzę, myślę o dachach osiedli mieszkaniowych w Edynburgu. Tu przede mną stoi dziwna chata, ale większość ludzi mieszka w Mbararze i wychodzi doglądać swoich działek. Te nierówne zawijasy maleńkich poletek - prosa, manioku, kukurydzy, orzeszków ziemnych - są zabezpieczone przed erozją dzielnymi tarasikami czerwonej ziemi. W przeciwnym wypadku wielki deszcz zmyłby wszystko ze zbocza w moczary na dnie doliny i do tego małego rowu brązowej wody, gdzie rzeka Rwizi zmusza się do istnienia, zasilana wiązką cieniutkich strumyczków.

W tej chwili nie jest taka cieniutka, teraz, kiedy deszcz naprawdę pada i rzuca do parowów całe swoje piorunujące, psychodeliczne przedstawienie. Jak mojej pierwszej nocy. Niebo grzechocze i nie wiedzieć kiedy ziemia staje się mroczna jak śmierć, ledwie widoczna. Kiedy jest po wszystkim, człowiek czuje się, jakby coś, co trzeba było powiedzieć, zostało powiedziane, ale nie ma pewności, czy w to uwierzyć, ponieważ przedstawienie było tak bardzo przesadzone. Potem znowu świeci słońce i orły i kanie przylatują znad Ruwenzori polować na myszy i szczury.

Ostatnio ptak drapieżny upuścił coś z dzioba na trawnik: nie jestem pewien, czy to był orzeł, czy kania, a skoro o tym mowa, nie jestem też pewien, czy zwierzę, które podniosłem za ogon, było myszą, czy szczurem. Wyrzuciłem je za ogrodzenie. Od czasu do czasu pojawiała się też gromada koczkodanów *tumbili* (którejś nocy słyszałem kilka na dachu, co napędziło mi sporego strachu) i rodzina pasiastych mangust, które biegają

dookoła w poszukiwaniu węży. Wyglądają jak fretki, tylko że są pulchniejsze i pięknie ubarwione w szarobrazowe paski. Mam nadzieję, że dopadły tego węża, którego widziałem.

Na froncie ogrodowym sprawy wymykają mi się chyba spod kontroli, ale minie jeszcze parę lat, zanim ogród obróci się w niwecz. Poprzedni lokator bungalowu - tak jak Merrit, oficer medyczny z administracji kolonialnej, który zdecydował się zostać - był zapalonym ogrodnikiem. Schodki z werandy prowadziły w dół do przelewających się klombów: uroczyn, strelcja, trawa słoniowa, róże, aksamitki wyniosłe - tutaj rosną jak chwasty - a także sukulentki, klerodendron, opuncja, poinsecja, strzałkowiec grzechotkowy.

Pani M. oprowadziła mnie, pokazując mi je wszystkie po kolei, ale wkrótce stały się dla mnie tylko słowami. Niektóre z nich nie są autochtoniczne, powiedziała mi z dumą.

- Stary Saunders, a umarł we śnie, sprowadzał tu nowe gatunki. Posyłał po nasiona do ogrodów Kew.

Tak więc właśnie upływało moje zwyczajne życie. A potem coś się wydarzyło: przyjechał Amin. Tego dnia wokół stadionu ustawiono chorągiewki z liści bananowca. Sobota. Poszedłem tam z Sarą. Z powodu tłumów nie mogliśmy za dużo zobaczyć, tylko jego wielki helikopter lądujący na środku boiska.

Kiedy wyszedł na podium, rozległ się potężny ryk. Ogromne ciało skrywało się pod tradycyjnymi szatami. Wtedy po raz pierwszy go widziałem, i był to widok imponujący. Miał tę aurę, którą trudno opisać, a która miała o wiele więcej wspólnego z brzmieniem jego głosu niż z futrami, skórami i piórami jego przybrania głowy.

- To zdumiewające, że on cieszy się taką popularnością - powiedziała Sara. Trzymała mnie za ramię, bo tłum tak mocno na nas napierał.

- Przybyłem - powiedział Amin do mikrofonu - porozmawiać z wami o Bogu. Ponieważ to on pomógł wam tutaj w Mbararze i mogliście stać się najlepszymi obywatelami Ugandy. Tak, jestem bardzo z was dumny.
- Tłum zawył uszczęśliwiony.
- Mogę - ciągnął Amin - użyć jednak lepszych słów, bo takie są. Żebyście stali się szczęśliwi, musicie wierzyć w Boga bardzo mocno. Nawet jeśli jesteście chrześcijanami, muzułmanami, czy czym tam jesteście. Ponieważ on rządzi ponad wszystkim, co się dzieje, ponad wszystkim, co o nim myślicie. Tylko dlatego, że nie możecie myśleć o nim albo o tym jakby to było, gdybyście uścisnęli mu rękę, to nie znaczy, że go tu nie ma.
- Niezły z niego filozof - powiedziałem do Sary.
- Tak sądzisz? - zapytała z powagą. - Nie daj się ogłupić.
- Ty zawsze wszystko bierzesz dosłownie - zażartowałem sobie z niej.
- Jak myślicie, kto zrobił ten świat? - krzyczał Amin. - Jak myślicie, kto zrobił mnie? To musiał być Bóg. Dlatego właśnie musicie bardzo ciężko pracować. Jeśli nie będziecie ciężko pracować, a Bóg tak zechce, jutro rano słońce nie wzejdzie.
- Powinni to wypróbować w Anglii - powiedziałem. - W ten sposób można by rozwiązać problem bezrobocia.
- Nie bądź niemądry - powiedziała Sara. Zauważyłem, że zapisuje coś w notatniku.
- A więc - ciągnął Amin - musicie pełnić swoją powinność na polach i w fabrykach. I z tego powodu musicie być z Bogiem. A teraz powiem tyle. Otrzymałem kilka skarg o stanie spraw w Ugandzie. *Wananchi* narzekają na rewizje i przejęcia. Cóż, powiem wam, że wszystko, co się robi w moim imieniu, to jest słuszne. Każda zła rzecz zrobiona to jest zrobiona przez tych, którzy są mi nieposłuszni. Nie mogę być wszędzie jednocześnie, nie mogę stać się niewidzialny.
- Dlaczego to zapisujesz? - zapytałem Sarę.

- Tak z ciekawości - powiedziała, zerkając na mnie. Jak mogłem być tak tępy, zastanawiam się teraz, tak ślepy.

Głos Amina niósł się po stadionie.

- Mam całą władzę w Ugandzie, to prawda, ponieważ za mną stoją ludzie. Ale nie jestem władzą najwyższą. Podnoszę rękę, pozwalam jej opaść, w rządzie, tak robię. Ale to siebie samych powinniście pilnować. Jednocześnie, jako zwyczajny Ugandyjczyk, ja sam wiem, czym jesteście. Żyję w środku każdego z was, znając wasze nadzieje i wasze marzenia.

Widziałem go tam na podium, tak jak widziały go setki ludzie wokół mnie. Niewątpliwie było w nim coś fascynującego: jakiś surowy, prymitywny urok, który nakazywał uwagę, wymuszał aprobatę, pokonywał opór, kazał się zatracić już w samej modulacji jego głosu.

- Dlatego właśnie musimy pracować razem i powstrzymać korupcję - powiedział. -

Nieustanne czerpanie opróżnia tykwę z miodem, a jeśli chcemy, żeby Uganda dalej była rajem, musimy budować ule i fabryki, i gospodarstwa rolne. Musimy działać. Bo ten, kto pragnie, a nie działa, rodzi zarazę. A my tego w Ugandzie nie chcemy, prawda?

Tłum zawył.

- W przeciwnym razie - mówił dalej - znowu się znajdziemy pod władzą białych ludzi. Albo ich afrykańskich sług. Nie można odplacać pięknym za nadobne. Dlatego właśnie musimy znać powód niesnasek politycznych w Ugandzie i zlikwidować je. Tak jak lekarze, musimy najpierw poznać przyczynę choroby. Ja sam wiem, co ma się wydarzyć. Te rzeczy muszą się wydarzyć. Ale nie wiem jak. Jestem tylko człowiekiem, jak wy wszyscy Dlatego właśnie muszę was prosić, byście byli lekarzami Ugandy w codziennym życiu. To konieczne. Musimy dalej uzdrawiać swój kraj z choroby Obote i imperializmu.

Sara się rozejrzała.

- Lepiej stąd chodźmy - szepnęła - mogą nas zaatakować.

- Naprawdę tak sądzisz? - pomyślałem, że trochę przesadza.

- Chodźmy - odparła stanowczo. Przepchnęliśmy się przez tłum, który nie odrywał oczu od Amina, chwycił każde jego słowo odwołujące się, tak się wydawało, do własnych pragnień tych ludzi. Kiedy wspinaliśmy się do obozu, a za nami cichła płynąca z głośników mowa Amina i wiwaty tłumu, Sara milczała lub odpowiadała mi monosylabami, gdy ja do niej mówiłem. Mnie samego to wszystko ekscytowało, ale ona odmówiła, kiedy ją zaprosiłem na kawę.

- Mam pracę - powiedziała.

- Ale jest sobota.

- To moje osobiste sprawy.

Rankiem w poniedziałek po wizycie Amina zobaczyłem Merrita przy wielkim stosie za ogrodzeniem kliniki. Podszedłem zobaczyć, co tam robi. Stał przed małym, ale wyjątkowo paskudnie śmierdzącym ognisku, z małą torbą u stóp.

- Co pan robi? - zapytałem, patrząc trochę uważniej. W skwarze pękały butelki i fiołki, a ich lśniące metalowe nakrętki wykręcały się w powolnych, agonalnych skrętach. - Myślałem, że palicie tylko raz do roku.

- To organizacje dobroczynne. Przysyłają przeterminowane lekarstwa. Całkowicie bezużyteczne. Jeśli ich nie spalę do szczytu, pacjenci ukradną je ze śmieci i sprzedadzą na bazarze. Spójrz na to - sięgnął do torby i wyciągnął garść czerwonożółtych kapsulek - tetracyklina, bezużyteczna, jeśli nie zastosujesz jej właściwie. Robi więcej złego niż dobrego.

Jeszcze w tym samym tygodniu poszedłem z Wazirim do miasta na lunch. Kurczak z rusztu w Pensjonacie Riheka („Całodobowy pub, wygodny i rozrywkowy”) z frytkami i grubo siekaną sałatką.

- Nie powinniście byli tam chodzić - powiedział, kiedy mu zrelacjonowałem przemówienie Amina.

- Dlaczego?

- Dajecie mu wiarygodność. Jeśli przyjdą biali, pomyślą wszyscy, że on jest jeszcze lepszy, a już o nim myślą dobrze.

Ale i tak chciał wiedzieć, co Amin powiedział. A kiedy mu trochę wspomniałem o *wananchi*, którzy są lekarzami Ugandy, on uraczył mnie interesującą historią. Sam, jak mówił, poznał ją z ust swego dziadka. Antylekarska obsesja najwyraźniej zapanowała tu w latach dwudziestych. Ponieważ europejscy lekarze nie umieli wyleczyć wszystkich chorób, z którymi mieli do czynienia, i ponieważ Biblia nie wspominała o nowoczesnym leczeniu, z przeciwników zachodniej medycyny powstała wojownicza chrześcijańska sekta.

- Rozbijali butelki, i to nawet można zrozumieć. Opowiadano im o tym wszystkim, wyjaśniano, a jednak nadal były wszystkie inne rzeczy - dżuma, śpiączka, trąd - których nie dało się pojąć. W każdym razie nie wtedy. Musisz pamiętać, że to było niedługo po tym, jak każdy *muzungu* był uważany za *musawo*, lekarza, czy to był żołnierz, kupiec, czy urzędnik. Bez różnicy. W tamtych czasach byliście wszyscy cudotwórcami, Nicholasie.

- A więc oni wrócili do Biblii?

- Zgadza się, i to w zasadzie tylko do Starego Testamentu. Niektórzy stali się nawet żydami. Nie żartuję. Wierzyli w białe słowo, ale nie ufali białym ludziom. Wierzyli w Najwyższą Istotę, w tego, kto wymierza sprawiedliwość i karę przez choroby i uzdrawianie, kto zajmuje się ich chorobami. *Katonda omu ainza byonna*. Bóg wszechmogący, innymi słowy. Wcześniej, mam na myśli afrykańską boskość, on po prostu tworzył, a potem umknął cichcem. Teraz był kimś w rodzaju specjalisty, na dyżurze.

Roześmiałem się.

- Nie żartuję - ciągnął. - To poczucie, że chroni ich jeden Bóg, naprawdę przede wszystkim przyszło od *muzungu*. Od wszystkich tych misjonarzy, którzy myśleli, że ich posłannictwem jest nauczanie. Niesienie światła. *Omushana*, tylko że wyłącznie po angielsku.

Pokręcił głową.

- To właśnie przydarzyło się mnie, dlatego zostałem lekarzem. Prawdziwym synem Białych Ojców.

- Obiecuję, że nie będę roznosił żadnego światła - powiedziałem.

W drodze powrotnej widzieliśmy na ulicy dziewczynę, która kucała na ulicy, z sukienką podkasaną powyżej kolan.

Mocz spływał na chodnik, tworząc w kurzu strumyczek, zbierający pył jak żuk.

- Ech, ci ludzie - powiedział Waziri, kręcąc głową.

- Nie bądź taki surowy - powiedziałem. - To jeszcze dziecko.

Tego popołudnia zawiozłem kolejne ciało do kostnicy. Kółka wózka tańczyły na pochyłej podłodze korytarza. Jak zwykle. Dotarłem tam i odkryłem, że obie chłodnie są zajęte. Więc ten musiał zostać na wózku.

Kolacja u Meritów - czytam w swoim dzienniku wpis godzin pensjonarki - z Ivorem i Sarą. Ona była ubrana w ciemnoniebieską koszulę z jedwabiu. Nie mogłem oderwać wzroku od miejsca, gdzie jej włosy stykały się z kołnierzykiem. Zmieszane razem kasztan i granat, miód i krew dawały barwę siniaka.

Ivor upił się podczas posiłku, co było nieco stresujące. Merrit uraczył nas niekończącą się opowieścią o swoim koledze z Oxfordu, który dorobił się majątku na przemyśle odzieżowym, a w pewnym momencie określił go mianem „bardzo żydowskiego”.

Urwał i spojrzał na Sarę, która walczyła z porcją twardego kurczaka.

- Och, Chryste, przepraszam - rzekł, waląc się dłonią w czoło.

- A za co? - zapytała, nie przerywając krojenia mięsa. - Skoro był bardzo żydowski, to znaczy, że taki był.

Przez chwilę panowała cisza.

- Naprawdę powinien się pan postarać o ogrodnika, Nicholasie - odezwała się wreszcie pani Merrit. - To po prostu nie w porządku wobec ogrodu.

- Nie, ale ogród też nie był w porządku wobec Adama i Ewy - wybełkotał Ivor. Broda opadła mu na przybrudzony węzeł żółtego krawata.

Pani Merrit posłała mu lodowate spojrzenie, a jej mąż powrócił do swojej opowieści.

- Tak czy inaczej...

W drodze powrotnej, kiedy już odstawiliśmy Ivora do jego bungalowu, Sara zaprosiła mnie do siebie na whisky. Jej mieszkanie umeblowane było jeszcze skromniej niż moje: znajdowały się w nim jedynie biurko, krzesło i sofa. I pewnie łóżko, choć nigdzie go nie widziałem.

Miała także dużą krótkofalówkę. Podobną do tej u Merrita, tyle że nadawczoodbiorczą, z anteną biczową i czarnym mikrofonem na spiralnym przewodzie. Ten ostatni właśnie mnie

zaskoczył.

- W Izraelu mają je wszyscy lekarze - wyjaśniła, gdy ją o to spytałem. - Dostałam ją razem ze stypendium.

- Ale z kim rozmawiasz? Z Marsjanami? - Byłem już niezłe wstawiony.

- Nie bądź niemądry.

Wstała i przeszła na drugi koniec pokoju do miejsca, w którym stało radio. Przyglądałem się, jak na jej koszuli tańczy światło.

- Gdybym chciała, to mogłabym zadzwonić nawet do Tel Awiwu. Rzecz w tym, by mieć możliwość konsultacji w przypadku rzadko spotykanych chorób. Albo w jakimkolwiek innym.

Przekręciła gałkę i pojawiła się fala białych szumów. Na niej albo za nią, czy jak to się określa w tym radiowym świecie, słychać było niesamowite elektroniczne rzenie, nierówno wznoszące się i opadające, oraz głęboki, miękki głos, który zacinając się, recytował w obcym języku jakieś monotonne polecenia albo kombinacje wyrazów i liczb. Brzmiało to tak, jakby któryś z proroków odczytywał wyniki meczów piłki nożnej. Podczas śnieżycy. Na koniu, który poniósł.

Sara wyłączyła radio i usiadła na drugim końcu kanapy. Podczas rozmowy stopniowo przysuwałem się do niej. Centymetr po centymetrze. I z największą przyjemnością zostałem u niej dłużej, pijąc i przysuwając się coraz bliżej, ale w końcu mnie wyrzuciła, poklepując po ramieniu.

- Nicholas, czas na ciebie. Bo zamienisz się w takiego pijaka jak Ivor.

Przy drzwiach cmoknąłem ją w policzek. Jej spojrzenie pozostało całkowicie neutralne, nie ujawniając, czy moje zachowanie było mile widziane.

Boże, zrobiłem z siebie głupka.

Idąc kilka dni później przez busz, na wzgórzu ponad kliniką ku swemu wielkiemu zdziwieniu

dostrzegłem lamparta. Spojrzał na mnie, a potem po prostu położył się spokojnie na trawie, liżąc łapy jak kot. Niezłego miałem wtedy pietra, ale potem, gdy opowiedziałem o tym Sarze, byłem z siebie całkiem zadowolony.

- Kiedy natrafi się na dzikie zwierzęta, trzeba po prostu zachować spokój - powiedziałem. - Nie wolno pozwolić im wyczuć, że się boisz.

- Najwyraźniej bardzo dużo wiesz na ten temat - odparła chłodno.

W piątek zobaczyłem w ogrodzie parę żurawi. To narodowy ptak Ugandy: wspaniały żółty czub, czarnobiała głowa i długi, sterczący dziób, nadający im wyraz zabawnie zdumionych. Świetny do zabijania węży. Te wysokie, energiczne i charakterne stworzenia kroczyły dumnie po trawniku, aż zbliżyły się na tyle, by zastukać dziobami w okno w salonie. Myślały pewnie, że spotkały wroga, ale to było tylko ich odbicie w szybie.

Raz do roku, jak dowiedziałem się od Waziriego, zlatują się i wspólnie odbywają taniec godowy, drepcząc w kręgu na trawniku. Nigdy tego jednak nie zobaczyłem.

W kwietniu znowu ruszyłem z Wazirim w trasę. Zatrzymywaliśmy się w rządowych ośrodkach, hotelach, a raz w pokoju nad barem. Zachodnia Ankole: Buhweju, Bunyaruguru, Kajara, Shema, Igara. Od wtorku do piątku. Podróżowaliśmy wzdłuż pasma wulkanicznego, przekraczając w jednym miejscu granicę z Zairem, który powiedzmy, że jest francuskojęzyczny. Ubawiłem się na widok pewnej tablicy. Napis „Witamy gorąco w Zairze, niezwykle piekielne widoki” widniał na niej pod obrazem gór, wypluwających lawę i popiół.

W przerwie swojego szczepiennego safari zatrzymaliśmy się w Kabale, mieście położonym na wzgórzu po stronie ugandyjskiej. Zwiedziliśmy wytwórnię wina bananowego. Mdłe „Banapo” produkował Belg, niejaki Grillat. Ubrany był w pognieciony biały garnitur i miał złoty ząb. Spróbowaliśmy wina z małych szklaneczek. Grillat rzekł, że tu w Ugandzie banany są nie tylko podstawowym składnikiem diety.

Widzę, że zapisałem to sobie. (Pewnie jestem osobą dość zorganizowaną, choć ciężko dojść do tego wniosku, patrząc na moje życie.)

Poza żywnością i winem, oto, do czego używano bananów:

dachy,

karma dla bydła,

ubranie (Adam i Ewa),

medycyna (okłady),

farbowanie,

ocet,

materiał do pakowania (broń, zwłoki).

W czwartek Waziri zostawił mnie w hotelu Pod Białym Koniem, wysoko na wzgórzach, i przepadł gdzieś na całe popołudnie.

- Mam tu w pobliżu rodzinę - rzekł. - Muszę im zawieźć pieniądze.

Wrócił dopiero rano, co mnie zirytowało, gdyż czekałem, by wspólnie z nim coś zjeść. Kiedy się zjawił, zauważyłem, że jego ubranie, zazwyczaj nieskazitelnie czyste, jest całe zakurzone.

- Dawna miłość? - zapytałem.

- Można tak powiedzieć - odparł. Sprawiał wrażenie zirytowanego.

W drodze powrotnej przejeżdżaliśmy przez teren słynący z intensywnej uprawy bananów.

Waziri powiedział, że lubi obserwować proces wzrostu drzewa. Kiedy nadchodzi pora kwitnienia, ze środka rośliny - wysokiej na pięć lub sześć stóp - wyrasta czerwony pąk, który następnie wygina się ku ziemi, otwierając się powoli, by ukazać trzy rzędy niewielkich kwiatów.

Zgodnie z wywoдем Waziriego:

1. Z najwyższego rzędu rodzą się banany.
2. Najniższy rząd wytwarza pyłek kwiatowy.

3. Środkowy rząd odpada.

4. Drzewo umiera.

- To fascynujące widowisko - rzekł. - Cykl trwa około osiemnastu miesięcy i obserwuję to każdego roku. Brakowało mi tego, kiedy byłem na studiach podyplomowych w Ameryce.

Kiedy wróciliśmy, przeszedłem na drugą stronę ogrodzenia osiedla, by zobaczyć to na własne oczy. Na drzewie owoce są zielone, rosną w zwartych kiściach po dwadzieścia lub trzydzieści, rzędami, skierowane ku górze, a czerwony pąk zwisa poniżej. Wygląda jak łóżysko i ma też taką właśnie konsystencję. Żywa tkanka.

Z jednego pąka wyrasta tylko jedna kiść bananów. Drzewo umiera, ale każdego sezonu u stóp martwej wyrasta nowa roślina. Bóg jest wielki, jak mawiali muzułmańscy pacjenci, kiedy już wyzdrowieli. Większość z nich chodziła jednak do doktora Ghose w mieście.

W maju młoda kobieta - właściwie to dziewczyna, z nadwagą, lecz o zadziwiająco ładnej twarzy - zjawiała się w towarzystwie matki, uskarżając się na ból pleców.

- Za dużo pracuję motyką - rzekła do mnie z jękiem.

Kazałem jej położyć się na kozetce, a nie znalazłszy wyraźnej przyczyny bólu, chciałem ją wysłać na prześwietlenie. Nagle dziewczyna siadła i zaczęła się rzucać. Właśnie zaczęła rodzić.

Wyglądało na to, że biedaczka nie miała pojęcia, co się dzieje. Głupio się czując, sam musiałem przyjąć poród, ponieważ na miejscu nie było żadnego innego lekarza. To był mój pierwszy poród od czasu przybycia do Ugandy, i właściwie odebrała go Nyala, afrykańska pielęgniarka. Obserwując postęp akcji, przypomniałem sobie chłodne, aczkolwiek nieco zabawne słowa jednego z surowszych kolegów mego ojca, wypowiedziane z silnym akcentem Fife w reakcji na wiadomość, że wskaźnik narodzin w Fossiemuir skoczył ostro do góry: „Dlaczego oni to robią? Rodząc się, od razu jesteśmy w stanie grzechu, a przynajmniej większość z nas.

Pozostali mogą mieć jedynie nadzieję na to, że nie będzie trzeba im wybaczać zbyt wiele. Ta

kropla przebaczenia jest nalewana niezwykle oszczędnie".

Początkowo wydawało mi się, że przyczyną, dla której dziewczyna tak błędnie oceniła swój stan, jest forma zaprzeczenia. Ze ta „praca motyką” to podwojenie jej świadomości: czuje się „winna” bólu pleców, a nie ciąży. Później zrozumiałem, że nie miałem racji: w Ugandzie ciąża nie jest naznaczona piętnem. Matka dziewczyny z radością przyjęła przyczynę dolegliwości. Uderzyło mnie, że skoro można przeoczyć coś tak podstawowego jak ciąża, to w takim razie co jeszcze? Żadna diagnoza nie jest bezbłędna. Potrzebowałem dużo czasu, aby to pojąć (studia medyczne zachęcają do podejścia dokładnie odwrotnego). Aby zrozumieć, że nie ma wszechstronnego systemu rozumienia, a przynajmniej nie w taki sposób, że narządy ciała są częścią wspólnej struktury.

Nie zawsze tak uważałem. Kiedy byłem dzieckiem, jedną z moich ulubionych książek, obok powieści przygodowych, atlasów i klaserów, była należąca do mego ojca, oprawiona w skórę, encyklopedyczna, kalendarzowa edycja *Księgi wiedzy* Odhama. W wydanej w latach dwudziestych księdze zawarte były ważne wydarzenia z danego dnia wraz z dopiskiem, gdzie dalej w książce można znaleźć o nich informacje: wszystko było ze sobą połączone, każdy element ratyfikowany przez kolejny. W szpitalnej bibliotece wiele było zresztą podobnych pozycji: *Encyklopedia gospodarstwa domowego* Harmswortha, *Przewodnik po brytyjskiej farmakopei* Squire'a i tak dalej. Najpewniej przywieźli je moi poprzednicy, pokonując drogę przez kontynent, od misji do misji, od szpitala do szpitala. Światło poszukujące światła.

Przewodnik.

A skoro już o tym mowa, muszę opowiedzieć, co Waziri powiedział mi o miodożerze.

Miodożerze i miodowodzie. Miodowód to mały ptaszek. Podskakuje sobie, wiodąc miodożera do ula, do którego sam nie może się dostać, bo ul jest zbyt solidnie zbudowany. Miodożer rozbija go przednimi łapami, je do syta, a i tak zostaje dość dla ptaszka. Już wcześniej słyszałem coś

podobnego - zaskoczyło mnie jednak to, w jaki sposób miodożer broni się przed pszczelimi żądłami: najpierw wydrapuje pazurami niewielką dziurę w ulu, potem odwraca się, napina i odurza je cuchnącym gazem z tyłka.

Mój Boże, jak ten czas szybko mijał. Wszedłem do bungalowu i wróciłem z lampą sztormową. Znowu weranda, drugi rok w Ugandzie. Pamiętam, że zbyt szybko robiło się za ciemno. Pisanie w coraz słabszym świetle, którego słabnięcie dokładnie widać - jak to na równiku - jest niczym kąpiel w wannie, z której wycieka woda. Dziwne uczucie. Jakby to było, gdyby opuszczała cię własna dusza? Tak naprawdę to jedynie przemieszczenie organu, ciało zachowuje swoją rzeczywistą masę. Ale i tak jest dziwnie.

Pewnej nocy z koszar dobiegał wielki hałas, słychać było strzały, a potem głośny wybuch. Widziałem w dole płomienie. Nazajutrz rano dowiedzieliśmy się od Waziriego, że oddział z północy zabił wszystkich żołnierzy Langi i Acholi.

Nie wyglądał najlepiej, gdy mówił nam o tym monotonnym głosem, siedząc w gabinecie ze wzrokiem wbitym w blat biurka. Zielona maska chirurgiczna wisiała mu na szyi.

- Było ich całe mnóstwo. Na własne oczy widziałem ciężarówki wywożące ciała, nawet rękę wystającą spod klapy. To było straszne. Podobno ciała wywieziono do lasu, a wcześniej wsadzili ich wszystkich do jednego pomieszczenia, z dynamitem. Ułożonym w sterty pod ścianami. Tym, którzy przeżyli, poderżnęli gardła.

W czerwcu zniknęli dwaj Amerykanie. Przyjechali tutaj niebieskim volkswagenem i wypytywali o żołnierzy. Ja ich nie widziałem, ale Sara mi powiedziała, że rozmawiała z jednym z nich.

- Mówił, że jest dziennikarzem. Chciał się dowiedzieć czegoś na temat zabójstw.

Leżeliśmy obok siebie nadzy i wpatrywaliśmy się w sufit. To był nasz pierwszy raz. Niemal cały weekend w łóżku. Myślałem wtedy raczej niemądrze, że to takie szkolenie z zakresu seksu na resztę życia. Jej włosy leżały rozrzucone na poduszce, a w ogrodzie kwitł płomień Afryki. Chciałem, by przestała mówić o tych innych, mroczniejszych sprawach. Ja mogłem myśleć

tylko o nas.

- Twarda, lecz czuła Sara z Izraela - powiedziałem, przekręcając się na bok i gładząc ją po brzuchu.

Uśmiechnęła się mimowolnie.

- Nie bądź... ja to mówicie po angielsku?... nie bądź cymbałem!

Przesunąłem dłoń wyżej i próbowałem ją połaskotać, ale przytrzymała mi mocno nadgarstek, po czym wspięła się na mnie, przygważdżając mi ręce do poduszki.

- Jesteś moim jeńcem - wyszeptała mi do ucha. - Musisz robić, co ci każę.

- Amerykanie pokłócili się z majorem Mabuse - oznajmił w poniedziałek Waziri w klinice. -

Podobno zakłuto ich bagnetem i zakopano przy drodze.

Następnego dnia zobaczyłem w mieście majora Mabuse. Prowadził niebieskiego volkswagena, na którego desce rozdzielczej leżała jego czapka z daszkiem. W dziennym świetle blizny na jego policzkach były tak wyraźne, że aż dotknąłem własnej twarzy, by sprawdzić jej gładkość.

- To głupota - zauważył Ivor, kiedy opowiedziałem o tym wszystkim na stołówce w klinice. -

Można by pomyśleć, że będzie choć trochę się z tym krył.

Również w czerwcu zobaczyłem w Rwizi zwłoki, pod mostem Ngaromwenda. Proces rozkładu sprawił, że ciało topielca było nabrzmiałe niczym padła owca, którą widziałem kiedyś w domu. Jego głowa zaklinowała się między dwoma głazami. Nadmuchany jak balon tułów wznosił się i opadał razem z prądem rzeki, niczym makabryczny instrument pomiarowy.

I również w tym miesiącu otrzymałem od mojej siostry Moiry cienki list lotniczy. Donosiła w nim o śmierci ojca. A potem drugi, tym razem z wiadomością o śmierci mamy. Dwa wydarzenia, które zbliżyła do siebie fatalnie działająca poczta. Konsekwencje, konsekwencje: to o nie przecież chodzi. Za każdym razem zastanawiałem się, czy powinienem wrócić do domu, a potem

miałem wyrzuty sumienia, że tego nie zrobiłem. Teraz nie jestem w stanie pojąć, jak mogłem być tak bezduszny. Ale być może już wtedy coś zaczęło się we mnie zamykać.

I jakby tego było mało, w klinice wybuchł mały pożar. Nikt nie zauważył, że w ambulatorium przewróciła się butelka z alkoholem etylowym, którego strużka popłynęła korytarzem do lodówki z naftą. Na szczęście nikt nie zginął, ale zniszczeniu uległa część jednego skrzydła, włącznie z biblioteką. Merrit był wściekły, a ja rzecz jasna nie mogłem mu powiedzieć, że to być może moja wina. Ale sam nie byłem pewien. Pamiętam jedynie, że w dniu, w którym się to stało, usłyszałem brzęknięcie, gdy zamykałem drzwi apteki. Po ugaszeniu pożaru (cały personel biegał z wodą w wiadrach i wszystkich pojemnikach, które były pod ręką) wszędzie było czuć zapach spalenizny, nawet kiedy już robotnicy zburzyli zniszczone części budynku. Pomimo takich właśnie okoliczności bardzo dobrze się układało między mną a Sarą. Pewnej niedzieli pożycziliśmy z kliniki landrower i udaliśmy się na piknik nad górskie jezioro nieopodal Kabale. Gestem magika rozłożyłem na trawie pled. Nigdy nie widziałem równie uroczego i romantycznego miejsca: wzgórze koloru głębokiej zieleni, porośnięte kaktusami, paprociami i lobeliami, a daleko w dole na tarasach kwitły krzewy kawowe. Wysoko w górze szczyty Ruwenzori zajmowały się swoją wulkaniczną działalnością, zgniatając i skręcając pokryte mchem skały i zamglone, porośnięte drzewami płaskowyże. Przypomniało mi się określenie z *Ugandy dla podróżnych*: „zaskakujące dla petrografów” - badaczy skał. A nie fotografów, jak na początku błędnie przeczytałem.

Sara trzymała głowę na mojej piersi, wbijając mi podbródek. Widziałem nasze zdjęte buty, zrzuczone na stos przy skraju pledu, a dalej platynową broszę jeziora, wpiętą w górskie zbocze. Daleko pod nami - tam, gdzie teren opadał w dolinę - szybował orzeł, wypatrując małą, które stanowiły jego pożywienie. Wokół nas rozbrzmiewały nawoływania gołębi, sfruwających z furkotem skrzydeł w dół zalesionych zboczy, oraz setek innych ptaków, których nie byłem w

stanie nazwać.

- Podobno przesuwają się o milimetr rocznie - wymruczałem w jej włosy.

- Co? - Jej głos był także przytłumiony. Czułem na ciele jego wibracje.

- Góry... pasmo górskie.

- Myślałam, że chodzi ci o to.

Osunęła się, podciągając mi koszulę, a w mojej głowie pojawiły się obrazy grzbietów górskich i szczelin, Gór Księżycowych, które wyginały się i rozciągały daleko pod nami, rozgrzewały się do niesamowitej temperatury, nakładając na siebie warstwę po warstwie, jeden osad po drugim - a wszystko to prowadziło dokąd? Co będzie za milion lat? Na ułamek chwili zawisł w pobliżu nas malachitowy nektarnik. Nagle jego upierzenie eksplodowało w moich oczach niczym błyskawica, a chwilę później nie było po nim śladu.

Jakiś czas później wstaliśmy i udaliśmy się na spacer, by zbadać obrzeża łąki. Na porośniętej trawą wychodni szczebiotało kilka góralków skalnych. Gdy podeszliśmy bliżej, dały nura do szczeliny. Pod skałą rósł duży, żółty kwiat.

- Spójrz - rzekła Sara. - To czyjś dom. Zerknąłem do środka. Kielich kwiatu wypełniony był deszczówką. Unosiła się na niej maleńka, intensywnie zielona żabka. Jej ciało było zupełnie nieruchome, jedynie oczy poruszały się szybko.

- Przynajmniej nie potrzebuje łazienki - powiedziałem. Kiedy trzymając się za ręce, wracaliśmy do miejsca, gdzie rozłożyliśmy pled, przepełniała mnie radość i miłość. Pomiedzy palcami stóp czułem wilgotną trawę, a z podwójnego, zakrzywionego dzioba siedzącego na omszałej gałęzi dzioboroźca wydobył się głośny pisk.

Ledwie zdążyliśmy usiąść, gdy rozległ się kolejny dziwny odgłos. U podnóża Ruwenzori rozbrzmiały - ku naszemu bezgranicznemu zdziwieniu - dźwięki dud. Nie wiadomo skąd wyłonił się oddział żołnierzy w pełnym szkockim rynsztunku - kilty, sporrany, skarpety w białoczerwona

kratkę, bębny i dudy - maszerując drogą gruntową, jak gdyby nigdy nic, a ponad krzakami unosił się dźwięk ich cudownych instrumentów. To musiał być patrol graniczny. Ale jaki patrol! Ich mundurowe bluzy w kolorze khaki przepasane były granatowymi, szerokimi pasami, a na głowie każdy żołnierz miał wysoki czerwony fez z czarnym chwastem.

Najdziwniejsze z tego wszystkiego było to, że zupełnie nas zignorowali, jakbyśmy byli częścią tej dziwacznej parady. Nie obserwatorami, lecz uczestnikami. Siedzieliśmy oszołomieni, kiedy odmaszerowywali, i może nawet uznalibyśmy ich za duchy, które wraz z mgłą pojawiły się na Ruwenzori. Tyle że muzykę słyhać było długo, z odległości wielu mil. Oniemiali przyglądaliśmy się, jak maszerują drogą do miasta, a ich dziwaczne postacie stawały się coraz mniejsze.

W drugiej połowie roku wszystko przebiegało gładko, choć nie dawała mi spokoju infekcja ucha.

W każdym razie sądziłem, że to infekcja, i leczyłem ją w związku z tym antybiotykami. Okazało się jednak, że to po prostu niedrożność. Sara obejrzała to i przepłukała, dzięki czemu moje uszy cudownie odżyły i zaróżowiły się niczym petunie w oknie po deszczu.

- Mam wrażenie, że ktoś podkręcił dźwięk - powiedziałem.

Sara wylała płyn do zlewu.

- Masz najdłuższe kanały uszne, jakie zdarzyło mi się widzieć - rzekła. - Niczym wywinięte muszle morskie.

Tamtej nocy kochaliśmy się czule. Kiedy obudziłem się rankiem, dzięki swym nowym, czystym uszom usłyszałem, jak Sara ponagłającym tonem rozmawia po hebrajsku przez radio.

Czekając, przeczytałem gazetę „Uganda Argus”, a potem „Observera” sprzed dwóch tygodni.

Amin składał w Rzymie wizytę Pawłowi VI. W Zjednoczonym Królestwie poseł z Partii Pracy ostrzegał, że w Yorkshire po śmierci strajkującego górnika może nastać „nowy Ulster”. Specjalna komisja badała spór dotyczący węgla, a druga zajęła się „krwawą niedzielą”. To już lepiej być tutaj, pomyślałem.

- Z kim rozmawiałaś? - zapytałem Sarę, gdy już skończyła.

- Z Tel Awiwem. Chcę, by dali mi podwyżkę.

- Załatwisz ją też i dla mnie?

Przechyliła głowę na bok. Wyglądała na zmartwioną.

- O co chodzi? - zapytałem.

- O nic.

Tego ranka miałem zajęcia z dwoma stażystami ze Szkoły Medycznej w Mulago. *Z Praktyki chirurgicznej w zarysie* Baileya i Love'a przeczytałem im na głos fragmenty dotyczące

przemilego tematu dnia:

Nazwa „syfilis” bierze swój początek z wiersza medyka Girolamo Frascatoro, wydane go w Wenecji w 1530 roku. Opowiada on o pasterzu Syphilusie, którego ukarano chorobą za znieważenie Apolla. Wróciwszy z Haiti w 1493 roku, Krzysztof Kolumb przywiózł ze sobą syfilis, papugi i rzadko spotykane rośliny. Król i królowa powitali go z największymi honorami [...].

Kiedy pacjent miał spękany język, zakładano, że cierpi na dziedziczny lub nabyty syfilis. Pęknięcia, nawet te głębokie, są zwykle wrodzone. John Thompson, zbadawszy wiele przypadków, stwierdził, że pęknięcia języka nie występują od razu po narodzeniu, ale że nabywa się je we wczesnym dzieciństwie...”

I tak czytaliśmy na zmianę, a potem pokazałem stażystom ciało dotknięte tą chorobą. Chyba doznali wstrząsu.

Gdy wieczorem wróciłem do domu, usłyszałem w serwisie zagranicznym, że w Wielkiej Brytanii ogłoszono stan wyjątkowy.

- To nie to, co u nas - stwierdziła z rozdrażnieniem Sara, gdy jej o tym powiedziałem. - W Izraelu stan wyjątkowy trwa nieustannie.

We wrześniu po raz pierwszy sam wyruszyłem w trasę. Waziri był na urlopie. Wszystko było w porządku, przynajmniej dopóki nie wróciłem do domu. Przyjechałem wieczorem, zmęczony i brudny, i przed swoimi drzwiami dziecko - zeszywniałe, z błyszczącymi oczyma i drgającym jabłkiem Adama. To był Gugu, posłaniec i treser kameleona.

- Co się stało? - zapytałem, głaszcząc go po głowie.

Nie odpowiedział, lecz podniósł rękę, wskazując na położone niżej miasto. Ujrzałem pióropusz czarnego dymu i nagle dotarło do mnie, że wydarzyło się coś strasznego.

- Co się dzieje?

Nie odpowiedział ani słowem, a jedynie wpatrywał się we mnie. Wpuściłem go więc do bungalowu, włączyłem serwis zagraniczny i posadziłem małego z butelką coli. Następnie udałem się do Merritów, sprawdzić, czy oni może wiedzą, co się dzieje. Nikogo nie zastałem. Sary także nie było.

Zostawiłem nadal milczącego Gugu przed przynudzającym radiem i pobiegłem do miasta, do Malumbów. Na miejscu spotkałem tłum krzyczących ludzi.

Początkowo nie mogłem rozróżnić słów, ale po chwili zorientowałem się, że ludzie wołają: „Amin daima!”. Amin na zawsze.

Miałem mętlik w głowie. Część ulicy płonęła, a przed domami leżało jakieś dwadzieścia do trzydziestu ciał, otoczonych przez wielki tłum. Dostrzegłem Sarę, Ivora i Merritów, tworzących niewielki krąg wśród czarnych twarzy, niczym kibice na meczu piłki nożnej, którzy znaleźli się w niewłaściwym miejscu.

- *Amin daima! Amin daima!* - zawołał znowu tłum, wyrzucając w górę zaciśnięte pięści.

Ivor owijał bandażem głowę młodej kobiety z raną na skroni. Kobieta przewracała oczyma i zawodziła piskliwie. Pozostała trójka stała nad nimi.

- Nicholas! Jesteś! - zawołała Sara, przeciskając się przez tłum i chwytając mnie za ramię. - Baliśmy się, że cię złapali.

- Kto?

- Nic pan nie słyszał? - zapytał Merrit. - Zjawili się tu dzisiaj partyzanci Obote. Przyjechali ciężarówkami. Było ich około tysiąca. Ostrzelali koszary z moździerzy, ale pocisk spadł tutaj. Cały dzień tu jesteśmy.

- Szpital polowy - odezwał się Ivor. - Przypomina mi wojnę. Tak czy inaczej nie możemy jej tu zostawić. - Kiwnął głową w stronę młodej kobiety, którą podtrzymywało dwóch mężczyzn z tłumy. - Będziemy musieli ją zabrać. Przypuszczam, że ma przebite płuco.

- Nicholas - rzekła łagodnie Sara. - Muszę ci coś powiedzieć. Twój przyjaciel nie żyje.

- Jaki przyjaciel? - zapytałem.

Zaprowadziła mnie do miejsca, gdzie na ulicy leżały ciała o dziwnie sterczących kończynach.

Zwariowana nawierzchnia, pomyślałem bez sensu.

Twarz stanowiła krwawą maskę.

- *Amin daima!*

Ledwie go poznałem. Obok leżeli jego rodzice. Pan Malumba miał rozerwany brzuch, w którym widać było niebieskoszare zwoje jelit, wylewające się z jednej strony na rozszarpaną szatę.

Mapa, mapa pana Malumby - przemknęło mi przez głowę, a po chwili zaczęły się w niej pojawiać wielkie dziury, jak w topniejącym plastiku. Zacząłem wymiotować na ziemię. Sara trzymała mnie mocno za ramiona. Wokół nas zbierali się gapie, dla których widok wymiotującego *muzungu* był równie interesujący, jak leżące na ziemi ciała. Kawałek dalej czterech mężczyzn wkładało zwłoki do ciężarówki, trzymając je za ręce i nogi. Kończyny szukające kończyn.

Bonney.

Gdy wymiotowałem, jak przez mgłę słyszałem głosy dwóch kobiet w kolorowych strojach.

Jedna miała na plecach małe dziecko, druga zaś niosła pod pachą wiązkę drewna.

Kobiety wymawiały słowa powoli i ostrożnie, jak gdyby uczestniczyły w jakimś rytuale.

- Czy jezioro jest spokojne?

- Nie, jezioro nie jest spokojne.

- Czy tak właśnie żyjemy teraz w Ugandzie?

- To nie chodzi o nas, po prostu na miasto spadło wielkie nieszczęście.

- Czy to Bóg je zesłał?

- Nie, to nie Bóg je zesłał.

Po tym wszystkim Gugu pozostał przez jakiś czas u nas. Już wcześniej Sara często u mnie nocowała. Nie wiedzieliśmy, co się robi z dzieckiem. Gugu nadal nie odzywał się ani słowem. Próbowaliśmy wszystkich możliwych sposobów, ale bez rezultatu: takie urazy wymagają specjalnej terapii, której nasz ośrodek nie mógł mu zapewnić. Czułem jednak, że opieka nad chłopcem jest moim obowiązkiem (zastanawiam się teraz, czy rzeczywiście tak uważałem) i ostatecznie chłopiec spędził u nas prawie miesiąc. Był to w pewien sposób radosny okres - Sara smażyła na kuchence pyszne izraelskie danie z papryką, a potem nakłanialiśmy Gugu do zabawy w berka wokół stołu, by w końcu położyć go do łóżka.

Nie odezwał się jednak ani razu, a pewnego dnia zjawił się Nestor z jakimiś ludźmi i oznajmił, że Gugu musi się przenieść do swoich krewnych. Wyszło niemal na to, że postąpiliśmy źle, biorąc go do siebie. Staliśmy w drzwiach i patrzyliśmy, jak odchodzą. Stary stróż w płaszczu khaki trzymał dłoń na ramieniu chłopca.

- Nic więcej nie możemy zrobić - powiedziała Sara. Następnie odwróciła się i popatrzyła na mnie brązowymi, pełnymi bólu oczyma. - Powinieneś niedługo wyjechać z Ugandy, Nicholas. Źle tu się będzie działo.

- Co masz na myśli? - zapytałem, wchodząc za nią do domu. - Skąd wiesz?

Przeszła do salonu, a jej kroki rozbrzmiały głośno na drewnianej podłodze. Na środku zatrzymała się i odwróciła do mnie.

- Po prostu wiem. Tak samo, jak w Izraelu. Takie rzeczy się wie, po prostu wyczuwa się, że będą kłopoty. Pamiętam, jak kiedyś w wojsku przechodziliśmy przez arabską wioskę i panowała taka cisza, że słyhać było tylko dobiegające z oddali szczekanie psa i szum wiatru. Mimo to wszyscy czuliśmy strach i oczywiście w nocy pojawił się snajper. Zabił mojego przyjaciela. Zbliżyłem się, by ją objąć, ale odtrąciła moje ramię. Uznałem, że jest rozstrojona odejściem

Gugu.

Od tego dnia zaczęła częściej sypiać we własnym łóżku i w ogóle jej stosunek do mnie uległ zmianie. Kiedy mówiłem, że chciałbym się z nią spotkać, często odpowiadała, że jest zbyt zajęta. Potem ja się wycofałem i trochę dziwnie zachowywaliśmy się wobec siebie w pracy - aż pewnej nocy usłyszałem ciche pukanie do drzwi i Sara znów była ze mną, a nasze ciała prześlizgiwały się po sobie w miłosnym uniesieniu.

Cała sztuczka z kochaniem się w tropikach - to tak przy okazji - polega na tym, by dużo się pocić, naprawdę dużo, w przeciwnym razie można się do siebie przykleić.

I jeszcze jedno. Co jakiś czas grupa izraelskich inżynierów, pracujących przy budowie drogi do Fort Portal, przyjeżdżała tutaj wolne dni i Sara chodziła do miasta, by się z nimi spotkać.

Cierpiałem wtedy straszliwe męki zazdrości, przekonany, że każdy z jej rodaków jest dla niej bardziej atrakcyjny niż ja.

Pewnego wieczoru poszedłem za nią do miasta, kierowany bardziej ciekawością niż zazdrością. Znalazłem ją w barze. Na stole leżała mapa. Inżynierowie, z wyglądu sądząc - prawdziwi twardziele, byli tam razem z nią i wszyscy rozmawiali szybko po hebrajsku.

Zauważyła mnie, ale udawała, że mnie tam nie ma, wypilem więc tylko jedno piwo i wyszedłem.

Zjawiała się u mnie około północy i nieźle mnie zjechała, mówiąc, że to jej rodacy, a poza tym to jej sprawa, co z nimi robi. Po tej awanturze i tak się pieprzyliśmy, ale to była katastrofa.

Płakała trochę, kiedy już było po wszystkim, i oświadczyła, że być może pewnego dnia będzie musiała wyjechać. Zapytałem, dlaczego, ale nie chciała mi odpowiedzieć.

Kiedy sprawy łóżkowe zaczynają się psuć, nie można tego ignorować. Nie wolno chować głowy w piasek. Ale jeszcze gorzej jest rozmyślać o tym, a mimo to udawać, że nie ma problemu.

Prawda jest taka, że jej ciemne małe piersi teraz za każdym razem smakowały gorzko, a kiedy sięgałem ręką w dół w poszukiwaniu wilgoci, do której tak się przyzwyczaiłem - nie

znajdowałem jej. Sara zrobiła się drażliwa i coraz więcej czasu spędzała w swoim bungalowie.

Dzisiaj zdaję sobie sprawę z tego, że tak jak i ja wykorzystała Gugu do tego, by zaznać odrobiny życia rodzinnego, choćby urojonego - oboje wiedzieliśmy, że sytuacja w ośrodku jest coraz gorsza, pragnęliśmy więc choć namiastki normalności.

A w klinice rzeczywiście działa się coraz gorzej. Odkryliśmy, że Waziri po prostu zniknął.

Nie wrócił już z urlopu. Nigdy nie udało mi się zobaczyć gaju Bacwezi. Merrit był wściekły - na Waziriego i ogólnie na wszystko. Coraz trudniej było utrzymać klinikę. Pieniądze z Kampali przychodziły coraz rzadziej i było ich coraz mniej.

Tymczasem docierały do nas dziwne wiadomości o Aminie. Serwis zagraniczny BBC informował, w swój zwykły cierpki sposób, że Amin wysłał do królowej depeszę, kopię zaś do sekretarza generalnego ONZ, doktora Kurta Waldheima, sowieckiego sekretarza Breżniewa i Mao TseTunga, o następującej treści: „Jeśli Szkoci nie odzyskają niepodległości na drodze pokojowej, wówczas chwycą za broń, by walczyć z Anglikami, dopóki nie odzyskają wolności.

Wielu Szkotów już uważa mnie za ostatniego króla Szkocji. Jestem pierwszym człowiekiem, który prosi rząd brytyjski o zaprzestanie ucisku szkockiego narodu. Jeśli Szkoci zechcą, abym został ich królem, zostanę nim".

Właśnie takie wydarzenia nadawały otaczającemu mnie światu wymiar nierzeczywisty. Dla mnie osobiście, wtedy i w tamtym miejscu, drobne przypomnienia o domu zaczęły nabierać ogromnego znaczenia. Tak było na przykład, kiedy w jednym z azjatyckich sklepów w mieście trafiłem na butelkę whisky Bell's czy opakowanie płatków kukurydzianych. Choć w niedługim czasie stało się to niemożliwe.

Moja sytuacja miała się pogorszyć, ale nie aż tak, jak sytuacja Azjatów. Pewnego dnia przeżyłem szok, widząc w mieście małą ich grupkę, otoczoną przez żołnierzy, którzy kaleczyli im twarze rozbitymi butelkami.

Amin oświadczył w przemówieniu, że we śnie nawiedził go pomysł Wojny Ekonomicznej.

- Azjaci przybyli do Ugandy, by zbudować linię kolejową. Kolej już jest. Muszą teraz wyjechać.

Przed jednym z budynków rządowych w mieście umieszczono szyld z napisem: „Biuro do spraw redystrybucji własności azjatyckiej”. W tym samym czasie radio rozpoczęło nadawanie nowej piosenki: „Zegnajcie Azjaci, żegnajcie Azjaci, wydoiliście krowę, ale jej nie nakarmiliście”.

Początkowo nie wiadomo było, czy aby nie chodzi tylko o Azjatów, którzy nie są obywatelami ugandyjskimi, lecz w końcu wyrzucono prawie wszystkich. Jak podało BBC, z całego kraju wyjechało pięćdziesiąt tysięcy osób, z czego wielu do Wielkiej Brytanii. Amin nazwał całą operację Mafuta Mingi, co można przetłumaczyć jako „za wiele oleju do smażenia” - cennego towaru, który symbolizował w tym wypadku azjatycką dominację w handlu wschodnioafrykańskim.

Wszystko miało przejść w inne ręce: warsztaty samochodowe Sikhów, gdzie można było zamówić wytoczenie nowego kompletu zaworów, sklepy spożywcze, gdzie sprzedawano angielskie mięso w puszkach, sklepy z belami kolorowych tkanin, ułożonymi w stertę pod sam sufit. Pan Vassanji, radca prawny. Doktor Ghose o pociągłej twarzy, którego kwalifikacje Merrit uważał za wątpliwe (ale który, według mnie, wykonywał dobrą robotę). Wszyscy mieli zostać „przeniesieni”, co było doprawdy niezłym eufemizmem.

Gdy nadszedł ostateczny termin, gotowi do wyjazdu Azjaci zgromadzili swój dobytek w pudłach w pobliżu parkingu autobusowego. Większość tych bagaży pozabierali jednak żołnierze, szczególnie zegarki i aparaty fotograficzne, tak że większość Azjatów trafiła na lotnisko bez grosza. Najgorzej było patrzeć, jak zrywają Sikhom turbany i bagnetami ucinają im brody.

Stałem tam, świadom, że - teraz wiem to na pewno - nic nie mogę zrobić. Nie wszyscy Azjaci

przestrzegali terminu wyjazdu, co tylko zwiększało brutalność prześladowców, i trochę potrwało, nim ostatni z nich opuścił Mbararę.

W tym czasie w klinice zjawił się Popitlal, asystent doktora Ghose'a. Obciął włosy i wysmarował pastą do butów twarz. Prosił, aby przyjąć go na sanitariusza i udawać, że jest Afrykaninem. I był nim przecież, jeśli uznać za znaczący fakt, że jego rodzina mieszkała w Afryce niemal od stu lat. Poczęstowaliśmy go herbatą - trząśł się ze strachu - a sami zastanawialiśmy się, co zrobić. Był teraz bezpaństwowcem.

- Jeśli zostanie u nas, narobimy sobie poważnych kłopotów - powiedział Merrit.

- Nie możemy go też wydać - oświadczyłem.

Billy Ssegu był jedynym Ugandyjczykiem, który nie śmiał się z pasty do butów. Azjaci nie byli zbyt lubiani ze względu na posiadane pieniądze. Biedacy zazdrościli im o wiele bardziej niż *muzungu*. Przynajmniej tak wtedy uważałem.

- Już wiem - powiedział Billy. - Przerzucimy go do Rwandy. Mój brat jest celnikiem na granicy. Przepuści go. Możemy go tam zawieźć landrowerem.

- Byle szybko - powiedział Merrit z rozdrażnieniem. - Nie chcę, by pojawili mi się tutaj żołnierze.

No i go zabrał. Często się zastanawiam, co się stało z Popitlalem i jak mu się teraz żyje.

Jeśli zaś chodzi o innych, major Mabuse przekazał wiele hinduskich interesów swoim kolegom oficerom. Jedna restauracja zmieniła swoją dotychczasową nazwę na „Eksodus”. Za barem stanął ktoś w mundurze koloru khaki, a ceny oszalały. Pozamykano wiele sklepów, ponieważ szlaki importowe z Bombaju i innych miejsc wyschły z dnia na dzień. Sól, zapalki, cukier, mydło: nawet artykuły pierwszej potrzeby trudno było zdobyć. Wojsko ubiło na mięso całe stado mlecznych krów, co oznaczało również brak mleka. Wkrótce musieliśmy zrezygnować ze szczepień w terenie, bo nie mogliśmy dostać części zapasowych do landrowera.

Sara nie rozwodziła się zbyt długo nad tą sytuacją.

- A czego się spodziewałaś po Aminie? - stwierdziła krótko i wzruszyła ramionami.

W tamtym czasie w ogóle już ze sobą nie sypialiśmy. W myślach wyrzucałem sobie, że jestem nieudacznikiem.

A potem pewnego dnia nie zjawiała się w klinice. Gdy podczas przerwy na lunch poszedłem do jej bungalowu, zastałem otwarte drzwi. Wszedłem do środka. Zniknęło wiele jej rzeczy.

Otwarte kredensy i szuflady wskazywały na pospieszne pakowanie. Wróciłem powoli na wzgórze w posępnym nastroju, zastanawiając się, co opowiem Merritowi.

Był początek października i pamiętam, jak tamtego wieczoru siedziałem, słuchając radia i martwiąc się o nią. Na konferencji w Blackpool konserwatyści odrzucili właśnie wniosek Enocha Powella, potępiający rząd za przyjęcie do kraju wypędzonych z Ugandy Azjatów.

Znając azjatycki scenariusz, powinienem był przewidzieć - kiedy Amin wygłosił mowę na temat syjonistycznych imperialistów i ich „tajnej, sześciusetosobowej armii” - że Sara także wyjedzie. Nie byłem jednak na to przygotowany. Wydawało mi się, że Amin atakuje przede wszystkim sektę czarnych ugandyjskich Żydów, zwanych *Abujudaja*, być może tych, o których wspominał Waziri, i może jeszcze sam Izrael. Kiedy już połączyłem to wszystko w jedną całość, poczułem się idiotycznie i uznałem, że jestem upośledzony w niemal fizycznym sensie - wszystko się przecież rozgrywało na moich oczach. „Powinienem był wiedzieć” - oto motto mego życia, jego podsumowanie, jego idealne potwierdzenie.

A jednak mogła się chociaż pożegnać. Pewnie się bała, że będę próbował ją zatrzymać.

Okazało się, że Nestor widział, jak odjeżdżała.

- Ludzie od drogi, *bwana*. O wschodzie słońca przyjechali po nią dżipem. Podobno oni i wszystkie traktory pojechali przez góry do Rwandy. Amin mówi, że cały personel izraelski ma wyjechać w ciągu trzech dni.

Tak więc mogłem tylko wyobrazić sobie jej wyjazd. Być może dzięki temu było to mniej bolesne. Widok żółtych równiarek jadących w kierunku słońca. Równiarek, dżipów i buldożerów o szerokich paszczach.

Dziwna rzecz, ale gdy odeszła Sara, problem z uszami powrócił. Chyba jednak musiała to być jakaś infekcja, ponownie zacząłem więc brać antybiotyki. Mniej więcej w tym czasie zaczęły mnie fascynować opowieści o Aminie. Gdy do moich zaropiałych uszu dotarło przez radio, jak po raz kolejny nazywa siebie ostatnim prawowitym królem Szkocji, w porywie jakiegoś szaleństwa pomyślałem, że przecież w sposób szczególny odnosi się to do mnie. Jakbym był jego poddanym.

Prawdziwie dziwacznym doświadczeniem było pierwsze spotkanie z Aminem. Pewnego razu w moim bungalowie pojawili się żołnierze, którzy oznajmili, że mam z nimi jechać i zająć się jego nadgarstkiem, najpewniej skręconym. Krowa, w którą uderzył samochodem, leżała zakrwawiona na poboczu drogi, a jej ciężki oddech niemal zagłuszał pomruki żołnierzy i dochodzący z buszu śpiew ptaków. Obok niej, z maską w zięlsku, stało czerwone maserati.

Widok po drugiej stronie drogi był nie mniej spektakularny: leżał tam wygodnie na plecach Idi Amin Dada. Nawet w tej pozycji dominował nad otoczeniem. Czuję się, jakbym obcował ze stworem prosto z greckich mitów, choć muszę nadmienić, że wrażenie psuł jego zapach, stanowiący mieszankę kwaśnego odoru piwa i potu.

Kiedy bandażowałem mu rękę, trzymał ją w górze i przeklinał mnie w suahili. Następnie przeprowadziłem oględziny w poszukiwaniu oznak wstrząsu, uszkodzenia kości albo krwotoku wewnętrznego. Skupiony byłem oczywiście na sprawach zawodowych, mimowolnie jednak czułem podziw dla jego potężnych rozmiarów i niepoahowanej energii, którą emanował nawet w tych mało wyszukanych okolicznościach. Gdy rozpinając guziki munduru polowego, przesuwałem dłonie po jego ciele, dotykałem klatki piersiowej i brzucha, to choć żaden ze mnie uzdrawiacz, czułem wyraźnie, że sączy się we mnie jakaś żywiołowa siła.

Nagle zadudnił mi w uchu jego głos. Coś krzyknął, ale nie do mnie. Wydał polecenie

żołnierzom, a oni zaczęli ściągać maserati z powrotu na drogę. Maska auta była solidnie wgięta, ale silnik zaskoczył od razu, gdy jeden z żołnierzy spróbował go uruchomić.

Wróciłem do oględzin, starając się skupić na tym, co robię. Postępowałem bardzo ostrożnie w obawie, że jego niezrozumiałe mruknięcia, przerywane od czasu do czasu angielskim słowem „głupi”, mogą się przerodzić w wybuch gniewu.

Kiedy jednak zakończyłem obdukcję, Idi Amin zamienił się w uosobienie wdzięku. Wróciła mu też umiejętność mówienia po angielsku. Zupełnie jakbym swoim leczeniem przywrócił mu zapomniane słowa.

- Mój drogi doktorze Garrigan - zaczął, łapiąc mnie za ramię zdrową ręką, gdy niezgrabnie podnosił się z ziemi. - Bardzo panu dziękuję. Musimy to jakoś uczcić.

Warknął coś w suahili do jednego z żołnierzy. Ten skoczył do samochodu. Idi - może raczej powinienem powiedzieć Amin - ruszył za nim powoli, a za Aminem poszedłem ja. Żołnierz skrył się w bagażniku, a po chwili wynurzył się z butelką Napoleona oraz kompletem metalowych kubeczków. Przyglądaliśmy się, jak ustawia dwa z nich na pogiętej masce samochodu i nalewa po brzegi brandy. Zauważyłem, że trzęsą mu się ręce. Był przerażony.

- Bo widzi pan, każdy prezydent ma w samochodzie barek - powiedział Amin, wręczając mi kubeczek. - Na zdrowie!

Wziął spory łyk trunku. Ja natomiast nerwowo upiłem tylko odrobinę, owładnięty beznadziejną konsternacją. Piłem z Idi Aminem, w piekielnie gorący dzień, na środku drogi, stojąc kilka kroków od rozbitego sportowego samochodu i zdychającej krowy. Jeden z rogów zwierzęcia złamał się i leżał pośrodku drogi, jak pocisk, który spadł z nieba.

Zdałem sobie sprawę, że Amin uważnie mi się przypatruje.

- Doskonała brandy - palnąłem.

- W suahili mamy takie przysłowie: *Mteuzi haishi tamaa* - zagrzmiał. - Koneser nigdy nie

dochodzi kresu pożądania.

- Proszę się nie obawiać. Nie wypiję za dużo - odparłem.

Podsłuchałem na dźwięk wystrzału. Szybko się rozejrzałem dookoła. Jeden z żołnierzy schodził z krowy z rewolwerem w ręku.

Amin stłumił śmiech.

- Niech się pan nie boi. On tylko zakończył jej udrękę.

- Biedne zwierzę - powiedziałem.

- To tylko mięso... zabiorą je do koszar.

Zamilkł na chwilę, po czym zaczął się zachowywać jakby bardziej oficjalnie.

- Chciałbym panu podziękować, że przybył pan tutaj tak szybko. Podobno dżentelmena sądzi się po jego czynach. W takim razie na pewno jest pan dżentelmenem.

- Nie zrobiłem przecież niczego nadzwyczajnego - zapewniłem.

- Chciałbym dać panu coś, jako wyraz wdzięczności - oświadczył, sięgając do kieszeni.

Wyjął z niej zwitek banknotów i wyciągnął je w moją stronę. - Proszę.

- Ależ jakże bym mógł! - zaprotestowałem, cofając się o krok.

- Wiedza to bogactwo, doktorze Garrigan. Powinien pan ze swojej wiedzy czerpać korzyści.

- Przecież tylko zabandażowałem pański nadgarstek.

Zmarszczył brwi, po czym odwrócił się i zapatrzył w wysoką kępę trawy słoniowej przy drodze. Zacząłem się zastanawiać, czy powiedziałem coś niestosownego.

Wtedy odezwał się znowu:

- A może powinien pan pracować dla mnie na stałe? Wie pan, jak mówią: kto spróbuje miodu, buduje ul. To prawda. Jak ktoś zanurzył palec w miodzie, to i znowu będzie chciał go zanurzyć.

- Przykro mi, ale nie rozumiem - powiedziałem. Zaczynało mi się kręcić w głowie od brandy.

- Wynagrodzę pański wysiłek. Najwyraźniej ma pan tęgi umysł. No cóż, ja też mam. Ale umysł jest jak buty. Każdy nosi inne. Pan ma głowę do medycyny, a ja do wojska. Bo widzi pan... fryzjer nigdy się sam nie goli. Gdyby spróbował, na pewno by się zaciął.

- Wszystko to prawda - odparłem. - Ale jestem zadowolony ze swojej obecnej pracy.

- Jak pan chce - rzucił. - W każdym razie naradzę się z moim ministrem zdrowia. A teraz muszę już jechać i porozmawiać z tutejszymi wodzami. Są tacy tępi! Wszystko muszę im powtarzać dwa razy. A niektórzy z nich wkładają kalosze, gdy idą przewodniczyć rozprawom sądowym.

Nagle wyprostował się, stając niemal na baczność.

- Cóż, doktorze, do zobaczenia! I raz jeszcze dziękuję.

- Do widzenia - powiedziałem i już chciałem uścisnąć mu dłoń, kiedy zdałem sobie sprawę, że to ta zabandażowana.

Uśmiechnął się i wszedł do samochodu, mocno się nachylając, by zmieścić się w niskich drzwiach.

- Ten samochód ma dobry silnik. Przetrzyma niejeden wypadek.

Widziałem, jak kładzie zabandażowaną rękę na kierownicy. Zastanawiałem się, czy będzie w stanie prowadzić.

- Jeszcze się spotkamy, doktorze. Jestem tego pewien - dodał, podnosząc na mnie wzrok z fotela kierowcy. W oczach miał coś niezgłębionego, na poły fascynującego, na poły przerażającego. - A kiedy pan będzie podejmował decyzję, niech pan pamięta o jednym, doktorze: woda zawsze spada w doliny, nigdy zaś nie płynie pod górę, na szczyty.

- Będę pamiętał - zapewniłem, z trudem zbierając myśli z powodu brandy oraz blasku słońca, odbijającego się w lśniącym lakierze auta. Czaszka grzała mi się jak płyta kuchenki elektrycznej.

Amin podniósł szybę i uruchomił auto. Silnik zawył kilka razy chrapliwie, wprowadzony na

wysokie obroty, po czym maserati ruszyło z miejsca i pomknęło drogą. Zaraz jednak zatrzymało się raptownie i zawodząc przeciągle, wróciło do mnie na wstecznym.

Opuściła się szyba.

- A jak się wodę rozleje, to już jej nie można zebrać. Odjechał bez słowa wyjaśnienia.

Zmieszany i podpity stałem tam i patrzyłem, jak żołnierze ciągną zabity krowę do jednego z dżipów i szykują się, by ruszyć za Aminem. Patrzyłem też, jak odjeżdżają. Dopiero gdy ostatni pojazd zniknął za baobabem, uświadomiłem sobie, że nie mam czym wrócić do domu. To był długi spacer.

Wszystko właściwie, dosłownie cała Mbarara zaczęła mi się kojarzyć z Sarą. Znosiłem to z coraz większym trudem, gdy więc dotarł do mnie list Wasswy, proponujący mi stanowisko osobistego lekarza prezydenta, z radością przyjąłem możliwość wyjazdu. Choć oczywiście nie wszystko poszło gładko, bo Merrit ubzdurał sobie, że go zostawiam na lodzie.

Odpowiedziałem na list i po kilku dniach Wasswa do mnie zatelefonował, informując, że w przysłym tygodniu przyśle samochód z kierowcą. Umówionego dnia kierowca stawił się zgodnie z planem. Pożegnawszy się po raz ostatni ze wszystkimi, którzy akurat znajdowali się w pobliżu, umieściłem swoje torby w bagażniku i rozpocząłem podróż do nowego etapu życia.

Jadąc w przeciwną stronę niż poprzednio, w odwrotnej kolejności mijalem te same miasta, które oglądałem z za szyb *matatu*: Sangę, gdzie spotkał mnie afront ze strony Kenijczyka, Lyantonde, Mbirizi...

Po drodze przeżyliśmy dziwną przygodę. Niedaleko Masaki (tym razem darowałem sobie wizytę w Rajskich Tropikach) Barclay - bo tak się nazywał kierowca przysłany przez Wasswę - zjechał nagle na pobocze i zatrzymał auto, mówiąc, że jest tu pewna atrakcja turystyczna, którą powinienem zobaczyć. I rzeczywiście. Otoczeni buszem, wysiedliśmy z samochodu i stanęli pod betonowymi kręgami, na których wielkimi literami namalowano napis UGANDA RÓWNIK.

Opierając dłonie o jeden z kręgów, pochyliłem się i popatrzyłem najpierw na wschód, potem na zachód, oglądając wszystko uważnie, żeby zrozumieć, o co chodzi z wodą, która po jednej stronie wpadała do rury odpływowej, kręcąc się w prawo, a po drugiej w lewo. Spojrzałem w kierunku Kampali. Zastanawiałem się, jakie będzie teraz moje życie.

- Można tu kupić zimne napoje - oświadczył Barclay, przerywając mi zadumę i wskazując na stojące po lewej zabudowania, trochę oddalone od drogi.

- Dobrze - zgodziłem się.

- Ale musimy uważać, bo mieszka tam wariat - ostrzegł.

- Tak? - zdziwiłem się.

Zaintrygowany, podążyłem za kierowcą do bramy. Szliśmy przez proso, mijając wystające gdzieś pomiędzy brązowych buszeli osty oraz afrykańskie stokrotki, żółte i bladopomarańczowe. Zabudowania były częściowo przesłonięte otaczającymi je drzewami. Na polanie stała nieregularna palisada z zastrzonych żerdzi, a za nią dostrzegłem dom: właściwie była to zwyczajna gliniana chata, tylko ściany miała grubsze, przez co potęgowało się wywołane częstokółem wrażenie fortyfikacji.

Brama zrobiona była z trzech czy czterech arkuszy blachy falistej, przymocowanych do drewnianej kratownicy. Obok niej wisiał na słupie dzwonek, na oko bardzo stary. Barclay zadzwonił.

- Ludzie, ludzie! Widzę was! Wejdźcie do środka! - usłyszeliśmy.

Otworzyliśmy bramę i weszliśmy. Po lewej, w cieniu drzewa siedział mężczyzna z dreadami, ubrany w marynarkę i krótkie spodenki. Splecione włosy wystawały spod myśliwskiego kapelusza. Obok stała na ziemi mocno sfatygowana lodówka turystyczna.

- Witam, witam! - krzyknął, skacząc na równe nogi. - Jesteście w ugandyjskim równinowym ośrodku wypoczynkowym. Zapewnimy wam tu wszelkie przyjemności.

Barclay powiedział coś w suahili i mężczyzna sięgnął do lodówki po dwie zakurzone butelki coli.

- Będzie pan musiał dać mu sto szylingów - zwrócił się do mnie Barclay.

- Zawsze jest bardzo zimna - zapewnił gospodarz, podając nam butelki, które uprzednio otworzył zębami. - Ale czasem maszyna się psuje.

Po pierwszym łyku słodkiego płynu trochę mnie zemdliło. Mężczyzna miał popsute zęby.

- Nazywam się Angol-Steve - przedstawił się. Barclay cmoknął z dezaprobatą i pokiwał

głową.

- Jestem w moich stronach wodzem. Nikt obcy nie przychodzi tutaj, żeby mi mówić, co mam robić.

Pociągnął mnie za rękaw.

- Oczywiście. Wcale tego nie chcemy - zapewniłem. - Po prostu byliśmy spragnieni i dlatego...

- Ja tu jestem najważniejszy - przerwał mi, siadając na poprzednim miejscu. - Nie ruszają mnie nawet wtedy, kiedy są kłopoty w Kampali - dodał, piorunując nas wzrokiem.

- To wariat, proszę pana - odezwał się Barclay. - Proszę nie zwracać uwagi na to, co wygaduje.

- Jestem całkowicie poczytalny i bardzo bystry - zaprzeczył Angol-Steve. - Ponieważ widzę rzeczy pod wieloma kątami. Właśnie dlatego nazywają mnie Angol-Steve.

Mimowolnie wybuchnąłem śmiechem. Sądziłem, że jego nazwisko odwołuje się do jakichś plemiennych tradycji. Nigdy bym się nie domyślił, że jest przeinaczeniem angielskiego określenia kąta.

- Ach, co za człowiek, proszę pana - westchnął Barclay. - Nosi takie przezwisko z jednego tylko powodu. Bo jest głupcem, który nie potrafi normalnie na nic patrzeć ani normalnie o niczym mówić.

- Nie śmieję się ze mnie! Minąłem na swojej drodze wiele miejsc, odtąd aż po Mombasę. Nawet w Paryżu i Amsterdamie byłem.

- Jesteś głupcem - odparł mu na to Barclay. - Dlatego żyjesz tu sam.

- Mówię ci. Byłem w wielu miejscach. Nie jestem zwykłym kierownikiem ośrodka wypoczynkowego. Przyciągałem jak magnes wiele profesji tego świata. I potrafię wszystko zmienić. Byłem nawet policjantem. Zaczekajcie tutaj!

Pobiegł do domu, łopocząc połamami marynarki.

- Przepraszam, *bwana* - powiedział Barclay. - To jedyne miejsce w okolicy, gdzie można się czegoś napić.

- Nic się nie stało - odparłem, wzruszając ramionami. Angol-Steve wrócił, niosąc pokiereszowaną trąbkę sygnałówkę.

- Posłuchajcie - poprosił i zadał w instrument. Dźwięk uniósł się nad buszem. Niektóre tony przywiodły mi na myśl kawalerię z westernów.

- Sami widzicie. Trąbiłem na paradzie ugandyjskiej policji. To prawda.

- Kiedy to było? - zainteresowałem się.

- To było wcześniej. Robiłem to wiele razy pewną odległość temu. A pan jest z Londynu, prawda?

- Otóż nie. Jestem ze Szkocji.

- Szkocja. Znam to miejsce. Proszę iść za mną, niedaleko stąd. Tutaj zaraz leży pewien Szkot.

- Oj, Angol, Angol! Nie zwracaj nam głowy swoimi kłamstwami - upomniał go kierowca.

- Nie, nie. Wszystko w porządku - odparłem zafascynowany.

Poszliśmy za nim za bramę, minęliśmy drzewa i dotarliśmy do kawałka ziemi, leżącej odłogiem wśród prosa. Spomiędzy łądyg poderwała się spłoszona naszymi krokami nakrapiana wrona. Obserwowałem, jak unosi się w powietrze i skręca w prawo.

- Nie, nie. To tylko ptak. Niech pan patrzy tutaj! - polecił Angol. Przykucnął i zaczął odgarniać na boki rośliny. Pod gałązkami ukazał się kamień, do którego przyczepiono nitami mosiężną tabliczkę.

Zaskoczony, pochyliłem się i odczytałem niewyraźne już litery:

TU SPOCZYWA

Alexander Colquhoun Boothby,

który urodził się 5 grudnia 1842 roku,

opuścił swoją rodzinną Szkocję w 1871 roku

i zmarł 5 lipca 1893 roku. Żył otoczony miłością i wielkim szacunkiem

za uczciwość i człowieczeństwo.

Zmarł, pogrążając w żalu tych, co pozostali.

Do Jego śmierci doprowadziły wysiłki

podjęte w kampanii przeciwko

mahometanom z ludu Waganda,

w której znacząco się wyróżnił.

- Moim zdaniem ten mężczyzna był wielkim wojownikiem - powiedział Angol-Steve, gdy wracaliśmy do samochodu. - Ale nie wolno zapominać, że przyspieszanie historii jest rzeczą ludzi bezlitosnych.

- Co ty możesz o tym wiedzieć - zachnął się Barclay. - Byłeś wtedy na świecie? A może jesteś upiorem, co?

- Mnie tam nie było, ale był mój duch. Bo wszystkie strony są dla mnie tą stroną. To prawda. Widziałem bicze na psy, widziałem pałki. Trzymałem w dłoniach diamenty w Johannesburgu. Znam też lekarstwo na węże.

Barclay pokręcił głową zrezygnowany i przekręcił kluczyk w stacyjce. Gdy odjeżdżaliśmy, Angol-Steve stał przy drodze, machając nam na pożegnanie, po czym nagle ruszył za nami biegiem.

- Chwila! Poczekajcie! - krzyczał. - Musicie mi zapłacić za napoje.

Zwolniliśmy. Barclay odwrócił się do mnie. Pogrzebałem w tylnej kieszeni spodni i wręczyłem mu pomięty banknot. Biorąc go przez otwarte okno, Angol-Steve rzucił kilka słów w

suahili.

- Co on powiedział? - zapytałem, gdy odjechaliśmy i znów rozciągała się przed nami całkowicie pusta droga.

- Jakież bzdury. On mówi same bzdury.

- Chcę wiedzieć.

- Powiedział tak: „Obejrzyj się za siebie! Dziecko może spłonąć”.

- Co to znaczy?

- Nie wiem, *bwana*. Nawet w naszym kraju są wariaci. Zdumiony, nie po raz ostatni w

Ugandzie, patrzyłem, jak szosa ucieka we wstecznym lusterku. Sylwetka wciąż machającego

Angol-Steve'a najpierw się zamieniła w małą plamkę, a potem w miejscu plamki nie było już nic.

CZEŚĆ DRUGA

Udało mi się odkryć część historii, która doprowadziła Idię do nas. W końcu przecież kto wie, skąd przychodzi każdy z nas, i kto wie dlaczego? Ponoć rodowód naszego obecnego premiera luźno wywodzi się ze związku kamieniarza i pokojówki, potrzeba pognała na pobocze drogi. Przedstawię zatem historię Jego Ekscelencji, którą opowiedział mi on sam, ale też i inni. Bo jemu nie zawsze można było wierzyć.

Nie zdziwię się, jeśli na terenach plemienia Kakwa, na tych skąpo zadrzewionych pograniczach Sudanu, gdzie Idi się urodził, wciąż jeszcze się mówi, że spędził on w łonie matki jedenaście miesięcy. Albo coś równie potwornego. O ile można ustalić, przyszedł on na świat pierwszego dnia 1928 roku (choć może to było wcześniej, nawet w 1925 roku) w osadzie niedaleko pokrytej kurzem wioski Koboko. Kto wie, jakie przekleństwa smagały strzechę chaty tamtej nocy, a jakie błogosławieństwa wypowiedziano wtedy na twardej, glinianej podłodze w jej wnętrzu?

Takie pytania są istotne na terytorium plemienia Kakwa. Niedawno odkryłem w bibliotece Fortu William wspaniałą książkę, autorstwa niejakiego George'a Ivana Smitha. Autor pisze: To jałowy teren, gdzie na wzgórzach umieszcza się kamienie, mające przyciągać deszcz. Plemienni mędrcy, którzy musieli odpowiadać na pytania o życie i śmierć, o ludzkie szczęście i strach, szukali odpowiedzi, przywiązując kurczaka długim sznurkiem do wbitego w ziemię palika, a następnie obcinając ptakowi głowę. Odruchy i pośmiertne drgawki kazały kurczęciu latać. Sznurek ograniczał lot do okręgu przypominającego tor satelity krążącego wokół ziemi. Odpowiedź na głębokie ludzkie obawy zależała od tego, który kierunek wskazywało ciało martwego ptaka, gdy w końcu upadło na ziemię - jak ostatni, zapierający dech stuk koła ruletki. Przesady i wizje wędrowały między plemionami i ludami jak wieczorne mgły nad Nilem.

W tym krajobrazie siła należała do skał i drzew, do strumieni i zwierząt. Podobnie jak wszędzie, to siła jako jeden z czynników decydowała tutaj o stosunkach międzyludzkich. Tylko w tej akurat okolicy była bardziej obnażona. Grubą, ciemną kreską zazaczyłem miejsce, w którym Smith pisze:

Lud Kakwa nie zna pytania „Kim jesteś?”. U nich pytanie to brzmi: „Czym jesteś?”, „Jakim człowiekiem?”, „Czy jesteś wielkim człowiekiem?”, „Czy jesteś niewolnikiem?”.

Członkowie ludu Kakwa, a jest ich około sześćdziesięciu tysięcy, najczęściej identyfikują się znakiem plemiennym: trzema równoległymi, podłużnymi nacięciami na policzkach. Później, za czasów reżimu Amina, zaczęto je nazywać „stojedenastkami”, a ludzie, którzy je nosili, wzbudzali strach u tych, którzy ich nie mieli.

Wróćmy jednak do matki. Ta przedstawicielka rodu Lugbara (jedno z plemion nilockich), zapłodniona przez mężczyznę z ludu Kakwa, to rzadkość: niewolnica, która posiada władzę.

Wielu utrzymuje, że to czarownica, co widać zwłaszcza podczas porodu, gdy musi wydalić w zapocone objęcia nocy swój czteroipółkilowy ciężar. Ale ja nie jestem tego całkiem pewien.

Idźmy jednak za krzykliwą opowieścią innych historyków Kobieta sprzedaje na targu fetysze i amulety: kości kręgowe ptaków, czaszki małych gadów, mieloną korę rzadkich drzew, jagody, korzenie, ziarenka kawy i muszle morskie... Dziecko z kolką, zadłużony stryj, złodziej w wiosce albo atak szczurów na kosze ze zbiorami kukurydzy - takie są jej uroki i taki zakres problemów, które potrafi swoimi czarami rozwiązać.

Inni natomiast twierdzą, że podążała za wojskiem, nosiła pseudonim „Pepsi Cola” i oddawała się w namiotach przy linii frontu. Jeszcze inni się upierają, że Pepsi była szaloną staruchą, opętaną przez diabły, która oparła się leczeniu prawdziwej matki Amina, czym nadszarpnęła znacznie jej reputację. Kto to wie?

Seks albo czarna magia - oto jej wybór. Alternatywą był głód, i co do tego wątpliwości nie

ma. Ziemia jest miejscami nawet żyzna, ale Pepsi (jeśli to ona) nie posiada ziemi, jest podróżniczką, której niejednoznaczność chłopci mogą zaakceptować tylko w chwili, gdy z konieczności, jeśli zawiedzie wszystko inne, zwracają się ku magii. Zgarbieni nad swoimi poletkami, z motyką w ręku, spoglądają na dziwną postać, przechodzącą obok nich z dzieckiem w kolorowej chuście na plecach, i natychmiast rozpoznają, kim jest Pepsi. Wołają ją do siebie, proszą o usługi i karmią w zamian. Następnego dnia posyłają ją w dalszą drogę: Lugazi, Buikwe, wreszcie Jinja.

Ojciec? Ten jest nieznany. Większość ludzi sądzi, że był żołnierzem - wojakiem o kawaleryjskich manierach. Być może z oddechem przesiąkniętym odorem piwa oparł broń o krzesło i rzucił się na Pepsi wbrew jej woli, lekceważąc brutalnie niepewne skomlenie o zapłatę. A może inaczej: kochają się, dając sobie nawzajem radość i ciepło, łagodząc ból w życiu drugiego. A może jeszcze inaczej: ten szlachetny witeź zamierza rozlać swoich synów na prześcieradło, zapomina jednak o tym przez roztargnienie. Jeśli tak właśnie było, czy trzysta tysięcy straconych ludzkich istnień stanowiło wynik jednych przypadkowych narodzin, czy też może pojawiłby się inny tyran, tak samo nieuchronnie, jak nieuniknione było nadejście silnika parowego i automatycznej młockarni?

Cóż, mówiłem to już wcześniej: przyczyna jest miejscem, do którego wstępu nie mamy.

Ojciec więc znika, jak to zawsze ojcowie. Matka natomiast wystawia swoje towary w Jinja, mieście Królewskich Strzelców Afrykańskich, mieście fabryk i składów, mieście obrzydliwych oparów i jucznych worków, źródeł Nilu i wielkiej kolei, która przedarła się w te strony od samego wybrzeża. Idi żyje sobie tutaj w najlepsze, od wczesnego dzieciństwa dość zwalisty i silny, by wygrywać wzniecające masę kurzu dziecięce bijatyki.

Potem mamy lukę. Jedni twierdzą, że Idi przez jakiś czas pracował jako boy w hotelu

Imperial w Kampali, w liberii z błyszczącymi guzikami. Inni - do których zresztą zalicza się on

sam - utrzymują, że sprzedawał na ulicach słodkie ciasteczka pakowane w pudełka.

W każdym razie w 1946 roku figuruje już na listach Czwartego Pułku Królewskich Strzelców Afrykańskich, kompania E. Odcisk kciuka może zastąpić podpis poborowego.

Wydawane są racje żywnościowe i wyposażenie. Idi pracuje na swoją pozycję całe siedem lat, prawdopodobnie przez jakiś czas służąc w kuchni. Jego wojskowe zdolności zostają jednak szybko dostrzeżone i awansuje na szefa kompanii.

Przez co musiał przejść! W wolnych chwilach wyobrażam sobie czasem Idiego w obozach szkoleniowych, jak wspina się po siatkach z lin albo na wrzask komendy biegnie pochylony z bagnetem gotowym do zadania ciosu słomianym kukłom przywiązanych za szyję do stosu drewna. Wyobrażam sobie, jak udając się na spoczynek, w nogach idealnie poślanego łóżka układa złożony w kostkę mundur, a potem zasypia mocno, z brzuchem pełnym ryżu i piwa. Już jako chłopak mierzył ponad metr osiemdziesiąt i już wtedy zauważono, że dba o czystość munduru, zawsze się nosi schludnie i ma obiecujące wyniki w sporcie. Jego mocną stroną są boks i rugby Później zostanie mistrzem Ugandy; jeszcze później, oczywiście, wyzwie na pojedynek Muhammada Alego.

Co z prawdziwą żołnierską służbą? W latach 1953 i 1954 operacja w Kenii przeciwko słynnym powstańcom Mau Mau. Przypominam sobie, jak pewnego razu na podium, szeroko gestykulując swoimi potężnymi łapami, wyjaśniał przerażonym przedstawicielom Kongresu Jedności Afrykańskiej, wśród których znaleźli się przedstawiciele Kenii, jak opracował specjalną technikę zaciskania garoty.

Później następuje polowanie na złodziei bydła z koczowniczych plemion Turkana i Karamodża, zamieszkujących daleką północ Afryki Wschodniej. Jeszcze później zaczyna się pościg za *shifa*, bandytami, posługującymi się karabinami jeszcze z pierwszej wojny światowej i ręcznie wykonaną bronią palną, tak zwanymi *dangeguns*, których ładowane od przodu lufy

przymocowane były do kolby splątany drutem. Podobno podczas tego pościgu patrol dowodzony przez Amina przekracza granicę z Somalią i Sudanem, w mozolnym marszu pokonuje pustynną okolicę, ściera z powierzchni ziemi wioski albo - także pod egidą Wielkiej Brytanii - rabuje w nich jedzenie.

Mniej więcej w tym samym czasie pewien ekscentryczny szkocki oficer ubiera część żołnierzy armii afrykańskiej w kilty koloru khaki. Decyzja ta, a także późniejsze kontakty z żołnierzami szkockimi miały na Idię znaczący wpływ. Wiele lat później, na pytanie kanadyjskiego dziennikarza, dlaczego zażądał od królowej brytyjskiej szkockich ochroniarzy, miał odpowiedzieć: „Oficerowie, którzy awansowali mnie do stopnia majora, wszyscy byli Szkotami. Jeden z nich, jak mi się zdaje, jest obecnie głównodowodzącym w Szkocji i byłbym szczęśliwy, gdyby ktoś stamtąd przyjechał tu do mnie, by zostać członkiem mojej ochrony albo mojej wojskowej eskorty... I mógłbym z nimi rozmawiać o ich tradycjach, ponieważ spędziłem ze Szkotami wiele czasu i są to ludzie wyjątkowo odważni w boju. Dobrze pamiętam, jak któreś nocy szli do walki, dmuchając w swoje dudy i wykazali ogromną odwagę. Z wielką radością wspominam to, co wspólnie z nimi przeżyliśmy podczas drugiej wojny światowej”.

Podobnie jak kolej żelazna Cecila Rhodesa z Cape do Kairu, najazdy Idię w północnej części kontynentu afrykańskiego pozostają w sferze mitów, potężniejących z każdą następną opowieścią. Krąży na przykład pewna historia o bójce w burdelu w Mogadiszu, słynącej z włoskich wpływów stolicy Somalii. Ale nie wydaje mi się ona prawdopodobna. Północ w ogóle jest dla Amina ważna, wszak to kraj, który go wykarmił własną pierśią, na granicy Afryki Arabów i Afryki Bantu, gdzie nic nie jest pewne. Tutaj żyją Nubijczycy, nubijscy muzułmanie, w koloniach czarnych najemników, sprowadzonych niegdyś przez przebiegłego brytyjskiego żołnierza, kapitana Lugarda do wykonania brudnej roboty. Również Idi oprze się właśnie na tej importowanej nacji, ściągając ich najpierw do służby w tajnej policji Public Safety Unit i State

Research Bureau, później zaś w ramach programu nawracania kraju na islam. Przerazeni perspektywą niezależnej Ugandy, w której, jako kolonialne psy myśliwskie, nie znaleźliby dla siebie miejsca, z radością stosowali się do wszystkich rozkazów.

W 1959 roku, po kursie w kenijskim Nakuru, gdzie nauczył się angielskiego, Idi dostaje awans na młodszego oficera. Zostaje „Effendi”. W przededniu uzyskania niepodległości, gdy ster władzy zaczyna przejmować Obote, drobna sprawa morderstwa kilku członków plemienia Turkana omal nie trafia do sądu. Ale w końcu brytyjska administracja zamiata ją pod dywan. Przecież idą nowe czasy. Do wielkiego dnia zostało tylko sześć miesięcy.

Według nowej strategii królestwa Ugandy mają się połączyć pod przewodnictwem jednego rządu federalnego. Tak też się staje: 9 października 1962 roku wjeżdża na maszt flaga Ugandy. Idi, awansowany do stopnia kapitana, przejmuje dowództwo nad batalionem nowej armii ugandyjskiej. Darowane mu są wszystkie przewiny i zostaje wysłany do Wielkiej Brytanii na kurs oficerski, który odbywa w Szkole Piechoty w Wiltshire oraz w Stirling, na północy kraju, gdzie - jak miał powiedzieć później - ciepło i dobroć Szkotów zwiększyły jeszcze jego miłość do nich.

Najbardziej intrygujące jest jednak to, że Idi we wczesnych latach swojej kariery odbywa podróż do Izraela, na kurs spadochronowy. Mówi się, że odznakę ze skrzydłami otrzymał, nie oddawszy nawet jednego skoku.

Ach, Izrael, który mógł przecież powstać w Ugandzie! Często się zastanawiałem, co by się stało, gdyby rzeczywiście do tego doszło, gdyby ojczyzna syjonistów powstała właśnie tam. Gdyby na sawannie powstały synagogi, a w bundu kibuce. Gdyby to Afrykanie, a nie Arabowie walczyli o swoje terytorium. Gdyby akt oskarżenia odczytano Eichmannowi w Kampali. Ale tak się nie stało. Izrael wykazuje jednak zainteresowanie ziemią, na której mógł się narodzić, udzielając pomocy militarnej i gospodarczej.

Lud Baganda, reprezentowany w rządzie federalnym przez partię Kabaka Yekka („Król, on jedyny”) próbuje tymczasem umocnić własną pozycję. Skutkiem tego jest przywrócenie samego kabaki Mutesy II, znanego jako Król Freddie, którego Brytyjczycy deportowali po politycznej sprzeczce. Edward William Frederick David Walugembe Luwangula Mutesa II, Profesor Wiedzy Wszechmocnej, Pan Wszystkich Klanów i Ziem, Ojciec Wszystkich Bliźniaków, Młot Kowalski, Wytapiacz Żelaza, Potęga Słońca, Pierwszy Oficer Orderu Tarczy i Dzidy, Kucharz Mający Wszelkie Drewno Na Opał wraca na tron.

Obote się to nie podoba. Podobnie zresztą jak królowi nie podoba się Obote. „Po raz pierwszy tknęły mnie złe przeczucia, gdy obserwowałem, jak Obote wciąga na maszt flagę niepodległości - napisał. - Niepokój ten nie miał konkretnej postaci ani przyczyny. Raczej było to wrażenie jakiegoś nieznanego przesunięcia akcentów, poczucie przepaści między tym, co wypada, a co chce”.

Buganda, największe ze wszystkich dawnych królestw terenu Ugandy, swego czasu rządzona przez najpotężniejszą dynastię, dała nazwę nowemu krajowi. To pradziad króla Freddiego, Mutesa I przyjął Johna Hanninga Spekea, z ceremonialnym dostojem szeroko otwierając trzciniowe drzwi swojej rezydencji ubranemu w łachmany podróżnikowi.

„W porównaniu z nimi wyglądałem mizernie - zapisał Speke. - Odziani byli w krzykliwe szaty z materiału, przypominającego żółty sztruks doskonałej jakości, ułożony w fałdy i dobrze tkany. Sprawiał wrażenie, jakby usztywniali go jakimś krochmalem. Na to nakładali peleryny uszyte z kawałków skóry antylopy, zszyte tak świetnie, że angielski rękawicznik nie zrobiłby tego lepiej”.

Speke dał Mutesie w prezencie karabin. Król przekazał go swemu służącemu, a ten wypróbował broń na pierwszym przechodniu, który się pojawił za bramą rezydencji. Działała. Działały też prezenty przywiezione przez innych podróżników: rower, którego tandetne szprychy

wirowały w czerwonym kurzu, i pozytywka. Ta ostatnia - dar innego Szkota, Alexandra Mackaya - wydzwaniała Haydnowskie *Stworzenie świata* w cieniu mangowca.

Tymczasem okazuje się, że tryby maszyny nie kręcą się płynnie. Obote sięga po władzę, a Buganda grozi secesją. Ponoć lojaliści się zbroją, aby wyrzucić rząd federalny z terenu królestwa. Obote reaguje, rozkazując Aminowi, który jest już Szefem Sztabu Armii, ostrzelać pałac kabaki. Król Freddie uchodzi do Anglii, gdzie umiera na zatrucie alkoholowe. Tak przynajmniej twierdzi raport koronera. Bagandyjczycy natomiast mówią, że agenci Obote wsypali mu coś do wina. Rok 1969 okazuje się przełomowy. Próba zamachu na Obote. Kula przeszywa mu policzek, ale go nie zabija. Amin słyszy strzały, uznaje, że to właśnie on jest celem ataku, i salwuje się ucieczką. Pokonując boso ogrodzenie z drutu kolczastego, kaleczy swoje różowe podeszwy. Obote wraca do zdrowia i jakby powodowany pobożnością dokonuje „przesunięcia na lewo” - ogłasza Kartę Praw Prostego Człowieka.

W Waszyngtonie i Londynie, Tel Awiwie i Johannesburgu oficjele za swoimi biurkami zaczynają się zastanawiać. Teraz tylko wierna Kenia stoi między Afryką Południową, gdzie czają się komunistyczne demony, a krajami arabskiej północy, gdzie pieniądze z libijskiej i saudyjskiej ropy podsycają płomień antyizraelskich resentymentów. Czerwona pętla satelickich państw komunistycznej Rosji zaczyna się zaciskać w środkowej Afryce. Ludzie za biurkami powtarzają sobie, że coś z tym trzeba zrobić.

Tymczasem Amin realizuje własne cele. Za zyski z handlu kością słoniową, diamentami i złotem tworzy siatkę wspierających go ludzi, złożoną głównie z Nubijczyków i Sudańczyków z południa, lojalnych tylko wobec niego. Bogactwa, przewożone przez granicę całymi ciężarówkami, pochodzą od zbuntowanych mieszkańców Konga, którzy chętnie wymieniają je na broń. Amin czuje się na tyle pewnie, że wybiera się na pielgrzymkę do Mekki. Obote wydaje rozkazy, by go aresztować, i wyjeżdża do Singapuru. Jest już jednak za późno.

Sam Jego Ekscelencja opowiadał mi później, podczas jednej z naszych nagrywanych na taśmę rozmów, jak w noc przewrotu zajęli arsenał w domu Obote i znaleźli w nim legendarne skrzynie, w których odkryli między innymi dar od Czerwonego Krzyża Związku Radzieckiego. „To dowodziło, że Obote był komunistą - powiedział. - To dlatego pojechał do Tanzanii”.

W rozmowie z dziennikarzami Obote oświadcza natomiast, że Amin osobiście plądrował jego szafy: „Wyważył drzwi, wszedł i zabrał wszystko, włącznie z moimi majtkami i moimi książkami, lekko licząc siedem tysięcy tomów. Nie wiem, czy ma zamiar je czytać”.

Przejąwszy kontrolę nad batalionami zmechanizowanymi (w niektórych z nich jeździły czołgi podarowane armii ugandyjskiej przez Izrael), Amin zwołuje zebranie na werandzie Command Post, Punktu Dowodzenia, bo taką właśnie nazwę otrzymuje teraz jego dom na Prince Charles Drive w Kampali. Poplecznicy siedzą i czekają na dalsze jego posunięcia. Kelnerzy podają kawę i herbatę.

Wśród gości zjawia się policjant, człowiek dobry i lojalny, wierny służbie. Kelnerzy przynoszą filiżankę także jemu.

- Kazałem tu przyprowadzić tego sługusa Obote - mówi Amin, rozpierając się na krześle. - Mogłem kazać go zabić. Ale tego nie zrobiłem. Kazałem podać mu kawę.

Policjant rozgląda się niespokojnie na prawo i lewo. Zaczyna ciężko dyszeć, upuszcza filiżankę ze spodkiem i zwala się na parkiet. Kelnerzy są zbyt przerażeni, by podejść.

- Bo widzicie, ja nie jestem ambitny. Ani nie kieruję się polityką plemienną - ciągnie Amin, ignorując wszystkich i wszystko wokół. - Mam trzy żony. Każda pochodzi z innego plemienia i wszystkie mieszkają ze mną w tym domu.

Zebrani goście, w większości żołnierze, choć jest wśród nich kilku cywilnych urzędników, odruchowo patrzą w kierunku wejścia z werandy do domu, jakby miały się tam pojawić żony gospodarza. Ale się nie pojawiają.

- Rozkazałem, by żołnierze pomagali ludziom - ciągnie Amin. - Jeśli zginą wszyscy *wananchi*, kto odbuduje Ugandę?

Na zewnątrz seria wystrzałów zakłóca noc.

- To moi żołnierze - wyjaśnia Amin, jakby na sygnał. - Strzelają w powietrze. Bardzo się cieszą.

Rozgląda się, kiwając głową, jakby rzucał gościom wyzwanie, by mu zaprzeczyli. Policjant siedzi na ziemi w kałuży kawy, przyciskając kolana do unoszącej się ciężko klatki piersiowej.

Po chwili Amin podejmuje przerwany wątek.

- Powszechna radość, z którą wszędzie powitano przejęcie przeze mnie władzy, nie pozostawiła nikomu najmniejszej wątpliwości, że taka zmiana ludziom się bardzo podoba. Jaka mogłaby być inna przyczyna powszechnej radości i podniecenia?

Przerywa ponownie. Przerywają też wszyscy inni, zamierając w przyjętych pozach, niczym podczas dziecięcej zabawy. Czekają, aż Amin sam sobie odpowie na wszystkie swoje pytania.

- Powiem wam. Ludzie reagują w ten sposób, bo odczuli wielką ulgę po obaleniu reżimu, który ich uciskał i był niepopularny. Zdjęto im z ramion wielki ciężar, reagują więc, skacząc z radości.

Kładzie sobie na głowie splecione dłonie i przesuwa nimi to w przód, to w tył, marszcząc skórę, jakby się zastanawiał, co ma powiedzieć dalej. Spogląda na sufit, po którym wolno przechodzi gekon, po czym kontynuuje.

- Reżim Obote był jedną z największych hipokryzji. A o nim można powiedzieć wszystko, tylko nie to, że był socjalistą. Obote miał dwa pałace w Entebbe, trzy w Kampali, jeden w Jinja, jeden w Tororo i jeden w Mbale. Wszystkie były urządzone i utrzymywane z pieniędzy publicznych. Kosztowało to fortunę, a mimo to poza jednym wszystkie stały puste niemal przez cały czas. Nic więc dziwnego, że tamtejsi mieszkańcy zaatakowali i zniszczyli tak zwany pałac

prezydencki w Jinja. Jego całkowitemu zniszczeniu zapobiegło wojsko. Także tryb życia Obote nie miał nic wspólnego z socjalizmem. Ten człowiek palił, pił, uganiał się za kobietami i wszędzie ciągnął ze sobą wielką świtę. Co więcej, całe to gadanie o przesunięciu się Obote na lewo i Karcie Praw Prostego Człowieka to tylko mielenie ozorem.

Dwóch kelnerów chwytą dyszącego ciężko policjanta i wynosi go na zewnątrz, trzymając pod ręce. Amin się uśmiecha...

- Bo musicie wiedzieć, że mój rząd święcie wierzy w pokój i międzynarodowe braterstwo.

Masy, które teraz cieszą się z obalenia Obote, pamiętają jego złe uczynki, bierność, brak zdolności i polityczną impotencję w okresie wielkiej potrzeby. Nie wątpię, że z czasem ujawnią się kolejne jego słabości. Ja natomiast mogę tylko życzyć pomyślnych wiatrów i dużo szczęścia Drugiej Republice Ugandyjskiej. Ktokolwiek z zewnątrz będzie nas niepokoił, zostanie zgnieciony. Mamy dobre lotnictwo i zmechanizowaną armię. Szykujemy najeźdźcom gorące przyjęcie. Będziemy z nimi walczyć, i to skutecznie. Stawimy im czoło na lądzie.

Jeszcze w tym samym tygodniu, by dowieść swojej łaski, Amin wypuszcza z więzień niektórych zwolenników Obote. Przekazują mu w prezencie dwie księgi, Biblię i Koran, oraz wydają kuriozalne oświadczenie: generał Amin uwolnił ten kraj od tyranii, ucisku i politycznego zniewolenia, podobnie jak Mojżesz uwolnił Żydów z niewoli egipskiej.

Ze swojego obskurnego londyńskiego mieszkanka król Freddie pisał: „Kiedyś wrócę do ziemi moich ojców i do mojego ludu”.

I wraca, ale w trumnie, w samolocie eskortowanym przez cztery należące do ugandyjskich sił powietrznych myśliwce MiG, z tej samej eskadry, którą widziałem po przylocie na lotnisko Entebbe. Ale to na marginesie.

Amin reaguje na kryzys restauracji monarchii (Czy książę Ronnie przejmie tron po ojcu, jak życzy sobie tego starszyzna Bugandy, czy wróci na studia do Londynu?) następującym

oświadczeniem: „Chcę przy tej okazji stwierdzić wyraźnie i kategorycznie, że królestwa nie zostaną przywrócone i Uganda nie wróci do porządku konstytucyjnego sprzed 1962 roku. Takie jest moje życzenie, a przede wszystkim życzenie większości Ugandyjczyków, by Uganda pozostała krajem silnym i zjednoczonym. Inaugurujemy rok, podczas którego propagujemy porozumienie międzyludzkie. Wymaga to, między innymi, aby każdy Ugandyjczyk rozbił okowy podziałów plemiennych i frakcyjnych”.

Gdy latem 1972 upływał drugi rok mojej pracy w klinice w Mbararze, Amin wybrał się w podróż, której program przedstawiał się następująco (podaję punkty wybrane przez siebie):

1. Do Izraela, celem stworzenia wspólnej polityki wobec Sudanu oraz nawiązania współpracy militarnej. Rozmowy z Mosze Dayanem i Goldą Meir. Osiągnięcie częściowego porozumienia w sprawie dostaw broni. (Lot izraelskim odrzutowcem, za którego sterami siedział izraelski pilot, niejaki pułkownik Saprishi.)

2. Z Izraela na londyńskie lotnisko Gatwick. Rząd brytyjski nie oczekiwał go, mimo to odbyła się oficjalna kolacja z udziałem Edwarda Heatha, Aleca Douglas-Homea i Reginalda Mauldinga.

- Chcę odrzutowiec pionowego startu typu Harrier - żąda Amin.

- Po co? - dopytuje się Douglas-Home.

- Żeby zbombardować Tanzanię - odpowiada Amin.

Żądanie zostaje odrzucone, ale następnego ranka odbywają się rozmowy z lordem Carringtonem na tematy zbrojeniowe, zakończone opracowaniem nowego programu pomocy Ugandzie, opiewającego na kwotę dziesięciu milionów funtów.

Jego Ekscelencja składa wizytę w Sandhurst. Potem odbywa się zorganizowany na poczekaniu lunch z królową Elżbietą i księciem Filipem, którego Amin nazywa „panem Filipem”.

- Proszę mi powiedzieć, panie prezydencie, czemu zawdzięczamy pańską niespodziewaną

wizytę? - pyta królowa.

- W Ugandzie, Wasza Wysokość, bardzo trudno znaleźć buty rozmiar trzynasty - odpowiada Amin.

Później tego samego dnia Idi kupuje buty i odzież w londyńskim sklepie z odzieżą dla mężczyzn o nietypowych rozmiarach.

3. Punkt kulminacyjny wizyty w Szkocji. Wizyta w Holyrood, siedzibie dawnych królów.

Nad edynburskim zamkiem powiewa flaga Ugandy Łopocze na wietrze z charakterystycznym trzepotem czy bezwładnie opada na drzewce? Któż to wie? Amin odbiera defiladę. Zakupy na Princess Street: szkarłatne plastikowe torby i pudełka z wstążkami. Dziewięcioletni syn Jego Ekscelencji, Campbell, ma na sobie kilt noszony przez elitarną jednostkę piechoty King's Own Scottish Borderers na paradzie zwycięstwa.

Koniec starej śpiewki.

Po przyjęciu dla dyplomatów, które odbyło się w State House pierwszego dnia mojej nowej pracy, przez jakiś czas nie widziałem Amina. Ilekroć próbowałem dostać się do ministra Wasswy, żeby wreszcie go poznać, zbywano mnie. Uważałem, że jako osobisty lekarz Amina muszę przeprowadzić przynajmniej wstępne badania, by określić stan jego zdrowia. Taka przecież była moja powinność. Bo jeśli nie, to jaki sens miała moja funkcja? Najwyraźniej jednak Amin był zbyt zajęty. Tyle tylko, że nie były to ważne zajęcia, jeśli sądzić po okolicznościach, w których w końcu go spotkałem.

Minął mniej więcej miesiąc od dyplomatycznego rautu. Wybrałem się na basen do jednego z dużych hoteli w mieście. Ci, którzy nie mieszkali w hotelu, musieli za wejście zapłacić. Przebrałem się w małym betonowym pomieszczeniu, gdzie pod jedną ze ścian turkotała jakaś maszyna z mnóstwem wskaźników i kilkoma dźwigniami o zielonej rączce. Pomyślałem, że to na pewno do pompowania i czyszczenia wody w basenie. W przeciwległej ścianie znajdowały się stalowe drzwi, zabezpieczone plombą i zamknięte na kłódkę. Czerwonymi literami wypisano na nich zakaz wstępu.

Schowałem rzeczy do szafki i wyszedłem. Na basenie panował tłok. Amatorzy kąpieli, w większości biali, rozpierali się na leżakach jak Rzymianie podczas uczy, popijali colę lub fantę albo czytali książki w miękkiej oprawie. Między nimi przemykali ukradkiem kelnerzy. Wśród zażywających kąpieli słonecznej zauważyłem Marinę Perkins, żonę ambasadora. Miała na nosie ciemne okulary. Przez chwilę zastanawiałem się, czy do niej nie podejść, ale jakoś niezręcznie było mi to zrobić w kąpielówkach. Rzuciłem więc ręcznik na brzeg basenu i wskoczyłem do wody. Przepląnąłem kilka długości, rozkoszując się chłodem po godzinach przebywania w upale, po czym podciągnąłem się na brzeg w miejscu, gdzie zostawiłem ręcznik. Cały mokry i z ręcznikiem w dłoniach zebrałem w końcu dość odwagi, żeby podejść do

Mariny Perkins.

- Witam - rzuciłem, z oczyma piekącymi od chloru. Jej oczu nie widziałem za ciemnymi okularami. Dopiero po chwili podniosła okulary na czoło.

- Doktor Garrigan! Nie sądziłam, że jest pan pływakiem.

- Próbuję zachować formę - odparłem i już mówiąc te słowa, uprzytomniłem sobie, że kondycja mojego ciała może budzić lekki niepokój. Speszony jak sztubak bawiłem się rogiem ręcznika.

- Proszę, niechże pan podejdzie i porozmawia ze mną. Dość już mam bezczynnego siedzenia na słońcu.

Rozłożyłem ręcznik na ziemi.

- Ależ tak nie będzie panu wygodnie! Radzę wziąć któryś z wolnych leżaków - zaproponowała, wskazując na stojące obok siedziska. Przyciągnąłem więc jedno z nich, szorując plastikowymi nóżkami po betonie, i położyłem się obok niej. W odległości zaledwie kilkudziesięciu centymetrów! Rozmowa z atrakcyjną kobietą, opalającą się na sąsiednim leżaku, jest o wiele trudniejsza, niż można to sobie wyobrazić, zwłaszcza jeśli kobieta ta jest czyjąś żoną. Trudno mi było nie zerkać na rozchyłające się na boki miseczki jej błękitnego bikini. Sięgałem wzrokiem nawet dalej, zachowując się jak parszywy kundel.

- Proszę mi powiedzieć, dlaczego tak naprawdę opuścił pan Mbararę. Przecież pobyt tam był na pewno fascynujący. Taka prawdziwa przygoda w starym stylu!

Ciepło rozgrzanego plastiku, przenikające przez poduszki i rozłożony na leżaku mokry ręcznik nie wróżyły niczego dobrego. Postanowiłem nie mówić jej o Sarze.

- Otóż niekoniecznie - odparłem. - Po jakimś czasie wszystko chyba staje się zwyczajną pracą. Dość już miałem leczenia ludzi tandetnym sprzętem i przeterminowanymi lekarstwami.

Gra zrobiła się niewarta świeczki.

- Ale przecież zawsze warto pomagać ludziom, prawda?

- Do czasu. Poza tym i tak najczęściej pacjenci zjawiali się z problemami, wobec których byłem bezradny. No i trudno tam znaleźć cokolwiek ekscytującego po pracy. Zdecydowanie nie nadają się do spędzania wieczorów na proszonych kolacjach ciągle z tymi samymi ludźmi.

- Proszę nie sądzić, że w Kampali jest inaczej. Jeszcze się pan przekona! Lista rzeczy, które można robić, kończy się zadziwiająco szybko. Trudno znaleźć coś, czego tu już nie robiłam: rezerwat dzikich zwierząt, goryle w Rwandzie, wodospady Murchisona. Została mi chyba tylko przejażdżka łodzią po Jeziorze Wiktorii. Podobno można tam złowić naprawdę wielkie ryby. Ciągle mówię o tym Robertowi, ale on ostatnio wcale nie ma czasu przez to azjatyckie zamieszanie. Zresztą Robert niezbyt lubi wodę.

- A ja lubię - palnąłem, zanim zdążyłem poczuć się niezręcznie, że okazałem zainteresowanie tematem, który nie interesował jej męża. - Kiedyś dużo wędkowałem. Jeszcze jako mały chłopiec, z ojcem - dodałem prędko.

- Ach tak - skwitowała. Spróbowałem zmienić temat.

- Chyba jednak się pani nie nudzi?

- Niestety tak. Pan to co innego. Ma pan zajmującą pracę i może się czuć potrzebny światu.

Ode mnie nie oczekuje się niczego. Mam po prostu być. Ciągle mi się zdaje, że na coś czekam.

Pokiwałem głową i zacząłem obserwować palce swoich stóp na końcu leżaka.

- Zona dyplomaty musi być jak dyplomata. Jakby to ona była na kontrakcie. Chyba jednak nie powinnam panu tego mówić. Nie wypada.

Z powrotem spuściła na oczy swoje ciemne okulary, jak komiksowy szpieg. Kolejna Mata Hari.

- Proszę się nie martwić. Nikomu tego nie powtórzę - zapewniłem jowialnie.

Przez chwilę gawędziliśmy o bieżącej sytuacji politycznej. Powiedziała, że ci sami brytyjscy

dziennikarze, którzy bili brawo po zamachu Amina, teraz piszą krytyczne artykuły, i to przysparza kłopotów jej mężowi. Słuchając jej, zauważyłem, że jeden z pracowników obsługi basenu żywo się interesuje naszą rozmową. Spojrzałem na niego groźnie, ale niewiele to zmieniło. Kręcił się w pobliżu przez całą naszą rozmowę.

- Nie sądzę, by się to na wiele zdało - stwierdziła Marina, gdy zapytałem ją o wojnę ekonomiczną, którą ogłosił Amin. - Czystki nie będzie. Robert twierdzi, że to następstwo tego zamieszania z Azjatami. Na pewno nie odbije się to ani na panu, ani na mnie.

Teraz, z perspektywy czasu, wydaje mi się szaleństwem, że przez cały czas, wbrew sobie starałem się odnaleźć w jej słowach choćby ślad zainteresowania moją osobą. Jak śmieciarz myszkujący na wysypisku w poszukiwaniu ochłapów. Oczywiście nie znalazłem niczego.

Musiałem chyba zwariować - czego, do diabła, się spodziewałem?

- Chyba powinnam już wracać do domu - powiedziała w końcu. - Mamy dzisiaj kolację z ambasadorem Niemiec Wschodnich.

Zabrała torbę i ręcznik, a ja przyglądałem się, jak stawiając małe stopki na betonie, idzie w kierunku szatni.

Poleżałem jeszcze chwilę na słońcu i znów wskoczyłem do wody. Przepłynąłem basen czterdzieści razy, zmieniając styl co dziesięć: żabka, na plecach, na boku i w końcu kraul. Nie potrafię pływać motylkiem. Ten styl wydaje mi się nienaturalny.

Wyszedłem na brzeg, żeby wyschnąć, i wtedy się zaczęło. Już wcześniej kątem oka zauważyłem, że na basenie przybyło Ugandyjczyków, w tym także żołnierzy. Siedzieli na leżakach, niektórzy w ubraniu, inni w kąpielówkach. Jeden z żołnierzy zajął mój leżak, ale nie miałem odwagi go wyprosić.

Na leżaku po drugiej stronie rozpierał się Wasswa. Przywołał mnie skinieniem i krzyknął na całe gardło:

- Niech pan usiądzie koło mnie, doktorze Garrigan. Coś panu pokażę.

Obszedłem basen i usiadłem na obłożonym poduszkami leżaku obok niego.

- Co więc zobaczę?

- Za chwilę się pan przekona. Coś wyjątkowego.

Zdażyłem zauważyć, że ma byle jakie spodenki kąpielowe, gdy ze środka basenu dobiegł potężny ryk. Słup wody wytrysnął w górę na dobre półtora metra, jak w fontannie. Zauważyłem pod nim coś ciemnego. Ryk przeszedł w mechaniczny zgrzyt, a Ugandyjczycy zaczęli klaskać i dopingować. Gdy struga wody opadła, na powierzchni pojawiła się wielkich rozmiarów głowa, niczym z posągu antycznego herosa, potem szerokie bary, duży brzuch, wielkie uda, potężne kolana (jedno z blizną), a w końcu niespodziewane delikatne kostki i stopy.

Amin pomachał wiwatującym sługusom i żołnierzom, po czym zeskoczył z platformy.

Widziałem, jak czarna sylwetka przepływa pod wodą w kierunku miejsca, gdzie siedziałem z Wasswa.

- To specjalna maszyna, którą Jego Ekscelencja kazał tu zamontować - powiedział Wasswa, wskazując na kolumnę w wodzie pośrodku basenu. - Wywozi go spod dna na powierzchnię.

W tej samej chwili naprzeciwko nas lustro wody przebiła roześmiana twarz Amina. Kilka razy mrugnął zaczerwienionymi oczyma i podciągając się na rękach, wyszedł z basenu, a woda z jego ciała spływała na obrzeże zbiornika. Wasswa jakby się zapomniał i po chwili dopiero skoczył na równe nogi, by owinać pana prezydenta ręcznikiem. Ja także się podniosłem.

Amin wyprostował się i spojrzał na mnie uważnie. Już się nie śmiał.

- No proszę... mój osobisty lekarz! Dlaczego traci pan czas na basenie? Powinien pan uzdrawiać lud Ugandy!

- Eee... - wyjąkałem oszołomiony - Ja przecież pracuję. Przeglądałem najnowsze prace naukowe. Zresztą gdyby się pan topił, to...

Przez chwilę gapił się na mnie jak żaba, po czym wybuchnął śmiechem i poklepał mnie po plecach mokrą dłonią.

- Ależ z pana śmieszny człowiek, doktorze Nicholas! Ja tylko żartowałem. Jak życie w Ugandzie? Podoba się panu nowa praca?

- Tak. Tylko proszę mi umożliwić przebadanie pańskiej osoby.

- Koniecznie, koniecznie. Jak będę chory. Na razie jestem zdrowy.

Poklepał się po brzuchu.

- Bardzo zdrowy - dodał. - Przyjemnego pobytu na basenie.

Odwrócił się, na chwilę znieruchomiał i znów stanął twarzą do mnie. Mimowolnie cofnąłem się o krok.

- Nie! - krzyknął. - Pokażę panu moją nową tajną broń. Proszę za mną.

Poprowadził mnie do szatni. Za nami podążyła jego świta, szepcząc coś między sobą jak niesforni uczniowie. Weszliśmy do szatni i minęliśmy stojące rzędem maszyny Kłódka na drzwiach z zakazem wstępu wisiała otwarta. Amin przesunął jedną z dźwigni i w środku rozległ się hałas. Słyszając syk sprężonego powietrza, zgadłem, że kolumna pośrodku basenu wsuwa się z powrotem pod dno.

- To znaczący postęp, bardzo ważny dla technologii w Ugandzie. Zrobili to dla mnie Izraelczycy - wyjaśnił Amin.

Odwrócił się do mnie, dźgając powietrze palcem.

- Dobrzy inżynierowie, ale źli politycy w Tel Awiwie. Niech pan spojrzy do środka.

Otworzył drzwi.

Zrobiłem, jak kazał. Zobaczyłem małą, ciemną kabinę z metalową podłogą i ścianami.

Wszystko ociekało wodą.

Nagle poczułem na plecach czyjąś dłoń, wpychającą mnie do środka. Usłyszałem głośny

śmiech i trzask zamykanych drzwi. Zapanowały całkowite ciemności. Przez chwilę słyszałem jakiś mechaniczny szczepek. Potem nagle poczułem, jak spada na mnie ściana wody. Jej siła omal nie zwała mnie z nóg. Dach kabiny się otworzył. Myślałem, że utonę. Czułem, że podłoga się podnosi, a wokół mnie syczały silne strumienie powietrza. Nad sobą przez opadającą wodę widziałem światło.

Platforma wysunęła się, wynosząc mnie nad powierzchnię wody, skulonego i charczącego. Zebrani wokół basenu Ugandyjczycy, którzy pewnie biegiem przybyli tutaj z szatni, i garstka białych, którzy nie wymknęli się chyłkiem po przybyciu Amina, wiwatowali teraz na moją cześć. Starając się ukryć gniew, wślizgnąłem się do wody. Sam Amin wyciągnął mnie za rękę na brzeg. Sprawiał mi przy tym ból i zaśmiewał się do rozpuku.

- Doktorze, doktorze! Przepraszam. Ale to dobrze, że się pan nauczył pływać we właściwy sposób. Mnie samemu zdarzało się pływać w bardziej wzburzonej wodzie. Powinien pan lepiej sobie radzić. Bo pewnego dnia może się pan znaleźć na wojnie, jako lekarz ugandyjskiej armii. Dał mi swój ręcznik, wielki i ozdobiony wizerunkiem żurawia koroniastego.

- Wystraszył mnie pan - powiedziałem, odczuwając lekkie mdłości.

- Niech się pan nie boi. To głupie się bać. Tutaj, tutaj. Niech pan usiądzie.

Skinął na jednego ze swoich przybocznych.

- Zamów kanapki. I piezzonego kurczaka. I coca-colę. Mężczyzna wybiegł. Wkrótce miałem się przyzwycząić, że polecenia Amina wszyscy wykonują bez słowa i bez zwłoki. Usiadłem na jednym z leżaków. Byłem roztrzęsiony.

- Nie, doktorze. Nie wolno się bać. Bać się to być tchórzem, a nie sądzę, żeby mój osobisty lekarz mógł nim być. To niemożliwe. Słuchajcie mnie wszyscy!

Amin wskoczył do wody. Kilkoma potężnymi uderzeniami ramion dopłynął na środek basenu, do wciąż wysuniętej po mojej przygodzie kolumny. Wspiął się na platformę, stanął

prosto i zaklaskał w ręce.

- Słuchajcie wszyscy! Chcę wam powiedzieć o banii się i tchórzostwie w Ugandzie!

Poprawił mokre kąpielówki.

- Prawda jest taka: banie się jest złe. Ja się nie bałem ani przejąć prezydenturę od Obote, ani wysłać kabakę do Anglii. To było najlepsze dla mojego kraju. Mam nadzieję, że Bóg mnie za to nie ukarze.

Świta wydała kilka pełnych aprobaty pomruków. Siedzący obok mnie Wasswa gorliwie kiwał głową.

- To prawda, lubię stać na czele. Nie lubię, jak mi ktoś mówi: „Amin, weź ten pistolet!”.

Albo: „Amin, wykop tu latrynę!” - Wykonał kilka gestów naśladujących kopanie i mówił dalej: -

Wcale tego nie lubię. Nie jest dobrze, jak do naszego narodu przychodzą biali ludzie i mówią mi

to albo tamto. Ale lubię, jak potem oficer kiedyś w wojsku mówił: „Dobra robota, Amin!”.

Tak samo jak królowa Anglii mówi Szkotom, posadźcie uprawy tutaj, a mury postawcie tutaj. Żeby trzymać antylopy Szkoci jedzą antylopy codziennie. Patrzcie, jacy są silni!

Wskazał na mnie. Wszyscy spojrzeli. Pokiwali głowami. Uśmiechnęli się.

- Ja sam. Musicie wiedzieć, że ja sam w głębi serca, jak już mówiłem wcześniej, jestem królem. To dlatego lubię te maszyny. Maszyny są dla królów.

Tupnął w metalową płytę. Nad wodą rozniosło się trumienne dudnienie. Przypomniałem

sobie, jak ojciec wznosił toast whisky Belfs, a potem przyszedł mi do głowy stary toast

jakobitów: „Za króla za wodą!”.

- Bo to także wypływa z mojej natury, że kocham rządzić. Tylko moje słowo się liczy! Ale

lud Ugandy jest dobry i dlatego zasługuje, by mieć tak dobrego przywódcę, jak ja. Gdyby był zły, zasługiwałby na złego przywódcę. To logiczne. Bóg zesłałby złego człowieka, żeby ich dręczył.

Zaiste byłoby to dla nich straszne.

Amin przerwał swoją przemowę i zakasłał, jakby do jego płuc dostała się woda.

- Ten człowiek, on by gonił ludzi i nie byłby dobry i brałby kobiety z każdego miejsca. Ach, mówię wam! Czarne kobiety i białe kobiety też. Nie mógłby się zaprzyjaźnić z nikim, kto by był dobry, i nie byłoby kobiety, której by nie chciał zapłodnić. Mówiłby, żeby coś się stało i potem... to coś by się stało. Tylko dlatego, że byłby sprytny. Więc wszedłby tutaj i pobiegł tam, myśląc, że jest bardzo sprytny, bo wykonuje swój plan. Ej, ty! Przynieś mi coś do jedzenia!

Kelner z hotelu przyniósł na tacy zamówione posiłki i napoje. Gdy Amin krzyknął do niego, rozejrzał się nerwowo.

- No idź, idź - ponaglił go Wasswa. - Podaj jedzenie. - Kelner wydawał się przerażony. - Zanieś tacę do basenu.

Kelner doszedł do schodków i ostrożnie wszedł do wody. Niosąc tacę nad głową, trzymał się jak najdłużej, płytkiej strony basenu. Biała marynarka robiła się coraz bardziej mokra, aż w końcu mężczyzna musiał się zanurzyć i płynąć. Z trudem brnął przez wodę w kierunku platformy. Nagle butelki z colą oraz talerze omal nie zsunęły się z tacy i wśród widzów rozległ się głośny jęk. W końcu kelner dopłynął jakoś na miejsce. Amin przykucnął i odebrał od niego tacę.

- Dobrze, że nie służy pan jako nurek w mojej marynarce wojennej, panie kelnerze. Powinien pan trochę poćwiczyć pływanie i zrobić kurs dla płetwonurków - powiedział. Zaśmiał się z własnego dowcipu, po czym śmiechem wybuchnęli wszyscy zebrani, a zakłopotany kelner niezgrabnie popłynął z powrotem w nasiąkniętym ubraniu. Biała marynarka nadęła się nad powierzchnią wody jak balon. Skojarzenie przywiodło mi na myśl budzący mdłości widok wzdętych zwłok, kołyszących się na wodach Rwizi.

- Ale do rzeczy - huknął gromko Amin z ustami pełnymi kurczaka. - Ten zły wódz, moi drodzy. On myśli sobie, że jak wszystko robi, to wykonuje swój własny plan, a nie plan Boga. Ale w rzeczywistości on wykonuje cały czas właśnie wolę Boga. Z tego powodu wydaje się

bardzo wielkim człowiekiem. Wierzy w korzystanie z każdej okazji i nie ma rzeczy, na którą by się nie odważył. Nigdy nie mówi *simama*, koniec, jest jak odważny człowiek, który idzie do samego końca, aż zostanie usunięty. Ale nawet wtedy nie zrozumie swojej prawdziwej sytuacji. On jej po prostu nie chce zobaczyć.

Pomachał w powietrzu udkiem kurczaka. Przed oczyma mignęło nam ścięgno. Luźna, tłusta skórka była czerwona od sosu piri piri. Ugryzł kolejny kęs i rzucił udko na platformę, obok siebie.

- Więc w kraju by było źle aż do wtedy Każdego ranka, gdy wstaje słońce, kolejna wdowa płacze w swojej chacie, a dziecko ssie jej pierś jak suchą kolbę kukurydzy. I każdego dnia ten zły wódz pluje na Boga w niebie. Podnosi palec do księżyca, nie wie, jaka jest właściwa miara mąki kukurydzianej w każdej rzeczy. Bo zawsze posuwa się za daleko... Tak, ze swoim złem on jest jak szatan, a jego cały kraj będzie jego grobem. Dla niego i wielu ludzi innych. Nawet on, najważniejszy człowiek, zadaje sobie pytanie: Czy to jest Uganda, czy to jest piekło w Ugandzie? Bo żadne życie nie jest tak żalosne jak życie tego człowieka. On się boi z powodu snów o lampartach i fałszywych duchach, które przychodzą do niego w nocy A kiedy on umrze, to spotka go okrutna i niezwykła śmierć.

Pociągnął łyk coli, a potem położył sobie dłoń na sercu.

- Bo takie są prawdy. On idzie w górę, i to jest za dużo różnego dobra: jego brzuch się robi duży i musi on często opróżniać swoje lędźwie. Ale wokół jego szyi zaciska się lina i gdy dojdzie do najwyższego stopnia, Bóg wrzuci tego człowieka do ognia, ciągnąc za drugi koniec liny. Ponieważ on teraz zrobił swoją pracę dla niego, wola Boża idzie prosto do niego i bierze go, a wtedy jak go bierze, jest jeden do jednego, specjalny pakiet w obydwie strony.

Powiedziawszy to, odstawił butelkę, złożył dłonie i wskoczył do wody. Nasza owacja wciąż trwała, gdy wypłynął na powierzchnię.

- Cóż - rzucił Amin, gdy jeden z członków jego świty wycierał mu plecy ręcznikiem z wizerunkiem żurawia koroniastego. - Taką mam dzisiaj dla was historię, przyjaciele. A teraz zrobimy zawody pływackie, żebyśmy byli sprawni na Jeziorze Wiktorii w razie inwazji. Tak też zrobili. Zauważyłem, że we wszystkich wyścigach, w których brał udział Amin, pozostali uczestnicy pozwalali mu wygrać. Przez chwilę obserwowałem to widowisko, po czym się stamtąd wycofałem. Czułem, że zrobiłem już, co do mnie należy, i że przez jakiś czas niczego więcej nie będzie się ode mnie oczekiwać.

Tamtej nocy położyłem się zmęczony i miałem dziwny sen. Raczej może było to powracające do mnie sprzed lat wspomnienie położonego w pewnym cichym zakątku Edynburga sklepu ze starociami. Zobaczyłem tam małą srebrną pozytywkę, nie większą od paczki papierosów, tylko dwukrotnie głębszą. Poprosiłem, żeby sprzedawca ją nakręcił i oto, co się stało: wieczko pudełka otworzyło się, a ze środka wysunęło się podwójne łóżko, odwzorowane niezwykle starannie, z fałdkami na pościeli włącznie. Leżały na nim twarzą do góry dwie nagie figurynki z kości słoniowej. Mężczyzna miał wzwód: pod napletkiem błyszczał maleńki rubin, osadzony na beżowym trzonku. Zadzźwięczała muzyka. Nie pamiętam już melodii, wiem tylko, że była powolna, uwodzicielska i miała orientalne brzmienie. W jej rytm mężczyzna uniósł się powoli i przekręcił na brzuch, kobieta rozchyliła nogi, a mężczyzna zaczął się między nimi rytmicznie poruszać, wsuwając zwieńczony rubinem członek w starannie wyrzeźbiony otwór. Zsynchronizowane z muzyką gesty ustały wraz nią. W rytm ostatnich taktów muzyki kobieta kilkakrotnie machała głową na boki, w moim śnie natomiast scena nie miała finału. Trwała, jakby nie było końca.

Ten jednak nastąpił, gdy obudziłem się we własnym bungalowie na terenie State House. Przez chwilę leżałem na łóżku, odtwarzając w myślach nocne wydarzenia, po czym wstałem i wziąłem prysznic. Przy śniadaniu odebrałem telefon (jak się miało okazać, pierwszy z wielu

takich).

- Halo? Doktorze? Mówi prezydent Amin. Proszę przyjechać do mnie. Mój syn jest bardzo chory Proszę być natychmiast.

- Przyjdę za pięć minut - odparłem.

- Jak może pan przyjść za pięć minut? Jest pan wielkoludem, który stawia wielkie kroki, czy może jest pan głupcem?

Nie wiedziałem, co mu na to odpowiedzieć.

- Nie jestem w State House. W dni robocze nie ma mnie w Entebbe, tylko w Command Post na Prince Charles Drive. Niech pan natychmiast przyjedzie tu samochodem.

- Ale ja nie mam samochodu - wymamrotałem. - A to daleko stąd.

- Aha. To musi pan powiedzieć żołnierzom przy bramie, żeby pana przywieźli. Natychmiast.

Rozłączył się, zostawiając mnie oszołomionego, z telefonem w ręku. Popatrzyłem na słuchawkę. Błyszczała od potu.

Spakowałem potrzebne rzeczy i wyszedłem, żeby zorganizować sobie jakiś transport. Zajął to dłuższą chwilę, w końcu jednak znalazłem się w fotelu pasażera wojskowego dzipa.

Martwiłem się, że przybędę za późno. Żeby zająć czymś myśli, przyglądałem się tablicom

wiszącym w mijanych po drodze dzielnicach Nateete i Ndeeba, terenach gett i przemysłu

lekkiego: „Mugaga Auto Naprawa” (*mugaga* znaczy „szaman”), „Zimne mięsa”, „Pralnia

Volcano rozwiąże twoje problemy”, „Wielkie pożądanie - fryzjer i farbowanie”, „Piwo Bell -

wspaniała noc i dobry dzień”, „FATUM - szybko i niezawodnie”.

Najczęściej powtarzała się reklama popularnych papierosów o nazwie „Sportowe”.

Czerwonożółte plakaty przedstawiały lekko śniadego angielskiego dżokeja, obok którego widniał slogan „Yee ssebo!”.

- Co to znaczy? - zapytałem kierowcę, gdy mijaliśmy sklep ozdobiony wizerunkiem dżokeja.

Spod wsuniętego na bakier beretu popatrzył na mnie, jakbym oszalał.

- Tak jest!

- Ale co to znaczy? - powtórzyłem powoli, przekonany, że mnie nie rozumie.

- To znaczy „Tak jest!”. Coś jak „bardzo dobrze”.

- Rozumiem - odparłem speszony.

Jechaliśmy przez miasto, mijając warsztat produkcji trumien, magazynujący gotowe wyroby pod gołym niebem, opuszczoną od wygnania Azjatów hinduską świątynię, która wyglądała jak wielki, trochę zniszczony tort weselny pełen baszt i krenelaży, fabrykę mydła Nakasero przy rynku obok Burton Street. Wreszcie wjechaliśmy w Sturrock Road i Prince Charles Drive. Jadąc do Command Post, spodziewałem się czegoś trochę innego, zastałem natomiast miły podmiejski dom, podobny do siedzib wielu pełniących wysokie funkcje białych, tylko trochę większy. Gdyby nie wysoka antena nad dachówkami i gniazdo karabinów maszynowych przy bramie, nie wyróżniałby się spośród reszty domów właściwie niczym. Otaczały go świerki i bugenwille, a do drzwi wejściowych wiodła wysoka skarpa.

Strażnicy wprowadzili mnie do środka. Przy drzwiach powitała mnie kobieta ubrana w niebieski rozpinany sweter, jak przypuszczałem jedna z żon Amina. Zza jej nóg wyglądały główki dzieci.

- Przepraszam, panie doktorze, ale prezydent musiał wyjechać w pilnej sprawie państwowej.

Mam na imię Kay. To mój syn jest chory.

Poszedłem za nią. W salonie stał komplet ciemnych mebli, a w nich telewizor i barek. Po całym dywanie poniewierały się plastikowe zabawki: jaskrawozielone i czerwone dinozaury, ciężarówka Tonka i kilku Action Manów w różnych mundurach, z kończynami powyginanymi na wszystkie strony. Z kuchni dobiegały delikatne zapachy przygotowywanych posiłków. Wszystko wyglądało całkiem zwyczajnie.

- Tędy proszę - powiedziała Kay Amin. Udałem się za nią. Po drodze ganiała wokół nas trójka albo czwórka dzieci, dając upust dziecięcej energii bez jakiegokolwiek pożytku i celu.

Jednemu z nich prezydentowa przyłożyła klapsa.

Odstawiłem swoją torbę. Chłopiec miał około dziesięciu lat i z wyglądu bardzo mi przypominał Gugu. Leżał na łóżku, zwinięty w pozycji embrionalnej. Przekręciłem go twarzą do siebie. Z jednego nozdrza leciała mu krew. Wziąłem jego twarz w dłonie i uważnie ją obejrzałem.

- Czy to coś poważnego, doktorze? - zapytała matka chłopca, bawiąc się rąbkiem swojego swetra.

- Nie, nic takiego - odpowiedziałem, od razu widząc, w czym problem. Z boku nosa widoczna była niewielka opuchlizna. Dotknąłem jej delikatnie i chłopiec krzyknął. Przykucnąłem i poświeciłem sobie latarką, zaglądając do środka.

- Nie martw się, chłopie - powiedziałem. - Wsadziłeś sobie coś do nosa, prawda?

Na twarzy chłopca odmalowało się poczucie winy, gdy Kay Amin zadawała mu pytania w języku luganda. Na widok pesety, którą wyjąłem z torby lekarskiej, zawył, zerwał się i zeskoczył z łóżka. Dopiero po krótkiej szamotaninie zdołała go schwytać i przytrzymać. Ostrożnie wsunąłem pęsetę do nozdrza, co przyszło mi z trudem, bo chłopiec wił się jak piskorz i wierzgał na wszystkie strony. W środku natrafiłem na coś twardego. Po kilku próbach udało mi się schwycić i wyciągnąć jakiś zakrwawiony przedmiot.

- Cóż to jest, na Boga? - zdziwiła się pani Amin.

Podniosłem pęsetę do światła: między metalowymi końcówkami tkwił mały zielony klocek lego, pokryty strużkami krwi.

- *Tcha!* - krzyknęła. - Jesteś bardzo niegrzecznym chłopcem, Campbell!

Oczyściłem nos chłopca z krwi i zaopatrzyłem antyseptykiem w aerozolu. Gdy naciskałem główkę rozpylacza, przypomniało mi się nagle, jak ojciec spryskiwał chwasty pod płótem na

padoku w Fossiemuir. Bańkę do spryskiwania pożyczyl wtedy od okolicznych farmerów. Nosił ją jak plecak i machał przed sobą cienką rurką. Bańka okazała się nieszczelna, poparzył więc sobie plecy środkiem owadobójczym. Pamiętam, jak potem w kuchni matka pochylała się nad nim, okładając opuchliznę mokrym ręcznikiem.

- Będzie zdrow - zapewniłem, klepiąc chłopca po ramieniu. - Proszę mu tylko powiedzieć, żeby następnym razem uważał, gdzie buduje warowne twierdze. Klocki lepiej układać na podłodze niż w głowie, Campbell - dodałem, zwracając się do chłopca.

Kay Amin odprowadziła mnie do drzwi.

- Bardzo panu dziękuję, doktorze. Prezydent będzie zadowolony, że tak wspaniale wyleczył pan jego syna.

I rzeczywiście. Któregoś poranka w kolejnym tygodniu zastałem przed wejściem do swojego bungalowu toyotę furgonetkę. Na boku miała napis „Sklep Odzieżowy Khan”, pod którym mniejszymi literami widniał dopisek: „Najnowsze trendy, wprost z Mediolanu, Londynu i Bombaju, tel. Kampala 663”. Pod wycieraczkę ktoś wetknął kopertę.

Znalazłem w niej list napisany na papierze z godłem żurawia koroniastego: „Dobra robota!

Prezydent chce, żeby pan przyjął ten samochód jako nagrodę za wyleczenie jego syna. Kluczyki znajdzie pan pod dywanikiem od strony kierowcy. Przepraszam, że nie jest nowy, ale jeśli zaprowadzi go pan do warsztatu Cooper Motors, usuną napisy reklamowe na koszt rządu. Proszę się na mnie powołać. Wasswa. Minister Zdrowia”.

Byłem uszczęśliwiony. Otwierały się przede mną całkiem nowe perspektywy miejskiego życia. Mogłem wreszcie zacząć wieczorami wychodzić z domu. W warsztacie Coopera kazałem usunąć napisy z karoserii i wyczyścić wnętrze auta gorącą parą.

Brakowało mi werandy z Mbarary Żeby pisać swój dziennik, musiałem taszczyć stół do ogrodu przy State House. Ale ogród był oszałamiająco piękny. Tuż przy moim bungalowie rosło drzewo grejpfrutowe. Z jego gałęzi zwisało piętnaście, może dwadzieścia jaskrawożółtych owoców, wydzielających wonne soki. Nie zerwałem nawet jednego. Jak mógłbym to zrobić, skoro na drzewie wyglądały tak pięknie?

W niedzielę wstawałem wcześniej rano, kiedy powietrze jeszcze było świeże. Nad filiżanką kawy, pisząc, wsłuchiwałem się w dźwięki poranka: krakanie wron, długie trele i świergot kukułek i siewek. W oddali widziałem budynki centrum Entebbe, a jeszcze dalej, za nimi, samą Kampalę: czerwone i brązowe bloki rozrzucone bezładnie na wzgórzach. Po trawnikach kroczyły w zadumie marabuty, by po chwili zerwać się do lotu, unosząc z wysiłkiem, jak wielki, ociężały Lancaster albo B52, a potem szybować na fali prądów powietrznych.

Trzy razy w tygodniu miałem dyżur w Mulago, największym szpitalu Kampali. Byłem tam czymś w rodzaju konsultanta, co stanowiło dodatek do póki co praktycznie żadnych obowiązków prezydenckiego lekarza. Szpital wyglądał jak posiadłość plantatora z amerykańskiego Południa Stanów Zjednoczonych. Nad wejściem tykał zegar. Brudnożółta elewacja, która miała w sobie coś ze slumsów u stóp wzgórza po drugiej stronie Kitante Road, zadawała kłam wspaniałości tego miejsca.

Nad szpitalem górowały wieże telewizji ugandyjskiej UTV, a od czasu do czasu niebo przecinał z pomrukiem jakiś samolot, zmierzający na lądowisko w pobliskim Kololo. „To Amin” - powtarzali wtedy wszyscy. Command Post na Prince Charles Drive znajdowało się tuż za rogiem, podobnie jak trzecia rezydencja Amina, Nakasero, gdzie spędzał większość czasu.

Praca w Mulago - inaczej niż w Mbararze, gdzie zajmowaliśmy się przede wszystkim gorączką - polegała przede wszystkim na chirurgicznym leczeniu infekcji: operowanie

zainfekowanych mięśni, tkanki kostnej, wreszcie kości. Tak duża liczba zabiegów operacyjnych stanowiła dla mnie okazję do nauki, ponieważ chirurgia nie była moją specjalizacją (nie sądzę jednak, bym kiedykolwiek jeszcze miał praktykować medycynę jakiegokolwiek specjalizacji). Ale jak mus, to mus, zwłaszcza w Afryce. Moje rozrywki w tamtym czasie polegały głównie na wycieczkach z lancetem i przygodach z nożem. Trzeba się było nauczyć, by nie ciąć zbyt głęboko.

Leczyliśmy też obrażenia: rany, złamania, amputacje. Tych ostatnich trafiało się zdecydowanie najwięcej, a były one konsekwencją nie czego innego, tylko wypadków samochodowych. Colin Paterson, główny chirurg szpitala (jeszcze jeden Szkot) powiedział mi, że w Afryce więcej ludzi umiera wskutek wypadków drogowych niż na malarię. Była to wielka przesada, ale niepozbawiona ziarna prawdy: żadnych egzaminów na prawo jazdy, żadnych ubezpieczeń i szaleńcy za kierownicą.

W Mulago prowadzono także poważne badania naukowe i zastanawiałem się nawet, czy nie dołączyć do któregoś z zespołów w niepełnym wymiarze. Wśród lekarzy byli Wietnamczycy, Rosjanie, Algierczycy, Chińczycy, a także Ugandyjczycy. Nie obyło się bez drobnych napięć na tle rasowym. Jeden z zespołów prowadził zakład leczenia chłoniaków. Inny, amerykański, testował szczepionki przeciw polio na grupie małp, sprowadzonych z prowincji Kiwu w Zairze. Do badań pobierali tkankę z nerki. Któregoś dnia, gdy małpy jak zwykle trajkotały w swojej klatce, przyjechała ciężarówka. Jedna z małp dobiegła do krat, chwyciła je swoimi małymi dłońmi i zaczęła mi się przyglądać, a przynajmniej tak mi się wydawało. Jej głębokie oczy wyglądały jak dwie krople syropu klonowego. Wtedy nagle jedna z koleżanek podbiegła i ugryzła ją w ucho.

Szczerze jednak mówiąc, nie byłem przekonany, czy powinienem sobie zawracać głowę badaniami naukowymi. Wielką przyjemność sprawiało mi bowiem odkrywanie tajemnic miasta

podczas przejazdów nowym samochodem. Po zdarzeniu na basenie nadal nie miałem okazji, by objąć Amina medyczną opieką, dysponowałem więc mnóstwem czasu wolnego.

W mieście funkcjonowało wiele klubów i barów. Ubawił mnie fakt, że do ulubionych należały te, które nosiły nazwy kojarzące się z podróżami kosmicznymi: „Rejs po stratosferze”, „Satelita”, czy „Podniebne życie”. W rzeczywistości wszystkie były obskurnymi spelunkami, gdzie wyelegantowani Zairczycy w modnych garniturach i spiczastych butach grali na gitarach skoczne kawałki, a dziewczyny kręciły się przy barze jak muchy tsetse. Przypuszczałem, że u źródeł popularności takiego nazewnictwa leży chęć większości Ugandyjczyków, by wyjechać z kraju w poszukiwaniu dostatniego życia.

Zaprowadziłem swoje auto ponownie do warsztatu Coopera i kazałem im namalować na masce czerwony krzyż. Pomysł ten poddał mi Swanepoel, pilot, którego poznałem zaraz po przylocie do tego kraju. Od czasu do czasu wpadałem na niego w jakimś barze.

- To ci pomoże się przedostać przez blokady drogowe - zapewniał mnie wtedy. -

Podpatrzyłem tę metodę w Kongo. Kata stosowali ją do zasadzek.

- Kata?

- Katanga. Najemnicy.

- Naprawdę?

Nigdy nie wiedziałem, czy mam wierzyć w historie Swanepoela. Następnym razem spotkałem go, gdy wybrałem się do miasta razem z Peterem MbaluMukasą, jednym z afrykańskich lekarzy w Mulago. W „Rejsie po stratosferze” było gwarno i tłoczno, jak w każdy piątkowy wieczór.

Ordynarny i prostacki jak zawsze, siedział na stołku przy barze z dziewczyną na kolanach.

Jej lśniące włosy, potraktowane jakimś mazidłem, dzięki któremu mniej się kręciły i zwisały luźno, odbijały światło tandetnych obrotowych żyrandoli. Ręce oplotła mu wokół szyi, on zaś

swoją dłonią badał okolice jej pleców pod czerwoną bluzką. Gdy przebijając się przez spocony tłum w wąskim przejściu za barem, spojrzął na mnie znad jej ramion, przekrzywił głowę i uniósł krzaczaste brwi.

- Witaj! - krzyknąłem. - A więc wróciłeś do Kampali?

- Wszyscy tu wracamy - wrzasnął w odpowiedzi. - To kolebka ludzkości!

- Co takiego? - zdziwiłem się.

Peter przepychał się w moją stronę przez tłum rozbawionych gości. Smród piwa, perfum i spoconych ciał robił się nieznośny.

- Weźmy stolik - powiedział mi Peter do ucha. - Powiedz swojemu znajomemu, żeby do nas dołączył.

- Usiądź z nami - zaprosiłem Swanepoela.

- Pewnie - odparł, po czym zwrócił się do dziewczyny: - Zobaczymy się później, kochanie.

Jak tylko znaleźliśmy sobie miejsce do siedzenia, Swanepoel zaczął gadać o odkryciu z Semuliki. Zrozumiałem więc, że to właśnie miał na myśli, mówiąc o kolebce ludzkości.

- Tak. To oficjalnie ogłoszone. Stąd właśnie wszyscy pochodzimy. Oglądałeś wiadomości?

To była twoja część kraju.

Oglądałem. Nad granicą z Zairem w masywie Ruwenzori, na północ od Mbarary, odnaleziono prehistoryczne szczątki ludzkie. Telewizja ugandyjska pokazała udo, szczękę i kilka innych szczątków kości, ułożonych na brudnej tkaninie.

- Brakujące ogniwo? - ciągnął Swanepoel. - A wydawałoby się, że uczeni skończyli już swoją układankę.

- Sprawa jest raczej skomplikowana - wtrącił Peter. - Wszystko jedzie teraz do Nowego Jorku, gdzie ustalą wiek znaleziska metodą węglową. - Westchnął ciężko i pokiwał głową. -

Ludzie mówią, że Amin wydał pięćset milionów dolarów na muzeum w Ameryce i chce te kości

tam wystawiać.

- Wcale mnie to nie dziwi - stwierdził Swanepoel. - Widzieliście go w telewizji? - zapytał.

Podniósł się z miejsca, nabrał powietrza w płuca i przyjął pozę, świetnie naśladowaną Amina. -

Panie i panowie! Może być, że to moi przodkowie byli pierwszymi ludźmi na ziemi. Mogę więc być waszym ojcem, bo ojcowie całego świata są we mnie.

- Uważaj, bo na ciebie doniosą - ostrzegł Peter.

- Nie ruszy mnie - rzucił Swanepoel. - Za bardzo mu jestem potrzebny.

- Wszyscy są mu potrzebni. Na jakiś czas - stwierdził Peter. - Podobno zabito nawet niektórych oficerów, którzy dokonali przewrotu razem z nim. Niedługo zaczną się brać także za białych, gwarantuję ci.

- Nie zaczną - odrzekł Swanepoel. - Bez urazy, ale ktoś musi zarządzać tym interesem.

Obawiałem się, że Peter może się naprawdę obrazić za coś takiego, ale on tylko popatrzył na Swanepoela znad swojej szklanki z piwem i po dłuższej chwili powiedział:

- Ty będziesz pierwszy. Wybuchnęliśmy śmiechem.

- Kilka dni temu rozmawiałem z żoną ambasadora brytyjskiego - powiedziałem.

- Ach, ci wielcy ludzie - zakpił Swanepoel.

- Poważnie mówię. Nie sprawiała wrażenia, że obawia się jakichś czystek.

- Marina Perkins? - rzucił Swanepoel, szarpiąc się za brodę. - A co ona może wiedzieć?

Spotkałem ją raz albo dwa. Jest miłą kobietą, nie powiem, ale na pewno nie trzyma ręki na pulsie.

- Tutaj nikt nie trzyma ręki na pulsie - wtrącił Peter. - Nawet Amin. Znam ludzi z jego bliskiego otoczenia.

- Kogo? - zapytał Swanepoel.

- Nie powiem - odpowiedział Peter i nagle wydał się zdenerwowany.

- Ech, wy - westchnął Swanepoel. - Jeśli się będziecie trząść przed takimi jak Amin, tacy jak

on was zadcpczą. Tak to działa. Nie możesz pozwolić, żeby wielki, śliniący się pies, obok którego właśnie przechodzisz, wyczuł twój strach.

- Ty nic nie rozumiesz - zaproponował Peter. - On i tak nas zadcpcze. Żołnierze pobili studentów na uniwersytecie.

- Nie martw się - pocieszył go Swanepoel. - Niedługo ktoś go zrzuci z piedestału. Zawsze zrzucają z piedestału takich jak on.

Padło, gdy wychodziliśmy. Zanim dotarłem do domu, deszcz przeszedł w prawdziwą burzę z piorunami. Od piwa zaschło mi w gardle, zrobiłem więc sobie przed snem filiżankę herbaty. Postanowiłem, że wypiję ją na ganku. Oparty o framugę drzwi, obserwowałem niebieskie i purpurowe błyski nad jeziorem. Przyglądałem się, jak wiatr szarpie złotymi lampionami na drzewie grejpfrutowym. Hałas był tak potężny, że nie potrafię tego opisać, najdziwniejsze jednak było to, że miał wyraźną woń i smak: w powietrzu czułem zapach wyładowań atmosferycznych. I ostry, metaliczny smak spatynowanych sztućców, zacisków akumulatora, albo tabletek cynku bez powłoczki.

Padało przez cały weekend, poniedziałkowy ranek natomiast przyniósł szokujące doświadczenie: zewnętrzna powierzchnia drzwi wejściowych była pokryta warstwą latających mrówek - nie tych brązowych, lecz jasnozielonych. Wyglądało to wręcz surrealistycznie. Oczywiście to deszcz wywołał u nich kopolacyjny szał. Po wyjściu z domu próbowałem ich nie deptać, w końcu jednak się poddałem i wśród chrzęstu poszedłem wprost do auta. Droga do Kampali też była zasłana mrówkami; musiałem kilka razy hamować, aby nie wpaść na grupkę dzieci, zbierających owady do małych torebek. Za kierownicą przypomniałem sobie, że kosztowałem ich kiedyś na przyjęciu i smakowały jak smażone małe rybki.

Deszcz pokrył ulice błotem, nie jak zwykle czerwonym, lecz lekko purpurowym. Było go mnóstwo. Pędząc przez kałuże, miałem wrażenie, że całe miasto ześlizguje się z siedmiu wzgórz, na których je zbudowano. Pod tym względem przypominało Rzym, po burzy natomiast było jak Rzym, który się rozpuścił.

Wzgórza nic sobie nie robiły ze znaczenia dźwiganych obiektów: Pałacu Królewskiego (a raczej ruin, które pozostały po bombardowaniu Obote i Amina), wielkiego zbiornika wodnego, meczetu, anten telewizji ugandyjskiej, koszar, katedr anglikańskiej i katolickiej ani z klasztoru klarysek. Wyglądało, jakby usiłowały wszystko z siebie zrzucić po śliskim, purpurowym błocie. To samo błoto oblepiało mi buty, czepiając się obcasów jak żywe. Zalało też szpitalny parking, musiałem więc przeskakiwać pomiędzy co płytszymi punktami. Gdy jeszcze zerknąłem na grafik zabiegów, wiedziałem, że to na pewno będzie kiepski dzień.

Na grafiku najczęściej powtarzały się skróty oznaczające nasz chleb powszedni: RP i TCS, czyli rana postrzałowa i toaleta chirurgiczna ze sterylizacją. Było to chirurgiczne opracowanie rany, podczas którego szczypcami usuwało się brud i obce resztki, jak sadza czy strzępki materiału. Nauczyłem się już, że rany od kul należy zostawiać otwarte na kilka dni, ryzykując

przy tym infekcję. A z infekcją nie przelewki. Jak piszą Bailey i Love: „Gronkowce nie zawsze wywołują posocznicę. Czasem zasiedlają jedynie ropiejącą ranę. Wydzieliny z takiej rany prowadzą do infekcji krzyżowej”. Najczęściej jest tak, że gdy widać różową tkanę, rana zaczyna się goić i wiadomo, iż wszystko jest w porządku. Jeśli nie, no cóż... Wiadomo po zapachu. Ponieważ był poniedziałek, mieliśmy także do roboty „poniedziałkowe wysięki” - bo tak Paterson nazywał pacjentów wenerologicznych. W poniedziałki żołnierze wracali do koszar po weekendach spędzonych w burdelach.

- Wszystko, co złe, przychodzi z Francji - powiedział Paterson konspiracyjnym tonem, marszcząc twarz w uśmiechu. Machał przy tym zgłębnikiem nad leżącym między nami pacjentem. - A w tym przypadku odnosi się to zarówno do choroby, jak i do kuracji.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Otóż angielska nazwa zgłębnika to po francusku „świeca”.

- Naprawdę słowo francuskie *bougie* pochodzi z algierskiego - wtrącił Hassan, jeden z naszych algierskich lekarzy - To algierskie słowo. Bujiyah to miasto, gdzie handluje się woskiem.

- I tu mnie zażyłeś!

Biedaczyna, nad którym toczyliśmy tę zawiłą dyskusję, cierpiał na wywołane gronkowcem zwężenie cewki moczowej. Przyrząd, o którego nazwie rozmawialiśmy, to zwykły kawałek metalu. W takich przypadkach wprowadza się go do penisa pacjenta, umożliwiając w ten sposób oddawanie moczu. Tym razem jednak wszystko było zbyt nabrziałe, a wysięk z cewki zbyt obfity, musieliśmy więc wykonać nacięcie i cewnikować pęcherz moczowy.

Była to brudna, paskudna robota, podobnie zresztą jak większość wykonywanych przez nas zabiegów Medycyna tropikalna na ogół sprowadza się do leczenia ropnych stanów mięśni. Albo jelit. Mieliśmy wiele ropni wywołanych uwięźniętą przepukliną z zatrzymaniem krążenia i zgorzelą, co często wynikało z niewłaściwej diety, złożonej niemal wyłącznie z plantanów.

Jeszcze przed południem zjawiała się w szpitalu kobieta z tak potężnym wzdęciem brzucha, że gdy wprowadziliśmy rurkę w jej... jak by to powiedzieć... dla uwolnienia jej od gazów, hałas trwał bite osiem minut. Przez cały ten czas klęczała z różańcem w ręku, modląc się o uzdrowienie. Po odprowadzeniu wiatrów poczuła się lepiej, ale i tak pod koniec tygodnia musieliśmy usunąć jej kawałek jelita, gdyż wdała się martwica.

W porze lunchu zatelefonowałem do Mariny Perkins. Planowaliśmy z Patersonem wycieczkę nad jezioro i przypomniałem sobie, co mówiła na ten temat. Gdy postanowiłem ją zaprosić, uprzytomniłem sobie, że nie jest to takie zwyczajne zaproszenie, bo trochę jednak o niej myślałem. Chyba naprawdę brakowało mi Sary.

- Mówi Nicholas Garrigan - rzuciłem niepewnie do dużej czarnej słuchawki.

- Co za miła niespodzianka! Nie widać pana ostatnio na basenie - powiedziała.

Opisałem jej swoje spotkanie z Aminem.

- Ach, on zawsze to robi! Powinnam była pana ostrzec.

- Dzwonię z zaproszeniem - zacząłem. - Wspominała pani o jeziorze, a tak się składa, że mój kolega ze szpitala, Colin Paterson, organizuje wyprawę na ryby. We dwóch, a może jeszcze ktoś do nas dołączy, wynajmujemy łódź motorową. Mamy wędkę. Wybieramy się w przyszły weekend. Pomyślałem, że może będzie pani chciała pojechać z nami.

Przez chwilę milczała.

- Cóż, dlaczego miałabym nie pojechać? - powiedziała w końcu. - Ale nie może to być przyszły weekend. Następny też nie. Mam obowiązki w ambasadzie. Natomiast pierwszy weekend lutego byłby w sam raz. Bob wyjeżdża do Kagery, na granicy z Tanzanią. Amin zaprosił tam delegację dyplomatów, żeby udowodnić, iż nie planuje inwazji.

- Dobrze więc - zgodziłem się z ulgą, wciąż jednak zdenerwowany. - Porozmawiam z Colinem i zadzwonię do pani w piątek wieczorem.

- Każę kucharzowi przygotować nam prowiant - zaproponowała.

Mając tę rozmowę wreszcie za sobą, zabrałem się do mniej denerwujących zajęć, a mianowicie do zszycia rany od pangi. Panga to coś w rodzaju dużej maczety, której używano do prac rolnych, ale też do rozwiązywania kłótni i sporów. Zadawała charakterystyczne rany.

Atakowani odruchowo zasłaniaли się ręką, napaść kończyła się więc szeregiem równoległych nacięć, zniszczonymi ścięgnami i zazwyczaj też uszkodzeniem kości.

Takie rany należały do lżejszych przypadków. Zdarzało się bowiem, jak w przypadku pewnego biedaka, że ciosy padały na głowę, rozbijając czaszkę. U niego ostrze dotarło do opony twardej, czyli włóknistej warstwy pod kośćmi czaszki, ale jej nie przecięło. Wyglądało więc na to, że pacjent wydobrzeje, choć naruszenie opony twardej otwierało infekcji drogę wprost do mózgu.

Gdyby ostrze poszło kawałek dalej, stan pacjenta zmieniłby się diametralnie. Nawet sam Paterson, przy pomocy wszystkich zespołów badawczych, nie zdołałby przeprowadzić operacji mózgu. Do tego potrzeba neurochirurga. Ale pewnego dnia na pewno będzie się przeprowadzało w Ugandzie operacje neurochirurgiczne. Szpitale są jak ludzie: rosną, rozwijają się i uczą. Ale także przekwitają, niszczeją i umierają.

Pod koniec miesiąca wybraliśmy się z Patersonem do jednego z najstarszych w kraju szpitali, założonego przez misjonarzy na początku dziewiętnastego wieku. Kiedyś był to jeden z najlepszych szpitali między Cape a Kairem. Myśmy jednak zastali ruinę, w której brakowało nawet łóżek i pościeli oraz stałego źródła prądu. Niektórzy pacjenci leżeli po dwóch na pojedynczym materacu, a niektórzy wręcz na podłodze. Kilku zamiast poduszek miało pod głowami kawałki drewna. W toaletach wisiały napisy „Proszę nie pluć do umywalek”, ale ze względów sanitarnych należało je uznać za bezcelowe, bo na podłodze było pełno fekaliów. Jeszcze w tym samym tygodniu stamtąd właśnie przeniesiono do nas pacjentkę. Nie były to

zwyczajne przenosiny, dotyczyły bowiem najwyższej rangi VIPa. Do naszego szpitala trafiła córka Amina. Była uczennicą katolickiej szkoły z internatem gdzieś w buszu i tam właśnie usiadła na igle podczas zajęć z haftowania. Osobiście uważałem, że był to koleżeński psikus: ktoś jej tę igłę na krzesło podłożył. Tak czy owak, igła wbiła się ponoć w udo całkowicie, zakonnice posłały więc dziewczynę do szpitala. Pracujący tam dwaj lekarze z Korei Północnej nie zdołali znaleźć igły przy pobieżnych oględzinach, więc postanowili operować.

Grzebali w udzie przez dwie godziny. Stał szukająca stal. I nic. Przerażeni, wszak była to córka Amina, załadowali ją do karetki z krwawiącą nogą i posłali do Mulago. Trafiła na dyżur Patersona i mój.

Dziewczyna leżała na stole z twarzą wtuloną w poduszkę, pojękując. Pielęgniarki przebrały ją już w zielony strój operacyjny, oczywiście zostawiając odsłonięte udo. Patrzyliśmy z Patersonem na czarne zakrzepy wokół szwów, które założyli Koreańczycy.

- Lepiej podajmy jej narkozę - zaproponowałem. - Jeśli powie tatusiowi, że ją bolało, to słono za to zapłacimy.

Paterson spojrział na dziewczynę, potem na mnie, a potem uderzył się otwartą dłonią w czoło.

- Ze też od razu o tym nie pomyślałem! Nie musimy w niej dłubać, Nick. Wystarczy ją przecież prześwietlić. Na kliszy igła zabłyśnie jasno, jak kolczyki królowej Saby.

Zawieźliśmy więc dziewczynę na rentgen. I znowu nic. Na zdjęciach nie było żadnej igły.

Wtedy wszystko stało się jasne.

- A więc nigdy nie było żadnej igły? - upewniałem się, że dobrze zrozumiałem wywód Patersona.

- Oczywiście, że nie. Szkocja - Korea jeden do zera! - wrzasnął mój kolega na cały oddział, przyciągając zaskoczone spojrzenia personelu.

Wziął dziewczynę za rękę.

- Chciałaś po prostu, żeby ten twój paskudny ojciec poświęcił ci trochę uwagi, prawda, kochanie?

Słyszając te słowa, poczułem się nieswojo. Przecież dziewczynka mogła to powtórzyć Aminowi. Zaczęła szlochać, gdy przejrzelismy jej grę. Płakała jeszcze, gdy pakowaliśmy ją z powrotem do karetki, która odwiozła ją do szkoły.

Przez następne dni martwiłem się, jak może na to wszystko zareagować Amin. Tydzień później stało się to, czego oczekiwaliśmy i ja, i Paterson: prezydent zadzwonił.

- Ty z nim rozmawiaj. Ja na pewno powiem coś nie tak - rzucił Paterson.

Poszedłem na oddział, gdzie czekała odłożona słuchawka. Przez każde okno słońce wrzucało smugi światła, które wydobywały z ciemności pod łózkami drobinki pyłu. Przechodząc przez nie, czułem się dziwnie, jakbym był biegaczem, łamiącym na bieżni płotki. Podniosłem słuchawkę.

- Halo, halo! Tu doktor Idi Amin - usłyszałem bezcielesny głos. - Jestem bardzo zadowolony z moich kolegów lekarzy w Mulago. Chcę, żeby jutro pan przyjechał do mnie z doktorem Patersonem na lunch do Cape Town. Punktualnie o pierwszej.

Rozłączył się, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć.

O Cape Town wiedzieli wszyscy Taką właśnie nazwę nadał Amin najnowszej rezydencji, położonej nad jeziorem, tym samym zwiększając liczbę swoich siedzib tylko w rejonie Kampali i Entebbe do czterech: State House, willa na Prince Charles Drive, Nakasero i teraz Cape Town. Niedaleko znajdowała się wyspa, która służyła mu za cel pokazowych bombardowań. Miała ona symbolizować południowoafrykańskie miasto (stąd nazwa) w momencie kapitulacji przed wyzwolicielskimi siłami afrykańskiego nacjonalizmu, oczywiście pod postacią bombowców Amina.

- Kiedyś oglądałem taki atak - opowiadał mi Paterson po drodze. - Bomby zawsze chybiają.

Słuchaj! Wiem, co on planuje. Chce, żebyśmy najeździli na Anglików, bo obydwaj jesteśmy

Szkotami. Zrobił to w zeszłym roku na obiedzie Towarzystwa Kaledońskiego w Ugandzie. Był tam Weir, ten biedaczyna z ambasady, i podlizywał się Aminowi, jak mógł. Bardzo dziwne. Tak czy owak, musimy koniecznie wciągnąć Amina w dyskusję o czymś niekontrowersyjnym.

- Niby o czym? - zapytałem, zerkając na lśniące po prawej stronie szmaragdowe wody jeziora.

- Pasy bezpieczeństwa! - odpowiedział. - Pasy będą dobre: znaczenie pasów bezpieczeństwa na drogach Afryki.

W taki oto sposób doszło tamtego popołudnia w Cape Town do dyskusji z Idim Aminem o bezpieczeństwie drogowym. Było gorąco i duszno. Bezruch powietrza zakłócał jedynie zapach kwiatów, dobywający się z otaczających nas drzew i krzewów. Siedzieliśmy przy stole z kutego żelaza, nad dzbankiem mrożonej herbaty i kanapek z ogórkiem. Podczas gdy inni zajęli się rozmową - Patterson opowiadał historię z igłą, Amin przytakiwał mu jako zatroskany, choć czasem rechocący ojciec - ja się rozglądałem się.

Miejsce było imponujące. Różowe kwiaty oleandrów i kremowe, rozsiewające delikatny zapach kwiaty na krzewach uroczynu, równo przystrzyżone trawniki, po których wśród pawli rozkładających plamiaste ogony kręciła się służba w białych strojach - wszystko to naprawdę robiło wrażenie. Dom był zaledwie parterowy, ale za to rozłożysty, w stylu mauretańskim, z białymi łukami i białą terakotą. W jednym z okien zauważyłem zdumioną twarz dziecka, które uważnie nas obserwowało. Pomyślałem, że to z pewnością jedno z dzieci Amina, choć nie byłem w stanie określić, czy twarz należy do chłopca, czy do dziewczynki.

Zauważyłem też trzy młode kobiety w prześwitujących szatach, przechadzające się leniwie po licznych ścieżkach, wijących się pośród zarośli. Nie wiedziałem, kim są. Sam Amin ubrany był w białe spodnie i zielonkawą koszulę, która opinała się na jego wielkim brzuchu jak namiot, doskonale pasujący do zielonego seraju, który stworzył sobie w Cape Town. Kupił ten dom od

białego ekspatrianta i kazał przystosować do swoich potrzeb. Zastanawiałem się leniwie, kto mieszkał tutaj jeszcze wcześniej, zanim na brzegach jeziora wyrosły wille...

Potwornie hałaśliwy wrzask pawia, a potem dudniący głos Amina raptownie wyrwały mnie z zamyślenia. Nad herbatą spełniały się właśnie przewidywania Patersona.

- To jest bardzo prawdziwe. Szkocja i Uganda, oba nasze kraje przecierpiały setki lat angielskiego imperializmu. Właśnie dlatego mam zamiar rozszerzyć wojnę ekonomiczną na interesy brytyjskie w Ugandzie. Co pan sądzi?

Paterson zaczął wprowadzać w życie swój plan.

- Wasza Ekscelencjo, jako lekarz chciałbym porozmawiać z panem o wypadkach samochodowych w Ugandzie. Może pan ocalić wiele ludzkich istnień.

Amin odłożył nadgryzioną kanapkę z ogórkiem i podniósł się z miejsca, przybierając pozę mówcy. Zaczynałem się powoli przyzwyczajać do owego specyficznego trybu przemówień publicznych.

- W nowej Ugandzie nie będzie wypadków samochodowych. Wszystko zostało już zaplanowane. Na kolejnym etapie wojny ekonomicznej, jak to sobie wymarzyłem od samego początku, firmy BAT, Brooke Bond, Securicor, British Metal Corporation i Chillington Tool Company staną się własnością rządu ugandyjskiego. Co sto lat Bóg wyznacza na ziemi jednego człowieka, żeby wypełniał prorocstwo. Kiedy marzę, te rzeczy się realizują. Jestem zdecydowany prowadzić wojnę ekonomiczną aż do ostatecznego zwycięstwa. Przedtem przedsiębiorstwa Ugandy kontrolowane były przez imperialistów. Afryka ma mnóstwo surowców naturalnych, które można wykorzystać z pożytkiem dla afrykańskiego narodu, zmieniając ją w nowoczesny i uprzemysłowiony kontynent. Afrykańskie kraje muszą współpracować, żeby osiągnąć wspólne cele.

Wziął głęboki oddech i uśmiechnął się do nas.

- Bo musimy znaleźć afrykańskie rozwiązania afrykańskich problemów. Afryka ma swoje własne prawa.

- Ale panie prezydencie - nalegał Paterson. - Przecież najważniejszym prawem, jakie może pan uchwalić, jest wprowadzenie w Ugandzie obowiązku zapinania pasów bezpieczeństwa! Ocali pan w ten sposób wiele ludzkich istnień. Czoło Amina przecięła zmarszczka.

- Dlaczego się pan tak uczepił tych pasów, doktorze Paterson? Ile razy pana widzę, zawsze pan mówi o pasach bezpieczeństwa. W Ugandzie są pilniejsze problemy.

Wstał od stołu, uderzając kolanami w blat. Mrożona herbata zatrzęsała się w szklankach.

- Musicie już teraz iść. Rozzłościł mnie pan swoimi pasami bezpieczeństwa.

Wykonał w tył zwrot, jak przystało na sierżanta sztabowego, i głośno tupiąc, ruszył przez swój kradziony raj. Z wysokości schodów rzucił nam jeszcze pogardliwe spojrzenie i podcieniem poszedł dalej.

- Chyba jednak pasy bezpieczeństwa nie były najlepszym pomysłem - stwierdził Patterson w drodze powrotnej.

Następnego ranka słyszałem w wiadomościach ze świata BBC, jak Alec Douglas-Home potępia zaproponowaną przez Amina nacjonalizację, określając ją mianem „skandalicznej wedle wszelkich kryteriów”. Zawiązałem pasek szlafroka, który się rozsunął (zawsze czuję się w takiej sytuacji obnażony, nawet jeśli w domu nie ma nikogo poza mną) i zalałem kawę wrzątkiem.

Zmielone ziarna napuchły, podnosząc się w mokrym worku papierowego filtra. Patrzyłem, jak woda opada, zostawiając po sobie brązowy krater. Wdychając zapach naparu, uprzytomniłem sobie nagle, że marzną mi stopy. Słońce już wyszło, ale drewniana podłoga kuchni zachowała jeszcze nocny chłód. Nie miałem w Afryce żadnych kapci, jedynie kupione w Mbararze sandały, które wkładałem rzadko. Raz miała je na nogach Sara, kiedy jeszcze była ze mną. Gdy wlewałem mleko do kawy, ogarnęło mnie uczucie smutku. Patrzyłem na wirujący w filiżance napój. Nie

napisała. Ani nie zadzwoniła.

Zadzwonił za to kto inny. W następnym tygodniu Stone wezwał mnie do ambasady brytyjskiej, nie mówiąc jednak przez telefon, o co chodzi. Zastanawiałem się, czy wiedzą, że zaprosiłem Marinę nad jezioro. Jeśli nawet, jakie to ma znaczenie? Jadąc Parliament Avenue, przypomniałem sobie, że nie powiedziałem jej jeszcze, iż Patersonowi wskazany przez nią termin nie pasuje. Otworzył mi Stone. Ubrany był w luźne brązowe spodnie, brązowe buty, które zaczepiały o spodnie na wysokości kostek i ciemnoniebieski blezer.

- Miło pana widzieć, Nicholasie. Zna pan oczywiście majora Weira i naszego ambasadora, pana Roberta Perkinsa?

- Tak, znam - odparłem, zerkając to na jednego, to na drugiego. Znalazłem się pośrodku pokoju, mając za sobą Stone'a. Zapomniałem, że Perkins jest taki otyły. Podając mu rękę, zauważyłem, jak bardzo opina się na nim marynarka. Zapomniałem też, jakie grube są szkła w jego okularach.

Weir stał w rogu, przy dwóch stykających się oknach. Jego indycza szyja spływała na oliwkowy kołnierzyk munduru. Palił cygaro, trzymając na dłoni kryształową popielniczkę. Odłożył ją, by podejść do mnie i uściskać moją dłoń, co zrobił o wiele mocniej, niż należało, po czym wrócił na swoje miejsce. Za plecami miał białe bawełniane zasłony, opadające z mosiężnego karnisza. Przez tkaninę sączyło się światło, zamieniające dym jego cygara w tajemnicze, stalowoniebieskie wstęgi.

- Zacznijmy zatem - stwierdził Stone, popychając ciężkie, tekowe drzwi. Zamknęły się z luksusowym i jakby złowrogim trzaskiem.

Gdy wracał od drzwi, rozejrzałem się dookoła. Z drzewca zwisała niewielka flaga brytyjska. Obok niej, na niewielkim stoliku stała lampa z różowym abażurem i mała fotografia Amina, wymieniającego uścisk dłoni z królową.

- Niech pan siada - zaprosił Perkins, zajmując miejsce po drugiej stronie stolika.

Usiadłem i fotografia Amina znalazła się tuż przed moimi oczyma. Nigdy nie widziałem na jego twarzy tak wielkiej radości. Patrzył na królową tak, jak dziecko wpatruje się w swoją matkę.

- Właśnie o nim chcielibyśmy porozmawiać - zaczął Stone, podążając oczami za moim wzrokiem.

- Ach tak - odparłem, wszystkimi siłami umysłu próbując zrozumieć, co się dzieje. Stone usiadł obok ambasadora. Weir stał nadal, za nimi.

Zapadło nerwowe milczenie. Dym tytoniowy nasunął mi na myśl wyskakującego z butelki dzina. Zaraz też pomyślałem o czymś bardziej szkockim, choć nie mniej egzotycznym. Stał mi mianowicie przed oczyma czarnoksiężnik Pale Kenneth. A może to był stary wróżbita Brahan Seer?

- Rzecz w tym, że prezydent wymknął się nam spod kontroli - stwierdził Perkins.

Weir pochwycił moje spojrzenie. Zauważyłem, że wokół smętnych ust i na policzku ma kilka blizn. Przypomniałem sobie, co mówił o nim Stone, i zacząłem się zastanawiać, czy są one pamiątką po zestrzeleniu.

- Liczymy na pańską pomoc w tej sprawie - zwrócił się do mnie Stone. - Pamięta pan zapewne, że go prosiłem, by miał oko na wszystko w Mbararze.

Prawdę mówiąc, zapomniałem o tamtej rozmowie. Tyle się wydarzyło od mojej pierwszej wizyty w Kampali.

- No, niestety, niczego nie zrobiłem. Ale też nie bardzo wiedziałem, co mógłbym zrobić. Jestem tylko lekarzem.

Perkins i Stone wymienili spojrzenia.

- Teraz to nieważne - zapewnił mnie ten ostatni. - Ale pańskie medyczne umiejętności mogłyby się jak najbardziej przydać w pewnej sprawie.

Jasne włosy Stone'a urosły trochę, odkąd widziałem go ostatnio. Teraz spadały na uszy, nadając mu nieco dziewczęcy wygląd. Nadal jednak łysiał na czubku głowy i tak samo jak poprzednio świeciło mu się czoło. Wtedy pomyślałem, że to pot, ale najwyraźniej świeciło się tak zawsze.

- Potrzebujemy pańskiej pomocy, doktorze Garrigan - wymamrotał.

Perkins przytaknął mu tak silnym kiwnięciem głowy, że aż mu się zatrzęsły pulchne policzki.

Pomyślałem o basenie. I rozchylających się delikatnie miseczkach stanika jego żony.

- Idzie o to, że trzeba powstrzymać mordowanie ludzi - ciągnął Stone. - Widział pan przecież ciężarówkę. Wszyscy je widzieliśmy.

To prawda, widziałem. Zasłonięte plandekami, zza których błyskały strachem białka oczu wywożonych więźniów, pędziły do buszu. Każdej pilnowało trzech lub czterech uzbrojonych żołnierzy. Wszyscy pracujący tu obcokrajowcy je widzieli. I wszyscy zamiatali sprawę pod dywan. Dalej wykonywali swoje obowiązki, nie chcąc rozmawiać o czymś, co się nam nie mieściło w głowach. Szczerze mówiąc, tylko w ten sposób dawało się wytrzymać, tylko zachowując swego rodzaju dystans. Teraz chcieli, żebym z tego dystansu zrezygnował.

Stone czekał na reakcję, a ja nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć.

- Widzi pan, odkąd ci Azjaci znaleźli się w Londynie, wywierane są na mnie naciski - odezwał się w końcu Perkins.

- Naciski z samej góry, proszę pana.

Wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł nos, ściągając uprzednio okulary.

- Co to ma wspólnego ze mną? - zapytałem stanowczo, gdy Perkins przestał w końcu trąbić.

- Otóż jest pan, to znaczy znalazł się pan, na bardzo wrażliwym stanowisku - wtrącił Stone. -

Mogę powiedzieć, że poniekąd się przyczyniliśmy do tego, by je pan otrzymał.

- Co chce pan przez to powiedzieć?

- Od kilku miesięcy naciskaliśmy na to, by się pan spotkał z Aminem i Wasswa. I ten wypadek z krową był sprzyjającym zbiegiem okoliczności.

- Poniekąd - dodał Perkins zagadkowo. Popatrzyłem na białe zasłony, a stamtąd przeniósłem wzrok na Weira, uświadomiwszy sobie, że dotychczas nie powiedział nawet słowa. Jego szare oczy wpatrywały się we mnie uważnie, jakby chciały mnie przewiercić na wylot. Stone odgarnął włosy ze swojego tłustego czoła.

- Przejdę zatem do rzeczy - zapowiedział. - Chcemy, żeby pan... zaczął go leczyć w skuteczniejszy sposób.

Zdumiały i przerażony mnie implikacje tego, co usłyszałem. Przeniósłem wzrok z ich twarzy na mosiężny karnisz. Potem na flagę.

- On chce nacjonalizować brytyjskie przedsiębiorstwa i majątki ziemskie. Zapewne pan o tym słyszał. Mamy nadzieję, że zdoła mu pan przemówić do rozsądku.

- A jeśli perswazja nie zda się na nic, poda mu pan jakiś lek, który mu rozsądek przywróci. Trochę go uspokoi. Powinien przyjmować ten lek codziennie.

Weir patrzył na mnie spod zmarszczonych brwi, jakbym zrobił coś niestosownego. Czuję się jak uczeń, wezwany do gabinetu dyrektora szkoły Pan Laidlaw, z Fossiemur. Bił nas po rękach drewnianą linijką. Doskonale pamiętam czerwoną smugę, która zostawała potem na mojej dłoni. Wyglądała jak plasterek bekonu.

- Nie wiem, czy mogę to zrobić - odparłem, kręcąc głową. - No cóż, mam możliwość, oczywiście, że mam. Tylko że to jest nie do końca zgodne z etyką lekarską.

Przez chwilę nawet mi schlebiało, że uznali mnie za zdolnego do przeprowadzenia tak przebiegłej intrygi.

- Etyka lekarska nie ma tu nic do rzeczy! - zaproponował Stone. - Jako lekarz ma pan obowiązek przywrócić go do stanu normalności.

- Co pan ma na myśli? Ciekawe, co stan normalności oznacza tutaj akurat? - zapytałem.

Dym wąską struzką opadał po podgardlu Weira. On sam uśmiechnął się do mnie z jakimś rozbawieniem w oczach.

- Niech pan sprawi, żeby się zaczął zachowywać jak przystało na prezydenta - zażądał

Perkins. - Inaczej Wielka Brytania będzie w Ugandzie skończona. A to najpewniej odbije się także na panu.

Nagle zrobiło mi się niedobrze. Dym z cygara Weira przyprowadził mnie o mdłości i zawroty głowy. Major nadal się nie odzywał. Wydało mi się, że jego postać tylko przede mną majaczy. Pozostali dwaj naciskali na mnie dalej.

- Może jakieś środki uspokajające? - rzucił błyskotliwie Stone.

Odniosłem wrażenie, że obwisła twarz Weira zrobiła się nagle jakieś dwadzieścia razy większa. Jednocześnie docierały do mnie przymilne głosy tamtych dwóch. Gdy w końcu zapytali wprost, czy podam Aminowi środki otępiające, nie wiedziałem, co im odpowiedzieć. Zostawiłem tę kwestię otwartą.

Perkins miał rację co do jednego. W ciągu kilku najbliższych dni Amin rzeczywiście zabrał się ostro za Brytyjczyków w Ugandzie. Można by pomyśleć, że ambasador naprawdę doskonale wiedział, co się dzieje, a nie tylko się przechwalał swoją wiedzą. Przypomniały mi się słowa przestrogi, które Popitlal wiele miesięcy wcześniej skierował do Merrita i do mnie, wsiadając do landrowera: „Uważajcie! Na was też przyjdzie kolej. I to szybko. Najpierw *wahindi*, potem *muzungul*”

Przyszła więc kolej na Merrita, podobnie jak na wielu innych Brytyjczyków. Ale nie na mnie. Amina rozwścieczyła wypowiedź Douglas-Homea i nakazał kilka doraźnych wydaleń. Tych, którzy pozostali, zmuszał, by na znak oddania nosili go w lektyce po ulicach albo na klęczkach składali mu wiernopoddańczy hołd. Perkins oficjalnie zaprotestował.

W całym tym zamieszaniu jakoś udało mi się nie zwracać na siebie uwagi. Nie wydano mi nawet rozkazu. Nie kazano mi nawet nosić lektyki, a moje obowiązki jako prezydenckiego lekarza były całkiem do przyjęcia. Od czasu do czasu wzywano mnie do któregoś z dzieci Amina, trudno więc byłoby nazwać tę pracę stresującą.

- Najwyraźniej jesteś ulubionym synem jego lordowskiej mości - zauważył kwaśno Merrit, gdy mnie odwiedził w drodze na lotnisko.

Wyglądał niezdrowo. Był blady i wymizerowany - Joyce wyjechała do domu miesiąc wcześniej. Najwyraźniej mnie obwiniał za to, że klinika została zrównana z ziemią. Opowiadał, że po moim wyjeździe szpital przeżył kilka najazdów wojska, które rabowało wyposażenie. Kilkoro pracowników personelu pomocniczego zniknęło bez śladu.

- W końcu byłem tam jedynym białym - krzychał. - Ivor wyjechał, potem Kubańczycy...

Gdybyś został, wszystko by się potoczyło inaczej.

Nie odezwałem się. Czułem, że przyjął niewłaściwy tok myślenia, ale też wiedziałem, że na

obecnym etapie próby obrony nic by nie dały.

Podczas wycieczki po jeziorze opowiedziałem Marinie o wyjeździe Merrita. Wiadomość ta jej nie zaskoczyła.

- To dotyczy nie tylko jego. Bob twierdzi, że jeśli sytuacja się pogorszy, my też będziemy musieli wyjechać.

Nie wspominałem o mojej rozmowie w ambasadzie. Zakładałem, że jej o tym nie informowano, i chyba miałem rację. A przynajmniej świadczył o tym sposób, w jaki mówiła o swoim mężu i sprawach związanych z działalnością ambasady.

- Wszystko wygląda trochę dziwnie - dodała. - Był u nas Archie Weir. Wezwali go z powrotem do kraju. Bob mówi, że to z powodu Amina. Za bardzo się z nim spoufalili. Zawsze uważałam, że on jest jakiś dziwny. Za spokojny. Nie ufam ludziom, którzy są za spokojni.

- Wrócił do Londynu?

- Do Szkocji. Przeszedł na emeryturę.

- Dlaczego tak nagle?

- Mówi się, że... - przerwała na chwilę, jakby się zastanawiała, czy dopuścić mnie do tajemnicy. - Podobno dał Aminowi plany inwazji na Tanzanię. Ponoć przerysował mapy i dostarczył mu informacje o uzbrojeniu.

Pomyślałem o nadymającej się nade mną twarzy Weira i zapachu jego cygar.

- Dlaczego, na Boga, miałby to zrobić? Pokręciła głową.

- Nie mam pojęcia. Nikt nie ma. Naprawdę nie powinnam panu o tym mówić. Bob dostałby szału...

Jeśli chodzi o samą wycieczkę, to na początku wszystko układało się świetnie - kiedy już Marina otrząsnęła się z zaskoczenia, że jedziemy tylko we dwoje.

- Sądziłam, że będzie nas więcej. Zabrałam o wiele za dużo jedzenia - stwierdziła.

Wynająłem łódź i ponaddwupółmetrowe wędki od chłopca w jednej z osad na półwyspie Entebbe. Marina zabrała ze sobą lodówkę turystyczną i koszyk pełen jedzenia. Kierowca z ambasady pomógł jej wnieść wszystko na otoczony trzinami pomost.

Chłopak od łodzi grzebał coś w silniku, a my przyglądaliśmy się, jak wieśniacy wpuszczają do wody duże wiązki porąbanego drewna. Po chwili powierzchnia wody pokryła się mlecznobiałymi plamami trujących soków i martwymi rybami.

Gdy wieśniacy taplali się w płytkiej wodzie, zbierając łup, chłopak zdołał uruchomić silnik. Odbiliśmy z fasonem, zostawiając na molo właściciela łodzi i kierowcę Mariny. Pomyślałem wtedy, że kierowca wygląda jak niezły oprych. Do dziś pamiętam, jak przyglądał się nam uważnie, stojąc z założonymi rękoma, na rozstawionych szeroko nogach.

Z wesołym warkotem oddaliliśmy się od brzegu. Skierowałem łódź ku środkowi jeziora, zostawiając za sobą pas wzburzonej śrubą wody. Po deszczach strumienie wezbrały i jezioro się podniosło. Zazwyczaj niewyczuwalne prądy teraz zaznaczały swoją obecność delikatną pianą na grzbietach niedużych fal. Nad głowami mieliśmy jasny błękit nieba.

- Czy to nie jest trujące dla ludzi? - zapytała Marina, oglądając się na wieśniaków, wrzucających do jeziora wiązki drewna.

- Byłoby pewnie, gdyby ktoś się napił tej wody od razu, na miejscu. Trzeba było zostać i obejrzeć polowanie do końca. Podobno łapią w ten sposób setki ryb za jednym razem.

Dotknęła błystki z trzema haczykami, wiszącej na końcu wędki, która stała oparta o dziób.

- To łatwiejsze niż łowienie w tradycyjny sposób - powiedziała.

- Ale mniej sportowe.

Przesunąłem drążek steru trochę w prawo, by ominąć jedną z licznych mielizn i szeroki pas splątanych hiacyntów wodnych. Łódź zwinnie odbiła w lewo i żwawo popłynęliśmy dalej. Silnik był jednocyldrowy, ale radził sobie świetnie.

- Hiacynty sprowadzili belgijscy koloniści z Rwandy - powiedziałem. - Tak twierdzi Colin.

Mój kolega ze szpitala. Ten, który miał dzisiaj wybrać się z nami.

- Dlaczego nie ma go z nami?

- Nie wiem dokładnie. Coś mu wypadło. A wracając do hiacyntów... Najpierw się rozpanoszyły w rzece Kagera, a teraz rozprzestrzeniają wszędzie jak szalone. Colin twierdzi, że z jednego kwiatu powstaje rocznie milion kolejnych. Pracownicy elektrowni wodnej boją się, że one zarosną całe jezioro. Tak samo jest z okoniami nilowymi. To my, Brytyjczycy sprowadziliśmy je tutaj w latach pięćdziesiątych. Zdążyły już pożreć wszystkie mniejsze ryby. Jeśli więc złowimy jakiegoś okonia, wyświadcymy naturze przysługę.

- Niech pan spojrzy! Wikłacze! - krzyknęła, wskazując gdzieś za mnie.

Odwrociłem się, lekko przy tym przechylając łódź. Rzeczywiście. Po drugiej stronie piaszczystej łachy, która oddalała się teraz od nas szybko, jakby ktoś wystrzelił ją z rufy, leżały małe koszyczki uplecione z żółtej trawy, a w nich gniazdowały wikłacze.

- Są piękne - powiedziała. - To dziwne, ale pułapki na ryby, które widziałam podczas wycieczki nad wodospadami Murchisona, wyglądały dokładnie tak samo. Tylko były z trzciny. Jakby ich twórcy wzorowali się na gniazdach wikłaczy.

Gdy znaleźliśmy się na spokojnej części jeziora, zgasilem silnik i sięgnąłem po wędkę.

- Spróbujmy tutaj - zaproponowałem.

Uważając, żeby nie zaczepić o Marinę, rzuciłem błystkę. Wpadła do wody jakieś osiemnaście metrów od łodzi.

- Niezły rzut - pochwaliła mnie moja towarzysza.

- No nie wiem - odparłem, zwijając żyłkę szybkimi ruchami kołowrotka. - Kiedyś robiłem to znacznie lepiej.

Po kilku kolejnych rzutach - wszystkie nieudane - zaproponowałem, żeby teraz spróbowała

Marina. Stałem tuż za nią i trzymając jej dłoń, pokazywałem, jak to zrobić. Poczulem ciepło, gdy nasze ciała się zbliżyły.

- Teraz trzeba nawijać - powiedziałem.

Staliśmy w milczeniu w kołyszącej się łodzi, pod chmurami, które chyba tylko w Afryce mają różowe i czerwone plamki. Towarzyszył nam jedynie terkot kołowrotka i plusk wody, uderzającej o burtę.

- Może robię coś nie tak - powiedziała, gdy błystka wyskoczyła nagle z wody.

Chwyciłem za mokrą żyłkę.

- Trzeba cierpliwości. Ryby nigdy nie biorą, jak się za bardzo chce je złapać. To niepisane prawo wędkarzy.

- Chyba się do tego nie nadaję - stwierdziła, oddając mi wędkę. - Lepiej niech pan to robi.

Rzuciłem po raz kolejny, starając się ze wszystkich sił. Błystka wystrzeliła w powietrze i poszybowała dobrą połowę dalej niż poprzednio. Ale i tym razem bez skutku.

- Przenieśmy się - zaproponowałem.

Wskazała na zachód, gdzie obok kilku skałek znad wody wystawała linia drzew.

Uruchomiłem silnik i skierowałem łódź w tamtą stronę. Marina siedziała na rufie. Wiatr targał jej włosami, gdy rozglądała się wokół. Zastanawiałem się, o czym myśli.

- A krokodyle? - zapytała, odwracając się do mnie.

- Pewnie gdzieś tu są, ale łatwiej chyba złapać bilharcjozę - odparłem.

- To od takiego ślimaka, który składa w człowieku swoje jajeczka?

- Mniej więcej - przytaknąłem, uśmiechając się do niej. - Zatrzymamy się tutaj.

- Rozbitkowie - powiedziała z ujmującym chichotem. Wysepka była obrośnięta trzcinami, ale w niektórych miejscach zarośla robiły się rzadsze. Wbiłem łódź dziobem w jedno z takich miejsc, całkiem przypadkiem odkrywając małą, piaszczystą plażę. Wyłączyłem silnik i łódź dopłynęła do

brzegu siłą rozpędu. Z trudem łapiąc równowagę na kołyszącym się pokładzie, zdjąłem buty i podwinąłem nogawki spodni. Marina śmiała się, gdy wyskakiwałem z łodzi, żeby przywiązać ją do drzewa. W tej samej chwili rozległ się głośny terkot. Obydwoje podskoczyliśmy. Stado sześciu lub siedmiu kaczek, przypominających wyglądem angielskie krzyżówki, wzbiło się nad trzcinami. Obserwowaliśmy, jak bezładnie pną się do góry, by tam uformować się w klucz. Wróciłem do łodzi, brodząc w wodzie. Pod stopami miałem piasek.

- Myślałam, że to jakiś wystrzał - powiedziała. - A tam co? - dodała, wskazując na sylwetkę jakiejś łodzi, która robiła się coraz większa, im bliżej nas podpływała. Nagle usłyszeliśmy muzykę.

- Może to Amin, a może Marynarka Wojenna Ugandy?

- zgadywała Marina.

Roześmiałem się. Było to całkiem możliwe. Stałem po kostki w wodzie, razem z nią wpatrując się w horyzont. W końcu statek podpłynął na tyle blisko, że mogliśmy stwierdzić, że to parowiec pasażerski. Na burcie, tuż nad linią zanurzenia widniał napis „MV Lumumba”. Na obydwu pokładach pełno było ludzi. Niektórzy machali w naszą stronę. Widzieliśmy wyraźnie dwa pudła głośników. Muzyka zrobiła się już bardzo hałaśliwa. Po wodzie niosło się jej dudnienie, ale ani Marina, ani ja nie rozpoznaliśmy, jaka to melodia.

- Z niczym mi się to nie kojarzy - stwierdziła Marina.

- Szybko, proszę szybko zejść z łodzi - poleciłem, zauważywszy wysoką falę, pędzącą ku nam od strony parowca. Wyciągnąłem łódź na piasek, żeby Marina mogła wyjść, nie mocząc nóg. Trzymałem ją za ręce, gdy przechodziła przez burtę. Staliśmy na piasku, czekając, aż fala uderzy o brzeg. Okazała się mniejsza, niż przewidywałem, i zatrzęsła łodzią tylko trochę.

Przygotowaliśmy piknik na kawałku trawy Po jedzeniu - kanapki skojarzyły mi się z

Aminem - leżeliśmy obok siebie. Słoneczne promienie ścierały nam z czoła kropelki potu. Na

drzewie nad nami usiadła sowa, strosząc swoje brązowomiodowe pióra. Wcale nie zwracała na nas uwagi. Siedziała na gałęzi przez minutę, może dwie, przekręcając głowę to w lewo, to w prawo, jakby chciała się dobrze rozejrzeć, zanim poleci dalej.

- Na pewno zrobiła sobie krótką przerwę w podróży na drugą stronę jeziora. Na odpoczynek

- zawyrokowała Marina.

- Sowa Minerwy wlatuje po zmierzchu.

- Co takiego?

- Mądrość zyskuje się dopiero po fakcie. Starożytni Grecy sądzili, że sowy są służkami bogini mądrości.

- Zdaje się że oni o wszystkim myśleli w taki sposób, prawda? - powiedziała, strzepując z siebie jakieś okruszki. - Wszystko było w ich świecie pełne magii i działało się według określonego wzorca.

Pomyślałem sobie, Bóg jeden wie dlaczego, że to aluzja, że Marina daje mi w ten sposób znak, żebym się nad nią pochylił i wprawił ją w drzenie, które rozbudzi nas oboje w słonecznym upale, żebym położył jej rękę na brzuchu, tak delikatnie, jak niebo muska błękit jedwabnej tafli jeziora. Ograniczyłem się jednak do delikatnego pocałunku w ramię, tuż pod rąbkiem rękawa jej letniej sukienki.

Poderwała się gwałtownie, wałąc mnie barkiem w nos, i skoczyła na równe nogi.

- O co panu chodzi? - krzyknęła. - Co, do diabła, pan wyprawia?

Gorączkowo pocierała miejsce, w które ją pocałowałem, jakby ugryzł ją jakiś insekt.

- Ja tylko... - wymamrotałem.

- Proszę mnie zabrać z powrotem na brzeg - poleciała. - Natychmiast! Nie wiem, co pan sobie myślał, ale z pewnością ja myślałam co innego. Jestem żoną brytyjskiego ambasadora!

Poszła do łodzi, mocząc po drodze sukienkę. Zażenowany, zebrałem rzeczy do koszyka i

ruszyłem za nią. Znów patrzyła na wodę, zaciskając dłonie na mokrej sukience, a usta miała zacięte jak cęgi.

Silnik nie reagował na próby uruchomienia, przez krótką chwilę myślałem więc z przerażeniem, że zostaniemy na wyspie, zdani tylko na swoje towarzystwo. Jak prawdziwi rozbitkowie. Ale za piątym razem wyciągnięty sznurek wrócił na miejsce przy wtórze warkotu silnika, który wyrzucił z siebie kłęb niebieskiego dymu.

- Przepraszam - rzuciłem cicho, gdy przepłynęliśmy już spory kawałek drogi. - Źle zrozumiałem to, co między nami było.

- Nic nie było - ucięła zimno. - Nie wiem, co pan o tym myślał. Nie wiem, co myślał pan o mnie. Ale ja miałam o panu całkiem inne pojęcie.

Resztę drogi powrotnej przebyliśmy w milczeniu, ja wypatrując na horyzoncie wioski, ona wbijając lodowaty wzrok w leżącą na dnie łodzi wędkę. Trapiło mnie jakieś niesprecyzowane poczucie winy, ale nie odczuwałem wyrzutów, które zapewne powinienem był odczuwać.

Mglistość, swoboda, uniki. Mglistość może mieć coś wspólnego z ptasimi piórami albo falami na wodzie. Staram się opisywać wszystko jak najwierniej, ale materia stawia opór. O znaczeniu tego słowa myślę często w takie dni jak dzisiejszy, gdy wiatr jęczy w nieszczelnych oknach chaty, a krzyki mew szybujących po szarym, niespokojnym niebie brzmią jak dziecięcy płacz.

To zimowy wiatr, który zabłąkał się jakoś w środek kwietnia, a teraz daje upust złości, smagając statki i drzewa. Tutaj, na północnym zachodzie opowiada się legendę o wyspie, którą wiatr porwał w czasie burzy i przeniósł w inne miejsce, „kładąc na wzburzonych wodach tak delikatnie, że osiadła jak motyl" - że zacytuję broszurę dla turystów.

Biedna jarzębina za oknem znów się pokryła listowiem, ale nadal panuje przejmujący ziąb.

Jakieś kapryfolium oplata jeszcze ganek i nie mogę się nadziwić, że przetrwało wszystkie nawałnice. Ja sam nie ruszam się z domu i do późnej nocy rozgrzewam się kawą na zmianę z

whisky. Od czasu do czasu włączam telewizor. Właśnie pokazali egzekucję księżniczki w Arabii Saudyjskiej. Wyobrażam sobie Amina z bułatem.

W programie o księżniczce padło sformułowanie „zgubne przeznaczenie”. Uznałem, że doskonale pasuje do mnie, do lat spędzonych w Ugandzie i tego wszystkiego, co mi się tam przydarzyło. Doskonale przy tym zdawałem sobie sprawę, dlaczego w ogóle się tam znalazłem: pognało mnie moje stare wyobrażenie o sobie samym. Kłopot w tym, że nie chcę pogodzić się z faktami, bo świat nie daje mi tego, czego szukam. A to nie jest dobry sposób na życie.

To straszne, jak człowiek się łudzi, że czas go zmieni. Ze w przyszłości wszystko się jakoś ułoży. A potem nie dzieje się nic, tylko wpadamy znów w dawny strumień czasu, który zamyka się nad nami.

Na kuchni gwizdże czajnik. Staroświecki czajnik wujka Eamonna. Powinienem sprawić sobie elektryczny, ale przywykłem już do tego.

Mniej więcej tydzień po wycieczce na jezioro zadzwonił do mnie do szpitala Wasswa. Próbując w nieco przewrotny sposób pocieszyć się po katastrofie z Mariną, niejako zaszczepić się przeciw smutkowi, akurat tego dnia zrobiłem sobie dłuższą przerwę w porze lunchu i wybrałem się na zwiedzanie grobowców Kasubi. W długich, krytych strzechą chatach składano na wieczny spoczynek kabaków, czyli królów Bugandy. Pieczę nad grobowcami sprawował urzędnik, piastujący tytuł Kustosza Pępowiny Króla. Według legendy pępowina jest bliźniakiem żyjącego monarchy i każde jej uszkodzenie wyrządza mu fizyczną krzywdę. Jak w religii wudu, albo w medycynie ludowej. Ale, jak już pisałem, król nie żył, a jego młody syn przebywał na wygnaniu w Anglii. Jak przypuszczam, to właśnie on zostanie nowym królem. Jeśli można być królem bez ziemi.

Wasswa odchodził od zmysłów, gdy po dwóch godzinach udało mu się w końcu ze mną skontaktować.

- Niech pan przyjeżdża szybko! - polecił. - Prezydent zachorował. Jest w Nakasero.

Dzień był burzowy i bardzo pracowity. Choć dochodziła piętnasta, przed szpitalem wciąż gromadziły się grupki pacjentów. Kilku z nich szarpało mnie za ubranie, gdy z torbą lekarską w ręku biegłem do samochodu.

Po drodze minąłem na jezdni cztery kobiety. Szły owinięte szalami, którymi bezskutecznie próbowały zasłonić się przed ulewnym deszczem. Nagle wyprzedziła mnie furgonetka volkswagena, zjechała na pobocze i z piskiem opon zatrzymała się tuż przed kobietami.

Następnie ja wyprzedziłem volkswagena, akurat w chwili, gdy otwierały się przesuwne drzwi i ktoś wciągał do środka jedną z nich. Wszystko to wyglądało jak scena z kukiełkowego widowiska Punch i Judy, ale też budziło niepokój i trwogę. Nie widziałem jednak dobrze, co się stało, bo ulewny deszcz ograniczał widoczność, a zerkając w lusterko wsteczne, omal w coś nie

uderzyłem - na dziurawej, zablocoonej drodze leżały kamienie.

Kiedy więc dotarłem do Nakasero, byłem wstrząśnięty. Jeden ze strażników doprowadził mnie pod drzwi domu. Po schodach podbiegłem do czekającego na mnie Wasswy.

- Jest u siebie. Boli go brzuch - powiedział. Poprowadził mnie na piętro. Przeszliśmy przez labirynt pokoi, by w końcu dotrzeć do sypialni, w której stało wielkie łóże z baldachimem. Za różową moskitierą dostrzegłem okryty kołdrą i prześcieradłami potężny garb, oblany lekko erotycznym światłem. (Chyba jednak chciałem napisać „lekkim i eterycznym” - ale nie minąłem się z prawdą, bo takie właśnie mogło to światło być.) W sypialni unosił się jakiś zwierzęcy zapach, coś między lisią jamą a borsuczą norą. W każdym razie cuchnęło obrzydliwie, jak w najgorszej melinie.

Po jednej stronie łóżka znajdowała się cała ściana oprawionych w czerwoną skórę książek. Na grzbiecie każdej wybito złotymi literami tytuł *Sprawozdania Izby Adwokackiej Ugandy*, po którym następował numer napisany cyframi rzymskimi. Po drugiej stronie stał sekretarz, a dalej, między szafami z lustrami, obudowana szafką umywalka. Na podłodze poniewierały się ubrania, płyty gramofonowe (niektóre bez okładek) i kilka czasopism dla mężczyzn. W rogu bezużytecznie migał szary telewizor. O szafkę pod telewizorem opierał się kij bejsbolowy, obok którego leżała na podłodze skórzana rękawica. Na stoliku przy łóżku zauważyłem jakieś tabletki, przy nich otwartą fiolkę i kilka butelek po piwie Simba.

- Wasza Ekscelencjo? - powiedział Wasswa nerwowo. Garb pod kołdrą nieznacznie się poruszył. Wasswa podniósł baldachim. Nagle prześcieradło sfrunęło z łóżka, odsłaniając Amina w slipkach koloru khaki, leżącego na brzuchu, odwróconego głową w naszą stronę. Spod poduszki wystawała mu jedna ręka, a w niej bardzo duży i bardzo srebrny rewolwer.

- Nie, panie prezydencie, nie. To ja, Wasswa - krzyknął minister, odskakując w moją stronę.

- Co? - burknął Amin.

Nie opuszczając pistoletu, przekręcił się na plecy i zezował na nas zza swojego olbrzymiego brzucha, wolno kołysząc się wraz z materacem. Tak mogło się poruszać tylko łóżko wodne.

- Odejdź! - wrzasnął. - Nie chcę cię!

- Przepraszam - powiedziałem. - Myślałem, że...

- Doktorze, nie pan - przerwał mi Amin. - Mój minister. Niech idzie. To sprawa osobista.

Wsunął rewolwer do wykonanej w kowbojskim stylu kabury, wiszącej za oparciem zabytkowego krzesła, które stało przy łóżku. Wasswa wyszedł wyraźnie zawiedziony, ja natomiast zacząłem badanie. Nareszcie! Po kilku miesiącach na stanowisku prezydenckiego lekarza mogłem zrobić to, co do mnie należało.

- Jestem bardzo chory. Mam bóle tutaj - dotknął prawego boku.

Pochyliłem się nad nim i delikatnie obmacałem obszar na prawo od miejsca, gdzie ciemne włosy dochodziły do wystającego pępka. Wyczułem lekki obrzęk. Jęknął ponownie, wydając z siebie osobliwie wysoki dźwięk, przypominający miauknięcie kota, który u przechodnia dopomina się o kolację.

- Proszę mi powiedzieć, co pan jadł - powiedziałem cicho, napawając się radością tej chwili.

- Niech pan nie będzie dla mnie srogi, doktorze. Jadłem plantany, dwa kawałki kozłiny i jedno opakowanie lodów - odparł. - To wszystko.

- A to? - zapytałem, wskazując na tabletki ze stolika. Nie odpowiedział. Patrzyłem na leżącą przede mną kupę mięsa: kostki, golenie, uda - spod slipów wystawała okryta napletkiem główka penisa, który opadł na bok jak śnięta ryba - brzuch, klatka, ramiona, głowa. Było coś hipnotycznego w fioletoworóżowych, przypominających plasterki kiełbasy sutkach Amina. Zagnieżdżone w gęstych włosach, składały się właściwie z samej brodawki, bez otaczającej ją zwykle aureoli. Gdy dotknąłem ich podczas badania, natychmiast stanęły na baczność, co wzbudziło mój głęboki niesmak. Niech nikt mi nie mówi, że lekarze zachowują obojętność

wobec ciała badanego pacjenta.

- A więc? - ponowiłem pytanie po dłuższej chwili. Odwrócił głowę, żeby spojrzeć na stolik.

- Ach! To moje lekarstwo. Aspiryna.

- Wasza Ekscelencjo - zacząłem. - Nie wolno panu popijać aspiryny piwem. To niezdrowe dla żołądka.

- Boli mnie żołądek, a nie pijaństwo.

Wziąłem do ręki butelkę po piwie i z dezaprobatą pomachałem nią przed jego twarzą.

- Stąd się wziął ból. Albo z przejedzenia.

Uniósł się, dźwigając swój olbrzymi ciężar na łokciach.

- Nie! Bolało mnie wcześniej.

- Możliwe. Ale piwo nie pomogło. Proszę się z powrotem położyć.

Nachyliłem się i raz jeszcze palpacyjnie zbadałem jego brzuch. Między ostatnim żebrem a kością miednicy wyczuwalne było wyraźnie zgrubienie. Guz miał wielkość kurzego jaja i nie był twardy. Od razu wiedziałem, o co chodzi.

- Chyba odkryłem, co panu dolega. Teraz nacisnę mocno. Niech się pan stara leżeć nieruchomo.

Ucisnąłem brzuch w miejscu zgrubienia, ale guz przesunął się w dół raczej niż do środka.

- To boli, doktorze! - poskarżył się Amin, wijąc na łóżku. - Myślę, że może mi potrzebne tabletki.

- Akurat tabletek potrzeba panu najmniej - odpaliłem, czując się całkowicie bezpiecznie w tej sytuacji.

Ucisnąłem raz jeszcze, ale nic się nie stało.

- Jest niedobrze, Wasza Ekscelencjo - stwierdziłem. - Zamierzam uciec się do bardziej drastycznych metod, by przynieść panu ulgę.

- Dobrze jest wszystko, co działa - odpowiedział. - Chodzi o to, żebym się czuł pełen zdrowia.

Nie obchodzi mnie, jak pan to osiągnie.

- Potrzebuję czegoś długiego i twardego. Nie jest to typowy zabieg, ale zamierzam go zastosować, bo chcę, żeby się panu odbiło.

- Co to znaczy? Co to jest? - dopytywał się Amin.

- Jak u małych dzieci.

- U małych dzieci?

- Tak. Proszę się nie przejmować.

Omiatałem pokój chciwym wzrokiem. Zamierzałem połączyć tak zwany manewr Heimlicha, stosowany przy zadławieniu, z klasycznym wywoływaniem odbicia się u dziecka. Tylko brzuch Amina był zwyczajnie za wielki, bym zdołał tego dokonać bez pomocy jakiegoś narzędzia.

Wśród poniewierających się na podłodze ubrań leżała kurtka safari, z kieszeniami pełnymi pomiętych banknotów. Obok brązowe kamasze. Na ścianie wisiał wielki portret kongijskiego patrioty Patricea Lumumby. Wydawało mi się, że Amin nazwał jednego ze swoich synów właśnie na jego cześć. Zauważyłem magazynek pocisków o dużej prędkości wylotowej, a w końcu mój wzrok padł na coś idealnego do moich celów. Był to oczywiście kij bejsbolowy. Podszedłem i podniosłem go z podłogi.

- Co pan robi? - krzyknął Amin, po omacku szukając wiszącej na krześle broni.

- Wszystko jest w porządku - zapewniłem, lekko kołysząc kijem. - Niech się pan uspokoi. To przez ból jest pan teraz taki nerwowo.

Patrzył na mnie przez chwilę, po czym położył rewolwer na łóżku. Wyglądał tam dziwnie, otoczony miękką pościelą.

- Tak, tak. To prawda. Ma pan rację. Ma pan rację, bo jest pan lekarzem.

- Użyję tego, żeby wypędzić z pana chorobę - powiedziałem uspokajającym tonem. - Na

początku może trochę zaboлеć, ale później poczuje się pan znacznie lepiej.

Odsunąłem na bok ciężką kaburę i pomogłem mu usiąść na łóżku. Zagniecione od leżenia włosy na jego grubych nogach skojarzyły mi się z hieroglifami. Długie lata musztry w ciężkich wojskowych butach zostawiły mu na stopach liczne odciski. A stopy miał olbrzymie. Gdyby dało się je odłączyć od tych delikatnych kostek, nadawałyby się w sam raz na muzealny piedestał.

- Co pan robi? - burknął niecierpliwie. - Żaden lekarz nie robił mi jeszcze czegoś takiego. Ani Rosjanin, ani Kubańczyk. Koreańczyk też nie. Czy to jakaś sztuczka, którą znają tylko lekarze ze Szkocji?

- Możemy zacząć, jak tylko przeniesie się pan na krzesło - powiedziałem. - I będziemy to mieć z głowy.

Niezdarnie przesunął swoje wielkie cielsko, opierając je na rękach, jak ktoś, kto z samochodowego fotela przesiada się na wózek inwalidzki. W końcu opadł ciężko na skórzane siedzenie. Wielkie mięśnie jego ud, opięte slipami w kolorze khaki, zwisały po bokach krzesła. Skrył twarz w dłonie, opierając łokcie o kolana.

- Co pan robi?

Tym razem jego słowa zabrzmiały dziwacznie, zniekształcone z powodu przyciśniętych do warg dłoni.

- Nic. Proszę tylko siedzieć spokojnie.

Stanąłem za nim, opierając kij bejsbolowy na jego głowie.

- Co to za dziwny rytuał, doktorze? - dobiegło mnie z dołu jego nerwowe pytanie.

- Za chwilę naciśnę na pański brzuch. Wkrótce lepiej się pan poczuje.

- Mówi pan prawdę?

- Mówię prawdę. Proszę usiąść prosto. Przykucnąłem za nim, mocno przyciskając twarz do drewnianej kratownicy w oparciu krzesła, wyciągnąłem obie ręce, umieściłem kij pod jego

wielkim brzuchem i podniosłem, na wyczucie umieszczając we właściwym miejscu. Wstałem, ale pozostałem w pozycji zgarbionej.

- Proszę się teraz pochylić do przodu.

Wykonał moje polecenie, a wtedy pociągnąłem mocno za obydwie końce kija bejsbolowego, najpierw delikatnie, potem silniej. Czułem, jak jego ucho ociera się niemal o moje. Zastanawiam się czasem, jakie uszne sekrety wymieniły wtedy nasze błony bębenkowe, jakie pierwotne drżenia?

- Doktorze! - wrzasnął Amin. - To boli! Pociągnąłem raz jeszcze. I jeszcze raz.

- Proszę wstać - rozkazałem.

Niezdarnie się podniósł. Wilgotna od potu skóra na jego udach oderwała się od krzesła z głośnym trzaskiem, podobnym do odgłosu odwijanej ze szpulki taśmy klejącej.

- Co to wszystko znaczy? - rzucił, patrząc na mnie, jakbym oszalał. - Dlaczego pan mnie ściska? - dodał, pocierając opuchnięty brzuch.

- Jeszcze nie skończyłem. Proszę mi zaufać. Teraz musi pan dotknąć rękoma palców stóp.

Wykonał moje polecenie: dożywotni prezydent, marszałek Al-Hadż, doktor Idi Amin Dada, kawaler Krzyża Królowej Wiktorii, kawaler Orderu za Wzorową Służbę, Pan Wszystkich Stworzeń na Ziemi i Ryb w Morzu, Król Szkotów oraz Pogromca Imperium Brytyjskiego w całej Afryce, a szczególnie w Ugandzie dotknął dłońmi palców stóp. Po czym oddał wiatry z pogłosem odpowiednim do swoich rozmiarów.

Odskakując na bok, pomyślałem, że ten dźwięk na pewno będzie krótszy niż tamten, wydany w szpitalu przez nieszczęsną kobietę, której potem musieliśmy wyciąć kawałek jelita, ale z pewnością o wiele gwałtowniejszy. No i smród, smród był o wiele gorszy.

Amin spojrzał na mnie i podniósł z podłogi kij bejsbolowy. Ruszył ku mnie i przez chwilę sądziłem, że mnie nim zdzieli. W końcu go przecież upokorzyłem. Ale on wybuchnął śmiechem i

uderzył kijem o własne udo. Był to głęboki i mroczny śmiech; śmiech kogoś, kto dostrzegł komizm w świetle śmierci i gwiazdnym pyle galaktyk. Śmiech na miarę wszechświata.

- Człowieku! - krzyknął, ściskając mnie za rękę. Czułem, jak kciukiem miażdży mi kość. - Już myślałem, że oszalałeś.

Podniósł kij i rzucił go na łóżko, gdzie uderzył o leżący na pościeli rewolwer.

- Jest pan bardzo mądrym człowiekiem. Zobaczył pan mój problem. Teraz musimy uczcić moje wyleczenie. Idziemy do baru!

- Chciałbym pana dokładnie zbadać, a potem powinienem wracać do szpitala - powiedziałem.

- To nie problem. Niech pan im powie, że wyraziłem zgodę. A badania może pan zrobić innym razem. Pójdziemy do „Satelity” i napijemy się *waragi*. Tylko się najpierw umyję i włożę lepsze ubranie.

- Ale ja muszę...

- Nie ma ale, nie ma muszę. W Ugandzie najważniejszy jestem ja - oświadczył, idąc do łazienki.

Usiadłem na krawędzi łóżka i nagle poczułem się przytłoczony całą tą sytuacją. Patrzyłem na zaśnieszony ekran kiepsko odbierającego telewizora i pomyślałem o zimie w Fossiemuir.

Przypomniałem sobie, jak któregoś grudniowego poranka, jako sześć - albo siedmioletni chłopak poprosiłem ojca, żeby mnie zabrał na sanki. Ojciec nie chciał, a ja w ataku złości wypadłem do ogrodu i zacząłem biegać wokół domu, jak oszalały w tańcu derwisz - dopóki nagle nie stanęła przede mną wielka postać mojej matki, która schwyciła mnie w swoje przepastne ramiona. Tamtego wieczoru stałem w oknie i obserwowałem, jak znikają pod śniegiem pozostawione przeze mnie w ogrodzie ślady.

W niemal całkowitej ciszy, panującej w sypialni, z sąsiedniego pomieszczenia dotarł do mnie

zgrzyt brzytwy, przeplatany z pluskiem leżącej z kranu wody Chwilę później w drzwiach pojawiła się głowa Amina. Twarz miał pokrytą kremem do golenia i wyglądał jak skrzyżowanie klauna z minstrelem.

- Niech pan się nie smuci, doktorze. Jest pan zmęczony? Na pewno się pan zmęczył, bo wykonał pan dobrą robotę.

- Nic mi nie jest - zapewniłem. - Czuję się wspaniale.

- Zostanie pan nagrodzony za fachowe działanie. Ale najpierw *waragi!*

Waragi to ugandyjski dzin. W barze Amin zamówił pięć butelek. Ludzie tłoczyli się wokół nas, łaszcząc się do niego i chętnie przyjmując darmowe drinki. Ja sam wypilem zaledwie kilka łyków. Mocny trunek palił mi gardło, a od muzyki kręciło mi się w głowie. W pewnej chwili Amin dołączył do muzyków i grał z nimi na akordeonie. Potem tańczył i kazał tańczyć także mnie.

W końcu powiedziałem, że czas iść do domu, i Amin zmarszczył brwi.

- Jeszcze nie czas. Ja mówię, kiedy jest czas. Ale ponieważ mi pan pomógł, to ja się zgodzę. Ale musi mnie pan odwieźć. Wypilem za dużo tej wódki. Przenocuję dzisiaj w State House.

W taki oto sposób odwiozłem Amina do domu. Przed wejściem do baru odprawił wszystkich swoich ochroniarzy i służących. Jakby chciał, żebym tego wieczoru poczuł się jego wyjątkowym przyjacielem.

- Przykro mi, że się bałem, jak mnie pan leczył - powiedział. - Myślałem, że pan też chce mnie zabić. Bardzo wielu ludzi chce mnie zabić.

- Jestem przekonany, że ma pan świetną ochronę - odparłem nerwowo.

- Tak, to prawda. Ponieważ Bóg jest po mojej stronie. Miałem taki sen, ale to było niemożliwe. Nie mogli tego zrobić. Miałem sen. Wiem dokładnie, kiedy, jak i o której godzinie umrę. Wiem to. I w którym roku. Jaka będzie wtedy data. Wszystko to już wiem... Ale to

tajemnica. Jasno to powiedziałem. I wiem dobrze, kto będzie robił coś przeciwko mnie. Bardzo szybko go zauważę, a wtedy dostanie karę prosto od samego Boga. Ponieważ ja działałam tylko zgodnie z poleceniami Boga.

Gdy dotarliśmy do Entebbe (strażnicy, którzy sprawdzali mój samochód, bardzo się zdziwili, że moim pasażerem jest Amin), zaciągnął mnie do swoich apartamentów, żeby ze mną jeszcze trochę porozmawiać.

Wypiliśmy znowu trochę *waragi*, siedząc tylko we dwóch przy ogromnym mahoniowym stole w sali bankietowej State House. Za jedyne towarzystwo służyły nam wiszące na ścianach przeraźliwe maski i wyniosłe portrety gubernatorów. Zerkąłem na nich, zwłaszcza na tego łysego, który najbardziej przypominał mi mojego ojca, a głos Amina dudnił w wielkiej, mrocznej sali.

- To dobrze, że pan ze mną rozmawia - stwierdził. - Nawet pan nie wie, jak bardzo mnie ta praca męczy. Kierowanie Ugandą. To bardzo trudne.

- Powinien pan przekazać część obowiązków innym - odparłem. - Znaleźć ludzi do robienia różnych rzeczy.

- Nic pan nie rozumie. Nie mogę ufać. Wielu mam dzisiaj przyjaciół, którzy jutro mogą mnie zdradzić. Na morzu najwięcej się mówi o rekinie, ale jest dużo innych ryb.

- Co pan ma na myśli?

- Muszę się cały czas pilnować. W zamyśleniu upiłem łyk *waragi*.

- Myślał pan kiedyś o emeryturze?

Posłał mi dziwny, dobrotliwy uśmiech. Policzki błyszcząły mu w przyćmionym świetle wiszących nad stołem lamp.

- Będę rządził wszystkim do końca drogi. Jako człowiek opatrności nie mogę tak po prostu pojechać na *shamba*, żeby tam hodować kury. Tak, trzeba przebiec całą drogę. Jak pan wie, doktorze, nie ma takiego dystansu, który by się nie kończył. I to jest moja tragedia.

- Niekoniecznie tragedia - zaproponowałem.

- Nie - powiedział ostro. - Wiem bardzo dobrze, że tragedia. Wiem, że wiem, że muszę biec przez wiele mil, dopóki Bóg mi nie powie.

- Kim jest ten... Bóg? - zapytałem nieśmiało. Choć wciąż trochę się bałem, zaczynałem czerpać satysfakcję z tej poufałości.

- To Pan Jezus Chrystus, to Allah i małpa abisyńska, która przez białe futro wygląda jak kapłan. To rzeka Nil i pszczoła mopani, która spija pot z pańskiego karku. To bardzo wiele rzeczy.

Wskazał na portrety gubernatorów.

- Tak, to nawet oni.

- Pamięta pan, co mówił o swojej śmierci? - zapytałem badawczo. - Ze zna pan jej datę?

- Tak - odpowiedział.

- A wierzy pan w życie po śmierci?

Amin zamyślił się na chwilę. Przyszedł mi do głowy Stone i jego plan. Poczułem wyraźnie, że żadną miarą nie mógłbym podawać temu człowiekowi środków uspokajających. Pod wpływem alkoholu miałem nawet wrażenie, że nieśmiało kielkuje we mnie jakieś ciepłe uczucie do niego.

- Nie wiem - stwierdził w odpowiedzi na moje pytanie. - Mam oczywiście synów, może więc jest tak, że jak umierają usta, rozpryskuje się ślina.

Popatrzył na wyłożoną kafelkami podłogę.

- Mój własny ojciec... Nie znałem go. Wiem tylko, że był żołnierzem Królewskich Strzelców Afrykańskich. Może nawet był to sam król. Z tego, co mi wiadomo, to był, tylko że mój kolor się nie zgadza. A co najmniej gubernator.

Roześmiałem się.

- Myśli pan, że wcześniej było lepiej, kiedy zarządzili gubernatorzy?

- Nie - pokręcił głową. - Ząb z kości słoniowej nie zlikwiduje szczyby. Chociaż to prawda, że nauczyłem się wielu rzeczy od Brytyjczyków. Pańskie imperium powinno się wstydzić podboju, ale było dobrym nauczycielem.

Nalał sobie do kieliszka jeszcze trochę *waragi*.

- Ale czasami się boję, że to, czego się od nich nauczyłem, wróci, żeby mnie schwytać w pułapkę. I wtedy się obawiam o swoją pozycję zbawcy Afryki. Ponieważ pańscy rodacy, doktorze, w każdym razie Anglicy, nie są już dla mnie dobrzy A to mnie martwi. I złości.

- Wiele się zmieniło - odrzekłem.

- Tak. Ale może zawsze tak było. Widzę wokół siebie całą tę zgniliznę, tych wszystkich ludzi, tutaj w Ugandzie i na całym świecie. Każdy szarpie w swoją stronę przy naciąganiu skóry na bęben, a ja nie wiem, co najlepiej zrobić.

- Może pan... może pan skończyć z korupcją - rzuciłem nerwowo. - I kazać wojsku, żeby przestało zabijać ludzi.

Westchnął.

- Doktorze! W suahili mamy takie powiedzenie: *la kuvunda halian ubani*. Kadzidło nie pomoże, jak coś gnije. A świat jest w takim właśnie stanie. To wiem na pewno.

Wiele jeszcze się wydarzyło przez cały ten czas (w Kampali spędziłem sześć lat, a wcześniej dwa lata pracowałem w Mbararze), ale za nic się nie winię. Naturalnie toczyło się też zwykłe życie, jak zawsze. Chodziłem do pracy. Spałem. Jadłem. Starzałem się. Niekiedy myślałem o poleceniu Stone'a, rozważałem ten pomysł, po czym znów go odrzucałem.

Rozmowa w ambasadzie przypominała mi się oczywiście najczęściej, gdy wzywano mnie do chorego Amina. Za mojej kadencji nie działo się z nim nic poważnego: cierpiał oczywiście na nadwagę i miał początki dny moczanowej, poza tym jednak był całkowicie zdrowy. Przynajmniej fizycznie.

Przekonałem się o tym, gdy w końcu udało mi się poddać go dokładnym oględzinom.

Notatki, które wtedy poczyniłem, odtwarzam teraz z pamięci, uzupełniając je trochę, gdyż medyczny żargon byłby niezrozumiały dla laika.

Podczas badania zanotowałem:

Mężczyzna tuż przed pięćdziesiątką, albo tuż po [niejasność wynikająca z nieustalonej daty urodzenia, której, jak sądzę, nie znał nawet on sam]; wygląda zdrowo i dobrze. Wzrost: 201 cm. Waga: 127 kg.

Nie stwierdzono oznak żółtaczk, anemii, sinicy, deformacji paznokci, węzły chłonne niepowiększone.

Ciśnienie 130/90. Temperatura 37.4. Puls 84 uderzenia na minutę, regularny

Wypełnienie żył szyjnych prawidłowe. Rytm serca miarowy, bez szmerów.

Brzuch miękki, mocno otłuszczony, tkliwy w prawej okolicy podżebrowej [znów wzdęcia]. Brak zmian osłuchowych.

Nerwy czaszkowe II-XII nieuszkodzone. Reakcja źrenic prawidłowa.

Siła, napięcie, koordynacja i wrażliwość mięśni w normie.

Odruchy prawostronne i lewostronne wszystkie obecne, normalne. Wszystkie dodatnie.

Powyższe stwierdziłem po badaniu przy użyciu stetoskopu, oftalmoskopu, młotka neurologicznego i latarki. Jak dziś pamiętam bicie jego serca, spokojne dudum, dudum, dudum.

Pamiętam - choć dziś wydaje mi się to niewiarygodne - jak mu mówiłem: „Proszę wodzić oczyma za moim palcem, Wasza Ekscelencjo!”. Zastanawiam się, ilu ludzi prócz mnie zajrzało Aminowi w oczy. Jeśli mi wolno zaprzeczyć poetom, nie dostrzegłem przez to okno jego wątpliwej duszy; raczej poczerwieniałą płaszczyznę siatkówki, pełną nabrzmiąłych naczyń krwionośnych, z podobną do kropli mleka końcówką nerwu wzrokowego pośrodku.

W każdym razie nie działo się nic złego. Kiedyś jednak musiałem naciąć ropień na jego gardle. Bardzo się wtedy przejmował, bo przez ten ropień mówił wyższym niż zwykle głosem.

- Dzięki Bogu, że pan to zrobił, doktorze - powiedział, gdy osuszałem nacięcie. - Mogłem przecież umrzeć.

- Nie sądzę, żeby to było aż tak poważne - odparłem, tłumiąc śmiech.

- *Mzaha, mzaha, hutumbuka usaha* - odparował. - Żarty żartami, a ropa cieknie.

- Co pan ma na myśli? - zapytałem.

- Nawet drobne zadrapanie może być niebezpieczne. Wszystkie pogłoski o padaczce płata czołowego i kile trzeciorzędowej okazały się fałszywe. Miał oczywiście problemy psychiczne - urojenia wielkościowe i porywczość, które, moim zdaniem, są charakterystyczne dla wszystkich dyktatorów - ale nie stwierdziłem żadnych typowych schorzeń organicznych. Raz, nigdy nie zrozumiałem dlaczego, musiałem udawać, że zapadł w śpiączkę w Mulago.

Nadal pracowałem w tym szpitalu i chociaż Amin podarował mi dom nad jeziorem, pozostałem w bungalowie przy State House. Przywykłem do niego i nie chciałem się wyprowadzać. Swoją drogą zawsze mnie ciekawiło, dlaczego w ogóle zostałem tam

zakwaterowany, skoro Amin nie przebywał w State House prawie nigdy: wolał rezydencję w Nakasero.

Od czasu do czasu byłem tam zapraszany na herbatę albo żeby coś zrobić. Bez względu na powód wizyty, Idi zawsze perorował. Pamiętam, co się działo, gdy Heath zrezygnował z funkcji brytyjskiego premiera.

- A nie mówiłem?! - krzyczał. - Jakie to smutne, że Heath jest teraz taki biedny, bo go zdegradowano z premiera rządu na jakiegoś tam dyrygenta. Rozumiem, że jest jednym z najlepszych dyrygentów w Zjednoczonym Królestwie.

Mniej więcej miesiąc później prezydent Nixon ujawnił zapis taśm z Watergate. Idi poprosił mnie o opinię w sprawie telegramu, który zamierzał wysłać swojemu nękanemu problemami odpowiednikowi. Ściśle się to wiązało z faktem, że Stany Zjednoczone niedawno wycofały pomoc dla Ugandy Oto treść, którą miałem opiniować:

Mój Drogi Bracie!

Wszyscy wiedzą, że ma pan dość różnych problemów, dlatego zaskakuje mnie, że chce sobie pan dodawać nowych. Teraz, gdy został pan tak nieszczęśliwie wciśnięty w te okropne wydarzenia, modłę się do Boga Wszechmogącego, żeby pomógł panu rozwiązać problemy. Życzę szybkiego wyjścia z tej sytuacji. Jestem pewien, że jakiś słaby przywódca zrezygnowałby albo nawet popełniłby samobójstwo, gdyby był tak bardzo nękany jak pan w związku z tą sprawą Watergate. Chcę przy tej okazji raz jeszcze życzyć panu jak najszybszego powrotu do uzdrowienia sytuacji i dołączam się do tych wszystkich, którzy dobrze panu życzą w modlitwie o pańskie przyszłe sukcesy. PS. Wiem, że był pan ostatnio bardzo chory i że ludzie się martwili, że pan umrze i nie odpowie na pytania dotyczące sprawy Watergate, żeby cały świat się mógł dowiedzieć. Niech mi będzie wolno wystosować zaproszenie dla pana do Ugandy, żeby pan tutaj przyjechał i odpoczął, a potem mógł odpowiadać na wszystkie pytania przy zdrowym ciele i

jasnym umyśle. Nie jest pan potępiony. Nie musi pan wątpić w swoje zbawienie.

- Myślę, że to może zostać źle zrozumiane - powiedziałem, gdy zatelefonował, żeby mnie zapytać o zdanie.

- Ale ten cały Nixon! Nawet prostytutki na ulicy cieszą się większym szacunkiem niż on.

Niech pan sobie mówi, co chce. Wyślę ten telegram.

I wysłał. Dzięki takim właśnie zdarzeniom na początku swojej służby, sądziłem, że udało mi się go poznać. Myliłem się jednak. Zbyt wiele było w nim sprzeczności, podobnie jak zbyt wiele jego obrazów znajduje się w mojej głowie, nawet teraz. Oto kilka tygodni później, ubrany w swój jaskrawy mundur siedzi w fotelu, z nogą założoną na nogę i buławą opartą o kolano. Złote epolety na ramionach i stały zestaw medali na piersi. Wśród nich znajduje się Krzyż Wiktorii, wykonany na specjalne zamówienie Amina w londyńskiej pracowni jubilerskiej Spink. Zamiast oryginalnego, znajdował się na nim napis „Victorious Cross”.

Podnosi kieliszek na kolejnym bankiecie albo paraduje po ulicach w otoczeniu swej świty.

Podnosi rękę, by poklepać po ramieniu swój własny pomnik, odlany z brązu.

W trzyczęściowym garniturze przemawia do przedsiębiorców.

W uniwersyteckiej tozde i birecie wygłasza mowę na uniwersytecie - jako dziekan Wydziału Nauk Politycznych.

Przy basenie zapala papierosa towarzyszącej mu kobiecie.

Przegląda flotę czarnych mercedesów.

Stoi z Kenyattą, Jaserem Arafatem, Mobutu.

Tańczy taniec wojenny, potrząsając włócznią.

Pokazuje zagranicznym dygnitarzom eskadrę myśliwców MiG stacjonujących w Entebbe.

Rozmawia z Castro, z Kurtem Waldheimem, z Tito.

Z rodziną: obok niego któryś z synów - mały McLaren, Mckenzie, Campbell, Mwanga albo

Moses - ubrany jak ojciec w mundur polowy, albo któraś z żon, po kolei wypadających z łask.

Znowu on. Tym razem z Mwangą. Mierzy do chłopca z pistoletu-zabawki. Mwanga też trzyma pistolet, tylko opuszczony i nie bardzo wie, co ma zrobić.

On: marszczy brwi, śmieje się, podnosi do ust zaciśniętą pięść.

On z dzieckiem.

On przejeżdżający dżipem przez wiwatujący tłum.

On sam.

On ze mną.

Nie byłem z nim tego dnia, gdy próbowali go zabić. Miałem dyżur w szpitalu. Amin zjawiał się tam, a właściwie wpadł jak bomba, wyrzucił z dżipa rannego żołnierza i natychmiast odjechał.

Okazało się potem, że ranny to kierowca Amina. Na pierwszy rzut oka nie było widać, co mu jest. A miał wbity w skroń cienki jak igła, dwuipółcentymetrowy odłamek pocisku. Nie mogliśmy mu pomóc.

Później od jednego z ugandyjskich lekarzy, którego żona znajdowała się wtedy w tłumie, usłyszałem, jak to wyglądało.

Już od dłuższego czasu było wiadomo, że Amin pojawi się na paradzie jednostek policyjnych w policyjnym ośrodku rekreacyjnym w Nsambya. Uroczystość miała się odbyć na tamtejszym boisku piłkarskim. Amin musiał wiedzieć, że ktoś się na niego szykuje, bo wcześniej kilka razy zmieniał miejsce parady. Na wydeptanej murawie boiska zebrały się tłumy.

Amin siedział na zadaszonej trybunie. W programie była defilada i pokaz wschodnich sztuk walki w wykonaniu szkolonej w Korei grupy policjantów. Podczas pokazu Amin sięgnął po karabin z bagnetem i kazał któremuś z posterunkowych bronić się przed jego atakiem.

Harce z bagnetem rozluźniły atmosferę. Później Amin w otoczeniu kilku ministrów i wyższych rangą wojskowych udał się na przyjęcie. Po trzech kwadransach picia i kanapek

wyruszył do Kampali.

Nim wsiadł do dzipa, kazał kierowcy się przesunąć i sam usiadł za kierownicą. Dżip pomknął w kierunku bramy ośrodka, gdzie czekały kolejne tłumy wiwatujących. Dygnitarze jak zwykle czekali, aż ruszy przodem.

Gdy Amin skręcił w główną drogę, rozległy się dwie eksplozje, jedna po drugiej. Kłębił się dym, a na ziemię spadły jakieś drobne szczątki. Wtedy rozległy się dwa strzały. Ministrowie, jak donosił mój informator, natychmiast ruszyli tą samą drogą, co Amin. Bardzo rozsądnie, bo inaczej posądzono by ich pewnie o współudział w zamachu. Mniej roztropny tłum uciekał z wrzaskiem: policja już zaczęła wyłapywać domniemanych sprawców.

Jak się później okazało, pierwszy granat wybuchł dokładnie w miejscu, gdzie znajdowałby się Amin, gdyby nie postanowił usiąść za kierownicą. Jak pokazało zdjęcie rentgenowskie, odłamek tego granatu wbił się żołnierzowi w mózg. Tuż po wybuchu zapanowało istne pandemonium. Amin wyciągnął ze swojej teczki granat, gotów cisnąć nim, gdyby atak się powtórzył.

Pamiętam, że tamtej nocy Kampalę zalały oddziały wojska. W odwecie za zamach na oślep mordowano i bito cywilów. Sprawca zamachu pozostał nieznany, ale i tak podjęto działania represyjne.

- Trafiły mnie trzy granaty - opowiadał mi później Amin. - Zabiły trzydziestu dziewięciu ludzi. Zginął mój kierowca i cała moja eskorta. Tylko ja przeżyłem. Ocalałem z woli Boga. Nie umrę, póki nie nadejdzie data, którą wyznaczył Bóg. Wiem, kiedy to będzie, ale nie powiem, żeby zachować niepewność.

Idi znowu się ożenił. Zona numer cztery. Uczestniczyłem w ceremonii. Katedra była wypchana po brzegi, a na zewnątrz tysiące ludzi zdzierało sobie gardła, wiwatując. Podobno odbyła się także ceremonia muzułmańska („Kocham wszystkie religie Ugandy” - powiedział Amin w radiu), ale na tę nie zostałem zaproszony. Chrześcijański ślub przebiegał dziwnie, wcale nie dlatego, że do ołtarza odprowadzali młodych sami wysocy rangą wojskowi - z wyjątkiem Wasswy, który był świadkiem. Zająłem miejsce z tyłu po prawej, obok innych przebywających w Kampali obcokrajowców, wśród których ku swemu zakłopotaniu spostrzegłem Marinę i jej męża oraz Stone'a. Bliżej mnie, częściowo schowany za filarem stał Swanepoel.

Katedra była ogromna. Kiedy organy grały przed wejściem panny młodej, wpatrywałem się w pomalowany na różowo i niebiesko sufit. Próbowałem nie zerkać na Marinę. Od mojej gafy minął już rok, wciąż jednak mnie ona bolała, choć może nie aż tak bardzo. W końcu przecież nie zrobiłem nic złego. Z sufitu przeniósłem wzrok na Idiego. Jego plecy zajmowały sporą część ławki w pierwszym rzędzie. Ubrany był w zieloną marynarkę. Morska zieleń. Cały czas się rozglądał z zakłopotaniem, które bardzo często gościło na jego twarzy, dostrzegalne w zmarszczonych brwiach i szybkich spojrzeniach. Wyobrażałem sobie, że budzi się w nim wtedy żołnierz, oceniający niebezpieczeństwo. Najdziwniejsze jednak było to, że jednocześnie się uśmiechał. Jakby obydwie części jego mózgu pracowały całkowicie od siebie niezależnie. Muzyka umilkła i wszyscy podnieśliśmy się z miejsc. Wzrokiem wciąż uciekałem w stronę Mariny. Nic nie mogłem na to poradzić. Miała na sobie prostą białą bluzkę zapiętą pod szyję i - jeśli dobrze widziałem zza ławki - zieloną spódnicę z falbanami. Nie była to taka sama zieleń jak kolor marynarki Idiego. Bardziej przypominała pietruszkę. Na głowę założyła kapelusz z rondem, spod którego nie zerknęła na mnie ani razu.

Ruszył orszak. Na czele kroczyli druzbowie, po dwóch z każdej strony. Szkarłatne lampasy

na spodniach krzyżowały się jak ostrza nożyc. Kilka kroków dalej szła panna młoda, oparta na ramieniu swojego ojca, ciągnąc za sobą długi tren i grupkę druhen. Ojciec wcale do niej nie pasował. Wyglądał jak szkocki rolnik w dzień targowy. Przy końcu nawy głównej druheny i družbowie odsunęli się na bok w nienagannym szyku. Nowa żona miała na imię Medina.

Wzrostem niemal dorównywała Aminowi. Tańczyła w zespole Heartbeat of Africa, który występami uświetniał wizyty gości zagranicznych i uroczystości państwowe.

- Proszę usiąść - odezwał się arcybiskup Ugandy, Rwandy i Burundi. Choć nosił wielkie tytuły, sam był nieduży, a za ołtarzem wydawał się jeszcze mniejszy. Siwizna na skroniach i zmarszczki wokół oczu dodawały mu dostojęstwa, jakiego z wiekiem nabiera wielu kościelnych hierarchów.

- Umiłowani - zaczął. - Zebraliśmy się tutaj, by w obecności Boga połączyć tego mężczyznę i tę kobietę świętym węzłem małżeńskim. Małżeństwo zostało ustanowione przez samego Boga w ogrodzie Edenu. Dostrzegł on bowiem, że mężczyźni samotność nie służy. Małżeństwo jest więc instytucją Bożą, zapoczątkowaną w czasach ludzkiej niewinności, zanim jeszcze człowiek zgrzeszył przeciwko Stwórcy i został wygnany. Dane nam zostało z mądrości i dobroci, by tłumić przypadkowe miłości i wspierać porządek społeczny. Małżeństwo jest więc starsze od wszelkich praw, które stworzył człowiek. Leży ono u podstaw ludzkich praw i świeckich rządów. Decyduje o pomyślności i dobrobycie całego kraju.

Słuchaczy przebiegł dreszcz. Ramiona Idiego - widziałem wyraźnie nawet ze znacznej w końcu odległości - naprężyły się.

- Związek takiej natury nie powinien być zawiązywany pochopnie, lecz z rozważą, w bojaźni Bożej i dla celów, które Bóg sam mu wyznaczył, ustanawiając święty związek małżeński.

Plecy zaczęły mnie już boleć od twardej ławki. Chciałem wstać i się przeciągnąć. Przyszła mi do głowy dziwna myśl, że moje ciało jest połączone z ciałem Idiego. Jak król i jego pępowina.

- Chcę wam więc przypomnieć, Idi i Medino, że wasz dom nigdy nie będzie tym, czym chciał go uczynić Bóg, jeśli o Bogu w nim zapomnicie. Gdy posłuszni jego słowom pozwolicie mu kierować waszym związkiem, ten dom będzie siedzibą radości i świadectwem Bożych zamiarów wobec świata. Musicie wiedzieć, że zobowiązanie, które za chwilę na siebie weźmiecie, jest czymś więcej niż zwykły kontrakt prawny...

Po raz kolejny spojrzałem na Marinę. Dostrzegłem jej rzęsy. Patrzyła w moją stronę. Ale nie na mnie. Wbiła wzrok w kolumnę.

... - ponieważ bierze swój początek w niebie...

Zastanawiałem się, jak można było zaprojektować takie kolumny, poskręcane jak słodkie sople do wieszania na choince. I całe to katolickie gadanie. Ja bym się na to nie dał nabrać. Nie po tym wszystkim, co w życiu przeszedłem. W katedrze śmierdziało starym serem: Bóg w gipsie, Bóg w drewnie ławek i Bóg ucieleśniony w zaprawie murarskiej. Beznadzieja! A właściwie zbytek nadziei. Jakby kropla, a nawet pół kropli tego czerwonego wina mogło odpuścić jakikolwiek grzech.

- ... i nie wolno go zrywać na ziemi.

Pierwszą lekcją miał być fragment listu do Rzymian. Czytał Wasswa, piskliwym i drżącym głosem. Przysięgam, że widziałem stalowe błyski w oczach arcybiskupa, ostrzejsze z każdym kolejnym słowem.

Każdy niech będzie poddany władzom, sprawującym rządy nad innymi. Nie ma bowiem władzy, która by nie pochodziła od Boga. Kto więc przeciwstawia się władzy - przeciwstawia się porządkowi Bożemu. Ci zaś, którzy się przeciwstawili, ściągną na siebie wyrok potępienia.

Albowiem rządzący nie są postrachem dla uczynku dobrego, ale dla złego. A chcesz nie bać się władzy? Czyń dobrze, a otrzymasz od niej pochwałę.

Kim jest on? - myślałem jak szalony. Nagle w polu widzenia pojawiła mi się broda Swanepoela.

Jej właściciel puszczał do mnie oko, jak pijany żeglarz.

Potem psalm, kolejne czytanie i Ewangelia.

Potem wszyscy powiedzieli „Amen”, które zabrzmiało jak „Amin”, a gdy arcybiskup oświadczył: „Stajecie przed nami, bo odkupił was Chrystus”, pomyślałem o kroplach krwi i moim nieżyjącym ojcu.

„Jesteśmy wolni, ale zarazem nie jesteśmy - mawiał. - Na tym polega wielka tajemnica. Jest w niej mistycyzm, ale jest i nauka. Biologia, społeczeństwo i Bóg wie, co jeszcze (a On wie na pewno) przez cały czas popychają nas w tym albo innym kierunku. Ale przecież możemy też wybierać. To jak z nową autostradą. Jesteśmy na niej, czy nam się to podoba, czy nie. Ale możemy przecież zjechać na najbliższym skrzyżowaniu, jeśli Bogu się spodoba takie skrzyżowanie postawić, i wybrać inną drogę. Dalej jednak będzie to jego droga. Rozumiesz, Nicholasiu? Rozumiesz? Kiedy ludzie gadają, że w kościele prezbiteriańskim nie ma żadnej tajemnicy, to niczego nie rozumieją! Jest tajemnica! I to naukowa”.

To był jego sztandarowy koncept: Bóg jako inżynier budownictwa lądowego. Zawsze budził nim wesołość wśród prezbiterian w Fossiemuir.

Jakby na potwierdzenie świętości biegu moich myśli, gdy Idi podniósł się, by złożyć przysięgę, dostrzegłem, że ma na sobie szkocki kilt. Marynarka w kolorze morskiej zieleni była częścią dziwnego stroju szkockich górali, obok skarpet, sporranu, sztyletu i ciężkich butów!

Ten sam bezsensowny i romantyczny strój, który widziałem w górach.

Wtedy padły pytania.

- Czy gotów jesteś kochać Medinę tak, jak Chrystus ukochał swój Kościół? Obdarzyć ją miłością...

Przyglądałem się wiszącym na ścianach stajom drogi krzyżowej, upamiętniającym kolejne etapy męki Chrystusa. Z gipsowych płaskorzeźb wystawały fałdy szat i kanciaste twarze.

Wszystko ubrano w ostre, krzykliwe barwy Nie było wątpliwości (choć przecież można wątpić), że to krew, że to drewno, że ta włócznia przebije ciało, a ocet z tej gąbki naprawdę pali.

Wszystko razem zbyt teatralne jak na mój gust, choć, muszę przyznać, poruszające. Mój ojciec jednak byłby pewnie innego zdania.

- ... świadom, że miłości tej nie mogą przerwać żadne okoliczności jak tylko śmierć?

Wypowiesz teraz słowa przysięgi.

- Modliłem się, żebyś została moją żoną - odezwał się Amin. - I Bóg wysłuchał moich modlitw. Powiedziałem mu wprost...

Arcybiskup przerwał w pół zdania.

- ... słać go i dziękować mu za jego wierność, bo sprawiło mi wielką radość kochać ciebie...

- To wszystko prawda, bo sprawiło mi wielką radość, że cię pokochałem...

- Jeśli dotrzymacie tych ślubów, wasze życie wypełni się szczęściem, bo dzięki nim smutki podzielą się na dwa, a radości podwoją. Jeśli jednak zaniedbacie albo zarzucicie swoje obowiązki, nie unikniecie najgorszej biedy i najstraszniejszej winy Co dasz pannie młodej na znak złożonych ślubów?

- Tę obrączkę.

- Obrączka symbolizuje niekończącą się miłość, którą przysięgałeś. Tak jak miłość, ma kształt doskonały, bo dla ludzkiego oka jest okręgiem idealnym. Wykonano ją ze złota, które jak miłość nie traci blasku i jest trwałe. Niech przez te obrączki światło Chrystusa spływa na całe wasze wspólne życie! Pozwoli wam ono cieszyć się z siebie nawzajem, gdy waszym kompasem będzie jego prawo. Pierścień, jak obrączka noszony na ręku, jest symbolem władzy, bo od wieków pieczętowano nim dokumenty i stemplowano nakazy. Dlatego zanim wymienicie te obrączki, odpowiedzcie: czy jesteście gotowi przyjąć w swoim życiu władzę Chrystusa?

Pragnąłem, żeby Amin odpowiedział „tak”. Ale nie powiedział. Usłyszałem jedynie ciche i niewyraźne:

- Uznaję władzę Boga...

Nastąpiła modlitwa wiernych i najważniejszy moment uroczystości, pobłogosławienie nowego związku.

Idi kołysał się w przód i w tył. Nie padło ani słowo.

- Tak! Tak! - mruzczał arcybiskup z naciskiem.

- Tak - powiedział wreszcie Amin.

Spojrzałem na Marinę, ale dostrzegłem jedynie tył głowy Swanepoela.

- Medino! Twój mąż będzie u ciebie szukał wsparcia, radości i zaufania...

- Tak.

Delikatnie, jak muśnięcie dłoni.

- ... wzywam was w imię Boga, który potrafi wejrzeć we wszystkie serca i w imię Pana Jezusa Chrystusa, który oddał swą bezcenną krew, by was uratować od grzechu! Jeśli którekolwiek z was zna jakąkolwiek przeszkodę, która uniemożliwia wam połączenie się w związku małżeńskim, niech wyjawi ją teraz. Wiedźcie bowiem, że jeśli ktokolwiek łączy się wbrew słowu Bożemu, związek taki jest nieważny Podobnie i wy, tu zebrani. Jeśli ktokolwiek z was zna przeszkodę...

Uśmiechnąłem się w duchu. Mało prawdopodobne, by ktokolwiek coś powiedział.

- W imię Jezusa Chrystusa, ogłaszam was mężem i żoną. Niechaj w waszym domu panuje Chrystus. Niech będzie gościem przy każdym waszym posiłku i świadkiem każdej waszej rozmowy. Niech Jezus Chrystus rządzi waszymi sercami i waszym życiem. Możesz teraz pocałować pannę młodą.

Idi wyciągnął do niej szyję, jak chłopiec gryzący jabłko.

Arcybiskup ich pobłogosławił. Potem nie działo się już nic ciekawego. Podczas hymnu końcowego zerknąłem ukradkiem na Marinę. Nasze oczy się spotkały, ale ona szybko odwróciła wzrok. Podczas śpiewu na wyjście zginęła mi gdzieś z oczu, gdy tłum ruszył do drzwi. Idi wracał od ołtarza, ciskając wzrokiem pioruny.

Ponieważ jej zachowanie skwasiło mi humor (bo jestem pewien, że potraktowała mnie co najmniej niesprawiedliwie), postanowiłem nie iść na wielkie przyjęcie do hotelu Imperial.

„Argus” podawał, że zarznięto trzysta kozłów i przygotowano siedemdziesiąt kadzi curry, którego zresztą - jak już pisałem - nie lubię.

Po drodze do domu myślałem o nowej żonie. Miała bardzo jasną skórę. Podobno Amin mówił na nią Kahawa, co w suahili znaczy „kawa”. Zajmowała się nie tylko tańcem. Była oficjalną „twarzą Ugandy” w broszurach turystycznych. Słyszałem jednak, że po ślubie z Aminem mieli ją usunąć z reklamówek. Biedna dziewczyna. Przypuszczałem, że nie zazna w małżeństwie zbyt wielu przyjemności. Trudno mi było sobie wyobrazić, by Amin prowadził bujne życie seksualne - raczej było ono wątle i weszło już pewnie w starczy etap. Zresztą jako właściciel ciała o takich rozmiarach, gdy chciał sprawić sobie prawdziwą przyjemność, zapewne kładł się na plecach i pozwalał, by wszystko kręciło się wokół niego.

Medina musiała teraz zająć swoje miejsce we wszystkich jego rezydencjach, co zapewne irytowało pozostałe żony, które i bez niej musiały walczyć o jego uwagę. Niekiedy obserwowałem je z okien swojego bungalowu, gdy spacerowały w ogrodzie. Trajkotały przy tym i spierały się głośno, przez co zawsze kojarzyły mi się z grupką uczennic. Tylko jedna z nich mieszkała w State House, ale spotykały się tam wszystkie od czasu do czasu. Każda była w innym wieku, lecz i tak ich nie odróżniałem. Moje kontakty z nimi ograniczały się do służbowych okazji, a wtedy zawsze nosiły togi i owijały się turbanami, przez co wyglądały tak samo. Któregoś razu zapytałem więc o nie Wasswę. Oto czego się dowiedziałem:

Żona Numer Jeden: Malyamu, córka nauczyciela. Metr osiemdziesiąt dwa wzrostu. Pierwsza miłość ówczesnego sierżanta, który spłodził jej kilkoro dzieci, zanim za nią zapłacił (stara tradycja) w 1966 roku, tym samym formalnie się z nią wiążąc.

Żona Numer Dwa: Kay, studentka Uniwersytetu Makerere, córka duchownego. Ceremonia zaślubin (także w 1966 roku) odbyła się w urzędzie stanu cywilnego, ale Kay miała na sobie białą suknię ślubną. Wasswa twierdzi, że Amin był w mundurze.

Żona Numer Trzy: Nora, dziewczyna z plemienia Langi, z którego wywodzi się Obote.

Małżeństwo to (zawarte w 1967 roku) miało charakter czysto polityczny. Amin chciał pokazać Obote, że nie spiskuje przeciwko niemu.

Żona numer Cztery. Medina...

Z upływem czasu Idi obdarzał mnie coraz większym zaufaniem. Dzwonił do mnie - jak on uwielbiał telefon! - a mniej więcej raz na tydzień odrywał mnie od pracy w Mulago, kładąc robić coś kompletnie niezwiązanego z medycyną. Musiałem na przykład uczestniczyć w wywiadach z dziennikarzami, głównie brytyjskimi, później także amerykańskimi i niemieckimi, którzy rozmawiali z prezydentem przez telefon lub przybywali do niego osobiście. Od czasu do czasu zjawiali się w wyznaczonym hotelu albo którejś z rezydencji Amina z całym ładunkiem kabli, potężnych czarnych kamer telewizyjnych na ramionach, i gąbczastych mikrofonów, zamontowanych na długich jak dzidy tyczkach.

Zawsze udawało im się jakoś go sprowokować, by powiedział coś bardziej lub mniej skandalicznego. Pamiętam, jak tłoczyli się przed nim na klęczkach, jedni nastawiając sprzęt elektroniczny, inni zapisując coś zawzięcie w małych notesach zszytych metalową spiralą. O ile sobie przypominam, wszyscy ubrani byli zawsze w jasnobrązowe ubrania, albo wręcz khaki, przez co miało się czasem wrażenie, iż jeden żołnierz przeprowadza wywiad z drugim.

Z jednym wyjątkiem. Pamiętam wywiad, podczas którego Idi oblekł swoje potężne cielsko w jednoczęściowy kombinezon koloru pomarańczy. Rzecz miała miejsce w sali bankietowej State House. Ciemny, drewniany stół zepchnięty był pod ścianę, jak szalupa zacumowana przy nabrzeżu, Idi natomiast siedział na krześle z poręczami, mając przed sobą ustawionych w półkole dziennikarzy.

- To kombinezon astronautyczny - oświadczył Amin zaraz na początku konferencji prasowej.
- Będę go miał na sobie, gdy Uganda poleci na Księżyc. Rozmawiałem już z NASA i powiedzieli mi, że jest możliwe, abym był pierwszym czarnym człowiekiem, który tam poleci.

Dziennikarze roześmiali się.

- Mówię poważnie - zapewnił Amin. Srogie spojrzenie, które zgodnie rzucili spomiędzy

swoich bokobrodów wszyscy gubernatorzy na portretach, wydawało się jednak temu przeczyć.

- Panie prezydencie, czy śpi pan ze wszystkimi czterema żonami naraz? - zaczął jeden z dziennikarzy.

- Jest pan bardzo bezczelny.

Znów się wszyscy roześmiali. Zauważyłem, że w sali znajduje się kilku pomocników o zbirowatym wyglądzie, prawdopodobnie pracowników State Research Bureau. Stali w głębi, pod godłem z wizerunkiem żurawia koroniastego. Godło wymagało renowacji, gdyż zmatowiało i pokryło się patyną.

Podniósł rękę korespondent którejś z amerykańskich sieci telewizyjnych.

- Dlaczego wydalili pan Izraelczyków z Ugandy? Przecież wiele dla pana zrobili, choćby budując drogi i dostarczając ugandyjskiej armii samoloty.

Amin przyjął to pytanie z zaskoczeniem, jakby nie potrafił uwierzyć, że ktokolwiek mógł je zadać. Pomyślałem o Sarze, jej stopach koloru oliwy z oliwek, opasanych rzemieniami moich sandałów, i o jej włosach, ocierających się o moją pierś.

- Ponieważ zwycięstwo Arabów w wojnie z Izraelem jest nieuniknione i jedyny ratunek dla pani premier Goldy Meir to szybko włożyć długie gacie i uciekać w kierunku Nowego Jorku i Waszyngtonu. Ale chodziło też o to, że kiedy Izraelczycy byli w Ugandzie, to oni razem z Amerykanami zrobili w Ugandzie kwaterę główną CIA. Jak pan się spotka z panią Meir, to niech jej pan powie, że ja się nikogo nie boję. Mam ponad dwa metry wzrostu i tytuł mistrza wagi ciężkiej w boksie. Gdy Muhammad Ali rozprawił się z Georgem Foremanem w Zairze, powiedziałem mu tak: To chodź teraz walczyć ze mną w Ugandzie. Ale on się bał.

Notowali jak szaleni. Zrobiło się cicho. Przez chwilę słychać było tylko szelest papieru i szmer kamer telewizyjnych. Ciszę te przerwał dziennikarz „Daily Mirror”.

- Jak się panu pełni funkcję prezydenta Ugandy? - zapytał.

- Jest bardzo trudno, ale podoba mi się to i daje mi wiele radości. Trzeba mieć bardzo dobry mózg i bardzo ciężko pracować i nie wolno być tchórzem. Ale ja Kocham Ugandę i otrzymałem wiedzę, jak ją dobrze prowadzić, więc jest OK.

- Dlaczego poprosił pan Wielką Brytanię o samoloty Harrier? - zapytał wyglądający na twardziela Rodezyjczyk, niezależny dziennikarz, który robił materiał dla „Sunday Times”. Jego akcent skojarzył mi się z urywanymi głoskami południowoafrykańskimi, tak wyraźnymi u Swanepoela. Oczywiście pamiętałem, co on sam mi mówił, że ani żaden rdzenny Rodezyjczyk, ani rodowity mieszkaniec RPA nie uzna ich za podobne. Oczywiście, nie chodzi o tych naprawdę rdzennych mieszkańców... Cóż, łatwo o wpadkę, gdy się opisuje sytuację w Afryce.

- Byłem szczery - odparł Amin. - Zapytałem sekretarza obrony podczas spotkania z nim. Musiałem atakować Afrykę Południową. Poprosiłem ich nawet o niszczyciele i samoloty transportowe, żebym mógł ruszyć na Republikę Południowej Afryki z jak największą siłą. Wspólnym wrogiem całej Afryki są RPA i Rodezja. Potęga militarna wyrzuci w końcu rasistów z Republiki Południowej Afryki. Imperialiści napotkają ogień. Już powstaje prawdziwa armia ochotników Afryki, która wyruszy do walki, chyba że Pretoria i Rodezja prześlą władzę afrykańskiej większości. Wyszkolony został oddział, złożony z tysięcy uchodźców z RPA, i będzie gotów do walki bardzo szybko. Część tych żołnierzy już jest na miejscu i tylko czeka na zielone światło ode mnie.

- Czy połączy się pan z komunistami w Republice Południowej Afryki, żeby walczyć z apartheidem?

- O, nie! Jestem bardzo wdzięczny za darmowe prezenty, jakie dał mi Związek Radziecki, na przykład czołgi, broń i myśliwce, ale nie jestem marionetką. Nie ma mowy. Nie będę tańczył, jak mi zagrają kryminaliści, którzy próbują działać jak wiceprezydent Ugandy. Sowieckie podejście jest takie samo, jakbym ja pojechał do Moskwy i doradzał, jaką politykę przyjąć w

Czechosłowacji.

Wstał i zaczął przechadzać się między krzesłem a kolanami dziennikarzy, jak nauczyciel albo trener piłkarski, zagrzewający do walki swoich zawodników.

- Zawsze to samo! Wszyscy mi zawsze mówią, co mam robić! Nawet Izraelczycy, gdy byli po mojej stronie w wielkiej walce z Obote, mówili mi, żebym zlikwidował wszystkich ludzi w armii, którzy nie są po mojej stronie. Radzili mi tak. Mówię wam szczerą prawdę. Ich agenci i agenci brytyjscy też pomagali mi w zamachu stanu. Chociaż mogłem to zrobić również sam, bez ich pomocy.

Zastanawiałem się, czy on czasem nie ma na myśli Stone'a. Czy może Weira? Zapewne jednego i drugiego. Wtedy nagle Amin zaczął biegać w kółko i boksować powietrze.

- Tak, ale Brytyjczycy mówili mi także wiele złych rzeczy. A ja wtedy myślałem, że to są dobrzy ludzie. BBC, musicie to powiedzieć. Wiem bardzo dobrze, że jesteście głosem imperium brytyjskiego, organizacji przestępczej, którą rozbiłem, bo była zbudowana na pocie i krwi ludzi w łańcuchach. Ugandyjczyków. Kenijczyków. Tanzańczyków. Birmańczyków. Nawet Szkotów. Wymawiając nazwę każdej z tych nacji, Amin wyprowadzał potężny cios w powietrze. Po ostatnim wymachu opadł na krzesło, sapiąc jak wściekły byk. Siedział z rozłożonymi nogami. Patrzyliśmy na niego w ciszy. Na pomarańczowym kombinezonie kołysały się gdzieś gdzie plastikowe przewody i inne poprzyczepiane do niego gadżety.

- Jak pan się czuje otoczony przez tak wiele państw prokomunistycznych? - zapytał w końcu Amerykanin. - Czy to pana niepokoi?

- Ma pan rację. To trudne. Bo my tu w Ugandzie nie jesteśmy komunistami. Ja bardzo chcę, żeby *wananchi* byli wolni. W komunistycznych państwach jak Tanzania nie można swobodnie mówić, bo na trzech ludzi jest jeden szpieg. Ale nie tutaj. Tutaj nikt się nie boi. Podobnie jak ugandyjskie kobiety. Ja im powtarzam, żeby były dumne, a nie wstydlive. Bo nie ma po co brać

do łóżka dziewczyny, jak jest wstydliva... Rozumie pan, co mam na myśli?

Roześmiał się. Rozbłysły flesze. To była ich ulubiona sztuczka. Zawsze publikowali zdjęcia śmiejącego się histerycznie Amina. A Książę Ciemności potrafił się śmiać.

- Jaka jest pańska polityka wobec Stanów Zjednoczonych, panie marszałku? - zapytał amerykański dziennikarz.

- Bardzo kocham naród amerykański i także bardzo kocham Forda. Ale chciałbym zwrócić jego uwagę na sytuację najeżoną niebezpieczeństwami, a mianowicie sytuację czarnych ludzi w jego kraju. On przecież wie, że Afrykanie zostali porwani z Afryki przez białych i zmuszeni wbrew własnej woli do opuszczenia ojczyzny. Pojechali w łańcuchach do Stanów Zjednoczonych. Prezydentowi Fordowi nie wolno ich dyskryminować, jeśli chce, żeby jego kraj dobrze funkcjonował. Powinien nie tylko mianować ich na wysokie stanowiska w Białym Domu, ale też uczynić z nich sekretarzy stanu. Oni mają prawo, żeby wziąć udział w rządzeniu krajem, który im się należy.

Dziennikarz zerknął niespokojnie na swojego kamerzystę, upewniając się, czy wszystko nakręcił. Ten, zgarbiony nad matowym plastikiem wizjera kamery - której oko skojarzyło mi się z jakimś morskim potworem - nakręcił dla potomności portret Amina w pełnej krasie: z rozkraczonymi nogami i ramionami jak wiatrak.

- A pański stosunek do Brytyjczyków? - zapytał dziennikarz „Mirror”.

- Są moimi przyjaciółmi, tylko czasem się zapominają. Niech żyje królowa! Tak. Bardzo ich kocham, dopiero niedawno przestałem, bo mnie teraz atakują. Nie chcę też oglądać, jak zabijają irlandzkich katolików, ponieważ jako były poddany kolonialny Wielkiej Brytanii czuję się zażenowany. Godne ubolewania wydarzenia w Ulsterze wymagają, żeby prawdziwi przyjaciele Brytanii przyszli jej na pomoc. Przywódcy Irlandii, zarówno Anglicy, jak i Irlandczycy, katolicy i protestanci powinni przyjechać do Ugandy i negocjować pokój. Z dala od terenów walki i

antagonizmu.

Westchnął i rozłożył szeroko swoje olbrzymie dłonie. Wyglądały jak wiosła przed zanurzeniem w wodzie.

- Nie wiem. Co trzeba począć z Wielką Brytanią? Jestem największym politykiem na świecie. Tyle razy potrzasałem Brytyjczykami, że za samo to mi się należy doktorat. Ale gdy się kłócą między sobą członkowie rodziny, zawsze są gotowi sobie wybaczyć i o wszystkim zapomnieć. Mam wielu przyjaciół z Irlandii, Szkocji i Walii. Najbardziej lubię Szkotów, bo są najdzielniejszymi wojownikami w Wielkiej Brytanii i nie stosują dyskryminacji. Anglicy są najbardziej beznadziejni. Naprawdę nie rozumiem, dlaczego Szkocja nie zdecyduje się zostać niepodległym państwem i nie zostawi Anglików, żeby sobie cierpieli.

- Kiedy ma pan zamiar przekazać władzę cywilnemu rządowi? - zapytała kobieta z włosami przewiazanymi bandaną.

- Nie mogę w tej chwili przekazać sterów władzy, ponieważ wśród cywilów wciąż szaleje korupcja. Niech pani pamięta, że tylko dzięki moim wysiłkom usunęliśmy w Ugandzie skutki zaniedbywania najbiedniejszych przez wiele wieków. Uganda jest afrykańskim rajem. Jak się ma koszulę i spodnie, to można tu żyć przez całe lata. Nawet bez pracy. Z tego powodu jestem bohaterem Afryki.

- Dlaczego więc wszyscy się pana boją? - zapytała. Pomyślałem, że jest wyjątkowo odważna. Amin rozpromienił się.

- Mój talent ich onieśmiela. Być może też nie jestem lubiany, bo nie jestem marionetkowym władcą. Europejczycy nieśli mnie w lektyce na moje przyjęcie. Dlaczego to zrobili? Ponieważ uznali mnie za geniusza, za pełnego talentu przywódcę afrykańskiego, który zrobił wiele, żeby osiągnąć lepsze porozumienie między Europejczykami a Afrykańczykami.

- A co z okrucieństwami, których dopuszczają się pańscy żołnierze?

Kobieta powiedziała to z wielkim naciskiem i nad salą zawisła gęsta atmosfera niepokoju.

- Rzeczywiście było kilka błędów - odpowiedział Amin spokojnie. - To szczerza prawda, że kilku źle wyszkolonych żołnierzy niewłaściwie się zachowało. Poza tym kilku przestępców udawało, że działa na mój rozkaz, i zabijali kierowców, żeby ukraść ich samochody. Ja im powiedziałem tak: Jak się wam nie podobam, to mnie zabijcie, albo mnie zmuscie, żebym zrezygnował, ale nie denerwujcie mieszkańców Ugandy, robiąc strzelaninę w nocy. Uganda pędzi z prędkością naddźwiękową i nie wolno wywoływać niepotrzebnej paniki.

- Skoro pan twierdzi, że to tylko incydenty, to dlaczego po Ugandzie krąży tyle historii o tym, jak żołnierze zabijają ludzi? - upierała się przy swoim.

Amin odpowiedział pytaniem.

- Jest pani zamężna? - rzucił z ciekawością.

Mniej więcej jedna czwarta obecnych wybuchnęła śmiechem.

- A co to ma do rzeczy?

- Bo jeśli tak, to pani mąż na pewno ma z panią ciężkie życie. Powinien wziąć z panią rozwód.

Jeszcze kilka nerwowych chichotów. Potem cisza.

- Co z tymi zabójstwami? - zapytała, akcentując każdą sylabę.

Niepokój i lęk stały się wręcz wyczuwalne w powietrzu.

- Powtórzę. My jesteśmy rządem czynu. Jeśli mamy dowody na to, że którykolwiek żołnierz dopuścił się porwania i morderstwa, wtedy wymierzmy mu sprawiedliwość. Ale nie ma żadnych dowodów, które by poparły pani zarzuty. Nie powinna pani mówić oszczerstw o Armii Ugandy. Służyłem w Armii Brytyjskiej, Włoskiej i Indyjskiej. Nawet w Armii Stanów Zjednoczonych w Korei. Mogę pani powiedzieć, że siły zbrojne Ugandy odpowiadają międzynarodowym standardom.

Wstał raptownie i spojrzął na swój wielki złoty zegarek - prezent od króla Arabii Saudyjskiej Fajsala, jak mi kiedyś mówił. Potem doszedł do upartej dziennikarki i pomachał jej przed nosem swoim tłustym palcem.

- Moja droga! Niech pani nie zapomina, że nikt nie biega szybciej od kuli - powiedział. - Wy jesteście bardzo niedobrzy. Zadajecie mi tak dużo pytań. Co jeszcze chcecie wiedzieć? Na Allaha, może jeszcze chcecie, żebym ściągnął spodnie, bo was ciekawi mój tyłek?

Zaczął paradować przed nimi tam i z powrotem, kłując oczy pomarańczowym kombinezonem. Po chwili wskazał na reportera ze znacznikiem BBC w klapie.

- Tak, zamiast naprawić kolonialne krzywdy, które sama wyrządziła, Wielka Brytania uznała za stosowne wypowiedzieć brudną wojnę prasową Ugandzie. W tej sytuacji musimy dojść do wniosku, że za tym wszystkim kryje się rasizm.

Odwrócił się do swoich zbirowatych pomocników i powiedział z rozdrażnieniem:

- Wyrzućcie stąd tych ludzi! Zabierzcie mi ich z drogi! Następnego dnia na czołówce „Mirror” krzyczał tytuł:

„Oszalał. To już pewne!”. Artykuł cytował opinię pewnego znanego psychiatry. Wieczorem zatrzymano w Nakasero pięcioro dziennikarzy, w tym także tę dociekliwą kobietę. Gdy w końcu ich uwolniono i trafili do Europy, artykuły o uwięzieniu dziennikarzy rozsierdziły Amina jeszcze bardziej.

- Zachodnia prasa ma taki zwyczaj, że wszystko wyolbrzymia - powiedział mi pewnego wieczoru niedługo potem. Po raz kolejny byłem u niego w związku z jego problemami żołądkowymi. - Czasopisma i gazety wybierają najgorsze zdjęcia, na których wyglądam jak przekarmiona małpa. Czy się z tym zgadzają, czy nie, moja twarz i tak jest najpiękniejsza na świecie. Tak mówią moje żony, to mi zawsze powtarzała moja matka. A ona przecież się nie myliła, co?

- Ależ Wasza Ekscelencjo! - odparłem znużony, przekręcając go do góry nogami na stalowej kracie, do której uprzednio przypiąłem go pasami. Właśnie mu aplikowałem wlew cieniujący z barem, co polega na wyciśnięciu do odbytu siarczanu baru z torby, zaopatrzonej w gumową końcówkę, podobną do tych, których cukiernicy używają do dekorowania tortów. Niezwykły to był widok: nagi prezydent Ugandy, wiszący głową w dół, żeby biała pasta promieniotwórcza wypełniła mu jelita do zdjęcia rentgenowskiego.

W wyniku badania nie stwierdziłem niczego poważniejszego, z wyjątkiem niegroźnego zapalenia okrężnicy. Na samo badanie Amin narzekał żartobliwie jeszcze kilka miesięcy.

- Przez pana robiłem w toalecie na białą przez wiele dni - twierdził. - To mógł nawet być imperialistyczny spisek. Podejrzewam, doktorze, że próbuje pan opóźnić rozwój wydarzeń, cofając mnie do wieku dziecięcego.

Moja siostra Moira nie potrafi zrozumieć, jak mogłem zbliżyć się do takiego człowieka, jakim cudem nie widziałem tego wszystkiego. Nie umiem jej tego wyjaśnić. Na początku było zupełnie inaczej. Jak już pisałem, życie toczyło się swoim torem, a owe dziwaczne wybryki pojawiały się tylko od czasu do czasu. Choćby telegramy. Na przykład ten do pani Thatcher, gdy pokonała Heatha w rywalizacji o przywództwo Partii Konserwatywnej.

- Co pan o tym sądzi? - zapytał mnie Idi i odczytał treść telegramu:

Szanowna Margaret! W ostatni wtorek wpadło mi w oczy pani zdjęcie, opublikowane w jednej z gazet wschodnioafrykańskich. Na fotografii śmiała się pani z pana Edwarda Heatha, którego pokonała pani w wyborach na szefa partii. Odniosłem wrażenie, że jest pani czarująca, szczęśliwa, świeża, inteligentna i pewna siebie. Życzę, żeby pani taka została na długo. Z poważaniem. Idi Amin.

- Chyba nie powinien pan tego wysłać - stwierdziłem.

- Ależ wyślę - odparł. - Wyślę na pewno. To bardzo ważne.

Niedługo potem libijski prezydent Kadafi przybył na uroczyste otwarcie lotniska Entebbe. Uczestniczyłem w ceremonii otwarcia. Amin przywitał przywódcę Libii ciepło: „Jest pan jedynym wodzem rewolucyjnym, który mówi, co mu leży na sercu, i który wierzy, że wszyscy ludzie na świecie muszą mieć takie samo życie. Nie siedzi pan w kieszeni supermocarstw i chce pana zapewnić, że tu w Ugandzie też nie jesteśmy pod kontrolą żadnego supermocarstwa. Dlatego, gdy się dowiedziałem o pańskiej polityce, zostałem pana najlepszym przyjacielem". Po wizycie Kadafiego w Kampali otwarto Libijski Bank Rozwoju Arabskiego, a na ulicach pojawili się libijscy żołnierze i bojownicy OWP.

Tydzień po ceremonii otwarcia lotniska Amin wysłał telegram do prezydenta Tanzanii Juliusa Nyerere, z którym toczył właśnie jedną z wybuchających co jakiś czas między nimi sprzeczek o

rejon Kagera, sporny obszar na granicy z Tanzanią, który przylegał do Ugandy jak chory kciuk.

Pan Malumba mówił mi, że stało się tak w wyniku pomyłki na kolonialnej mapie.

W tych kilku słowach chcę zapewnić, że pana kocham i gdyby pan był kobietą, poważnie bym się zastanawiał nad ożenkiem, chociaż pańska głowa pełna jest siwych włosów. Ale ponieważ jest pan mężczyzną, możliwość taka nie zachodzi.

- Dlaczego wysyła pan te telegramy? - zapytałem kiedyś Amina.

- To proste - odpowiedział. - One są oparte na prawdzie. Chcę ostrzec przywódców, jak widzę, że robią coś złego. Jestem posłańcem od Boga.

Czasem jednak jego telegramy nie były ani krótkie, ani ostrzegawcze: „Hitler miał rację co do Żydów, ponieważ Izraelczycy nie działają w interesie narodów świata i właśnie dlatego palono Izraelczyków w komorach gazowych na niemieckiej ziemi” - grzmiał w liście do sekretarza generalnego ONZ Kurta Waldheima.

Słyszałem w telewizji, jak kanclerz zachodnioniemiecki Willy Brandt określił to oświadczenie mianem „przejawu choroby umysłowej”. Oczywiście zgadzałem się z nim, a mimo to tkwiłem w samym środku tego obłędu. Moje życie weszło już wtedy w fazę całkowitej koncentracji na Aminie. Im bardziej się do niego zbliżałem, tym mniej zostawało mi złudzeń na jego temat. Ale trwałem przy nim, bardziej zafascynowany niż przerażony.

Przynajmniej do tego feralnego miesiąca. Na scenie pojawiła się już wtedy Zona Numer Pięć.

Miała zaledwie dziewiętnaście lat i służyła w armii (jako członkini którejś z grup Rewolucyjnych Zmechanizowanych Jednostek Samobójczych). Była zmienniczką Amina podczas zjazdu państw Organizacji Jedności Afrykańskiej. Nie zaproszono mnie na ślub, ale słyszałem od Wasswy, że tort weselny był olbrzymi i miał trzy piętra, świadkiem był Jaser Arafat, przywódca OWP Nowa zona miała na imię Sarah, co oczywiście przywiodło mi na myśl tę pisaną bez „h” na końcu.

Wiedziałem doskonale, co ona myśli o panu Arafacie.

W każdym razie między ślubem z Mediną (Zona Numer Cztery) a tym najnowszym widywałem czasem różne kobiety pojawiające się w kwaterze Amina w te nieliczne dni, gdy nocował w State House. Do sypialni przyprowadzali mu je ochroniarze, niektóre zresztą siłą, a wtedy nocami często rozlegały się krzyki. Podobno miał też kilka konkubin w różnych miejscach kraju, na wypadek wizyt w terenie. Przypuszczałem, że trzy pierwsze żony (do Medyny) muszą się potwornie nudzić.

Zapewne właśnie ta nuda doprowadziła do wydarzenia, przed którego wspomnianiem zawsze się wzdragam. Medycznie, etycznie i chyba pod każdym innym względem było ono zatrważające. Do dziś nie mam pewności, czy postąpiłem właściwie.

Pewnej nocy podczas silnej burzy, gdy właśnie szykowałem się do snu, usłyszałem pukanie do drzwi mojego bungalowu. Na progu stał Peter Mbalu-Mukasa, mój kolega z Mulago - ten, z którym wybrałem się na drinka, gdy wpadłem na Swanepoela. Wyglądał okropnie. Przemókł do suchej nitki i trząsł się z zimna, ale widziałem, że nęka go coś poważniejszego.

- Wejdz - poprosiłem, przepuszczając go. - Co się dzieje?

- Zamknij drzwi - powiedział zziębnięty - Ledwo przekonałem strażników, żeby mnie do ciebie wpuścili. Musiałem im powiedzieć, że sprawa dotyczy Mulago.

- O co chodzi? - dopytywałem się zbity z tropu.

Nie odpowiedział, tylko poszedł do salonu. Udałem się za nim.

- Uspokój się - powiedziałem. - Może naleję ci brandy albo czegoś innego?

- Nie.

Usiadł na krześle naprzeciwko mnie. Ujął głowę w dłonie. Cały ociekał wodą.

- Mam problemy, Nicholas - wyznał ściszym głosem. - Poważne problemy.

- Powiedz w końcu!

Plamy rozlewały się coraz szerzej po suchej podłodze. Przez chwilę panowała cisza, zanim w

końcu podniósł głowę i zaczął mówić.

- Od ponad roku Kay Amin jest moją kochanką. Wiem, że to głupota. Ale my się naprawdę bardzo kochamy.

- Mój Boże... Ale przecież ty masz żonę - powiedziałem idiotycznie.

- Nie o to chodzi. Kay jest w ciąży i zamierza ją usunąć. Chcę, żebyś mi pomógł przeprowadzić aborcję. Amin nie spał z nią od lat. Jeśli się dowie, że jest w ciąży, to ją zabije.

- Nie mogę tego zrobić - odparłem zbulwersowany. - Lepiej ucieknijcie z kraju. Jeśli wyjedziecie teraz, do rana dotrzecie pod granicę z Kenią.

- Myślałem o tym. Ale to się nie uda. Rozpoznają ją i na pewno nas aresztują. Pomóż mi, proszę. Chciałem to dzisiaj zrobić sam, ale... się przestraszyłem. Wtedy ona zaproponowała ciębie. Musimy iść.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi zgodziłem się pojechać i zbadać ją, ale nic więcej. Razem z Peterem wyruszyliśmy w noc moim autem. On nie miał samochodu i z Kampali do Entebbe przyjechał taksówką, co kosztowało go majątek. „Robisz głupstwo!” - powtarzałem sobie po drodze, w takt mijających nas świateł samochodów. O szybę rozbijały się oleiste krople deszczu. Wskazówki Petera doprowadziły mnie do mieszkania na obrzeżach miasta.

Kay Amin leżała na prześcieradle rozłożonym na podłodze. Sweter opinał się na jej brzuchu. Nie zauważyła, jak wchodzimy. Z przerażeniem stwierdziłem, że Peter przygotował narzędzia operacyjne na stole. Połyskiwały w świetle, niby sztuczce na jakimś demonicznym przyjęciu. Naprawdę już zaczynał. Naszykował nawet miednicę z wodą.

Wyglądało to upiornie i od razu wiedziałem, że się tak nie da. Nigdy w życiu nie przeprowadzałem aborcji i nie miałem zamiaru zaczynać w taki sposób. Kay znajdowała się w stanie wykluczającym zabieg - że nie wspomnę o Aminie w tle, nieodpowiednich warunkach higienicznych, a wreszcie moralnych wątpliwościach co do usuwania ciąży w ogóle.

Popatrzyłem na tę biedną kobietę. Niewątpliwie ze strachu odchodziła od zmysłów.

Majaczyła coś, pocierając dłońmi o brzuch. Nie poznała mnie. Z przerażeniem przypomniałem sobie uporządkowaną, rozsądną i wyglądającą całkiem szczęśliwie żonę, która powitała mnie w progu przy Prince Charles Drive.

- To niemożliwe! - oświadczyłem Peterowi kategorycznie. - Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Chwycił mnie za ramię.

- Proszę... Nicholas, błagam cię.

- Tak nie można. Spróbujcie uciec. To jedyne wyjście. Albo zawieź ją do Mulago wcześniej rano i zaryzykuj.

- Nie bądź głupi! To jedyny sposób. - Zaczął mnie szarpać za koszulę. - Musisz mi pomóc! Musisz!

Przyciągnął mnie do siebie, jakbym był jego kochankiem, i szeptał zachrypniętym głosem:

- Proszę! Ja nie potrafię tego zrobić.

Jego twarz była szara. Miała kolor cementu, który zaczyna się wiązać.

- Przykro mi - powiedziałem ponurym głosem, czując, że przeważył we mnie strach o własną skórę. Delikatnie odepchnąłem go od siebie.

Podszedł do drzwi kuchennych, oparł dłonie na framudze i powoli kołysał się w przód i w tył.

- Proszę po raz ostatni. Pomożesz mi? Jeśli nie, zrobię to sam.

W pokoju zapadła cisza, przerywana jedynie udręczonym pojękiwaniem Kay. Zawahałem się. Jeśli alternatywą miało być zamordowanie ich dwojga, pewnie razem z dzieckiem, przez Amina, to pewnie lepiej przeprowadzić zabieg nawet w najbardziej nieodpowiednich warunkach. Aborcja nie jest z pewnością najgorszym, czego się może dopuścić lekarz, ale...

- Lepiej będzie, jak już pójdę - oznajmiłem w końcu. - Nie chcę, żeby ktoś mnie tu zobaczył.

Nie rób tego, Peter. Posłuchaj, proszę, mojej rady. Znajdź jakieś inne wyjście. Pomogę ci, jeśli będę mógł. Dzwon do mnie.

Odwrociłem się i wyszedłem szybkim krokiem. Wypadłem z budynku, po czym pędem puściłem się do swojego samochodu, rozbryzgując po drodze głębokie kałuże. Do Entebbe wracałem z zawrotną prędkością, ślizgając się na mokrej jezdni. Byłem przerażony. Umierałem ze strachu, że się wszystko wyda, jednocześnie wiedząc, że ucieczka nie jest dla nich rozwiązaniem. Co jednak miałem zrobić? Przeprowadzenie aborcji byłoby ryzykowne ze względów medycznych. Ale nie mogłem przecież zgłosić wszystkiego władzom, bo władze zawsze w ostateczności oznaczały Amina.

Może jednak powinienem był to zrobić. Tamtej nocy po raz ostatni widziałem bowiem i Petera Mbalu-Mukasę, i Kay Amin. Pogłoski zaczęły się rozchodzić po szpitalu w następnym tygodniu: Peter spartaczył zabieg i Kay zmarła z upływu krwi. On sam popełnił samobójstwo dzień później, przyjmując śmiertelną dawkę tabletek nasennych.

Pogłoski okazały się prawdziwe. Amin nakazał śledztwo w tej sprawie. Aż do zakończenia dochodzenia umierałem ze strachu. Moja tajemnica mnie zżerała. Cokolwiek robiłem, gdziekolwiek się znajdowałem, myślami ciągle wracałem do tamtej potwornej sceny.

Bogu dzięki mój udział w całej sprawie nie wyszedł nigdy na jaw, choć ewentualność taka prześladowała mnie do samego końca pobytu w Ugandzie. Był przecież taksówkarz, który przywiózł Petera do State House. Byli strażnicy, którzy go tam wpuszczali. A jeśli ktoś widział mnie w okolicy tamtego mieszkania? Przecież jako biały wszędzie się rzucałem w oczy.

Mój udział w tej makabrycznej sprawie się jednak nie zakończył. W następnym tygodniu w swoim szpitalnym gabinecie odebrałem telefon pracującej w kostnicy Mulago koleżanki, która wiedziała, że przyjaźniliśmy się z Peterem.

- Muszę ci coś pokazać - powiedziała.

Otworzyła drzwi i wysunęła nosze. Leżały na nich zwłoki Kay Amin. Wszystkie cztery kończyny, odcięte równo, leżały obok tułowia. Głowa wciąż jeszcze trzymała się na swoim miejscu, ale była przekręcona nienaturalnie na bok. Zebrało mi się na wymioty. Odwróciłem się i wybiegłem stamtąd.

Do dziś nie wiem, co się naprawdę stało ze zwłokami Kay Amin. Niektórzy mówią, że pociął je Peter, że tułów znaleziono w bagażniku jego samochodu, ręce i nogi na tylnym siedzeniu. Inni utrzymują, że pociął je sam Amin. Był on, o tym wiem doskonale, ekspertem w ćwiartowaniu zwierząt. Opanował tę umiejętność, gdy jeszcze jako żołnierz polował w buszu.

To, co się stało później, jest jeszcze dziwniejsze i równie obrzydliwe. Amin rozkazał zszyć zwłoki. Gdy wykonano jego polecenie, ogłosił osobliwą ceremonię, w której jako jego lekarz musiałem uczestniczyć. Zebrał swoje żony i wszystkie swoje dzieci (w tym także te, które miał z Kay) oraz różnych urzędników.

Machnął ręką nad posiniaczonym i przebarwionym ciałem, które złożono naprędce, niefachowo przyszywając odcięte kończyny. Żony były przerażone, zwłaszcza Medina, urzędnicy państwowi natomiast zachowali uroczystą powagę. Kilkoro dzieci płakało.

- To była zła kobieta - mówił. - Tylko popatrzcie! Używała specjalnego kremu, którym chciała zmienić kolor skóry swoich rąk i twarzy na biały. Reszta jej ciała jest czarna. Dobrze się przyjrzyjcie! Przez ten krem wygląda, jakby miała trąd. Wygląda nienaturalnie, jak jakiś mieszaniec. Oto sąd Allaha nad chrześcijańską kobietą!

Z trudem przypominam sobie to wszystko nie tylko ze względu na obrzydliwość tego, o czym opowiadam. Wpisy na ten temat w moim pamiętniku są bezładne, niemal jak szyfr. Mnie samemu trudno je dziś odczytać.

Jeszcze w tym samym miesiącu którejś środy wybrałem się wieczorem do warsztatu samochodowego na przedmieściach, żeby odebrać samochód po przeglądzie. Oczywiście nie był gotowy na czas (po wygnaniu Azjatów trudno było znaleźć w mieście przyzwoitego mechanika, a większość warsztatów zwyczajnie zabito deskami), poszedłem więc na spacer.

Niebo było szare jak lufa karabinu, a ja miałem podły nastrój, oczywiście wywołany sprawą z Kay. Ale też trapiło mnie bardziej ogólne przygnębienie, które czasem zapadało nad Kampalą wraz z wieczorem. Miało się poczucie, że dzień nie przyniósł ludziom tego, na co czekali.

Wystarczyło popatrzeć, jak uliczni handlarze siedzą skuleni nad resztkami niesprzedanego jedzenia, kwadratowymi puszkami z naftą (Shell i Agip), lusterkami w kształcie gruszki i pomiętymi kartonami kosmetyków.

Pewien handlarz siadał zawsze pod plakatem reklamującym jeden z jego towarów, krem do ciała Envi. Gdy przechodziłem obok, złapałem się na tym, że mruczę jakąś melodię do słów z tego plakatu i uprzytomniłem sobie, że nucę piosenkę z reklamy, którą często słyszałem w radiu:

Ma wygląd, ma styl,

Skórę ma jak aksamit

Ma to coś, przez co za nią

Szaleją - pasjami.

Co ma?

Ma Envi!

Potem przypomniałem sobie, co mówił Amin nad zwłokami Kay, poczułem obrzydzenie do samego siebie i szybko stamtąd odszedłem.

Niewiele było na ulicach samochodów, tylko od czasu do czasu pomrukiwał jakiś stary pojazd, ciągnąc za sobą mgiełkę spalin z zepsutego dieslowskiego silnika. Patrzyłem na własne

buty i na lokalną gospodarkę, która wokół nich kwitła. Jakże wielka część życia w tym rejonie miasta toczyła się na krawężnikach! Jeden z przekupniów przykrył szkłem okiennym sfatygowane gazety. Pierwsza, żółknąca już strona jakiegoś starego numeru londyńskiego „Timesa”. Obok „Drum: Africa's Leading Magazine”, ze zdjęciem kobiety w futrze z lamparta. Jeszcze dalej dostrzegłem chłopaka stojącego w ryszotku, pośrodku brązowawej kałuży.

Ubrany był tylko w szorty, a pępek sterczał mu jak metalowy zatrząsk. Podniósł na mnie wzrok. - *Muzungu* - wyszeptał, gapiąc się. Nie było to przywitanie, ani błaganie, ani apel, ani protest.

Zwyczajne stwierdzenie. Powtórzył je po chwili. - *Muzungu*.

Poszedłem dalej, obok samotnego dystrybutora paliw z zamkniętym na kłódkę wylotem i kobiety, która siedziała na przewróconej do góry dnem miednicy, z martwą kurą u stóp.

Nadchodziła noc. Nim ciemność zgęstniała całkowicie, dotarłem do bazaru Namirembe.

Sprzedawcy chowali już swoje towary pod namiotami i w budach, zagadując do niewielkiej grupki kupujących. Kawałek dalej mężczyzna w kapeluszu Robin Hooda smażył na ruszcie kurczaka, przewracając go łopatką. Ten widok i zapach sprawiły, że poczułem się głodny.

W innym miejscu bazaru, otoczony grupką kiwających się i mruczących ludzi, mężczyzna szarpał jedyną strunę gęśli Baganda. Poszedłem dalej. Kilku handlarzy umieściło na swoich stoiskach zapalone lampki oliwne. Minąwszy targ, obejrzałem się za siebie: widziałem tylko mrugające światełka, ludzie natomiast rozplywali się w ciemności.

Znalazłem się w sercu miasta, gdzie lampy uliczne rzucały całkiem inne światło, podobnie jak nieliczne sklepy, które zostawiały na noc światło w witrynach. Na chwilę przystanąłem przed drogerią. Żyłki, igły, perfumy i dwie piramidy: jedna z mydła Cussons Imperial Leather w czerwonozłotych opakowaniach, druga z zielonych kostek Palmolive. Obok znajdował się sklep z elektroniką. Na wystawie stał jeden jedyny telewizor. Na ekranie przemawiał Amin.

Obserwowałem ruchy jego rąk. Cios w powietrze. Obie w górze po obydwu stronach twarzy.

Palec uniesiony dla podkreślenia takiej lub innej tezy, wysuniętej zaciekle.

Kawałek dalej zaczepiła mnie prostytutka w brązowej skórzanej kurtce z ustami uszminkowanymi na fioletowo. Odmówiłem, ona jednak szła za mną jeszcze przez kilkaset metrów. Wreszcie się jej pozbyłem. Miąłem kolejnych kilka sklepów i doszedłem do parku, okalającego hotel Imperial. Wybrałem ścieżkę biegnącą blisko siatki z okami w kształcie rombu, przez które niewyraźnie widziałem dwójkę gości przy jednym z oświetlonych stolików koło baru. Stół był przystrojony na afrykańską modłę i stał pod słomianym parasolem, na którym wisiała lampka sztormowa, zalewająca mężczyznę i kobietę pomarańczowym blaskiem. On miał na sobie koszulę z krótkim rękawem, spodnie khaki i wojskowe buty do kostki, ona ubrana była w letnią sukienkę. Wyteżyłem wzrok, by im się lepiej przyjrzeć i z trudem pochwyciłem strzępki ich rozmowy. Wtedy jego ręka sięgnęła do jej kolana.

Zanim dotarło do mnie, co robię, biegłem jak szalony przez park, uderzając o drzewa. Na ulicy zaczął mi towarzyszyć klekot - obcasy moich butów stukały o chodnik niczym kastaniety. Popędziłem w stronę bazaru. Obok mignął mi plakat. Kobieta reklamująca krem Envi śmiała się ze mnie. Biegłem dalej. W warsztacie szorstko zamieniłem kilka słów z mechanikiem i wcisnąłem mu w dłoń zwitek banknotów. Gapił się na mnie wybałuszonymi oczyma, zdziwiony widokiem wzburzonego *muzungu*.

Uspokoilem się dopiero w aucie, gdy w swój nurt porwała mnie droga, na dziurach i wertepach wytrząsając ze mnie wszystkie westchnienia i cały ból. Była pełnia. Światło księżyca wpadło przez przednią szybę, łagodząc moją gorycz. To była ręka Swanepoela, a sięgała do kolana Mariny.

Byłem przybity. Przez noc wypilem prawie całą butelkę whisky. Co z jej mężem, któremu niby miała być wierna? Skoro już miała romans, to dlaczego nie ze mną? Czego mi brakowało? Ile było warte całe jej gadanie o żonie brytyjskiego ambasadora? I inne pierdoły?

Wiedziałem, że moje wzburzenie jest niewspółmierne do samego zdarzenia. Była to tak naprawdę reakcja na szereg wydarzeń. Najpierw odejście Sary, potem machinacje Stone'a, makabryczna historia z Kay, dziwactwa Amina. Przede wszystkim jednak moja nim fascynacja, która nie pozwalała mi z tego cholernego miejsca wyjechać.

Przez resztę tygodnia chodziłem otępiały. Byłem ogłupiały tak bardzo, że zauważył to nawet Amin.

- Co się dzieje? - zapytał. - Wygląda pan, jakby zobaczył ducha.

Ku swemu przerażeniu całkiem się przed nim załamałem. Zacząłem dyszeć, wciągając w płuca hektolitry powietrza. Idi spojrzał na mnie uważnie i po chwili odezwał się miękkim głosem, głębokim i ciepłym jak u anioła.

- Doktorze Nicholas! - Poklepał mnie po ramieniu. - Od razu widać, że się pan zakochał. Sam przez to przechodziłem wiele, wiele razy.

Otwierałem i zamykałem usta jak złota rybka, a przed moimi oczami pełzały maleńkie plamki, które raz po raz eksplodowały. Idi silniej pomasaował moje ramię.

- Mój drogi przyjacielu. Musi pan się pogodzić, że plany Boga nie zawsze są takie, jak byśmy chcieli.

- Przepraszam - wy dyszałem, odzyskując powoli oddech. - Nie chcę...

- Jeśli chcesz miłości, nie możesz się za bardzo starać - powiedział, zalewając mnie ciemną otchłanią swoich oczu.

- Dzięki tej taktyce jestem bardzo skutecznym kochankiem. Przejdź się, doktorze, po ulicach Kampali, a zobaczysz co najmniej dwadzieścia trzy dziewczyny, które zapłodniłem. Właśnie dlatego nazywają mnie Daddy. Jestem wielkim tatuśkiem. To oczywiste.

Udało mi się uśmiechnąć, choć poczułem w ustach smak łez.

- Chyba powinien pan wziąć wolne i pojechać na wakacje. Niech pan jedzie, doktorze

Nicholas do Mweya Lodge. A może nawet do Paraa. Zobacz pan, jak lata wąsal szkarłatny, a jak trzewikodziób, popatrzy na gerezy. I oczywiście będzie tam pan krokodyl i pan słoń. I pan hipopotam, który ziewa, bo jest bardzo zmęczony. Jest tam nawet *simba*. Lew!

Wykrzywił palce obydwu dłoni na kształt pazurów i wyszczerzył zęby. Musiałem się roześmiać.

- Więc kim jest ta dama, która się nie poznała na pana urodzie? - zapytał.

Wzruszyłem ramionami.

- Cóż, tak też dobrze. Nie musi mi pan mówić o niczym, co się dzieje w Ugandzie, bo ja to i tak już wiem. Mam wielu agentów. Wiem na przykład, że żona brytyjskiego ambasadora jest złą kobietą, a pan - wbił mi palec między zębra - chciał się za nią uganiać. Ale ona była z innym mężczyzną, z którym też nie powinna się zabawiać.

Patrzyłem na niego osłupiały. Odkąd go poznałem, nic nie zdziwiło mnie bardziej, nawet największe nedorzeczości, które słyszałem z jego ust. Poczułem, że w tej jednej chwili całe moje życie zmieniło nagle kierunek. Jakbym jechał pociągiem i ktoś - nie ja, bynajmniej - przestawił nagle zwrotnicę.

Stałem z rozdziawionymi ustami. Wtem obcas jego buta huknął o wypolerowaną podłogę.

- Widzi pan! - rzucił triumfalnie. - Wszystko to mi mówią moi agenci i mają rację. Ale niech pan posłucha...

Podszedł bliżej, położył mi dłonie na ramionach i spojrzał głęboko w moje oczy, jakby chciał zapewnić o swoim współczuciu.

- ... to głupota być smutnym dlatego, że ona zdradza męża z kim innym, a nie z panem. Jest pan zazdrosny, bo jego usta dotykały jej warg. Niech pan tego nie trzyma pod korcem. Bo to naturalne, że kobieta się kocha w mężczyźnie. Na przystojny palec obrączka się szybko wsunie, każdy to powie. Ale nie można zapanować nad uczuciem miłości. Pańskie doświadczenie

powinno być nauczka dla nas wszystkich, dla każdego mężczyzny. Zresztą najważniejsze jest to, że zaden z was nie podrzucił rodzinie bękarta. Jak w rachubę wchodzi dzieci, sprawa wygląda zupełnie inaczej. Otarłem twarz rękawem.

- Zresztą ten facet się do niczego nie nadaje - ciągnął Idi. - Jest najlepszym pilotem w Afryce, z wyjątkiem prezydenta Amina, ale i tak jest do niczego. Niech się pan nim nie przejmuj. To złe zabawiać się z żonami innych mężczyzn i szpiegować prezydenta Amina. On jest szpiegiem i pracuje dla bardzo pazernej kompanii lotniczej z Kenii, która także chce, żebym jej płacił za dużo. Poprosiłem ich o kilka specjalnych rzeczy, których potrzebowałem z Nairobi, a oni chcieli, żebym im zapłacił nie szylingami Ugandy, tylko amerykańskimi dolarami.

Wyciągnął z kieszeni zwitek niebieskich banknotów i podniósł je wysoko, jakby trzymał w dłoni trzepoczącego skrzydłami ptaka.

- Co mi z tego, że moja twarz jest na tych pieniądzach, skoro nie mogę ich używać? To bardzo zła sytuacja.

I tak lepsza od mojej - pomyślałem, leżąc na kanapie w swoim bungalowie, tuląc do siebie jak dziecko butelkę szkockiej. Postanowiłem wziąć się w garść, otoczyć nieprzebytym murem.

Ucieczka z Ugandy nie była wyjściem. Ucieczka nigdy wyjściem nie jest. Przypomniało mi się jedno z przysłów, tłumaczonych przez Idiego z suahili: Jak cię swędzi tyłek, to nie przestanie cię swędzieć, jeśli pójdziesz gdzieś indziej.

Powiedziałem sobie, że będę niezdojty. I zdrów jak ryba. Trochę się ostatnio zaniedbałem, przez co zaczynałem przypominać przepracowanych obcokrajowców pokroju Ivora Seabrooka, który wyglądał, jakby miał żółtaczkę. Postanowiłem, że zacznę dużo pływać, będę się często opalał, żeby trochę przyrumienić swoje żółknące oblicze, zacznę codziennie jadać owoce i nie pozwolę już, by cokolwiek mnie zmartwiło. Tak, poradzę sobie! Zajmę się pracą w szpitalu i będę pomagał ludziom najlepiej, jak umiem. Przecież po to jestem. Będę użyteczny!

Podniosłem się z kanapy, żeby wielkimi literami zapisać w dzienniku instrukcję postępowania. Wielkimi literami polecenie, poniżej dwa podkreślone zdania:

DOSKONALIĆ:

Dyscyplinę, charakterystyczną dla mojego rodzinnego kraju;

Skupienie, charakterystyczne dla mojego wyuczonego zawodu.

Nawet udawało mi się wprowadzać w życie te postanowienia, dopóki znów nie zadzwonił Stone z zaproszeniem do ambasady na najbliższą sobotę rano. Nie powiedział, o co chodzi, ale i tak wiedziałem, że znowu będzie o Aminie. Nie muszę chyba mówić, że nie poczyniłem w tej sprawie żadnych kroków. Byłoby to zbyt niebezpieczne. Ale gdy się nad nią znowu zastanawiałem po telefonie Stone'a, pomyśl przywołania Amina do porządku za pomocą lekarstw zaczął mi się wydawać nawet sensowny. Może właśnie w ten sposób mogłem się na coś przydać? Muszę też przyznać, że nadal trochę mi imponowała mroczna, bondowska niemal aura tego wszystkiego.

Tutaj, na wyspie, wszystko jest jasne. Jasne jak rzeczy i ludzie, których widzę wokół siebie w swoim nowym życiu: przez okno swojej nowej duszy. Nieuleczalne ja, którego się wyrzekłem, zostało daleko za mną. Przyglądam się, jak ze wzgórza schodzi masywny Malachi Horan.

Malachi jest tutejszym rybakiem. Zaopatruje przeważnie hotel Ossian po zachodniej stronie (połączenie ekskluzywnego sanatorium i burdelu dla milionerów: sauny, jacuzzi i tym podobne), ale zawsze podrzuca mi co lepsze złowione sztuki. Właśnie przyniósł trzy makrele, wiszące na przewleczonym przez oskrzela sznurku. Na razie powiesiłem je na dworze - na pewno jest wystarczająco zimno.

Makrele. Kiść srebra wisząca na gwoździu. Wlepiają swoje obojętne oczy w ścieżkę, którą podąża właśnie ich krzepki kat. I ja, z karkiem obolałym od pisania przez cały dzień. Może to jakaś wróżba? Podobno arystokraci w czasach rewolucji francuskiej odczuwali ból karku przed

egzekucją. Symptom ostrzegawczy. Podobnie jak niektórzy ludzie odczuwają ból głowy tuż przed aktywnością płciową, to projekcja skurczu mięśni, pojawiającego się podczas orgazmu, na rdzeń kręgowy. Orgazm realny, a jednak urojony. W przeciwieństwie do tych ryb. Oskrobię je później. Jeden filet na dzisiaj, a reszta do lodówki.

W pokoju unosił się dziwny zapach. Stone siedział za wielkim drewnianym biurkiem. Miał na sobie sportową marynarkę w jodełkę. I znów te tragiczne, luźne spodnie z brązowego materiału.

Ciągle odwracał głowę w stronę okna, jakby nie chciał patrzeć mi w oczy.

- Cieszę się, że dzisiaj możemy porozmawiać sam na sam. Poprzednio, niestety, nic nie mogłem poradzić na obecność tamtych dwóch.

- Dlaczego nie ma z nami ambasadora? - dopytywałem się. - Jeśli chce pan ze mną rozmawiać na ten sam temat, co podczas mojej poprzedniej wizyty, chcę, żeby przy tym był pański szef.

- Właściwie to on nie jest moim szefem - odparł Stone słodko. - To znaczy jest tylko formalnie. Powinien pan wiedzieć, jak funkcjonuje świat, Nicholasie. Powiem więc panu, że mamy tu teatr w teatrze. Ludzie tacy jak ja muszą ponownie uruchamiać tryby, które się zacięły. I czasem ludzie tacy jak ja muszą prosić o pomoc ludzi takich jak pan. Bob Perkins to tylko ceremoniał.

Znów odwrócił głowę do okna. Może się bał, że ktoś podsłuchuje? Okno było otwarte.

Uchyłne okno, jedna duża szyba w drewnianej ramie. Ustawiono je pod takim kątem, który przedziwnie zniekształcił odbicie ogrodu, wyginając drzewa i trawniki tak nieprawdopodobnie, że nie potrafiłem odtworzyć ich prawdziwego wyglądu.

- Co się stało z Weirem? - zapytałem. - Mówiono mi, że został odwołany do Londynu, bo zbyt blisko się zbliżył z Aminem.

Chociaż raz udało mi się go zaskoczyć.

- Powiedzmy... powiedzmy, że to nadmierna gadatliwość. Z przyjemnością odnotowałem punkt dla siebie.

- Jakoś nie odniosłem wrażenia, żeby był zbyt rozmowny - dorzuciłem. I chyba

przesadziłem, bo Stone popatrzył spod oka.

- Wróćmy jednak do tego, o czym rozmawialiśmy ostatnim razem. Przypuszczam, że nie podjął pan żadnych kroków...

- Nie - odparłem szorstko. - Nie podjąłem. Bałem się. Nie możecie znaleźć innego sposobu? Westchnął i rozparł się na krześle. Uprzytomniłem sobie, że ten dziwny zapach to jego woda po goleniu.

- Moja praca to ciągle przymiarki, Nicholasie. Nie ma żadnej stałej linii. Musimy robić to, co każe sytuacja, dostosowywać się do konkretnego przypadku. Teraz Londyn też ma swoje zdanie na temat sytuacji w Ugandzie i koniecznych posunięć. Gdy zaczęła się sprawa z Hindusami, wstrzymaliśmy dwanaście milionów funtów pożyczki. A obecnie potrzebujemy pana, Nicholasie.

- Dlaczego muszę to być ja? - zapytałem. - Jestem lekarzem, a nie tajnym agentem.

- Właśnie dlatego, że jest pan lekarzem. Ma pan obowiązek jako lekarz. I poddany brytyjski. Musiał pan widzieć i słyszeć, co się dzieje. Panuje przemoc. Mnóstwo Brytyjczyków już stąd wyleciało. Kazał obstawić nawet Kampala Club. Na następnym etapie jego ekonomicznej wojny wylecimy stąd wszyscy, także i pan. Jestem tego pewien.

- Nie wchodzę nikomu w drogę - ripostowałem. - Ja tylko wykonuję swoją pracę, nic poza tym.

- A powinien pan. Powinien pan powstrzymać zabijanie ludzi. Premier mówi, że trzeba go powstrzymać. To, co się dzieje, jest potworne. Nie ma mowy ani o prawie, ani o porządku. Ludzie giną codziennie. Ciągle otrzymujemy doniesienia o wojskowych masakrach. Żołnierze wrzucają ciała do jeziora. Albo do masowych mogił gdzieś w lesie. Zupełnie jak za Hitlera.

- Przesadza pan - zaprotestowałem z irytacją. - Niczego nie da się porównać z Hitlerem!

Złościło mnie, że uderza w moralizatorski ton. Zaczął grzebać w szufladzie swojego biurka.

Przez ten czas obydwaj milczeliśmy. W końcu wyjął stamtąd papierową teczkę.

- Proszę. Niech pan to obejrzy - powiedział, popychając teczkę po blacie. - A ja przygotowuję kawę. Na pewno będzie panu potrzebna. Potem wymienimy poglądy.

W środku znalazłem około pięćdziesięciu niewyraźnych, czarnobiałych fotografii. Pierwsza przedstawiała trzech żołnierzy wewnątrz pojazdu opancerzonego - dwóch w hełmach i jednego w czarnym berecie. Między nimi był mężczyzna w kamizelce, z zadartą do góry głową i otwartymi ustami, jakby krzyczał z bólu. Żołnierz najbliższy niego był lekko przygarbiony. Robił coś rękoma, ale nie wiem co. Tego na zdjęciu widać nie było. Scena budziła przerażenie. Zastanawiałem się, kto zrobił to zdjęcie.

Kolejne ukazywało chłopca w krótkich spodenkach, przywiązanego do słupka bramki piłkarskiej. Głowę przykrywał mu czarny worek. Krępująca go lina napinała się pod ciężarem zwisającego bezwładnie ciała. W kadrze widać też było mężczyznę w mundurze żandarmerii wojskowej. Stał z uniesioną ręką, jakby zamierzał interweniować. Albo jakby właśnie wydał rozkaz.

Patrząc na tę fotografię, odczułem strach. Ale też chciałem poznać jej historię od początku do końca. Oglądając następne zdjęcia, odniosłem wrażenie, że przedstawiają kolejne etapy tego samego wydarzenia. Grupa żołnierzy prowadzi jeńca przez las. Potem jeńiec stoi przywiązany do drzewa. Głowę zakrywa mu worek po mące, którego postrzępione brzegi ktoś wetknął mu za kołnierz. Byłem wstrząśnięty, gdy na kolejnym zdjęciu obok mężczyzny z głową w worku zobaczyłem Amina. Rozmawiał z jeńcem, trzymając mu dłoń na ramieniu. Czyżby chciał go pocieszyć?

Przypomniałem sobie, jak kładł dłonie na moich ramionach. Niespełna dwa tygodnie temu. Przebiegł mnie dreszcz, gdy pomyślałem, jak zareagowałby Amin, gdyby się dowiedział, co robiłem w ambasadzie. Kolejna fotografia łamała poprzednią sekwencję wydarzeń. Zobaczyłem na niej ciało ubranego mężczyzny, leżące na chodniku, całe oblepione przez muchy. Pamiętam,

jak się zdziwiłem, że obsiadły nawet niezakrwawione części ciała. Zginął od uderzenia pałką w głowę. Cios pogruchotał kości wokół oczodołu, odkrywając białą gałkę oczną. Wyglądała jak jajko na twardo.

Za sobą usłyszałem głos Stone'a.

- To tylko drobna część tego, co się dzieje. Otrzymujemy doniesienia, które naprawdę budzą obrzydzenie. To niewiarygodne, ale oni wsadzają ludziom do ust... no wie pan. Obcinają im tę część ciała i wkładają do ust.

Obróciłem się. Stone trzymał metalową tacę, a na niej dwa parujące kubki. Na chwilę stracił równowagę, zamykając za sobą drzwi nogą. Postawił tacę na biurku. Była na niej mała brązowa kałuża. Gdy przechodził obok mnie, usłyszałem nylonowy szelest jego brązowych spodni.

- Dziwna rzecz z tymi ustami - powiedział, siadając. - Jakby nie chcieli, żeby umarli przemówili. W strzelaniu do ludzi specjalizują się pracownicy State Research Bureau. Z naszych informacji wynika, że olbrzymia liczba czaszek ma połamane kości szczęki.

- Nie wiedziałem, że jest aż tak źle - stwierdziłem, odsuwając od siebie teczkę ze zdjęciami. Stone położył dłonie na blacie biurka.

- Pozwoli pan, że przejdę do rzeczy. Codziennie umierają setki ludzi, a pan co robi? Nic pan nie robi. Płynie pan z prądem. Ale jeśli nie zacznie pan działać, ten prąd poniesie pana wprost do szamba. Cały ten kraj zamienia się w szambo, Nicholasie, a pan jest jednym z niewielu, którzy mogą to odwrócić.

- To nie fair - powiedziałem. - W końcu to wasza wina. Gdybyście go nie posadzili na tronie, nie doszłoby do tego wszystkiego.

Upił łyk kawy.

- To nie tylko my. Izraelczycy też... Ale to była dobra decyzja, przynajmniej w tamtej sytuacji.

Wszyscy mówili, że to dobre dla Wielkiej Brytanii. Nawet dziennikarze.

- Ale przecież o to chodzi, prawda? Dla was to tylko polityka. Względy praktyczne, to was tylko obchodzi. Gdy tu do pana szedłem... Zresztą nieważne. Nie mogę zrobić tego, o co pan prosi. To jest człowiek. Mimo wszystko. Nawet jeśli jego reżim dopuścił się najgorszych zbrodni.

- To szalenie - odparł Stone z dezaprobatą. - Ma na rękach mnóstwo krwi i wszystko na to wskazuje, że będzie miał jeszcze więcej. On zwyczajnie nie powinien rządzić tym krajem.

Właśnie wysłał do królowej telegram z żądaniem, żeby na Konferencję Brytyjskiej Wspólnoty Narodów przydzieliła mu szkocką gwardię do ochrony i przysłała po niego samolot. Jego najnowsze posunięcie to wysłanie tak zwanych Pionierów Marynarki Wojennej Ugandy do Gwinei-Bissau, żeby ją uwolnić od Portugalczyków. On nie ma żadnych statków, Nicholasie. Zresztą Uganda jest państwem śródlądowym. Byłoby to wszystko zabawne, gdyby nie tysiące mordowanych ludzi. Jego głupie wybryki przypominają pornografię! Jeśli się pan z nich śmieje, chodzi pan po trupach. A jeśli pan z nim współpracuje... Cóż, to jeszcze gorsze.

Poczułem się wyjątkowo niezręcznie.

- Ja... z nim nie współpracuję. Od czasu do czasu go leczę. To nie ja zabijam tych ludzi. Setki Ugandyjczyków są w takiej samej sytuacji, jak ja.

- Może pan coś zrobić, żeby im pomóc. Żeby pomóc całemu krajowi. Wyświadczyłby pan Ugandzie wielką przysługę. Ma pan odpowiednie leki. Jest pan z nim wystarczająco blisko. Będę z panem szczery. Chcemy, żeby zrobił pan coś więcej niż tylko podał mu środki na uspokojenie. Mam rozkaz prosić, żeby go pan zabił.

- To wykluczone! - odparłem, śmiejąc się z nedorzeczności tego żądania. Byłem też jednak głęboko wstrząśnięty. - Lekarze nie robią takich rzeczy. Składamy przysięgę.

- Wiem - powiedział cicho. - Przysięgacie ratować życie. A ile ludzkich istnień by pan uratował w ten sposób? Nie będzie pan miał z tego tytułu żadnych kłopotów. Dopilnuję tego osobiście. Jak się trafi okazja, żeby mu zrobić zastrzyk, niech go pan po prostu nafaszeruje

adrenaliną. Będzie wyglądało na atak serca.

- Niemożliwe - oświadczyłem, wstając z miejsca. A jednak nie byłem tego całkiem pewien.

Przecież to zasługa uwolnić świat od dyktatora. Potem pomyślałem o Aminie, o tej krótkiej chwili w State House, gdy się przede mną otworzył. Zastanowiłem się, jak by to było go zabić.

Jak by to było zabić kogokolwiek.

- Niechże pan usiądzie - poprosił Stone. - Wiem, że proszę pana o rzecz trudną. Ale przecież postąpi pan właściwie. Jak to mówią? Wystarczy, że jeden dobry człowiek stanie bezczynnie, a zło zatriumfuje.

Znowu się zgrywał na kaznodzieję. To złościło bardziej niż sama jego propozycja.

- Ma pan kompletnie spaczony pojęcie o tym, co właściwe - powiedziałem wyniośle. - Nie ma pan prawa mówić do mnie w ten sposób. Nie ma pan prawa mi rozkazywać, a już na pewno rozkazywać, żebym kogoś zabił.

- Niech pan usiądzie i mnie posłucha. Mówię do pana w imieniu Londynu.

Nie mam pojęcia, dlaczego go słuchałem, zamiast po prostu wyjść. Mogłem przecież zostawić to wszystko za sobą i życie wróciłoby do normalności. Nie potrzebowalem takich akurat przygód.

Usiadłem z założonymi rękami, czekając, aż zacznie mówić. Podniósł się i wyszedł zza biurka. Znowu poczułem jego wodę po goleniu.

- Niektóre rzeczy same się prostują z czasem, same się układają - zaczął. - Ale nie kwestie moralne. Uczy nas tego historia. Zaopiekujemy się panem, Nicholasie. Już kazałem wpłacić pokątną sumkę na pańskie konto w Szkocji.

- Nie chcę pieniędzy ubabranych krwią.

- Zechce pan - odparł. - Niech pan tylko pomyśli. Pięćdziesiąt tysięcy funtów teraz i drugie tyle po wszystkim.

- Nie zmusi mnie pan do tego! - rzuciłem, choć po głowie mi się kołatało, że on ma rację.

Można zabić Amina bezkarnie. I kto miał po temu lepszą sposobność? Jednocześnie sam przed sobą musiałem po raz kolejny przyznać, że lubię tego człowieka, choć wiem, jakim jest potworem.

Stone usiadł z powrotem za biurkiem. Słońce zalewało pokój ciepłym czerwonym światłem.

- Niech pan się nad tym poważnie zastanowi - powiedział Stone. - Możemy dać panu wszystko, czego pan zapragnie. Kobiety, pieniądze, pracę gdziekolwiek indziej...

Nagle podjąłem decyzję.

- Nie jestem mordercą - krzyknąłem. - Różne rzeczy da się o mnie powiedzieć, ale na pewno nie to, że jestem mordercą. Może wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby on był chory, a pan prosił o to, żebym go po prostu nie leczył. Żebym mu pozwolił umrzeć. Ale Amin jest zdrowy i ja go nie otruję.

Powiedziawszy to, ruszyłem do drzwi. Stone nie próbował mnie zatrzymać.

- Pieniądze wpłyną niebawem na pańskie konto - poinformował, gdy sięgałem do klamki. - I już tam zostaną. Jeśli jednak ma pan to zrobić, niech się pan pośpieszy, na Boga!

Gdy przez świetnie utrzymany ogród ambasady wracałem do samochodu, żałowałem, że tam w ogóle poszedłem. Postanowiłem, że nigdy więcej nie chcę mieć nic wspólnego ze Stoneem. Ani z jego machinacjami. Musiałem się przecież trzymać własnych planów, choć nie wiedziałem do końca, jakie są. Do domu jechałem powoli. Przez całą drogę słońce padało na kierownicę, ogrzewając mi dłonie. Gdy dotarłem do siebie, zaserwowałem sobie lunch. Pyszności: sałatka z awokado, okoń z grilla i butelka pilsnera.

Okazało się, że niepotrzebnie się zamartwiałem Stone'em. W następnym tygodniu Amin wydalili z kraju jego, Marinę i jej męża oraz większość pozostałych pracowników ambasady.

- Rozbiłem brytyjską siatkę szpiegowską w Ugandzie - obwieścił przez radio. - W taki sam sposób postąpię z każdą inną ambasadą, w której szeregach są szpiedzy. Zwłaszcza proponujący łapówki. Nawet mnie, prezydentowi Ugandy, proponowali łapówki.

Jak zawsze pełen był sprzeczności, powiedział więc także, że wysłał jeszcze jedną wiadomość do królowej, zapewniając w niej o swojej dozgonnej przyjaźni i wyrażając zamiar złożenia jej kolejnej wizyty.

- Powiedziałem królowej Anglii: „Mam nadzieję, że tym razem pozwoli mi pani spotkać się z ruchami wyzwoleniczymi Szkotów, Irlandczyków i Walijczyków, którzy walczą przeciwko pani imperialnym rządóm. Wysyłam ten list z wyprzedzeniem, żeby miała pani dużo czasu na przygotowanie wszystkiego, żeby mój pobyt w pani kraju był dla mnie przyjemnością. Mam na przykład nadzieję, że podczas tego pobytu będzie miał miejsce stały dopływ niezbędnych towarów, bo wiem, iż wasza gospodarka na wielu obszarach kuleje. Tak, pani królowo, lepiej w to uwierz. Przybywam do Londynu i nikomu nie uda się mnie powstrzymać. Biorę ze sobą do ochrony dwustu pięćdziesięciu żołnierzy z ugandyjskiej rezerwy, czy się to pani podoba, czy nie. Chcę zobaczyć, jacy silni są Brytyjczycy, i chcę, by ujrzeli oni potężnego człowieka z kontynentu afrykańskiego”.

Po tym wydaleniu nastąpiły dwa wydarzenia, jedno po drugim. Najpierw włamano mi się do bungalowu i skradziono mój dziennik. Nie tknięto niczego innego. Przestraszyłem się nie na żarty. Najpierw chciałem zgłosić to na policji, ale potem uznałem, że lepiej nie. Przypuszczam, że w głębi duszy wiedziałem, iż ma to jakiś związek z Aminem. Zwykli włamywacze nie ośmieliliby się wdrzeć na silnie strzeżony teren State House.

Drugie wydarzenie nastąpiło nazajutrz wczesnym wieczorem: do Mulago zadzwonił Amin.

Dźwięk telefonu rozległ się, gdy pogrążony w rozmyślaniach, przyglądałem się starej kobiecie, która zamiatała dziedziniec, niespiesznymi, rytmicznymi ruchami. Czyniła to co wieczór - sprzątała miejsce, gdzie w kolejce ustawiali się pacjenci, nie wiem więc, dlaczego moje spojrzenie spoczęło akurat na niej. Tak jakoś. Tak jak wcześniej spojrzenie Amina spoczęło na mnie.

- Przyjedź natychmiast - rozbrzmiał mi w uchu jego głos. Był ostrzejszy niż zwykle i serce zaczęło mi bić w szaleńczym tempie. - Doktor Nicholas? Muszę z tobą omówić pilną medyczną kwestię.

Machnięcie miotłą, drugie, trzecie. Mój wzrok skupiony był na kobiecie na dziedzińcu.

- Tak... Wasza Ekscelencjo.

- Bardzo pilną. Nakasero. - Połączenie zostało przerwane.

Zrobiłem, co mi kazano. Jechałem ze straszliwie ściśniętym żołądkiem. Pot spływał ze mnie ciurkiem, mimo że zdążył już zapaść chłodny wieczór, i czułem, jakby w gardło wbito mi drewniany kołek. Wiedział o Stonie? O tym, że widziałem Kay w wieczór przed jej śmiercią?

Dziennik - cóż ja w nim takiego napisałem?

Tymczasem zapadły ciemności i księżyc zajaśniał wysoko na niebie, oświetlając znajdujące się tuż przy drodze bagna. Kołysane wiatrem papirusy wyglądały przerażająco i dziwacznie, a kiwające się, przypominające dmuchawce główki - niektóre sięgały na wysokość ponad trzech metrów - nadawały im wygląd kosmitów w hełmach.

Spokojnie, powtarzałem sobie, kiedy wjeżdżałem do miasta, już nieraz mnie wzywał, to nic nie znaczy On mnie nie skrzywdzi. Nie skrzywdzi Nicholasa Garrigana.

Jechałem dalej. Kiedy dotarłem do Nakasero, strażnicy zaprowadzili mnie do kwatery

Amina, tak jak czynili to już wcześniej. Wszedłem do środka i przywitał mnie ten sam znajomy

bałagan. Kij do bejsbolu, pisemka dla mężczyzn na podłodze, portret Lumumby, wysokie aż po sufit regały, na których poustawiane były *Sprawozdania Izby Adwokackiej Ugandy*.

Na zabytkowym krześle siedział Amin. Miał na sobie mundur wojskowy, zwykły, w kolorze khaki, nie swój olśniewający strój marszałka. Nieopodal stało łóżko wodne ze zwiewnym baldachimem i rozrzuconą pościelą oraz szafy z lustrami, umywalka i sekretarzyk. Na tym ostatnim dostrzegłem kaburę, z której wystawała rzeźbiona kolba pistoletu.

Kiedy wszedłem, spojrzał na mnie i uśmiechnął się uprzejmie. Na jego kolanach leżał „Sunday Times”, otworzony na stronie, na której widniało jego zdjęcie. Trzymał na rękach małe dziecko i uśmiechał się szeroko.

- Ach - rzekł. - Mój dobry przyjaciel doktor Nicholas.

- Wasza Ekscelencja mnie wzywał? - Nadal intensywnie się pociłem.

Opuścił wzrok na nagłówek w gazecie: „Rzeźnik z buszu”.

- Mimo że Anglicy mnie nienawidzą - oświadczył - ja nadal kocham i szanuję królową.

Pomyślałem sobie, że jeszcze raz mógłbym do niej napisać.

- Czy po to właśnie zostałem wezwany? - zapytałem z ulgą.

- Tak - odparł, wstając. - Ale nie tylko. Rzeczywiście wzywałem cię, ale ty nie słyszałeś.

Dałem ci wiele, ale ty mnie zdradziłeś.

Wpatrywałem się w niego, nie mogąc wydusić z siebie ani słowa.

- Doktorze, źle postąpiłeś, gdyż zacząłeś walczyć ze mną. Jak Anglik, a nie jak Szkot. To bardzo źle.

Moje spojrzenie pomknęło ku sekretarzowi i kaburze. On jednak sięgał właśnie do kieszeni. Wyjął z niej niewielki rewolwer, taki jakiego w westernach używali pokerzyści. Z potężnej pięści wystawał tylko wylot lufy.

- To twój ostatni dzień. Masz umrzeć. To twój koniec. Wzdrygnąłem się, a potem osunąłem

się na kolana i zacząłem bełkotać:

- Wasza Ekscelencjo, błagam. Nic nie zrobiłem!

Lufa znajdowała się tuż przed moją twarzą. Tak blisko, że widziałem bruzdy na dłoni Amina.

- A więc chcesz mnie porzucić, tak? - Rozbrzmiał nade mną jego głos. Następnie Amin ukucnął, tak że jego twarz znajdowała się tuż obok mojej. - Co się stało, że już mnie nie kochasz?

- wyszeptał. - Dlaczego już nie jesteś moim przyjacielem?

- Proszę - wychrypiałem. - Nie zabijaj mnie. Proszę, nie zabijaj mnie. - Cały się trząsałem i czułem, że zaraz się wypróżnię.

Wtedy Amin nagle wstał, odchylił głowę i wybuchnął gromkim śmiechem.

- Zabić cię? Dlaczego, u licha, miałbym zabijać kogoś takiego, jak ty?

Podniosłem wzrok. Na jego twarzy malowało się coś na kształt dziecięcego zdziwienia.

- Nie, nie chcę cię zabić, doktorze Nicholas. Myślałem, że to ty chcesz zabić mnie. Ale wiem, że nie zrobiłbyś tego. Nie będę się mścił za głupotę.

Pozostałem na podłodze, dysząc jak pies, podczas gdy Amin schował swój mały pistolet z powrotem do kieszeni. Zbliżył się do sekretarzyka i otworzył szufladę. Widziałem swoje odbicie w lustrach - skulony, zdyszany - a za sobą regały z książkami.

- Przepraszam, że cię nastraszyłem - rzekł Amin, wracając do mnie. - Prawda jest taka, mój dobry przyjacielu, że od moich tajnych agentów z tajnej policji dowiedziałem się, że jesteś zaangażowany w działalność antypaństwową. Według tego raportu... - zamachał mi nad głowę arkuszem różowego papieru - ...sporządzonego przez mojego dobrego przyjaciela, majora Weira, który niestety musiał teraz odejść, rząd Jej Królewskiej Mości kazał ci podać mi szkodliwe lekarstwa.

- Ja... - wychrypiałem z oszołomieniem. Weir? Pomyślałem o jego utykaniu, szyi jak u indyka, natarczywym szumie zdalnie sterowanego helikoptera.

- Nie zaprzeczaj. Wiem o wszystkim. Wiem także, że jesteś zbyt dobrym lekarzem i zbyt mocno kochasz Idi Amina, by zrobić coś takiego.

- To prawda - rzekłem. - Nie zrobiłbym tego, pan wie, że nie zrobiłbym tego.

- A więc - w jego spojrzeniu pojawiły się przebiegłe błyski - poprosili cię jednak o to?

- Odmówiłem. To jest nieuczciwe.

- To dobrze - stwierdził. Podszedł do sekretarzyka i usiadł. - To dobrze - powtórzył, sięgając do szuflady - Gdyż w takim razie jestem ci w stanie wybaczyć coś innego.

Podniósł do góry czarny zeszyt, w którym pisałem dziennik. Patrzyłem na Amina z przerażeniem. Zupełnie o nim zapomniałem, kiedy straszył mnie pistoletem, i teraz zalała mnie kolejna fala strachu. Przez chwilę w pomieszczeniu panowała cisza. W milczeniu przerzuciłem kartki. Gorączkowo próbowałem sobie przypomnieć, co ja tam takiego napisałem.

- Bardzo dobry z ciebie pisarz - odezwał się po chwili. - i Widać to czarno na białym. Ale kiedy rozmawiałem z tobą o tym, i jaką przeszedłem drogę, by zostać głową państwa w Ugandzie, nie wiedziałem, że napiszesz o tym wszystkim książkę.

- To tylko dziennik - odparłem. - Coś takiego jak pamiętnik.

- Bystry z ciebie człowiek. Ale nie podoba mi się to, co wypisujesz tutaj o mojej matce.

Miała na imię Fanta, a nie Pepsi Cola. I obraźliwe jest to, co piszesz o mojej czwartej żonie.

Powinieneś wiedzieć, że w łóżku jestem lwem i spłodziłem ponad pięćdziesięcioro dzieci w Ugandzie i na całym świecie. Jeśli dalej będziesz wypisywał takie rzeczy, zginiesz. Jasne? Od tej chwili będziemy brać magnetofon i nagrywać. Zawsze, gdy będziesz pisał, będziesz używał słów, które pochodzą prosto z moich ust. Tylko i wyłącznie. Ponieważ to w ustach rodzą się słowa.

Przerzucił kilka kolejnych kartek. Ponownie zacząłem się modlić, mając nadzieję, że nie opisałem tam szczegółowo niczego, co miało związek z Kay. Raczej tego nie zrobiłem, ale byłem w takim stanie, że niczego już nie pamiętałem.

I wtedy Amin powiedział coś, co wprawiło mnie w całkowite oszołomienie.

- Dobrze, a teraz mam bardzo ważną sprawę. Ten człowiek, Waziri, o którym tutaj piszesz. A więc był twoim przyjacielem?

- No cóż... - odparłem, zastanawiając się gorączkowo, do czego prowadzi ta rozmowa. - Pracował w klinice w Mbararze.

Amin utkwiał we mnie spojrzenie.

- To nie był dobry lekarz i dlatego nie sądzę, by mógł być twoim przyjacielem. Ponieważ nie jest moim przyjacielem. A skoro nie jest moim przyjacielem, nie może być twoim przyjacielem.

To prawda?

- Nie rozumiem - odpowiedziałem.

Amin wstał, obszedł biurko i postawił mnie na nogi.

- Za mną - rozkazał. - Muszę ci pokazać coś bardzo ważnego.

Podszedł do półek z książkami i pchnął jedną z nich. Za szeregiem oprawionych w skórę tomów pojawiła się czarna szpara. Pchnął jeszcze raz. Książki przesunęły się dalej, ukazując długi, wilgotny korytarz, słabo oświetlony świetlówkami. Na betonowej podłodze widać było kałuże wody, a w nieruchomym powietrzu unosił się zapach śmierci.

Amin odwrócił się do mnie. Jego oczy błyszczały.

- Chodź - powiedział.

Odmowa nie wchodziła w grę. W ślad za jego krzepką postacią wszedłem korytarz, a potem kilka stopni w dół. Szliśmy w jednym rytmie, rozpryskując po drodze kałuże wody. Czulem wszechogarniające przerażenie.

Szliśmy i szliśmy, a galony na ramionach Amina połyskiwały, gdy przechodziliśmy pod świetlówkami. Serce boleśnie waliło mi w klatce piersiowej (z medycznego punktu widzenia podejrzewam, że miałem częstoskurcz, przekraczający sto uderzeń na minutę). W tunelu

rozlegało się echo naszych kroków - a potem pojawił się jeszcze jeden dźwięk.

Dwa dźwięki. Pierwszy to było łup, łup, łup, walenie, które przypominało odgłosy towarzyszące tłukącym proso kobietom w Mbararze. Ten rytm współgrał z szaleńczym biciem mego serca. Drugi odgłos był jednak bardziej niepokojący - odległy ale przenikliwy krzyk czy też wycie. Tylko raz słyszałem coś podobnego, kiedy w lesie nieopodal Fossienuir natknąłem się na złapaną we wnyki łasicę. Poczułem skurcz w jelitach.

Weszliśmy do jakiejś sali. Zobaczyłem kilka ścianek działowych i wnęk. W jednej z nich właśnie znajdowała się przeszklona kabina, w której aż się roiło od sprzętu elektronicznego. Do szyby poprzyczepiane były tarcze i diody, mrugające w skąpym oświetleniu.

Amin przeszedł na drugi koniec sali i zerknął przez judasza w ścianie. Następnie wcisnął jakiś guzik i wielkie, metalowe drzwi otworzyły się.

- *Kila mlango kwa ufunguo wake* - rzekł, uśmiechając się do mnie szeroko. - Każde drzwi mają własny klucz.

Uderzyła mnie fala cuchnącego powietrza. Po drugiej stronie znajdowało się wejście do kolejnego korytarza, gdzie wisały dwie jaskrawoczerwone gaśnice. Wyglądały jak wartownicy.

Otarły się o uda Amina, który szedł przede mną. Odgłosy nagle przybrały na sile: skowyt, jęki, wrzaski nieskrywanego bólu. Po jednej stronie korytarza ciągnął się rząd okratowanych drzwi.

Ściany korytarza były poplamione i popękane. Smród, zaduch, odgłosy - pojedynczo byłyby przerażające, razem były bez mała nie do zniesienia.

Wzdrygnąłem się, i wzdrygam się teraz, gdy o tym piszę - to, co zobaczyłem, kiedy Amin prowadził mnie wzdłuż tych cel - muszę... muszę dokonać niemal fizycznego wysiłku, by przypomnieć je sobie, tak głęboko je skryłem w mej pamięci. Tak głęboko je skryłem...

W pierwszej celi w beczce z wodą znajdował się mężczyzna, a nadgarstki miał niezgrabnie przywiązane sznurem do jej brzegów. W drugiej jakiś człowiek leżał skulony na betonowej

podłódze. Dwóch żołnierzy biło go grubymi skórzanymi pasami. W kącie trzeciej celi leżało ciało chłopca z roztrzaskaną nogą. Pod ścianą stał młot. Wszędzie było pełno krwi, w której kałużach niczym kawałki kredy leżały porzucane fragmenty kości.

W czwartej celi znajdowały się trzy kobiety. Stały nago. Drżały i tuliły się do siebie, a dokoła nich chodził żołnierz i szturchał je pałką. To był potworny widok, poczułem wściekłość i odrazę, ale za bardzo byłem przerażony, by cokolwiek uczynić.

Na chwilę mnie sparaliżowało, po czym rzuciłem się na ścianę naprzeciwko okien.

Kucnąłem na podłódze. Amin pociągnął mnie w górę jednym silnym ruchem.

- Chodź - rzekł. - Nie zatrzymuj się tutaj, to nie jest miejsce dla ciebie. Chcę, żebyś zobaczył skrzydło medyczne. Jest tam lekarz, którego chciałbym ci pokazać. To twój przyjaciel.

Przeprowadził mnie przez cele, do pomieszczenia pełnego łóżek. Wszystkie były posłane i nieskazitelnie czyste. Gdyby nie potworny smród gnijącego ciała, który przenikał cały budynek, można by pomyśleć, że weszliśmy do nowego lub niedawno wyremontowanego szpitala.

Puste były wszystkie łóżka z wyjątkiem jednego. Otaczała je grupa żołnierzy - dziesięciu, może więcej.

- Czy to twój przyjaciel? - zapytał mnie Amin. - Czy ten oto mężczyzna jest twoim kolegą z pracy?

Na łóżku leżał Waziri.

Głowę miał opuszczoną - w dół ciągnął ją sznur, przywiązany także do jego kostek. Podniósł na mnie wzrok, na ile mu pozwolił sznur, wbijający mu się w szyję, a w jego oczach zobaczyłem ogromne przerażenie. Przez chwilę zdawało się, że chce coś powiedzieć, ale w usta miał wepchnięty kawałek plastiku. Między zęby wciśnięto mu wielokrotnie złożoną torbę po nawozie.

Waziri jęknął, a z kącika ust wypłynęła mu ślina i krew. Zacząłem się lekko chwiać na nogach.

- Ten człowiek - rzekł Amin, poklepując mnie po ramieniu - źle się zachował. Związał się z antyrządowymi partyzantami z Tanzanii i Rwandy pod wodzą Obote. Walczył przeciwko mnie w Ruwenzori, w okolicach Kabale. Ty także brzydko się zachowałeś, że jesteś jego przyjacielem.

- Nic nie zrobiłem - wyszeptałem, cofając się o krok, z dala od tej piekielnej sceny.

Ale nie mogłem się cofnąć. Za mną stali żołnierze, napierali na mnie.

- Powinieneś to wiedzieć, doktorze - rzekł Amin. - Gdy walczy dwóch mężczyzn, wygrywa tylko jeden z nich. Nie możesz być mi nieposłuszny.

Następnie wskazał gestem na Waziriego i wypowiedział tylko jedno słowo. Tym słowem było *kalasi*.

Jeden z żołnierzy wyjął nóż z białą kościaną rękojeścią. Wyglądał jak zwykły kuchenny nóż do chleba. Zerknąłem na Amina. Twarz miał nieruchomą niczym posąg, a spojrzenie utkwiał w mężczyźnie na łóżku.

Waziri na widok noża zaczął gorączkowo mrugać oczami. Mając nadal związane kostki i szyję, próbował przetoczyć się do tyłu niczym jeź. Ale wtedy rzucili się na niego żołnierze, potracając mnie, popychając nawet Amina, i otoczyli łóżko. Ściągnęli go na podłogę. Jeden z nich postawił nogę na jego głowie. Nasze spojrzenia skrzyżowały się w tej właśnie chwili i Waziri ponownie zamrugął, a potem zasłoniły go polowe mundury. Usłyszałem bulgot, a potem dostrzegłem jego nagi tors - oraz długie, przerażające ostrze, przesuające się tam i z powrotem. Kiedy się ocknąłem, znajdowałem się w jednej z cel. Leżałem na rozkładanym łóżku.

Popatrzyłem na betonową podłogę i ściany z pustaków. Wszędzie widać było brązowe plamy: nie mogłem rozróżnić, czy to krew, czy kał.

Nie wiem, jak długo tam leżałem. Zabrali mi zegarek. Nie było naturalnego światła, jedynie goła żarówka. Materac był twardy jak deska i strasznie cuchnął moczem, więc go zdjąłem i położyłem się bezpośrednio na sprężynach.

I właśnie chwilę później otworzyły się drzwi i wszedł żołnierz. Miał na twarzy rytualne stojedenastki - podobne do tych u majora Mabusea, tylko że dłuższe - a w ręku trzymał blaszany talerz z plantanami. Kiedy zobaczył materac na podłodze, krzyknął coś do mnie gniewnie w suahili, by po chwili przejść na angielski.

- Ty brudny Angliku! Przyjechałeś tutaj zabrać nasze siostry, a potem zrzucasz nasze łóżka na podłogę. Podnieś to albo cię zabiję!

Zwlokłem się z łóżka i bez entuzjazmu próbowałem wciągnąć na nie materac. Żołnierz wyrzucił z siebie potok słów w suahili, po czym pochylił się i pchnął w moją stronę talerz. Kiedy zamknął za sobą ciężkie drzwi, spojrzałem tylko na parującą szarą papkę i zacząłem wymiotować.

Niewiele więcej pamiętam... Wymazałem to z pamięci. Później okazało się, że trzymali mnie tam tylko jedną noc. Większość czasu byłem oszalały ze strachu. Pamiętam jednak stłumiony odgłos wystrzału gdzieś na zewnątrz. Pamiętam też szepty w sąsiedniej celi, w której właśnie umieszczono dwóch mężczyzn. Słuchałem, jak rozmawiają:

- Słyszałeś, co się stało z Feliksem Aswą?

- Nie. Co z nim? Biegłem do domu, kiedy usłyszałem strzelaninę w naszej dzielnicy... a potem mnie złapali i wsadzili do samochodu, tak że nikt nic nie widział.

- W jego przypadku nie robili żadnych tajemnic. Po prostu go złapali i zastrzelili. A potem odcięli mu maczetą głowę. W biały dzień.

- Głowę?

- Tak, a potem wzięli tę głowę i ustawili tak, że wyglądała, jakby piła ze szklanki. A potem wezwali żonę Feliksa i powiedzieli: „Popatrz, oto głowa twego męża pije sobie herbatę”.

- Tak właśnie wygląda teraz nasz kraj.

- A potem zabrali głowę w jakieś nieznane miejsce.

Właśnie miałem do nich coś krzyknąć, kiedy usłyszałem, jak w zamku w drzwiach mojej celi przekręca się klucz. Drzwi otworzyły się i do środka wszedł żołnierz, który wcześniej przyniósł mi jedzenie.

- Ty, *mzungu*. Chodź ze mną. Dostaniesz to. - Dotknął swego policzka.

Popatrzyłem na niego, nie rozumiejąc. Wtedy ponownie poklepał stojedenastki na policzku i uśmiechnął się. Z moich płuc uciekło powietrze. Podeszedł i szarpnął mnie za ramię. Wrywałem mu się i krzychałem, kiedy wyciągał mnie na korytarz.

Zatrzymał się i ponownie uśmiechnął, a potem zaczął się śmiać, dźgając mnie pod żebra.

- *Yeessebo!* Wszystko OK, wszystko OK. Żartuję. Ech ty, *mzungu*. A teraz ściągaj ubranie!

Zrobiłem to, co kazał. Trząsałem się. Następnie wepchnął mnie do pomieszczenia z prysznicem. Nie mając pewności, czy rzeczywiście żartował z tymi bliźniami, przez jakieś dwadzieścia minut stałem oparty o ścianę pod strumieniem zimnej wody.

Kiedy wyszedłem, zobaczyłem Wasswę. Trzymał w ręku ręcznik, a przez ramię miał przerzuconych kilka nowych ubrań. Na widok jego znajomej twarzy poczułem tak wielką ulgę, że na początku nie mogłem wydobyć z siebie ani słowa.

- Wszystko w porządku, doktorze? - zapytał, podając mi ręcznik. - Bardzo głupio pan zrobił, że napisał o prezydencie Aminie w taki sposób i planował działania wywrotowe wspólnie z Wielką Brytanią przeciwko Ugandzie.

- Dlaczego mnie tutaj trzymano? - wymamrotałem. - Nic nie zrobiłem.

- Ma pan dużo szczęścia, że prezydent Amin okazał panu łaskę. Chce się natychmiast z panem widzieć.

Kiedy się ubrałem, wyszliśmy na korytarz. Zerknąłem przez kraty na dwóch mężczyzn, których rozmowę słyszałem. Jeden był stary i miał na sobie tradycyjny strój, drugi zaś, w średnim wieku, ubrany był w garnitur i krawat. Gdy ich mijaliśmy, spojrzeli na mnie ze

zdziwieniem.

- Proszę - zawołał młodszy - pomóż nam. Nazywam się Edward Epunau. Jestem uczciwym biznesmenem.

Zatrzymałem się w pół kroku, chcąc zawrócić.

- Idziemy - rzekł Wasswa. - Nic pan nie może zrobić.

- Pomóż nam!

Wasswa ujął mnie pod ramię. Szliśmy dalej korytarzem, mijając inne cele. Starłem się ignorować teraz już bardziej stłumione dźwięki z nich dochodzące. Nawet na sekundę nie odrywałem wzroku podłogi. Nie byłem w stanie ponownie patrzeć na to wszystko. Przeszliśmy między dwiema gaśnicami.

Minister wcisnął zamaskowany przycisk. Część ściany przesunęła się, ukazując salę, przez którą przeszedłem poprzedniego wieczoru. W kącie dostrzegłem szklaną kabinę, gdzie parujący sprzęt elektroniczny syczał i szczebiotał niczym jakieś żywe stworzenie. Mimo otępienia zauważyłem także, że od strony kabiny drzwi są otynkowane - idealnie wtapiały się w ścianę - od strony sali zaś stalowe.

Przeszliśmy przez drugi korytarz. Wasswa wcisnął kolejny przycisk. Usłyszałem ruch po drugiej stronie i drzwi się otworzyły.

Amin miał na sobie jaskrawoniebieski strój safari, a na głowie sombrero w tymże kolorze.

Uściskał mnie. W lustrach widziałem jego szerokie plecy i oprawione w czerwoną skórę *Sprawozdania Rady Adwokackiej Ugandy* zamykające się za mną. Złote litery mieniły się w świetle.

- Ach, mój dobry przyjaciel, doktor Nicholas. Bardzo miło cię znowu widzieć, tak?

- Tak, Wasza Ekscelencjo - odparłem ostrożnie, monotonnym głosem, próbując na nowo zaznajomić się z przypominającą pokój dziecienny atmosferą jego sypialni. Zabawki i gry

planszowe na podłodze. Portret Lumumby. Telewizor pokazujący walkę bokserską.

- Najpierw musisz zjeść śniadanie - oświadczył Amin, uśmiechając się szeroko. - Potem możesz jechać do domu i będziesz miał siłę, by jutro zabrać się do pracy. Ja także będę zajęty. Obecnie w Ugandzie naprawdę wiele się dzieje.

Zeszliśmy na dół do jadalni, gdzie jadłem z zaskakująco dużym apetytem i ostrożnie odpowiadałem na pytania Amina. Uświadomiłem sobie, że miałem naprawdę wiele szczęścia, skoro udało mi się ująć z życiem z tego wszystkiego. Teraz byłem zdecydowany, że muszę wyplątać się z tej sytuacji i pierwszym możliwym samolotem wrócić do domu. Wychodząc, czułem mdłości - zjadłem za dużo i za szybko.

- Jeszcze jedno - rzekł Amin, kiedy byłem już przy drzwiach. - Chcę, żebyś w dowód swojej lojalności zrzekł się obywatelstwa brytyjskiego i jak najszybciej przyjął obywatelstwo ugandyjskie. Wtedy będę wiedział, że naprawdę jesteś moim przyjacielem.

Wasswa przygotował dokumenty i skontaktował się z Londynem.

Popatrzyłem na niego, na tę bestię, i pożałowałem, że nie spełniłem prośby Stone'a.

Schodząc po schodach Nakasero do auta, czułem się fizycznie wyczerpany. Bolały mnie kości, a oślepiiony blaskiem słońca, nieustannie mrugałem oczami. Wsiadłem do samochodu i pojechałem do domu, czując się jak zombie.

Później, już w swoim bungalowie, wziąłem się jakoś w garść. Szybko się spakowałem.

Myślałem tylko o tym, że muszę się stąd wydostać. Wziąłem jedynie kilka ubrań na zmianę, paszport, kilka czeków podróжных, które dla bezpieczeństwa przykleiłem pod szufladą - i dziennik. Amin zwrócił mi go podczas posiłku, nakazując raz jeszcze, bym na przyszłość pisał wyłącznie to, co do mnie mówi.

- Wróć szybko, a ja ci opowiem historię swego całego życia - oświadczył. - Jest bardzo ciekawa. Ponieważ, jak wiesz, jestem bohaterem całej Afryki.

Nazajutrz wczesnym rankiem wsiałem do samochodu i udałem się na lotnisko. Jechałem szybko: tęskniłem za Szkocją, chciałem się obmyć z tego miejsca i jego potworności. I jechałem szybko, ponieważ straszliwie się bałem. Wiedziałem, że teraz Amin najpewniej będzie mnie uważnie obserwował, ale kiedy zerkąłem w boczne lusterko, nie widziałem niczego niepokojącego.

Kiedy dotarłem na lotnisko, zobaczyłem tłum niedoszłych pasażerów kotłujący się przed terminalem. Wejście było zablokowane przez wojsko. Wsiadłem z samochodu i podszedłem bliżej. Przecisnąłem się przez tłum do miejsca, z którego przez ogrodzenie widać było pas startowy. Jeden ze stojących tam samolotów, Air France 139, też otaczali żołnierze. Przy przejściu stali dwaj ciemnowłosi Arabowie i jasnowłosa kobieta - rozmawiali właśnie z ugandyjskim oficerem. Kobieta ubrana była w czarną spódnicę, a przez ramię miała przerzucony karabin maszynowy.

- Co się stało? - zapytałem jednego z gapiów.

- OWP porwała ten samolot z Tel Awiwu i wylądowali tutaj. Wstrzymano wszystkie loty.

Wróciłem do samochodu i siedziałem w nim przez chwilę, wzburzony i zły. Przeklinałem Amina, przeklinałem OWP a najbardziej przeklinałem siebie. Powinienem był staranniej wszystko zaplanować. Uznałem, że najlepiej będzie, jeśli pojedę teraz do Mulago, jak gdyby nigdy nic.

Nie powiedziałem Patersonowi ani nikomu innemu o swoim uwięzieniu i potwornościach, których byłem świadkiem. Nieobecność usprawiedliwiłem chorobą. Zresztą wszyscy i tak rozprawiali tylko o porwaniu samolotu i wkrótce zupełnie zapomniano o mojej dziwnej nieobecności.

Później tego dnia zadzwonił telefon w moim szpitalnym gabinecie. Wasswa.

- Jak się pan czuje? - zapytał. - Nie spodziewałem się, że tak szybko wróci pan do pracy.

Zachował się pan wyjątkowo bezmyślnie. Ma pan szczęście, że nie kazał pana zabić.

Nie odpowiedziałem ani słowem.

- Nicholas... pewnie słyszał pan o tym, że Palestyńczycy porwali samolot z Izraela i wylądowali w Entebbe. Otóż prezydent chce, by przyjechał pan na lotnisko. Mówi, że to bardzo ważne, by zakładnicy otrzymali najlepszą pomoc medyczną, jaką może im zaoferować Uganda.

- Nie sądzi pan, że już dość przeszedłem? - odparłem chłodno.

- Nie może pan sobie pozwolić na sprzeciw. I ja też nie. On mówi, że musi pan szybko tam pojechać.

Ponownie więc udałem się na lotnisko. Zakładników wyprowadzono z samolotu do budynku terminalu. Dwustu pięćdziesięciu ludzi tłoczyło się w niewielkich grupkach. Pomiędzy nimi stali terroryści, wyposażeni w karabiny maszynowe i megafony. Dowiedziałem się, że ta blondynka to Gabriele Krieger, Niemka i członek Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny (a nie OWP, jak wcześniej sądziłem). Do osobnego pomieszczenia odprowadzono Izraelczyków i wszystkich tych, którzy mieli żydowsko brzmiące nazwiska. To był przygnębiający widok. Pozwolono nam dać im tabletki przeciwko malarii i koce, a także zabrać do Mulago na zabieg jedną z kobiet, Dorę Bloch, która czymś się zakrztusiła.

Poza tym zaś Krieger, która oświadczyła, że wraz z towarzyszami zaminowali budynek, nie pozwoliła nam zbliżyć się do nich. Wszyscy pasażerowie byli w szoku - trudno im się zresztą dziwić - również dlatego, że odkryli, iż lądowanie na lotnisku w Entebbe nie jest końcem ich udręki. Najwyraźniej wcześniej sądzili, iż po przylocie do Ugandy zostaną uwolnieni.

Dowiedziałem się, że terroryści wyznaczyli dwa dni na spełnienie ich żądań - uwolnienia pięćdziesięciu trzech palestyńskich więźniów na całym świecie. W przeciwnym wypadku wszyscy zakładnicy, zarówno Żydzi, jak i goje, mieli zginąć.

Właśnie miałem odjechać, kiedy dużym helikopterem Sikorsky przybył Amin wraz z Mediną, oddziałem strażników w białych szortach i czerwonych beretach, a także kilkoma fotografami z Ministerstwa Informacji.

- Wszyscy pozostają na swoich miejscach! - zawołał jeden ze strażników, kiedy cała grupa wkroczyła do środka. - Siadać! Siadać! Nie ruszać się!

Wszedł Amin. Miał na sobie pełne umundurowanie marszałka, z olśniewającą ilością medali. Oprócz Mediny był obecny jeden z jego młodszych synów, chyba Campbell, także ubrany w mundur.

Najpierw Amin przeszedł się między zakładnikami nieżydowskimi, uśmiechając się do nich. Patrzyli na niego z niedowierzaniem. Okazał podziw dla karabinu maszynowego jasnowłosej terrorystki i poklepał po głowie małego francuskiego chłopca. Widziałem, że chłopiec wymienił spojrzenia z Campbellem. Następnie Amin zaklaskał w dłonie. W pomieszczeniu zapadła cisza. Poczułem się jak w teatrze na chwilę przed rozpoczęciem spektaklu.

- Witajcie, moi drodzy przyjaciele. Cóż, mam wam do przekazania dobre wieści. Koniec koszmaru. Prowadzę negocjacje z Palestyńczykami i rozmawiałem przez telefon z Tel Awiwem. W wyniku moich starań zgodzili się wypuścić wszystkich czterdziestu siedmiu zakładników, którzy nie mają paszportów izraelskich ani w ich żyłach nie płynie żydowska krew. Uwalniam tych ludzi niezwłocznie i czynię to w geście dobrej woli. Na zewnątrz czeka samolot, który was zabierze. OK, OK, żegnam was.

Klaszcząc i wznosząc radosne okrzyki, zakładnicy-goje zaczęli zbierać bagaż podręczny. Pospieszyli do nich fotografowie, robiąc zdjęcia im i uśmiechniętemu, wielkodusznemu Aminowi.

Następnie przeszedł do drugiego pomieszczenia. W panującym zamieszaniu udało mi się pójść za nim. Izraelczycy usiedli na swych prowizorycznych posłaniach i przyglądali mu się

wyczekująco. Ponownie zaklaskał w dłonie.

- Tym, którzy mnie nie znają, przedstawię się: jestem marszałek Amin, prezydent Ugandy.

Pragnę powitać was w moim kraju. Obiecuję zrobić wszystko, co w mojej mocy, by pobyt tutaj upłynął wam jak najprzyjemniej. Zadbalem już, żebyście mieli jedzenie, wodę i opiekę medyczną. To ja przekonałem Palestyńczyków, by wypuścili was z samolotu i uwolnili część waszych towarzyszy.

- Musicie zrozumieć, że chcę zakończyć ten incydent jak najszybciej. Palestyńczycy to uczciwi i sprawiedliwi ludzie. Osobiście bywam w Damaszku i widziałem, jak dobrze traktują tam Żydów. Więc rozgośćcie się, proszę, także i tutaj. Udało mi się już przekonać Palestyńczyków, by wydłużyli termin ultimatum, ale musicie zrozumieć, że negocjacje dotyczące waszego uwolnienia jak na razie zakończyły się fiaskiem, ponieważ Izraelczycy są bardzo uparci. Ale będę się nadal starał... ponieważ Bóg Wszechmogący wyznaczył mnie na waszego zbawcę. Zamilkł na chwilę i uśmiechnął się do zdumionych słuchaczy.

- Jeszcze jedno. I to jest bardzo ważne. To jest bardzo, bardzo ważne. Proszę, nie próbujcie uciekać. Ponieważ Palestyńczycy zaminowali budynek. To jest bardzo ważne. A tymczasem uważajcie mnie za swego gospodarza. Postaram się o wasze uwolnienie tak szybko, jak tylko rząd izraelski zrezygnuje ze swojej głupoty i zgodzi się na uzasadnione żądania Palestyńczyków. Przepraszam za niewygody Mam szczerą nadzieję, że żądania Palestyńczyków zostaną spełnione, nim rząd izraelski zmusi ich do użycia ładunków wybuchowych przeciwko wam.

Uśmiechnął się do nich szeroko - trzeba przyznać, że jak na takiego człowieka miał naprawdę piękny uśmiech - i kiwnął głową, jakby dla zapewnienia, że wyświadcza im przysługę. Niewątpliwie zresztą święcie w to wierzył.

- Mam pomysł: uważam, że wy, Izraelczycy, powinniście napisać list do waszego rządu, by go przekonać do spełnienia żądań Palestyńczyków. Wtedy zrobimy wielkie przyjęcie, a potem

możecie wrócić do domu. Czyż to nie lepszy pomysł niż żeby Palestyńczycy wysadzali w powietrze was wszystkich? Widzicie, rząd Izraela ryzykuje waszym życiem. Tak czy inaczej idę teraz negocjować wasze uwolnienie i bezpieczeństwo... Tak, to prawda. Idę nadać kształt waszemu przeznaczeniu i ocalić wam życie... Szalom! Szalom! OK... Szalom.

Pomachał na pożegnanie i wycofał się do drugiego pomieszczenia. Większość gojów zdążyła już wsiąść do nowego samolotu, z wyjątkiem kapitana maszyny Air France, który podszedł teraz do Amina.

- Przepraszam pana, jestem kapitanem Airbusa. Dziękuję panu za uwolnienie części pasażerów. Ale za tych ludzi tutaj także pozostaję odpowiedzialny. To są po prostu zwykli ludzie, niemający nic wspólnego z wojną w Izraelu.

- Ach, kapitan - rzekł Amin. - Miło pana poznać. Kiedy dotrze pan do Paryża, proszę przekazać swemu rządowi wiadomość. Proszę im powiedzieć, że Palestyńczycy pragną jedynie kawałeczka swojej własnej ziemi. Proszę im powiedzieć, że Palestyńczycy pragną tylko jednego: pokoju!

- Monsieur, nie lecę do Paryża. Moim obowiązkiem jest pozostać tutaj i opiekować się pasażerami. Błagam pana, by pozwolił im odlecieć.

- Jak już powiedziałem, kapitanie, miło mi pana poznać. Obawiam się, że teraz muszę już iść. Mam do załatwienia pilną sprawę wagi państwowej. Na kilka dni muszę polecieć na Mauritius na konferencję Organizacji Jedności Afrykańskiej. To moje ostatnie zebranie jako przewodniczącego i dlatego niezwykle ważne.

Oddalił się szybkim krokiem, a w ślad za nim udała się jego świta. Przyglądałem się, jak wsiada do helikoptera. Od podmuchu jego wirników w oknach terminalu zadrżały szyby. Odjeżdżając, zastanawiałem się, czy kiedykolwiek uda mi się stąd wydostać.

Późnym wieczorem, kiedy leżałem już w łóżku, zadzwonił telefon. Wstałem, by go odebrać,

pewien, że to znowu Wasswa. Słysząc było trzaski na linii.

- Halo - rzuciłem do słuchawki.

- Doktor Nicholas Garrigan? - zapytał odległy głos telefonistki.

- Tak?

- Na linii mam panią pułkownik Sarę Zach z Tel Awiwu. Pomyślałem, że to jakiś żart.

- Nicholas? - Rozpoznałem ten głos, choć jego oschłość ciekawie modulował satelita.

- To naprawdę ty? Sara? - zapytałem. - Pułkownik? O co chodzi?

- To ja - odparła. - Muszę z tobą porozmawiać.

- Zostawiłaś mnie - powiedziałem. - Dlaczego wyjechałaś bez słowa pożegnania?

- Musiałam. Sądziłam, że to oczywiste. Ale teraz nie możemy o tym rozmawiać. Są ważniejsze sprawy. Byłeś na lotnisku od czasu porwania?

- Tak. Ale skąd wiedziałaś, że jestem tutaj? Skąd wiedziałaś, że jestem w Kampali?

- Nicholas, nie ma czasu na wyjaśnienia. Chcę, żebyś zrobił dwie rzeczy. Po pierwsze musisz mi opowiedzieć o wszystkim, co widziałeś na lotnisku. Plan pomieszczenia, w którym ich trzymają, ilu jest tam żołnierzy. Potrzebne mi także rysopisy Palestyńczyków i informacje o ich broni.

- Dlaczego?

- Po prostu mi to wszystko powiedz. Możesz tym ludziom uratować życie. Proszę cię, jeśli nie widzisz innego powodu, zrób to chociaż przez wzgląd na nas.

Opowiedziałem Sarze o tym, co tego dnia widziałem. Kazała mi wszystko powtórzyć i zapytała o kilka szczegółów.

- Chcę cię prosić o jeszcze jedną rzecz - rzekła.

- Co takiego?

- Kiedy Amin wróci z Mauritiusa, musisz z nim porozmawiać. Musisz mu powiedzieć, że

będzie uważany za wspaniałego przywódcę i za świętego, jeśli uwolni zakładników. Powiedz mu, że wzbudzi podziw na całym świecie. Możesz to dla mnie zrobić?

- Nie mogę mieszać się w to wszystko - odparłem. - Wystarczająco dużo mam kłopotów.

Wiesz, że wsadził mnie do więzienia?

- Nie wiedziałam o tym, Nicholas. Przykro mi bardzo.

- Nie jestem stworzony do takich spraw, Saro. Chcę tylko wrócić do domu. Chcę się stąd wydostać.

- To twój obowiązek - powiedziała krótko. - Proszę. Czas ucieka.

Czas, czas, czas. Zatacza wokół mnie koło, wyprzedza mnie, zatrzymuje mnie w pół kroku uniesioną dłonią. *Simama hapa?* Kto tam idzie? Ja! Ja pójdę!

Teraz, kiedy jestem na wyspie, w środku przenikliwie mroźnej zimy, ten dziennik - jako że przepisuję go w chłodniejszym, zdrowszym świetle - jeszcze bardziej niż kiedyś jest stęchlą broszurką. Ponieważ zarósł mchem, jeszcze zanim go odesłałem. Nadal go prowadzę - obsesyjnie zapisując wszystko, co odkrywam, wszystko, co zdołam ustalić. Jestem równie odrażający jak marabut przetrząsający śmieci.

Niedawno przeczytałem na przykład w gazetach, że człowiek, który sfalszował dzienniki Hitlera, wystawił na aukcji w Niemczech szarobure slipy. Ten człowiek utrzymuje, że należały do Amina.

Jednocześnie słyszę, że artysta John MacNaught niedawno przedstawił Idiego jako księcia Karola Edwarda Stuarta na przedstawieniu w Inverness Printmakers' Gallery. Idi płynie przez Skye w niewielkiej łódce o nazwie *Uganda*, ubrany w strój szkocki, z białą jakobicką kokardą na berecie, na tle niebieskobiałej flagi z krzyżem świętego Andrzeja. Pod tym wizerunkiem widnieją różne napisy: „Kocham Idiego”, „Wstań i pójdź za Idim”, „Amin High Non Gael” (Amin, Król Szkotów)...

W tym właśnie świecie, nade wszystko szalonym, nade wszystko prawdziwym, przyszło mi żyć przez minione dziesięć prawie lat. Więc wybaczcie mi, proszę, jeśli moje zapiski dziwnie się czyta, jeśli zamierają i odżywają jak słabnący puls.

Obowiązek - tego właśnie słowa użyła Sara. Ani wtedy, ani przez następne miesiące nie wiedziałem, na czym polega akurat mój obowiązek. Nie zadzwoniłem do Amina: za bardzo się bałem, a poza tym za bardzo pochłaniała mnie myśl o ucieczce, bym umiał skoncentrować się nad czymkolwiek innym. Nie miałem jednak pomysłu, jak zrealizować swoje plany, teraz, gdy lotnisko było zamknięte. Musiałbym uciekać lądem, a to było zupełnie co innego.

Po jej telefonie zamieniłem się w kłębek nerwów. Myśl, że przez cały czas naszej znajomości była jakimś tajnym agentem, wydawała się absurdalna - ale na to wychodziło. To stawiało nasz związek w zupełnie innym świetle. Czy w rzeczywistości byłem dla niej tylko przykrywką? Te wątpliwości, a także wspomnienia tego, co widziałem w więzieniu, wracające do mnie każdej nocy, wprawiały mnie w stan nieustannego wzburzenia.

Popadłem w jakieś otępienie i tak właśnie przepracowałem następny tydzień. Sytuacja w Mulago pogarszała się, podobnie jak wcześniej w klinice w Mbararze. Pewnego dnia zabrakło nam wody. No cóż, przecież w całym mieście nie było wody. Nagle się okazało, że nie można używać spłuczki w toalecie, że nie mamy jak sterylizować narzędzi, zmywać podłóg ani kąpać pacjentów. Zadzwoniliśmy do wodociągów, ale powiedzieli, że nic nie mogą poradzić, i koniec końców musieliśmy korzystać z uprzejmości jednej ze spółek paliwowych, która użyczyła cysterny i zaczęła codziennie przywozić nam wodę z Jeziora Wiktorii.

Nie chodziło zresztą tylko o wodę: kończyło nam się wiele podstawowych leków, nie mówiąc o bandażach i igłach. Nękały nas częste kradzieże: sprężarka, której używaliśmy do pomp anestezjologicznych, krzesła i stoły, nawet żarówki z lamp operacyjnych (które nie pasowały do normalnej lampy) - wszystko znikało w ciemnościach.

Te wszystkie wydarzenia związane z zakładnikami i późniejsze pamiętam jako okres całkowitego chaosu. W całym kraju ze sklepów znikało wszystko: zmiotło piramidy mydeł,

zresztą innych artykułów też było jak na lekarstwo. Nawet ceny bananów skoczyły w górę, co było doprawdy absurdalne, jeśli wziąć pod uwagę, ile ich uprawiano. Podobno rolnicy nie uprawiali ich już na sprzedaż. Z powodu inflacji ograniczyli plantacje na tyle, by zaspokoić własne potrzeby. To samo odnosiło się do upraw rynkowych, takich jak kawa i trzcina cukrowa. Problem z cukrem wysunął się przed inne wobec strajku pracowników budowlanych, protestujących przeciwko zmniejszeniu przydziału. Niewielki plon, który zebrano, został wyeksportowany do Libii. Podobno wymieniono go na broń.

Krążyły także opowieści o wielu zabitych *muzungu*. To wreszcie zmusiło kilka zachodnich rządów do złożenia protestu, a nawet - w bardziej ekstremalnych przypadkach - do zerwania stosunków dyplomatycznych. Ale większość tych krajów ochoczo dalej handlowała z Ugandą, nawet w okresie, gdy przetrzymywano zakładników.

Potem nastąpił szturm. Większość ludzi pewnie o nim wie, nie będę się więc tutaj na ten temat rozpisywał. Grupa izraelskich komandosów pewnej nocy wylądowała w Entebbe w samolocie transportowym Herkules. Przylecieli z Izraela, a po drodze uzupełnili zapasy paliwa w Nairobi. Zabito wszystkich terrorystów i uratowano większość zakładników.

Ich sprytny plan polegał na tym, że w czarnym mercedesie, wyladowanym z transportowca, jechał mężczyzna z twarzą pomalowaną na czarno i w mundurze ugandyjskiego generała.

Ugandyjczycy mieli go uznać za Amina - wywiad izraelski przekazał władzom lotniska fałszywą informację o jego wcześniejszym powrocie z konferencji na Mauritiusie. To wystarczyło, by uspić czujność ugandyjskich żołnierzy, którzy zobaczyli zbliżającego się do nich mercedesa. Większość Ugandyjczyków po prostu uciekła, kiedy uświadomili sobie, co się naprawdę dzieje. Na odchodne Izraelczycy wysadzili w powietrze cenną eskadrę odrzutowców MIG Amina.

Po szturmie do Mulago trafiło około pięćdziesięciu rannych żołnierzy ugandyjskich. W mieście zapanowały antyizraelskie nastroje, ale i tak przeżyliśmy szok, kiedy w szpitalu pojawili

się wojskowi po Dorę Bloch, zakładniczkę, którą pozwolono nam zabrać na zabieg. Zbyt przestraszeni, by zaprotestować patrzyliśmy, jak wyciągają ją z łóżka.

- Nie powinieneś być mówić żołnierzom, że ona tam jest - tak odpowiedział Amin

Patersonowi, kiedy ten złożył oficjalną skargę. Później dowiedzieliśmy się, że pani Bloch została zastrzelona i pochowana w bezimiennym grobie.

Po szturmie lotnisko pozostało zamknięte, a zbyt wiele się działo wokół mnie, bym układał szczegółowe plany ucieczki drogą lądową. Kiedy następnym razem zobaczyłem się z Aminem - na jego prośbę, jakiś miesiąc później - mówił jedynie o swoich samolotach.

- Nie trafili na właściwe MIGi - powiedział. - Samoloty, które zniszczyli, czekały na naprawę. Stało się bardzo niedobrze, ale przynajmniej ludzie na całym świecie zgodzą się teraz ze mną, że Izraelczycy to przestępcy.

W trakcie tej rozmowy zauważyłem, że nadal ma przypiętą tę samą izraelską odznakę spadochroniarza, którą otrzymał wiele lat temu, kiedy odbył u nich szkolenie. Możliwe, że osobiście znał niektórych generałów, którzy zaplanowali akcję.

- Tak, stało się naprawdę coś niedobrego - ciągnął Amin. - Ale jako zawodowy żołnierz muszę przyznać, że ta operacja była doprawdy udana.

Przyznał to podczas jednej z naszych nagrywanych rozmów, które kazał mi ze sobą odbyć w okresie po akcji odbicia zakładników. Najpierw mnie nastraszył, teraz z zapałem powtarzał, że powinienem zapisywać i nagrywać rzeczy o nim. A właściwie powinienem powiedzieć - rzeczy, które chciał, bym zapisywał.*

W każdym razie podczas tego właśnie spotkania - choć w tym momencie kazał mi wyłączyć nagrywanie - wydarzyło się coś, co gryzie mnie do dziś dnia.

- Doktorze Nicholas - rzekł Amin, niezdarnie wyjmując kasetę z magnetofonu. - Chcę ci coś pokazać.

* Nie chcąc ponownie podpaść, na marginesie umieszczałem własne zaszyfrowane uwagi, pamiętając o tym, że on

może znowu oddać się lekturze tego dziennika. Właśnie sobie uświadomiłem, że to nadal wchodzi w rachubę - jeśli

ta książka zostanie opublikowana.

Nacisnął dzwonek. Drzwi otworzyły się i wszedł służący z kartonowym pudłem. Postawił je przy nas. Amin wstał i zabrał się za jego otwieranie.

- Mam tutaj prezent dla moich bardzo dobrych przyjaciół z Rafiki Aviation.

Wyjął z pudła coś dużego, żółtego i włochatego. Na początku nie rozpoznałem, co to takiego

- a była to umieszczona na cokole wypchana głowa lwa, ze szklanymi oczami i potarganą grzywą.

- Chciałbym cię prosić o przysługę - rzekł Amin. Zawsze, kiedy mówił coś takiego, moje serce zamierało.

Teraz też zamarło.

- Chciałbym, żebyś pojechał na lotnisko i dostarczył to prezesowi Rafiki Aviation, który jest Kenijczykiem, tyle że *muzungu*. Wydaje mi się, że znasz się także z *muzungu* Swanepoelem, ich pilotem.

- Owszem, znam go - odparłem.

- Nie martw się tamtym - rzekł Amin. - Jeśli dobrze wywiążesz się z tego zadania, zapomnimy o tym, tak samo jak o twoich wszystkich przestępstwach przeciwko państwu. Weź to.

Włożył cuchnące stęchlizną trofeum z powrotem do pudła i wręczył mi je. Było zaskakująco ciężkie.

- Ale po co to wszystko? - zapytałem.

W mojej głowie pojawiła się myśl, że może przesyłka jest wypchana narkotykami.

Marihuana uprawiana w górach Ugandy należała do najmocniejszych na świecie. Być może

właśnie to miał na myśli Swanepoel, kiedy przy naszym pierwszym spotkaniu powiedział, że robi „i takie tam” dla rządu ugandyjskiego.

- Po prostu jedź na lotnisko - odparł Amin. - Tam już czeka na ciebie samolot.

- Ale ono jest zamknięte - rzekłem. - Pan zamknął lotnisko, Wasza Ekscelencjo.

- Jest otwarte dla małych samolotów i samolotów transportowych. Posłuchaj mnie. Wydałem polecenie, by ten samolot zaczekał. To Piper Aztec. Jak już to zrobisz, możesz wrócić do domu i podjąć swoje codzienne obowiązki w Mulago.

- Dlaczego im to pan wysyła?

- *Mtumi wa kunga haambiwi maana* - odparł. - Posłańcowi sekretnej wiadomości nie zdradza się jej znaczenia. Nie, chodzi o to, że raz na jakiś czas wszystkich ludzi, którzy pracują dla mnie, obdarowuję prezentami. Ty też otrzymasz prezent, kiedy już odkupisz swoje winy. A teraz jedź! Nie widziałem innego wyjścia. Nie chcąc ryzykować spędzenia kolejnej nocy w celi, ruszyłem razem z kartonem w kierunku drzwi.

- Zaczekaj - rzekł Amin i podszedł do mnie. - Twoja kasetka. - Położył ją na pudle i obdarzył mnie szerokim uśmiechem.

Tak więc raz jeszcze, całkowicie oszołomiony, zrobiłem to, co mi kazano. Kiedy przyjechałem na lotnisko, zobaczyłem, że choć pas startowy odremontowano po szturmie, budynek terminalu nadal jest w ruinie. Próbowałem dowiedzieć się czegoś od obsługi, która musiała pracować w płóciennych namiotach. Dopóki nie pokazałem im rządowej przepustki, traktowali mnie podejrzliwie, utożsamiając teraz wszystkich Europejczyków z Izraelczykami. W końcu wskazali mi samolot należący do Rafiki, a ja ruszyłem w jego kierunku z pudłem w objęciach. Spieszyłem się. Chciałem się tego po prostu pozbyć. Śmigła już się obracały. Widziałem białą twarz człowieka siedzącego przy tylnym oknie i drugą z przodu. Mężczyzna z przodu miał na uszach słuchawki, ale bez trudu rozpoznałem brodę i mięsiste policzki

Swanepoela. Przy środkowym oknie siedział wilczur z wywieszonym językiem. Od jego oddechu szyba pokryła się parą.

Drzwi do kabiny pilota otworzyły się i automatycznie opuściły się niewielkie, składane schodki. Zupełnie jak w magicznej sztuczce. Po schodkach zszedł Swanepoel.

- Co ty, u diabła, tutaj robisz? - zapytał, przekrzykując hałas śmigieł. - To z twojego powodu musieliśmy czekać?

Pomyślałem o jego szerokiej dłoni na kolanie Mariny Perkins i poczułem przypływ zazdrości.

- Musiałem przyjechać - odkrzyknąłem. - Amin kazał mi to przywieźć dla was.

Postawiłem przed nim karton.

- Co to? - zapytał. - Dlaczego musiałeś to przywieźć? Jesteś teraz jego chłopcem na posyłki?

- Wsadził mnie do więzienia. To głowa lwa.

- Co? - Jego brodą targał wiatr.

- Głowa lwa. Na cokole. Mówi, że to prezent.

- Obląkany sukinsyn - rzucił, pochylając się po karton. - Już nieraz to robił. Przymilał się.

Ostatnim razem dał nam stojak na parasole w kształcie nogi słonia.

Poczułem ulgę, że najwyraźniej uczestniczę w czymś codziennym i że nie zostałem wplątany w nikczemną siatkę przemytniczą, w której Amin gra rolę złowieszczonego ważniaka.

Przyglądałem się, jak samolot startuje, z drzeniem odrywa się od ziemi i kieruje się w stronę zachodzącego słońca. Niewielkie skrzydła przechyliły się lekko na jedną stronę, samolotem trochę szarpnęło - a potem schował się za wzgórzem i tyle go było widać. I wtedy sobie uświadomiłem z obezwładniającym poczuciem własnej głupoty, że mogłem do niego wsiąść i stąd uciec.

Mówi się, że od dwudziestu lat nie było w Szkocji tak okropnej pogody, jaka jest w tej chwili.

Wczoraj po południu drzewo przewróciło się na linie energetyczne i przez godzinę czy dwie nie było prądu. Musiałem zapalić świece, bo zanim się doczekałem przywrócenia elektryczności, zrobiło się ciemno. Światło poszukujące światła. To dlatego zacząłem myśleć o Afryce, o tej sprzed złych czasów: jak walczyłem pewnej nocy z generatorem w Mbararze, a dźwignia rozruchowa nadwerżyła mi nadgarstek. Jak Sara owinęła go bandażem.

Pewnie ledwo by mnie teraz poznała: dużo piję i niezdrowo się odżywiam. Zdeprawowany wspomnieniami czynów, których nie mogę się wyrzec (a przecież nie umiem pojąć zakresu swego współdziałania), zaniedbałem ciało. Moim życiem rządzi koszmarny cykl. Każdego ranka pojawia się pełna spokoju skrucha, a przed nastaniem wieczoru znowu jestem w piekle. To prawda, co pokazuje lustro: nie jestem już szczupłą, ciemnowłosą bladą twarzą, która przybyła do Ugandy; dyplomowanym lekarzem, ale trochę jeszcze owym chłopcem, rozmiłowanym w mapach i znaczkach. Tamto wszystko odeszło lub przerodziło się w coś innego: przekształciłem się w zaropiałą bestię, otoczoną miazmatem zła. Tak, stałem się nim. O mój Boże...

Nazajutrz rano - a tego właśnie dnia dostarczono mi pocztą nowy paszport ugandyjski - wyjrzałem przez okno bungalowu i zobaczyłem, że w nocy z drzewa spadła większość grejpfrutów. Nie przypominałem sobie, by wiał jakiś silny wiatr, wyszedłem więc na dwór w szlafroku, by rozeznac się w sytuacji. Porozrzucane na trawniku żółte owoce wyglądały jak kule bilardowe olbrzyma. Schyliłem się i podniosłem jeden. Był rozmiękły i zalatywał zgnilizną. Pomyślałem, że w pewnym momencie muszą w końcu spaść z drzewa. Albo może jednak była burza. Żałując, że nie zerwałem ich w porę, wszedłem do środka i zjadłem na śniadanie stare płatki kukurydziane.

Gdy dopijałem kawę, włączyłem wiadomości z Afryki BBC. Było to jedyne źródło wiarygodnych informacji na temat Ugandy, ponieważ krajowe media znajdowały się pod ścisłą kontrolą Amina. Wysłuchałem raportu na temat wzrostu napięcia pomiędzy Aminem a prezydentem Tanzanii, Nyerere, i zabicia kilku Karamodża przez oddziały ugandyjskie. Następna wiadomość wprowadziła mnie w konsternację.

Niewielki samolot rozbił się wczoraj po południu nad kenijskimi wzgórzami Ngong. Okoliczni rolnicy zeznali, że należący do Rafiki Aviation w Nairobi samolot stanął w płomieniach. Na pokładzie maszyny, lecącej do Nairobi z Entebbe w Ugandzie, znajdował się pan Michael Roberts, prezes firmy transportowej Rafiki, oraz pilot, Frederik Swanepoel. Przyczyna wypadku pozostaje nieznana.

Cały drżałem, kiedy tego dnia jechałem do pracy Swanepoel nie żyje. Prezenter wiadomości nie wspomniał ani słowem o dostarczonej przeze mnie przesyłce, ale natychmiast zaległo się we mnie podejrzenie, że to były ładunki wybuchowe, a nie narkotyki. Powoli dotarło do mnie, że stałem się mimowolnym narzędziem zbrodni. Dlaczego Amin chciał zabić Swanepoela albo jego przełożonego? Czy spodziewał się, że ja także znajdę się w tym samolocie?

To wydarzenie oraz spowijająca je mgła tajemnicy sprawiły, że jeszcze bardziej zapragnąłem wyjechać. Ale czułem się jak w potrzasku. A poza tym to nie wszystko. Pomijając nieudaną próbę podjętą natychmiast po wyjściu z celi, nie byłem w stanie wykrzesać z siebie chęci do wyjazdu. Co więcej, zamiast zająć się stroną praktyczną lądowej ucieczki, zacząłem wymyślać powody, dla których nie mogłem tego kroku uczynić. Prawda jest taka, że chciałem jeszcze dowiedzieć się wielu rzeczy o Aminie. Teraz zastanawiam się, czy to nie ta potworna, uzależniająca ciekawość, a nie coś namacalnego, sprawia, że wciąż czuję się nieswojo sam ze sobą.

Nadal więc zajmowałem swoje koszmarne miejsce tuż przy ringu. Dopiero po sześciu miesiącach zebrałem się na odwagę, by zapytać Amina o tę głowę lwa. Do tego czasu spisywanie „historii jego życia” i nagrywanie na taśmę jego uwag zdążyło obrócić się w rytuał: jak już mówiłem, on nalegał na te nagrania, zupełnie jakby wiedział, że pewnego dnia jego historia zostanie opowiedziana. Na wszelki jednak wypadek regularnie wysyłałem taśmy do Szkocji, do Moiry, która wyszła za mąż i przeprowadziła się do Edynburga. Wcześniej zaś wysyłałem jej swój dziennik.

- Wie pan, że ten samolot eksplodował, ten z Rafiki? - zapytałem Amina.

- Tak właśnie się stało? - odparł prostodusznie. - Cóż, wiesz, że w dzisiejszych czasach biali ciągle eksplodują.

- Co to znaczy eksplodują? - zapytałem. - Eksplodują gdzie?

- Wszędzie. Po prostu eksplodują i nikt nie wie dlaczego. Nigdy się nie zdarzało coś takiego.

Powinieneś uważać na siebie, Nicholasie.

Pozostałe nasze rozmowy, przy wtórze ciągłego szumu wielkiego magnetofonu Philipsa, były równie dziwaczne.

Pewnego razu, czując lekkomyślny przypływ odwagi, zapytałem prosto z mostu:

- Wie pan, że wielu ludzi uważa pana za szaleńca?

- Przybył tutaj pan James Callaghan. To dowodzi, że nie jestem szalony. Poza tym uwolniłem z niewoli pana Denisa Hillsa, chociaż był złym człowiekiem.

Hills był angielskim wykładowcą na Uniwersytecie w Makerere. W książce uczynił kilka pogardliwych uwag na temat Amina i uniknął kary śmierci tylko dlatego, że Callaghan przyjechał błagać o jego ułaskawienie. Byłem wtedy na wakacjach w rezerwacie dzikich zwierząt, zgodnie z sugestią Amina, więc ominęło mnie to wszystko.

- Ale co ty myślisz na ten temat? - zapytał Amin, rzucając mi ostre spojrzenie. - Uważasz, że jestem szalony?

- Myślę, że to skala ruchoma - odparłem pośpiesznie. - Każdy jest na swój własny sposób nieco szalony.

- Tak - odparł. - Masz całkowitą rację, zwłaszcza prezydent Nyerere. Cierpi na przewlekłą chorobę, polegającą na wywoływaniu szalonych nieporozumień między państwami. Może zarazić tą chorobą ludzi w Ugandzie. On jest niczym prostytutka, która ma rzeźaczkę, i każdy mężczyzna, który z nią śpi, się zaraża.

Prawdę mówiąc, zauważyłem, że Amin ma obsesję na punkcie chorób przenoszonych drogą płciową. Być może stąd właśnie pochodziły plotki, że źródłem jego obłąkanych działań i uwag jest taka właśnie choroba.

- Choroba weneryczna to bardzo częsta przypadłość - oświadczył pewnego dnia lekarzom w Mulago. - Jeśli chory mężczyzna lub chora kobieta przychodzi do szpitala, wyleczcie ich, inaczej się przekonacie, że zarażą całą ludność. Bardzo lubię kobiety ugandyjskie i nie chcę, by zniszczyła je rzeźaczka.

Innym razem powiedział coś szczególnie dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę katastrofalne rozprzestrzenianie się AIDS już po moim wyjeździe z kraju.

- Doktorze Nicholas - rzekł. - Rozmawiałem z żołnierzami. Chodziłem między ogniskami,

które sobie pałą. Mówią, że pojawiła się jakaś nowa choroba i że jest ona śmiertelna. Chcę, żebyś to zbadał.

Tak uczyniłem. Mimo że nie udało mi się odkryć niczego niezwykłego (co było w tamtych czasach w Ugandzie pojęciem względnym), Amin kazał mi opublikować mój raport. Został wydrukowany przez Uganda Stationery Office, oprawiony w czerwoną okładkę i śmiem stwierdzić, że nadal gdzieś istnieje. Ale teraz czasami zastanawiam się, czy aby niektórzy moi pacjenci z Ugandy nie byli wczesnymi przypadkami AIDS. Kto wie? W końcu to tylko jeszcze jedna przyczyna śmierci, a Bóg świadkiem, że było ich naprawdę wiele.

Ale Amin to nie tylko śmierć i mrok. Czasami opowiadał mi o swoich dzieciach, a w takich chwilach szczerze wierzyłem w jego słowa.

- Kocham moje dzieci, doktorze Nicholas. Dzięki nim czuję się bardzo szczęśliwy i bardzo dumny. Dziecko lwa jest lwem, nic dodać, nic ująć.

A potem obracał to dobre wrażenie w niwecz, przychodząc na przykład do szpitala i domagając się pozostawienia sam na sam ze zwłokami. Podpatrzyłem go raz przez zasłonę w kostnicy. Spoczywało tam ciało wysokiego rangą wojskowego, które zostało przyniesione przez kilku innych żołnierzy.

Powiedzieli, że zginął w wypadku samochodowym, ale jego rany wyraźnie wskazywały na okrutne pobicie.

Tak czy inaczej Amin zjawia się w Mulago i żąda, by pozostawiono go samego. Widzę przez zasłonę jego cień. Najpierw salutuje. Następnie słyszę uderzenie jego buta o podłogę. Potem pochyla się nad ciałem i cień znika z mego pola widzenia. Słysząc niezbyt głośny, taki jakiś wodnisty odgłos, jakby ktoś ssał landrynkę.

Kiedy wchodzę tam później, odkrywam nacięcie w jamie brzusznej - zaskakująco zgrabne - i widzę, że usunięto śledzionę. Nie wiem, czy ją zjadł, schował do kieszeni czy zrobił z nią

cokolwiek innego. Doprawdy, w tym przypadku to był rzeczywiście, jak ujął to Galen, *organum plenum mysterium*.

A więc to by było na tyle, jeśli chodzi o kanibalizm. Wszystkie te historie o głowach w lodówce... cóż, żadnej nie widziałem. W każdym razie nie w lodówce. Ale nie ma się co dziwić, że nie widziałem. Byłem blisko Amina, owszem, ale to nie znaczy, że otwierał lodówkę przy każdej mojej wizycie.

Pewnego dnia poruszyłem jednak tę kwestię.

- W zachodniej prasie można znaleźć wiele wzmianek o tym, że je pan ludzkie mięso.

Pamiętam, jak w jednym z przemówień powiedział pan, że rzeczywiście to robił.

Wybuchnął jedynie śmiechem.

- Ach, cóż, doktorze Nicholas, zna pan to powiedzenie na temat kanibalizmu?

- Nie?

- Nie da się go udowodnić i tyle. - Klepnął się w udo.

- Dlaczego?

- Ponieważ dowód został zjedzony!

Jak już mówiłem - co miałem robić w obliczu czegoś takiego? Ogarniała mnie po prostu cicha rozpacz. Nie znosiłem dwuznaczności tej całej sytuacji. Wiedziałem, że poprzez utrzymywanie z nim kontaktów coraz głębiej zapadam się w przerażającym bagnie - nie wiedziałem jednak, jak mogę dalej tam żyć bez tych kontaktów. Tak naprawdę zabicie go nie było żadnym wyjściem. Oznaczałoby jedynie narażenie się na niebezpieczeństwo. Ale była taka chwila, jedna tylko, kiedy kusiło mnie, by wykonać zabójcze instrukcje Stone'a.

Był piątkowy wieczór. Amin zażywał masażu w hotelu Imperial i chciał się ze mną widzieć - „natychmiast”. Nie było to nic nowego. Kazał mi zaczekać na zewnątrz, aż masaż dobiegnie końca. Kiedy dziewczyna w białym płaszczu odsunęła zasłonę, wszedłem do środka. Amin leżał

na brzuchu na wyłożonym poduszkami skórzanym stole do masażu, tak bardzo otumaniony ogromem przyjemności, że ledwie zdawał sobie sprawę, co się dzieje. Jego skóra lśniła w świetle soluksa. Obok na stole leżał elektryczny masażer, który wyglądem przypominał suszarkę do włosów, oraz kilka tajemniczych tubek z kremem. Koło nogi od stołu dostrzegłem wiklinowy kosz, a w nim kilka wilgotnych chusteczek, a potem zobaczyłem wiszącą na oparciu krzesła kowbojską kaburę z wielkim srebrnym rewolwerem, który wcześniej widziałem u niego w sypialni.

Nagle dotarło do mnie, że mógłbym po niego sięgnąć - że mógłbym sięgnąć po rewolwer i strzelić mu w głowę, gdy tak leżał rozwalony. Po trochu tego pragnąłem. Nie uczyniłem tego tylko z jednego powodu. Nie chciałem mianowicie, by wyszło na to, że przekonały mnie argumenty Stone'a. To, że w ogóle myśl o morderstwie przemknęła mi przez głowę, wynikało z czegoś znacznie głębszego i ciemniejszego: przyznaję, że rzeczywiście przyłapałem się na analizowaniu, jak przyjemne byłoby zabić go, przyłożyć ciężki pistolet do jego skroni i poczuć szarpnięcie, a potem zobaczyć jego świński mózg na ścianie.

I tak właśnie było. To ostatecznie przekonało mnie do ucieczki z Ugandy, wtedy właśnie przekroczyłem linię: nagle i w sposób druzgocący uświadomiłem sobie, że stałem się na tyle podobny do Amina, że zastanawiam się nad zabiciem go dla czystej przyjemności.

A tymczasem on po prostu przekręcił się i zaczął biadolić na temat Tanzanii.

- Nie dają spokoju moim oddziałom na granicy - oświadczył. - Mam zamiar wielkimi siłami zaatakować Tanzanię. Chciałbym, żebyś mi doradził w kwestii najzdrowszych racji żywnościowych dla żołnierzy uczestniczących w tej operacji. Chcę, byś to zrobił do jutra rana.

Wolny już od morderczych instynktów, wróciłem do bungalowu i zabrałem się za ten plan żywieniowy, którego chciał Amin. Pomyślałem sobie, że jeśli mu go dam, rozwieję w ten sposób wszelkie jego podejrzenia (mimo że nie wypowiedział ich na głos) dotyczące mojego wyjazdu.

Oto efekt mojej pracy:

Śniadanie

½ funta papki z kukurydzy/prosa

Kawy lub herbata

Obiad

2 ½ funta matoke (papka z gotowanych bananów)

6 uncji mięsa bez kości (baranina lub wołowina) lub 12 uncji okonia nilowego

½ uncji tłuszczu (smalec lub ghi)

1 funt warzyw sezonowych (pomidory, ketmia, dynia)

Kolacja

½ funta chleba (placek kisra)

¼ litra kawy

1 uncja cukru

1¼ uncji masła lub margaryny

9 uncji mięsa lub ryby

Także: racje piwa i papierosów

Potem poszedłem spać. Nie był to jednak spokojny sen, gdyż tej nocy nawiedził mnie koszmar o Idim. Siedział przy biurku. Widziałem go od tyłu. Trzymał coś w dłoni. To coś było oszronione... zwapniałe i wyszczerbione - niczym odłamek łupka ubrudzony pyłem kredowym. Tyle że on tym pisał, to coś skrzypiało, ale papier był pusty. Zupełnie pusty. Wtedy wszystko rozpadło się na kawałki i pojawił się srebrny rewolwer, leżał w kącie na podłodze w celi. Coś pokrywało metal. Na błyszczącej powierzchni znajdowała się szara, kleista ciecz. Potem wszystko się zmieniło... Jak szybko dzieją się takie rzeczy? Pojawiła się potężna skała i zaczęła pękać... na dwie części. Czerwone niebo, a w pęknięciu w skale jakaś postać. Sylwetka człowieka, ale wielkiego, pierwotnego i apodyktycznego. Wtedy ponownie pojawił się ten obraz, ten, który wciąż do mnie wraca, łódź napelnia się ciemnym płynem. Po sam brzeg...

Myślałem o tamtych czasach nawet wtedy, gdy nie pisałem. Obierałem ziemniaki w zlewie w chacie i myślałem o tamtych czasach. Wydłubywałem oczka trójkątnym końcem skrobaczki i myślałem o tamtych czasach. Stałem w kuchennym oknie i choć raz do środka wpadały jasne promienie słońca. Ucichł także wiatr. Może wreszcie nadchodzi lato.

To dziwny tydzień, ale nie tylko z powodu pogody. Z promu zjechał konwój hipisów z dredami, w kaftanach i z dziećmi o brudnych twarzach. Ustawili przyczepy kempingowe na łące pod Ossian i kierownictwo robi z tego aferę. Ze to niby odstraszy gości. Ale rolnik, który jest

właścicielem tej łąki, pozwolił im się tam rozbić, więc niewiele da się zrobić. Kiedy człowiek schodzi ze wzgórza, zaskakuje go widok ich ognisk i dźwięki głośnej, dziwnej muzyki.

Pewnie mają prawo być tutaj tak samo, jak każdy inny. Miejscowym zdaje się to nie przeszkadzać, czy też przeszkadzają im na tyle, na ile każdy nowo przybyły: wszyscy jesteśmy dla nich po prostu „przybyszami”. Tak nazywają mnie, tak nazywają eleganckich gości Ossian, i tak też nazywają hipisów. Malachi, mój znajomy rybak mówi, że przybyli tutaj z powodu ruin Maelrubha. To stary klasztor na grzbiecie góry W pobliżu znajduje się także kamienny krąg i w broszurach dla turystów przypisuje mu się oczywiście pogańskie bzdury. Składanie ofiar, pradawne obrzędy... Co roku rzeczywiście odbywa się tu święto i Malachi uważa, że właśnie dlatego przyjechali hipisi. Mówi, że jeśli o to naprawdę im chodzi, nie będą tu mile widziani. Jedną z zasad tych obrzędów mówi, że żaden obcy nie może wziąć w nich udziału ani dotykać narzędzi do nich używanych.

Malachi to najbardziej przyjacielski ze wszystkich ludzi, których poznałem od czasu przyjazdu tutaj. Pozwala mi korzystać z jednej ze swoich łodzi: jest urocza i stara, ciemnobrązowa, nitowana, a szerokie, zachodzące na siebie deski są zabezpieczone na brzegach smołą. Malachi mówi, że została zbudowana na wzór dawnych łodzi wikingów. Wiele wieków temu najechali na tę ziemię i wielu miejscowych uważa siebie bardziej za Skandynawów niż Szkotów. Wydaje mi się tylko, że wikingowie nie mieli na rufach swoich statków wielkiej lampy do nocnych połowów, tak jak Malachi. Jest podłączona do akumulatora samochodowego. Nie wypływam na tej łodzi w nocy, oczywiście, ale widziałem, jak on to robi: żółte światło lampy wcina się w ciemne zakamarki Sound. Ja jedynie pływam sobie po zatoce podczas weekendów. Tylko wtedy czuję się oczyszczony i pełen życia. Głos morza, owodniowe kołysanie, haust słonego powietrza w płucach - to one właśnie dają to uczucie. Tak jakby dawna dusza, zła dusza, przemieniła się w maleńkie krople wody, a te spadły do oceanu, by zagubić się na wieki.

W telewizji mówili, że podłożono kolejną bombę. Na posterunku policji w Lothian. Można by sądzić, że w takich miejscach uważniej sortuje się paczki. Do zamachu przyznali się ci sami ludzie, Armia Rządu Tymczasowego. Nikt nie zginął, ale posterunkowa straciła dłoń.

Uwaga dla mnie: Szkocja i Uganda nierozzerwalnie powiązane. Przeczytałem dzisiaj, że połączono ich Izby Adwokackie. Kolejne zjednoczenie. Bóg raczy wiedzieć dlaczego. Nasz

Dobry Pan jest w niebie i czyni to, co Mu się podoba.

Podczas gdy planowałem ucieczkę, trwały pospieszne przygotowania do inwazji na Tanzanię. Radio Uganda na bieżąco komentowało sytuację. Pamiętam, jak pewnego razu usłyszałem: W dniu dzisiejszym doktor Amin poinformował dyplomatów o inwazji Tanzanii na Ugandę. Oświadczył, że siły zbrojne, które zaatakowały Ugandę, to mieszanina wygnańców z Ugandy i żołnierzy tanzańskich.

Doktor Amin oświadczył: „To armia prezydenta Nyerere wprawiła tę machinę w ruch poprzez agresywną konfrontację zbrojną przeciwko Ugandzie z powodów, których prezydent Nyerere nie raczył nam nawet przedstawić, ani ujawnić prawdy dotyczącej jego motywów skierowania armii na teren Ugandy ze swoimi czarnymi ambicjami. Jeśli Tanzania jeszcze raz spróbuje wdrzeć się do Ugandy, poniesie tego konsekwencje, ponieważ Uganda bez trudu może uderzyć w Tanzanię z większą siłą niż ona to uczyniła”.

Prezydent podkreślił jednakże, że darzy wielką miłością niewinnych ludzi z Tanzanii i że dlatego właśnie Uganda nie zareagowała, kiedy zaatakowały nas tanzańskie siły zbrojne.

Ale przecież zareagowała, doskonale o tym wiedziałem. Kiedy mu wręczyłem plan racji żywieniowych, Amin powiedział, że chce, bym sporządził także instrukcje dla sanitariuszy wojskowych. Napisałem dla nich broszurę zatytułowaną *Leczenie ran w strefie działań wojennych*. Czuję, że w ten jeden sposób uczynię coś dobrego, zanim wyjadę. Przynajmniej tak mogę uratować komuś życie.

Szczegółowo opisałem różnorakie sposoby postępowania na polu walki. Napisałem, że podstawowym obowiązkiem chirurga jest zapobieganie posocznicy Położyłem nacisk na różnicę pomiędzy gojeniem się doraźnym, czyli przez rychłozrost (zamknięcie rany poprzez połączenie

jej brzegów szwami, tak jak w wypadku rany od maczety), a gojeniem opóźnionym, czyli przez ziarninowanie (kiedy skóra ma zarosnąć ranę). Wyjaśniłem znaczenie odróżnienia w ranie tkanki żywej od martwej. I że ta druga, nieusunięta, może doprowadzić do gangreny.

Wyjaśniłem, jak postępować w wypadku ran od szrapnela i kul. Teoretycznie mechanizm wygląda następująco: martwica tkanki pojawia się w obrębie kilku centymetrów wokół drogi pocisku. Pocisk uwalnia energię, która jest absorbowana przez przyległą tkankę, przekazując jej przyspieszenie, które odrzuca ją do przodu i na zewnątrz. Energię kinetyczną można wyliczyć z wzoru $A = mv^2$, gdzie m to masa, a v prędkość pocisku.

Amin był bardzo zadowolony z broszury. Zdecydowanie wróciłem do łask. A jednak nie wyjechałem. Dopiero kilka miesięcy później zdecydowałem się wreszcie to uczynić.

Siedziałem w swoim gabinecie w Mulago, kiedy goniec przyniósł mi plik listów. Był tam wyciąg z konta w Wielkiej Brytanii (z którego wynikało, ku memu zdziwieniu, że pieniądze Stone'a nadal na tym koncie są), list od Moiry, w którym pisała, że stryjeczny dziadek pozostawił mi w spadku chatę na Hebrydach Zewnętrznych, oraz brudna koperta z krajowym znaczkiem z żurawiem koronastym.

W środku znajdował się list, krzywo napisany czarnym długopisem na kawałku liniowanej kartki:

Bwana, muszę do pana napisać bo był już tu pan i słyszał był co się wtedy stało. Ten chłopak Gugu, którego wziół pan do domu był bardzo niedobry. On był w wielkie kłopoty.

Proszę jedź szybko do Mbarara i pomagaj mu w tych złych sprawach.

z poważaniem, Nestor (stróż).

List ten przywołał wszystkie wspomnienia z Mbarary - teraz uważam, że był to najszcześniejszy okres mego pobytu w Ugandzie. Nagle ogarnęło mnie uczucie czułości i odpowiedzialności za chłopaka, którego tam zostawiłem. Myśl o tym, że okrutni żołnierze Amina zrobili mu coś tak

straszego, jak wszystkim ofiarom, które w ciągu ostatnich kilku lat widziałem w Kampali, napełniała mnie strachem i poczuciem winy Postanowiłem, że jeśli coś w końcu zrobię, zabiorę z Ugandy również Gugu. Uznałem, że to byłby sposób na odpokutowanie powiązań z Aminem. Kiedy już podjąłem tę decyzję, poczyniłem pospieszne przygotowania. Z banku w Kampali zabrałem tyle pieniędzy, ile tylko mogłem, wypełniłem kilka kartonowych pudeł jedzeniem i kupiłem dwa kanistry paliwa. Mój plan był taki, by pojechać do Mbarary, zabrać Gugu i przekroczyć granicę z Rwandą, nawet przez busz, jeśli będzie trzeba.

Sytuację komplikowała coraz większa liczba samochodów wojskowych na drogach, ponieważ ofensywa Amina wobec Tanzanii przybrała na sile. Wysyłał bardzo dużo czołgów i oddziałów na granicę. W radiu mówili, że tylko zeszłej nocy libijski Tupolew zrzucił pięć bomb na północną Tanzanię. Trzy tysiące ugandyjskich żołnierzy przekroczyło granicę i wkroczyło do rejonu Kagera w północnozachodniej Tanzanii, prowadzonych przez tak zwane Samobójcze Oddziały Uderzeniowe. Tanzańscy pogranicznicy wycofali się, a setki miejscowych wzięto jako zakładników. Ugandyjczycy przypuścili atak na ranczo i przeprowadzili przez granicę tysiące sztuk bydła, a także wysadzili w powietrze sejfy w bankach i sklepach. Fabryki i domy zostały zrównane z ziemią.

Amerykański Sekretarz Stanu, Cyrus Vance, przesłał Aminowi depezę, próbując go przekonać do wycofania się z terytorium Tanzanii. Amin odpowiedział mu na antenie radiowej, oskarżając Amerykę o „wtrącanie się do afrykańskiego sporu w celu urządzenia nowego Wietnamu”.

- Siły zbrojne Ugandy pobiły rekord w historii świata - kontynuował Amin. - Z

ponaddźwiękową prędkością dwudziestu pięciu minut odebrali terytorium Kagera, które tanzańscy i chińscy imperialiści przetrzymywali przez zbyt wiele lat. Wszyscy Tanzańczycy muszą wiedzieć, że znajdują się pod bezpośrednim zwierzchnictwem Pogromcy Imperium

Brytyjskiego.

Prezydent Tanzanii Nyerere wezwał Organizację Jedności Afrykańskiej do podjęcia działań przeciwko Aminowi, zarazem broniąc swego prawa do odwetu bez negocjacji:

- Czy negocjuje się z włamywaczem, który wszedł do domu? Nastąpiła jawna, bezczelna i bezwstydną napaść na Tanzanię. Chcę wiedzieć, co zrobi z tym OJA. Oczekuję, że kraje afrykańskie każą Aminowi się wycofać, nim ludzie zaczną mówić o powściągliwości. Oczekuję zdecydowania... Od czasu, gdy Amin uzurpował sobie władzę, zamordował więcej ludzi niż Smith w Rodezji, więcej niż Vorster w Afryce Południowej. Ale w Afryce się przyjęło, że jeśli Afrykańczyk zabija innych Afrykańczyków, nikogo to nie obchodzi. Gdyby Amin był biały, wolna Afryka wystosowałaby wiele potępiających go rezolucji. Czarna skóra daje teraz upoważnienie do zabijania afrykańskich braci.

Kiedy jechałem do Mbarary, tanzańska piechota maszerowała w kierunku Gór

Księżycowych, choć wtedy nie miałem co do tego pewności. Martwiłem się tym, że trasa mojej ucieczki biegnie zbyt blisko domniemanej strefy działań wojennych. Ale nie miałem wielkiego wyboru. Przejście graniczne z Kenią było zamknięte. Sudan był za daleko. Najłatwiej będzie przekroczyć granicę rwandyjsko-zairską, jako że w górach jest wiele przejść granicznych. W każdym razie tak sobie myślałem, że w tym całym wojennym zamieszaniu uda mi się niezauważenie przekroczyć granicę na ogromnym przecież obszarze. Zastanawiałem się, czy nie załatwić sobie specjalnej przepustki od Amina, pod pretekstem sprawdzenia bazy medycznej na polu walki - ale ostatecznie uznałem, że tym sposobem zwróciłbym jedynie na siebie uwagę.

Pierwsze sto mil lub coś koło tego przejechałem bez przeszkód. Minąłem farmy otoczone zielonymi żywopłotami, lasy eukaliptusowe, pola kukurydzy, jaskrawozielone od jej łodyg, konwoje ciężarówek z bananami - w jednej z nich do bocznego lusterka przyczepiono kilka różowych ryb tilapia, by nie zdążyły się zepsuć - i jak zwykle mnóstwo ludzi siedzących bokiem

na bagażnikach rowerów, podczas gdy rowerzyści walczyli z upałem. Dzieci machały, widząc moją białą twarz i wołały:

- *Muzungu! Muzungu!*

Przez chwilę wydawało się, że w Ugandzie Amina wszystko jest jak należy.

Na drodze było także wiele wojskowych ciężarówek, ale po prostu je wyprzedzałem i jechałem dalej. Niektórzy żołnierze, siedzący z tyłu tych pojazdów, uśmiechali się nawet do mnie. Na drzwiczkach nadal miałem czerwony krzyż, którego namalowanie zasugerował mi kiedyś Swanepoel, i coś mi się wydaje, że to właśnie mi pomagało.

Przejechałem przez równik - zobaczyłem po prawej stronie niewielkie obozowisko Angol-Steve'a - i kiedy zbliżałem się do Mbarary, zacząłem rozpoznawać znajome charakterystyczne obiekty: Masaka, Lyantonde, jezioro Mburo, drzewo niedaleko Sangi, gdzie dostrzegłem gnieźdzące się pelikany - z drogi wyraźnie widać było ich wielkie, łyżkowate dzioby.

Pomyślałem o nieszczęsnym Kenijczyku - jego zakrwawionej twarzy i mojej nieporadności, o żołnierzu w kapciach. To było gdzieś tutaj.

Zdążyłem minąć centrum handlowe Biharwe, kiedy dostrzegłem po prawej stronie drogowskaz na las Nyamityobora: przypomniało mi to znak, który widziałem z Wazirim - ten od Nieprzebytego Lasu, bardziej na zachód. I właśnie wtedy zobaczyłem na szczycie wzgórza posterunek wojskowy. Zatrzymałem się. Słońce chyliło się już ku zachodowi i widziałem w oddali sylwetki żołnierzy, wierzchołek namiotu i kanciasty kształt landrowera.

Nie wiedziałem, co zrobić. Miałem przy sobie swoje normalne dokumenty, ale mogły nie wystarczyć. Mogli mnie odesłać, a nawet aresztować. Mógłbym spróbować zachowywać się, jak gdyby nic się nie stało, wykorzystać swój czerwony krzyż, powiedzieć, że jestem lekarzem Amina - ale w takich okolicznościach nawet to niosło ze sobą ryzyko. Siedziałem przez chwilę w samochodzie, silnik pracował na jałowym biegu, a ja zastanawiałem się, co zrobić.

Wtedy zobaczyłem, że landrower zjeżdża ze wzgórza. Znajdował się pół mili ode mnie, ale było oczywiste, że zobaczyli przez lornetkę, że czekam tutaj, i jadą na zwiad.

Wpadłem w panikę, pospiesznie wrzuciłem wsteczny bieg i zawróciłem. Widziałem w lusterku, że landrower przyspiesza. Rozglądałem się w popłochu - widziałem umykający spod kół asfalt, a po obu stronach drogi busz. Wcisnąłem gaz do dechy i silnik zawył. Wtedy zobaczyłem drogowskaz na las i wykonałem gwałtowny skręt w lewo, wjeżdżając na drogę gruntową. Zerknąłem, czy nadal za mną jadą. Jechali, też skręcili w las. Wcisnąłem mocniej pedał gazu, wkrótce droga stała się bardzo wyboista i zrobiło się też ciemniej, ponieważ jechałem pod baldachimem utworzonym przez korony drzew.

Droga wiła się wśród wielkich połaci zieleni. Nogę trzymałem na pedale gazu, moje spojrzenie biegało od drogi do lusterka - ale przez te zakręty nie widziałem, czy nadal są za mną. Dlaczego po prostu się nie zatrzymasz, pomyślałem, i nie wyjaśnisz kim jesteś? Ale strach kazał mi jechać dalej.

Nie wiedziałem, jak daleko są za mną, kiedy zobaczyłem następny drogowskaz - „Domek myśliwski w lesie Nyamityobora” - i nagle znalazłem się na polanie, a droga się urwała. Stała tu chata z bali, przypominająca domek kempingowy, tyle że była opuszczona i podniszczona.

Siedziałem w samochodzie, ściskając kierownicę, i nie miałem pojęcia, co teraz zrobić.

Dostrzegłem kilka ścieżek prowadzących w głąb lasu, ale były zbyt wąskie, by zmieścić się tam samochód.

Wyłączyłem silnik i nasłuchiwałem. No i usłyszałem: zza ściany z liści i lian dobiegł mnie dźwięk silnika tamtego pojazdu. Chwyciłem, co mogłem - tak się akurat złożyło, że jedynie portfel i paszport - i wyskoczyłem. Rozejrzałem się. Wokół był jedynie busz: busz i opuszczona chata.

Nie wiedziałem dokąd pójść. Rozejrzałem się raz jeszcze. Wszędzie mroczna zieleń. Wtedy

ponownie usłyszałem silnik. Tym razem bliżej. Zerknąłem na chatę: na pewno tam wejda.

Ścieżki? Zbyt oczywiste. Ponownie popatrzyłem na busz. Było w nim całe mnóstwo kryjówek, ale to właśnie mnie zniechęciło. Za duży był wybór i gdybym pobiegł, musiałbym się przedzierać przez gęstą roślinność. Zostawiałbym za sobą ślady i bez trudu trafiliby za mną.

Spokojnie, nakazałem sobie w myślach. Zostań i poczekaj na nich, wykorzystaj nazwisko Amina, by się z tego wykręcić. Tymczasem szybko się ściemniało. Wkrótce zobaczyłem, jak światła landrowera odbijają się od szerokich liści, a po chwili ponownie znikają, zasłonięte skupiskiem drzew. To jeszcze bardziej mnie przeraziło.

I znowu reflektory, są i nie ma. Jeszcze raz rozejrzałem się dziko. Wtedy dostrzegłem, że pod chatą znajduje się wąska przestrzeń. Schowałem się w niej w chwili, gdy na polanę wjeżdżał landrower.

W dziurze czuć było stęchlizną, a pod plecami miałem suche rośliny. Usłyszałem, jak otwierają się drzwiczki landrowera. Zostawili włączone reflektory i w ich świetle dostrzegłem parę wojskowych butów. Spodnie z owijaczami. A potem jeszcze jedna para. Głos zakrzyknął coś w suahili. Do tego czasu zdążyłem podłapać język na tyle, by rozróżnić słowo *wapi* - gdzie. Gdzie jesteś? Jeszcze przez chwilę słychać było głosy.

Pojawił się jeszcze jeden strumień światła: latarka. Usłyszałem, jak otwierają się drzwi furgonetki, a potem kroki wracają w stronę chaty Skrzypnięcie schodka, odgłos otwieranych drzwi i ciężkie kroki na drewnianej podłodze nade mną.

Mówili coś do siebie. Po twarzy chodził mi jakiś owad. Nasłuchując kroków nad głową, nie śmiałem się poruszyć, by go strząsnąć. Słyszałem, jak rozmawiają, jak otwierają szafki. Szukając mnie. Serce mi łomotało.

Po jakimś czasie wyszli na zewnątrz i obeszlili polanę. Ponownie snop światła latarki. Potem jeden z nich podszedł do dziury pod chatą. Buty - blisko mnie, tak blisko, że czułem zapach potu

i skóry - i snop światła przesunął się po szparze. Przemknął po mnie. Pomyślałem, że to już koniec. Ze mnie zobaczyli.

Zesztywniałem. Ale wtedy znowu zrobiło się ciemno, a żołnierze ruszyli w kierunku furgonetki. Zaglądali do środka, grzebiąc w moich pudłach z jedzeniem.

Nagle rozbrzmiała długa seria z karabinu maszynowego. Widziałem, jak nogi mężczyzny trzęsą się, przyjmując na siebie energię odrzutu. Obrócił się wokół własnej osi niczym bąk, posyłając serię w otaczające nas kępy drzew. Kule trafiły w chatę, rozszepiając drewno i roztrzaskując to, co zostało z szyb w oknach.

Sparaliżowało mnie całego, tylko głowa pracowała, gdyż w myślach gorączkowo modliłem się, by nie obniżył linii ognia, by nie ukucnął i nie strzelił w szparę pod chatą.

Równie szybko, jak się pojawiła, tak jakby ktoś wyłączył światło w mieszkaniu na przedmieściu, kanonada ucichła. Cisza. Wtedy jeden z mężczyzn roześmiał się. Usłyszałem, jak wsiadają do landrowera, a potem zawarkotał silnik. Snop światła przesunął się po liściach, gdy samochód zawracał. Wypuściłem długi strumień powietrza i już-już miałem wyturlać się z dziury, kiedy usłyszałem inny dźwięk, dziwnie znajomy. Odgłos uruchamiania drugiego silnika i snop światła. Ponownie zeszywniałem i przyglądałem się poruszającym się kołom. Zabrali toyotę. Jak idiota zostawiłem w środku kluczyki, a teraz mi ją zabrali.

Leżałem tam przez pół godziny, nie mając pojęcia, co zrobić. Nie mogłem zostać tutaj do rana. Nie mogłem iść do lasu. Przez korony drzew wpadało nieco światła księżycy, ale jeśli wejść głębiej w las, na pewno się zgubię, nawet gdybym szedł jedną ze ścieżek. Uniosłem rękę i uchwyciłem się oślizgłej krawędzi drewna, by się podciągnąć w górę. Gdy to robiłem, w zaroślach pod chatą, tuż po swojej prawej stronie usłyszałem szelest. Podskoczyłem i uderzyłem przy wychodzeniu głową o drewno.

Stałem w zagajniku, plecami do chaty, wpatrując się w ciemną otchłań lasu. Byłem teraz

sam. Równie dobrze mogłem być nagi. Widziałem jedynie ciemną ścianę liści, tu i ówdzie przecinaną snopami księżycowego światła i sporadycznymi punkcikami złota: żywe lampy składające się z tysięcy robaczków świętojańskich. Ale z ciebie głupiec, zdawały się mrugać do mnie w alfabecie Morse'a, och, ale z ciebie głupiec.

Nie wiem, co kazało mi się odwrócić. Może znowu spod chaty dobiegł do moich uszu szelest. Może był to po prostu szósty zmysł. Ale za mną, kiwając się pionowo w dobitnej ciszy tej oświetlonej księżycowym światłem polany, znajdował się wąż. Długi na cztery albo pięć stóp, kołysał się wyprostowany. Jego niewielka główka uniesiona była wysoko, a oczy miał przejrzyste i zielone niczym szmaragdy Mamba, pomyślałem osłupiały.

Odwróciłem się, by uciec, ale wąż zdążył już ruszyć do ataku. Poczułem - bardzo wyraźnie - jak dwa czubki zębów jadowych przesywają materiał moich spodni i wbijają mi się w łydkę. Na początku nie czułem jednak żadnego bólu, i dalej biegłem, waląc na ślepo w olbrzymie, ciężkie liście, które zwisały nad ścieżką. Biegłem, aż powietrze zaczęło mi palić płuca. Biegłem i biegłem, a przez cały czas czułem tępe pulsowanie, które przesuwało się po nodze coraz wyżej. Zaczęło mnie boleć, a potem zaczęło bardzo boleć. Wreszcie wzbierająca fala bólu dotarła do mego uda, a stamtąd do miednicy, i musiałem biec wolniej. Właściwie już tylko szedłem. A potem się zatrzymałem.

Zatrzymałem się w ciemności, pośród nieprzerwanie szumiących gałęzi i niezwykle soczystego zapachu lasu, nawoływań ptaków i dziwnych zwierzęcych pisków. Zacząłem płakać, a łzy spływały po moich brudnych policzkach. Położyłem się, szlochając. Skuliłem się na leśnym poszyciu i pomacałem łydkę. Miejsce ugryzienia było spuchnięte. Nagle strasznie zachciało mi się pić i uświadomiłem sobie, że to dlatego, że przez moje ciało przepływa trucizna. Gdy gorączkowo wyliczałem w myślach możliwości, próbując sobie przypomnieć cokolwiek z diagnostyki ukąszeń węża, poczułem, jak mój układ nerwowy zaczyna się sprzeciwiać samemu

sobie, a każdą część mojego ciała zdaje się łapać skurcz. Ręce i nogi zaczęły drgać i ostatnim obrazem, który zobaczyły moje przewracające się oczy, była twarz Idiego Amina, wysoko na czubkach drzew i rozciągająca się od korony do korony.

Nie pamiętam za bardzo, co się działo później - właściwie to nie wiem nawet, jak długo to wszystko trwało. Moje następne wspomnienie jest takie, że coś trąca mnie w bok, a przez korony drzew przeświecają skrawki błękitnego nieba. Tyle że nie widzę go zbyt dobrze, gdyż mam spuchnięte powieki. Właściwie to cały jestem spuchnięty. W głowie dudnią mi uderzenia młota, a drżące kończyny zlane są potem.

Poczułem, jak niewidzialna dłoń podaje mi coś do ust. Nierówna krawędź bukłaku. Włoski - sierść kozła? - pomyślałem w osłupieniu - sierść małpy? - załaskotały mnie, a potem popłynęła chłodna woda, oblewając mi wargi i brodę i dostając się do nosa. Następnie dłonie przekręcały moje ciało, delikatnie go dotykając. Skrzywiłem się, gdy dotknęły opuchniętej łydki. Usłyszałem stęknienie i szelest krzątaniny. Poczułem, jak nogawka moich spodni podjeżdża do góry, a potem usłyszałem, jak ostrze przecina materiał.

Krzyknąłem, gdy ostrze dotknęło miejsca, gdzie ukąsił mnie wąż, a potem poczułem, jak wokół rany zaciskają się wargi. Ssanie. A potem splunięcie. Plwocina z plaśnięciem wylądowała na liściu. Kolejne ssanie, kolejne splunięcie. A potem, podczas gdy moja odpływająca świadomość walczyła niczym ktoś próbujący się uchwycić skraju urwiska, usłyszałem serię przeszywających gwizdów.

Następne, co sobie przypominam, to to, że jestem w łonie. A przynajmniej wydawało mi się, że tak właśnie jest w łonie. Poruszałem się - poruszałem się rytmicznie - do przodu i na boki. Dotarło do mnie, że przemieszczam się po leśnej ścieżce. Nade mną nadal widniało upstrzone obłoczkami niebo, a szerokie liście smagały mi twarz, gdy je mijałem w swoim kokonie. Owinięty byłem cuchnącymi skórą. Kołysząc się z boku na bok, słyszałem głosy

rozmawiających mężczyzn, i gdy biegli ze mną, na tle poszycia migały mi podeszwy ich stóp. Co jakiś czasem czułem pod plecami grunt i widziałem nad sobą postacie. A potem ponownie podnosili drągi i kontynuowaliśmy podróż. Kiedy dotarliśmy do wioski, myśliwi dali mi jeszcze trochę wody i umieścili w niskiej chacie. Przypominała igloo, tyle że wykonano ją z gałęzi i liści, które wygięto i powbijano w ziemię. Opatulony w skóry, oddzielające mnie od twardego podłoża, znowu zapadłem w sen.

Kiedy się obudziłem, przez owalny otwór w chacie mogłem się lepiej przyjrzeć swoim wybawcom. Było ich około dziewięciu - trzy kobiety, trzech mężczyzn (jeden stary i brodaty), a reszta to dzieci. Nie wyglądało na to, by mieli ze sobą wiele, jeśli nie liczyć narzędzi do polowania, na które składała się strzelba, chyba o dużym zasięgu, całkiem sporo łuków i strzał (o grotach ciasno owiniętych sznurkiem i pokrytych czymś, co wyglądało jak smoła), i kilka dużych sieci. Wszyscy byli w większym lub mniejszym stopniu nadzy, choć dwie kobiety miały spódniczki zrobione z suchych liści bananowca, a jeden z mężczyzn miał na sobie coś, co przypominało anorak z Woolworths: niebieska elana z futrzaną lamówką. Rozpięty i niemal w strzępach, wisiał na nim niczym szynel.

W pewnym momencie do mojej chaty weszła kobieta z kawałkiem na wpół ugotowanego mięsa, które było nie do rozpoznania - wgryzłem się w nie żarłocznie. Kucnęła przede mną w owalnym otworze. Z długimi, wysuszonymi piersiami, które zwisały jej prawie do talii, wyglądała w moich oczach - w moim halucynacyjnym, wywołanym przez jad stanie - jak sportowiec z narzuconym na ramiona ręcznikiem.

Następnie podała mi metalową puszkę z jakimś płynem o kwaśnym zapachu i gestem nakazała to wypić. Z wdzięcznością sączyłem gorzką, ziołową miksturę. Poczułem senność i ledwie udało mi się zanotować, że przekręca mnie i zaczyna masować spuchnięte ciało wokół ugryzienia. Miałem niejasne wrażenie, że przykleja mi tam coś lepkiego i ciepłego, a potem

znowu zapadłem w sen.

Kiedy się obudziłem, w ustach czułem wyraźny smak ziołowego naparu, tak jakby wcześniej odparował, niczym tajemnicze, skarmelizowane sosy, które moja matka przygotowywała kiedyś na piecu w Fossiemuir. Pomyślałem o niej - w fartuchu w róże, w tamtym zimnym, kamiennym domu, a potem pomyślałem o nim - równie niezdołym jak drzwi do skarbcza, ukrywającym się za gazetą w salonie. Nie mogłem obarczać ich winą za tę sytuację. Miałem tego świadomość. Nie mogłem ich też winić za introwertyczne, egocentryczne usposobienie, które zaprowadziło mnie tutaj. Wiedziałem, że to po prostu ja, ta szkatułka upośledzeń emocjonalnych i nieśmiałych, skrytych pasji... Ani razu - pomyślałem, kiedy leżałem w tej cuchnącej chacie - nie wyrwałeś mijającemu cię światu niczego wspaniałego ani odważnego.

W mojej głowie pojawiła się wtedy dziwna wizja: Amin w kabinie maszynisty w starej lokomotywie parowej, ubrany w mundur i czapkę, uśmiechnięty szaleńczo w obłoku pary i kurzu. Do odgarniacza przypasany był Winston Churchill, mój ojciec, ja... Już sam nie wiedziałem, twarze wciąż się zmieniały.

Kiedy ta surrealistyczna wizja zniknęła z mojej rozgorączkowanej głowy, poczułem - w tej ciemnej, stęchłej przestrzeni z owalnym otworem, przez który wpadało światło - jak coś pełznie mi po kostce. Sięgnąłem ręką i ścisnąłem to coś. Poczułem, jak między kciukiem a palcem wskazującym rozgniatą się mrówka. Przypomniałem sobie wtedy innego owada, ćmę - z zakurczonymi skrzydłami w kolorze zaschniętej krwi - która sfrunęła niedaleko nas w ogródku piwiarni, gdzie odbyłem z ojcem moją ostatnią rozmowę. Cóż, niezupełnie rozmowę: siedzieliśmy tam po prostu nad kuflami z piwem i kawałkami sera, dzień przed moim wyjazdem, i prawie w ogóle się do siebie nie odzywaliśmy. Kiedy ćma przysiadła na drewnianym stole, na surowej twarzy ojca pojawił się uśmiech. Zdjął okulary - widzę je teraz, zaciśnięte w pergaminowej skórze jego dłoni - i odezwał się, a w jego oczach pojawiło się coś zbliżonego do

gwałtownych emocji:

- Najważniejsze - wyszeptał, jakby przekazywał mi jakieś herezje - to zminimalizować krzywdy, które się wyrządza innym.

Gdy ponownie zaczęło mnie ogarniać ogromne zmęczenie, starałem się zachować w głowie obraz jego twarzy - oczy zasnuwane szarawą mgiełką czegoś niedopowiedzianego, wysokie czoło, przechodzące w łysinę między dwiema kępkami siwych włosów, usta, których kąciki miały tendencję do opadania - ale nie udało mi się to zbyt długo. Przeklinałem się za to, że nie pojechałem na jego pogrzeb; być może ona by... „Nie uczyniłem żadnej krzywdy” - wymamrotałem na głos, tak jakby siedział obok mnie w półmroku chaty - „nie uczyniłem żadnej krzywdy”. O, mój ojciec...

Moje powieki opadły, poddając się przemożnej potędze snu, zabierając jego, zabierając Amina w tym wyrwanym spod kontroli pociągu, zabierając mój odizolowany obraz wioski, zabierając światło.

Dzień później, po spożyciu większych ilości jedzenia i naparu z ziół, czułem się na tyle silny, by wstać i przejść się po obozowisku. Wszędzie czuć było intensywny zapach dymu z ogniska i pieczonego mięsa. Zajęci reperowaniem sieci i obdzieraniem ze skóry małej antylopy (jej małe, przypominające guziki rogi pokryte były filcem, nie zwracali na mnie zbyt wielkiej uwagi.

Pomimo wzdętych brzuchów i twarzy, które nawet u dzieci były pomarszczone niczym stary pergamin, wydawali się cieszyć dobrym zdrowiem - i wyglądali na w pełni zadowolonych.

Czułem się niczym dziwne zwierzę, które pojmano i pozwalano mu się udomowić.

Zastanawiałem się, czy to pigmeje, o których wspominał Waziri (ale wydawali się zbyt wysocy), czy może nawet dawno zaginione plemię Bacwezi.

Ale tej nocy, kiedy leżałem pod kopułą liści i gałęzi, doszło do zażartej kłótni. W świetle ogniska czasami udawało mi się dostrzec twarze adwersarzy. Od czasu do czasu jeden z nich -

najczęściej starzec z brodą - pokazywał na mnie. Nie rozumiałem oczywiście ani słowa z tego, co mówili.

Następnego ranka mężczyzna w anoraku przebudził mnie z głębokiego snu i gestem dał mi znać, że mam iść za nim. Szliśmy jakieś dwie godziny jedną z leśnych ścieżek. Co chwilę musiał się zatrzymywać, bym mógł go dogonić: nadal byłem dość słaby, lecz nawet w innych okolicznościach nie zdołałbym dotrzymać mu kroku, tak szybko przemykał przez las. Bez problemu odnajdywał ścieżkę wtedy, gdy ja sądziłem, że po prostu znikła w ponurej ścianie zieleni. Nie jestem w stanie opisać, jak bardzo tam było zielono - z wyjątkiem obecnych wszędzie chmar białych motyli, w ilościach niemal irytujących. Nie były to duże motyle z gór, lecz małe, leśne, fruujące wokół bez wyraźnego celu. A przynajmniej tak to wyglądało. Nie ma tutaj kwiatów, pomyślałem ze zdumieniem, kiedy szedłem, potykając się.

Podczas jednego z postojów, na polanie przypominającej tę, z której żołnierze zabrali mój samochód, mężczyzna nagle spojrzął na mnie i chwycił się za nos. Uświadomiłem sobie wtedy, że unosi się tam zapach zgnilizny. Mężczyzna wskazał miejsce, gdzie ścieżka przed nami przecinała inną ścieżkę: znacznie szerszą, na tyle szeroką, by mógł nią przejechać samochód, i zauważyłem, że rzeczywiście są tam ślady po kołach, które powgniaty liście w ziemię.

Ruszył tą szerszą ścieżką, teraz znacznie wolniej, a ja podążyłem za nim. Smród przybierał na sile. Wkrótce ujrzeliśmy coś, co sprawiło, że struchlałem z przerażenia. Przed nami wyrastała wielka sterta ciał, wysoka na niemal dwadzieścia stóp. Ciała, choć zrzucone bezładnie, sprawiały wrażenie spoczywających w spokoju. Głowy, niektóre nadal w hełmach, opierały się o ramiona sąsiadów, stopy jakby dla wygody, leżały na ich brzuchach; ręce i nogi splatały się niczym liany. Wszystko pokrywała chmara cętkowanych, niebieskich owadów, która podnosiła się i opadała, jakby kopiec był spokojnie oddychającym ciałem jakiegoś śpiącego olbrzyma. Na dole, spod strzępów maskującego materiału, połyskiwały kości ciał najstarszych. Tylko w ten sposób w

wilgotnej masie organicznego materiału można było rozpoznać, gdzie kończy się ludzkie ciało, a zaczyna roślinność. Na twarzach leżących na samej górze zwłok najświeższych widać było strach albo zdziwienie, albo uniżone błaganie.

Gdziekolwiek widoczne były rany: prosta ciemna dziura po kuli, w innych wypadkach bardziej zatrważające ślady po torturach - przypalone miejsca (jedno ramię było po prostu zwęglonym kikutem), wyłupane oczy i powykręcane kończyny. Na czyimś czole widniały głębokie nacięcia, takie jak na bochenku pieczonego w domu chleba, inne czoło po prostu się zapadło, tak jakby usunięto jakąś niezbędną część czaszki. Niemal wszystkie były ciałami mężczyzn. Przed nimi leżały przypadkowe fragmenty ubrania i sprzętu wojskowego: furażerka, mosiężna sprzączka, żółty plastikowy but. Na polanie porozrzucały także butelki po piwie, a tuż u swych stóp zobaczyłem wdeptane w ziemię niedopałki papierosów. Ponownie poczułem pulsowanie w łydce i zrobiło mi się niedobrze: pewnie nie sprawił tego ani odór, ani widok tego stosu, lecz widok niedopałków i butelek. Wyobraziłem sobie ludzi, którzy stali tutaj, palili i pili, pozbywając się swoich ofiar - i wreszcie zacząłem wymiotować.

Dopiero gdy skończyłem - klęcząc i opierając się na rękach przed tym koszmarnym ołtarzem - dotarło do mnie, że mężczyzna w anoraku zniknął. Nagle ponownie pochwycił mnie w szpony strach przed drzewami. Pobiegłem z powrotem szeroką ścieżką, przeciąłem miejsce, do którego szliśmy razem, i biegłem dalej. Zdążyłem pokonać jakieś sto metrów, gdy usłyszałem głośny ryk muzyki pop, a tuż za zakrętem przekroczyłem próg lasu.

Kiedy zalało mnie niebieskie światło, po raz ostatni poczułem pulsowanie w łydce.

Przykucnąłem i odsunąłem na bok postrzępione nogawki brudnych spodni. Kompres, który kobieta w obozowisku położyła w miejscu ugryzienia, wywoływał swędzenie. Czarny i poprzecinany czymś włóknistym wyglądał niczym odznaka. Podważyłem go paznokciem i lekko pociągnąłem. Pod nim ukazał się medalion białego ciała, czystego na tle brudu. Pośrodku

znajdowały się dwa ślady po ugryzieniu, a skóra wokół nich była martwa: bielsza niż biała.

Ścieżka zaprowadziła mnie na teren, który wyglądał jak łąka. Dalej kręta droga schodziła do przycupniętego w dolinie miasteczka. Z radością i zdumieniem rozpoznałem, że ta dolina to Bacwezi, a miasto to Mbarara. Poszedłem kawałek dalej przez wysoką, brązowożółtą trawę, znużony i nadal osłabiony po jadowitej przygodzie, ale wdzięczny, że wróciłem do cywilizowanego społeczeństwa. Tak wtedy pomyślałem.

Stałem pośród trawy, która sięgała mi aż do kolan. Przedemną, na gołej ziemi pod akacją, dwóch chłopców - z których jeden miał pod ręką radio tranzystorowe, co wyjaśniało muzykę pop - przeprowadzało kilka długorogich zebu tam i z powrotem po łąkach prosa. Młócka z marszu. Przyglądałem się, jak gruby, twardy materiał - którego brązowo-niebieskie ślady pełne były tajemniczej biologicznej historii - wydeptuje niewielkie nasiona z przypominających sitowie łąk. Z wapna i żelatyny wyłoni się węglowodan, rzekł Pan. A z dżungli Nicholas Garrigan, doktor medycyny.

Lekko trącane kijkiem krowy chodziły w kółko. Jeden chłopak, ten mniejszy, pilnował ze wszystkich sił, żeby zwierzęta się nie rozłaziły. Jego zadaniem było utrzymanie krów mniej więcej w miejscu, gdzie leżało proso, podczas gdy drugi nie pozwalał im się zatrzymać. Sterta prosa również się poruszała, a nasiona chaotycznie podskakiwały w górę i w dół. Jak ruchy Browna, pomyślałem. Wokół mnie muzyka pop wiała się wśród cętkowanej trawy, łąka zdawała się udzielać odpowiedzi swym słodkim oddechem, a mnie ogarnęło dziwne uczucie, że zaglądam głęboko w bezmiar czasu. Ponownie pomyślałem o Bacwezi, ich obrzędach z krową i figowcem, i o królu Batembuzi, Isuzie, tym, który nie umiał odnaleźć powrotnej drogi z krainy cieni. Tymczasem jedno ze zwierząt wypróżniło się. Jego odbył zamykał się i otwierał szybko jak migawka aparatu. Na stertę prosa spadła porcja łajna, rozrzucając je na wszystkie strony. Przeszedłem obok pastuszków - przyglądali mi się ze zdumieniem, bo i zapewne

przedstawiałem sobą ciekawy widok: *muzungu* ze zmierzwionymi włosami, w brudnym, postrzępionym ubraniu - i ruszyłem drogą do miasta. Mojego dawnego miasta.

Po drodze minęła mnie ciężarówka. Jej zakurzone podwójne koła toczyły się po ciepłym asfalcie: tak ciepłym, że czułem, jak mięknie pod moimi butami. Na ciężarówce, o dziwo, była ustawiona jej własna przyczepa, więc podwójne koła stały na podwójnych kołach. Na przyczepie stał mężczyzna. Głowę miał owiniętą jakimś białym materiałem, który częściowo zasłaniał mu twarz. Przyjrzałem mu się (dzięki ustawionej na ciężarówce przyczepie znajdował się dość wysoko), a on podniósł ramię, tak jakby chciał jeszcze bardziej zasłonić twarz. Nagle pomyślałem o Wazirim, jego masce chirurgicznej na szyi, i poczucie winy, choć bardziej chyba strach, przyprawiło mnie o drżenie. Ruszyłem pospiesznie dalej, niepewny, co powinienem zrobić.

Kiedy zbliżyłem się do miasta, minąłem czworo dzieci w mundurkach, siedzących na niskim murku w cieniu drzewa butelkowego. W drodze ze szkoły do domu. Przyglądały mi się, gdy je mijąłem - przyglądały się temu białemu człowiekowi, który wyszedł z buszu. Ich mundurki były jaskrawoniebieskie, i zazdrościłem im ich świeżości.

Przyspieszyłem kroku. Nie miałem pojęcia, gdzie znajdę chłopca, ale nawet po tych wszystkich przejściach list Nestora bardzo mnie martwił. Dotarłem do obozu wojskowego i ku swemu bezgranicznemu zdumieniu dostrzegłem w przelocie twarz Gugu. A przynajmniej tak mi się zdawało.

Bardzo, bardzo trudno było cokolwiek dostrzec i trudno się było ruszyć. Stała tam masa ludzi, wznoszący okrzyki tłum patrzył na coś przed bramą obozu... mężczyźni i kobiety, żołnierze i cywile, młodzi i starzy. Niektórzy żołnierze wydawali się naprawdę bardzo młodzi.

Zacząłem przeciskać się przez tłum. Kiedy zdołałem dotrzeć bliżej, przez gąszcz kończyn dojrzałem kogoś przywiązanego do krzesła. A potem ponownie dostrzegłem twarz Gugu.

Uniesione ramię, dłoń zaciśnięta na karabinie. Karabin opadł. Postać na krześle zachwiała się.

Nie, tylko nie on, pomyślałem, tylko nie Gugu, błagam, Boże.

Przeciskałem się do przodu. Panował ogromny hałas. Usłyszałem, jak jedna z kobiet zawodzi, i tłum nieco się rozluźnił. A potem ponownie zgęstniał. Ludzie ruszyli w moim kierunku. Uciekali. Wykorzystując sposobność, na oślep, w podartym ubraniu, rzuciłem się do środka okręgu. Jeden z młodziutkich żołnierzy, ten który bił, odwrócił się do mnie, i zobaczyłem jego twarz. Zobaczyłem też zakrwawioną twarz postaci na krześle. To nie był Gugu.

Wtedy ponownie usłyszałem ten grzmiący odgłos, a chłopak, komiczny w za dużym mundurze, skierował karabin na mnie. Brązowa lufa dotknęła moich żeber i pod wpływem bólu coś sobie uświadomiłem. Ze to jednak on. Ze twarz, którą widziałem, należała do Gugu. Ale on nie siedział na krześle.

Leżałem już wtedy na ziemi, a on - mały człowiek, zupełnie odmieniony, chłopiec, na którego twarzy niewinność skrywała się pod brutalnością, stał nade mną, z lufą karabinu wymierzoną w moją stronę. Wtedy rozległ się kolejny grzmiący odgłos, tym razem gdzieś bliżej, i dołączył do niego świst. Odgłos ten dotarł tak blisko, że wypełnił mi uszy i nos, tak blisko, że niemal czułem jego smak. W powietrzu zapachniało metalem i spalenizną, a tłum krzyczał, krzyczał na widok płomieni nad nami.

Uderzył w nas podmuch. Ten na krześle poleciał do tyłu, jego nogi wystrzeliły w górę. A potem Gugu nade mną, jego także zmiotło z ziemi. Wszystko zmiotło z ziemi. Ziemię zmiotło z ziemi. Siła eksplozji pozbawiła mnie tchu, a moje ciało przeokoziłkowało w pełnym dymu powietrzu.

Upadłem - w górę! Kiedy traciłem przytomność, w mojej głowie płynęła myśl - powolna i po omacku sięgająca swej własnej obcości - myśl o przegranej. Przed sobą miałem Gugu, odmienionego chłopca, z którego odpadały mundurowe skrzydła. Jego mostek był czerwony i

oddzielał się od reszty ciała niczym na wpół otwarty kwiat.

W pewnym momencie widzę zbliżającą się do mnie postać, z determinacją maszerującą przez proso. Za sitowiem rozciąga się parujący, niebieski teren. Przedemną, za nim. A potem ziemia zapada się. To Amin.

W innym miejscu widzę słonia, jedno ucho odstające bardziej niż drugie. Jeden kieł także dłuższy od drugiego. Przechyliła się na bok w teatralnej pozie. Widzę bruzdy w jego szorstkiej, szarobrązowej skórze, jego potężne nogi i kępkę sierści na końcu nędznego ogona. Trąba zwisa mu bezwładnie między kłami. Wtedy niespodziewanie uderza sam siebie tą trąbą. To Amin.

Gdzie indziej widzę hipopotama, stojącego wśród trawy, tuż obok wysokiego kaktusa.

Przewraca się na plecy. Zaskakuje mnie delikatność jego niemal różowego brzucha. Ale to Amin, to jego stopy, sterczące na stole do masażu, kiedy wchodzę do pomieszczenia.

Nad rzeką w trawie widzę trzy nosorożce. Trzy nosorożce stoją niewzruszenie w swoich zbrojach na sawannie, nad długą, płytką rzeką. Przesuwają swe pancerze i - muszę to tylko powiedzieć wyraźnie w moim śnie płyty ziemi i delikatne kości na czubku głowy jakiegoś dziecka także się poruszają. Dziecko w Fort Portal, dziecko w Fort William. Ale to Amin, to po prostu trzech Aminowie nad tą długą, płytką rzeką.

W ogrodzie widzę rozkładającego ogonpawia, wyjącego jak potępieniec. To także Amin, medale Amina i jego nieobecne spojrzenie.

A potem widzę mojego ojca i jestem wolny. Czyta „Scotsmana”. Ale nagłówek z tyłu brzmi: „Droga ciemna, cel nieznany”.

Za każdym razem, kiedy to mnie nachodzi, czuję się, jakbym oglądał powtórkę. Powtórkę pierwszego razu, gdy podróżuję, gdy podróżuję i pokonuję jakąś trasę. Wtedy to też jednak wydawało się powtórką. A teraz, tak jak wtedy, nie mogę spać, tylko widzę Amina...

Kiedy się ocknąłem, zobaczyłem wpatrzoną we mnie zatroskaną czarną twarz. Mężczyzna na

czubku głowy miał wojskowy hełm w stylu amerykańskim, a z jego ust zwisało krótkie cygaro.

- O, obudził się pan, *bwana*. Martwiliśmy się, że zrobiliśmy krzywdę *muzungu*. To by nie było dobre dla naszych stosunków międzynarodowych.

- Eee? - Oczy miałem zalane krwią. Uświadomiłem sobie, że po raz kolejny przemieszczam się, tyle że tym razem w jakimś pojeździe. Rozejrzałem się. Po bokach zwisała broń i sprzęt, a w górze dostrzegłem głowy kierowcy i pasażera oraz grubą szybę.

- Prezydent Nyerere byłby ze mnie bardzo niezadowolony, gdyby tak właśnie się stało, więc bardzo się cieszę, że pan żyje - rzekł mężczyzna z cygarem, kucający pod niskim dachem pojazdu. Właśnie zaczynało do mnie docierać, że to transporter opancerzony.

- Gdzie ja jestem? - Podniosłem się z trudem na łokciach, a w obitych żebrach poczułem straszny ból.

- Jest pan pod opieką Tanzańskich Sił Obronnych. Pozwoli pan, że się przedstawię. Jestem pułkownik Armstrong Kuchasa, dowodzący operacją naszego kraju przeciwko agresorowi ugandyjskiemu, Idiemu Aminowi Dadzie.

Podał mi kubek z herbatą i kawałek czerstwego chleba.

- Ci chłopcy - rzekłem - to przecież jeszcze dzieci.

- *Kidogo* - odparł pułkownik. - Mali żołnierze. Amin zaczął ich wykorzystywać. Oni są bardziej bezwzględni niż cała reszta. Gwałcą kobiety w moim kraju. Chłopcy... gwałcą dorosłe kobiety.

Sączyłem w zamyśleniu herbatę, rozmaczając w ustach twardy chleb.

- A teraz - rzekł, przyglądając mi się - musi mi pan wyjaśnić, co pan tutaj robi. Szybko.

Właśnie przeprowadziliśmy zwycięską ofensywę na Mbararę. Jesteśmy bardzo zajęci.

W oddali ponownie usłyszałem ogień artyleryjski i - znacznie bliżej - męskie głosy.

- Próbowałem wyjechać - odparłem. - Miałem już dosyć. Myślałem, że uda mi się przedostać

do Rwandy.

- To by nie było możliwe. Teraz musi pan zostać z nami. Problem w tym, że nasi sanitariusze są bardzo zajęci z powodu tych walk. Będzie pan musiał wytrzymać podróż do Kampali. Proszę się nie martwić, tę wojnę my wygramy.

Poczułem nagły ból w żebrach, gdy samochód podskoczył na wyboju.

- Właśnie stamtąd przyjechałem - rzekłem. - Ale nie musicie się mną opiekować. Sam jestem lekarzem. Może nawet mógłbym pomóc waszym sanitariuszom. Nie jestem poważnie ranny.

Bardzo bolą mnie tylko błony bębenkowe.

- Pan jest lekarzem? Naprawdę? Jak się pan nazywa?

- Garrigan - odparłem, siadając. - Najpierw miałem praktykę tutaj niedaleko, a później w Kampali.

Pułkownik Kuchasa klepnął się w udo, a potem zaciągnął się cygarem.

- No to pięknie. Dawaliśmy tanzańskie leki lekarzowi *muzungu*.

Pojazd zatrzymał się, a mężczyzna poleciał do przodu. Wisząca na jego szyi lornetka zakołysała się.

- No dobrze, doktorze Garrigan - rzekł, odzyskując równowagę. - Będę musiał teraz iść.

Proszę zostać w samochodzie: oni jeszcze nie stanęli do walki, ale w okolicy jest wiele ugandyjskich oddziałów.

- Tutaj? - zapytałem.

- Proszę się nie martwić. Będzie pan bezpieczny. O ile nie mają RPG.

- A co to takiego?

- Granatniki przeciwpancerne. Żeby przebijać pancierz. Roześmiał się. Następnie wziął do ręki laskę, która, jak powoli sobie uświadomiłem, była krótką dzidą, uniósł właz i wystawił głowę przez wieżyczkę. Głosy rozmawiających mężczyzn stały się nagle głośniejsze.

Usłyszałem, jak woła coś w suahili, a potem usłyszałem odpowiedź. Schylił się i krzyknął do mnie:

- Garnizon Simba z Mbarary wycofał się do Masaki. Tam właśnie teraz się udajemy. Major Mabuse, dowódca garnizonu, ukrył się w kościele na szczycie wzgórza. Musimy teraz ruszyć pieszo do ataku. Pan musi zostać tutaj w transporterze. Ruszy za nami, kiedy zakończy się szturm.

Po tych słowach wygramolił się z pojazdu, a ja leżałem przez kilka minut, słuchając poruszających się wokół mnie żołnierzy. Ich głosy docierały do mnie stłumione przez stalowe ściany pancernego pojazdu. Byłem nadal dość osłabiony po ukąszeniu węża - aczkolwiek ta maź, której użyli myśliwi, cokolwiek to było, zadziałała wprost rewelacyjnie - a w głowie nadal dzwoniło mi po wybuchu. Byłem jednak ciekawy tego, co się dzieje, więc po kilku minutach wstałem i wyrząłem ostrożnie.

Dookoła znajdowały się jeszcze dwa albo trzy transportowce, trzy cysterny z paliwem, kilka ambulansów i jakieś dziesięć ciężarówek z haubicami i innym sprzętem artyleryjskim. Poza tym cały kontyngent, rozłokowany w poprzek drogi przede mną, szedł pieszo. Kiedy to wszystko obserwowałem, z buszu wyfrunęła para szkarłatno-czarnych dzierzb, których spokój zakłóciło pojawienie się ludzi.

Kawałek dalej pułkownik wymachiwał dzidą, rysując jakieś linie na piasku przed kilkoma innymi oficerami. (Kiedy to sobie przypominam, odruchowo myślę o Michaelu Cainie w *Zulu* - „Nie rzucajcie we mnie tymi cholernymi dzidami!“. Ten sam dawny obraz Afryki, ten, który mnie tu przywiódł i skazał na klęskę, powraca niczym widmo).

Starszy sierżant wykrzyknął jakiś rozkaz i kolumna zatrzymała się. Podczas gdy pułkownik wydawał kolejne dyspozycje odnośnie rozmieszczenia, sierżant zaczął coś mówić do żołnierzy. Musiało być ich około tysiąca - wyglądali zawadiacko w ponczach, mundurach polowych i

kapeluszach z gałązek. Kiedy skończył, ruszyli dalej.

Droga do Masaki wciniała się w busz: nie było celu samego w sobie. Nie widziałem, co mają zaatakować. Gdy poczułem w powietrzu benzynę, odwróciłem się w wieżycze, by sprawdzić, skąd dochodzi ten zapach.

Jakieś ćwierć mili dalej widać było to, co pozostało z Mbarary. Nawet z takiej odległości i poprzez kłęby dymu można było dostrzec, że tanzański ostrzał okazał się miażdżąco skuteczny. W prześwicie między czarnymi kłębami - z tej perspektywy nie większym niż ludzka dłoń - nagle dostrzegłem coś znajomego: stalową wieżę ciśnień. Nie byłem pewny, czy to ta na osiedlu, czy na terenie kliniki, ale i tak zrobiło mi się smutno. Słońce ponownie oświetliło stal. Wtedy dotarło do mnie, że wieża leży przewrócona.

Wiadomości od umarłych, pomyślałem, kiedy stal ponownie zabłysła. Przyglądałem się wiszącej nad miastem kuli czarnego dymu. Myślami powróciłem do Gugu. Jak mógł się przemienić w kogoś takiego? Z syna wybitnego kartografa w krwiożerczego *kidogo*, w ciągu zaledwie kilku lat. Czy to właśnie Amin uczynił Ugandzie? A może to była moja wina - może powinienem był się opiekować Gugu, zostać tam i być dla niego ojcem? Albo zabić Amina, kiedy miałem taką okazję? Na tym etapie, tak mi się zdaje, nie przyniosłoby to już niczego dobrego.

Do rzeczywistości przywołał mnie terkot karabinu maszynowego. Odwróciłem się i zobaczyłem, jak żołnierz tanzański pada na ziemię. Sierżant coś krzyknął. Twarz postrzelonego mężczyzny była zalana krwią.

Żołnierze rozpierzchli się na dwie strony drogi. Biegli, a potem kucali za kłocowatymi drzewami i wysoką, ostrą trawą. Trzymali przed sobą uniesione karabiny, czasami wysyłając przed siebie serię ognia.

Przed nami, między drzewami przemykały niewyraźne sylwetki uciekających żołnierzy

Amina. Dalej, wysoko w górze, bateria artylerii rozpoczęła kanonadę. Widziałem, jak żółte i

czerwone błyski rozświetlają grzbiet wzgórze. Wokół świsnęły kule, a na ziemię padały pociski, wiele daleko za nami. Kiedy w powietrzu rozlegał się przenikliwy świst, Taniańczycy rzucali się na ziemię i kulili jak najmocniej. Po wybuchu wstawali i dalej biegli naprzód.

Transporter opancerzony - w którym, pewnie niemądrze, czułem się w miarę bezpieczny - ruszył powoli. Po prawej minęliśmy oddział artylerzystów ustawiających talerze moździerzy na miękkiej ziemi. Przyglądałem się, jak ustawiają na talerzach pochyłe rury, napełniają je pociskami i odwracają głowy w oczekiwaniu na hałas. Bang! bang! bang!, a potem koszarne czekanie na wybuch właściwy. Czułem, jak kurczą mi się błony bębenkowe, a hałas i odbłask zmusiły mnie do zamknięcia oczu.

Kiedy je otworzyłem, nad polem walki kłębiły się chmury niebieskiego dymu. Taniańska piechota przemieściła się do przodu, za żołnierzami zaś toczyły się transportery i pozostałe pojazdy. Przed sobą widziałem rozciągnięte w wysokiej trawie ciała, zapewne Ugandyjczyków - obie armie miały na sobie takie same polowe mundury - podczas gdy za mną moździerze nieprzerwanie wysyłały śmiertelne pociski wysoko ponad moją głowę.

Oprócz ciał, wśród żółtawej roślinności był porzucany także sprzęt (karabiny i ładownice do amunicji, plecaki i manierki, pogniecione ubrania). Sama droga była pokryta bitewnymi szczątkami - mosiężnymi łuskami po pociskach, drutami z rakiet i innymi różnorakimi kawałkami metalu. Gąsienice transportera zgniatały je bezlitośnie.

Bombardowanie i oblawa ciągnęły się przez całe popołudnie. Przejeżdżaliśmy przez wyludnione miasteczka i wioski, leżące przy drodze: Sanga, Lyantonde, Katom Kyazanga, Mbirizi. We wszystkich sklepy były pozamykane, w żadnym nie było widać żywej duszy - wszyscy mieszkańcy puciekali do buszu - ani żywej duszy, dopóki nie usłyszeliśmy świstu kuli snajpera. Wtedy zatrzymaliśmy się, by wypłoszyć go z kryjówek.

Taniańczycy powoli przesuwali się do przodu, a żołnierze Amina byli gdzieś przed nimi.

Tanzańczycy byli znacznie bardziej zdyscyplinowani, a przynajmniej tak można było sądzić na przykładzie grupy znajdującej się najbliżej transportera. Trzech z nich obsługiwało ciężki karabin maszynowy, który podczas każdego starania ustawiali na trójnogu. Jeden z mężczyzn leżał z rozsuniętymi nogami na ziemi i pociągał za spust, podczas gdy drugi ładował do zamka taśmę z amunicją. Trzeci leżał obok niego z karabinem w pogotowiu, by zapewniać bezpieczeństwo pozostałym. Obserwowałem to wszystko jak sparaliżowany, nie bacząc na niebezpieczeństwo. Było coś hipnotyzującego w łuskach rozpryskujących się dokoła, uderzających o ziemię pod trójnogiem w odpowiedzi na pomarańczowe płomienie, które z każdym wybuchem wydostawały się z lufy.

Kiedy dwaj żołnierze zmieniali taśmy, mężczyzna z karabinem oddał kilka serii. Raczej nie strzelał do jakiegoś konkretnego celu. Łuski przelatywały mu ponad ramieniem i z kolei on wymieniał magazynek, podczas gdy jego dwaj towarzysze szykowali się raz jeszcze do swej śmiertelnej pracy.

Gdy już się do niej zabrali, z tyłca wydobył się oleisty dym. Być może dzięki olejowi właśnie obłoczki dymu zachowywały swój kształt. Wyglądały niczym ciemne i tajemnicze zjawy, kiedy przemieszczały się powoli ponad wysoką trawą po obu stronach drogi lub przeciskały się przez suche gałęzie akacji. W końcu transporter ponownie ruszył z miejsca. Zza drzew wyłoniło się stado dziczyńskich psów i przez kilka minut biegło razem z nami, a suki niosły szczeniaki w pyskach.

Im bliżej byliśmy Masaki, tym mniej widziałem z samej walki. Po części z powodu rosnącego hałasu (który osiągnął crescendo, gdy transporter podjechał do awangardy), po części z powodu zapadających ciemności.

Tyle że to nie była ciemność, lecz zmasowany ogień różnego rodzaju broni, wystarczająco jasny, by oświetlić sylwetki ludzi i pojazdów. Poświata ta była nieokreślonego koloru - żółta,

czerwona, purpurowa, złota - i od czasu do czasu przecinały ją gęste kłęby ciemnego dymu. Ale wszystko to, zarówno kłęby, jak i przyćmiona poświata, ustępowało wyjącom fosforowym śladom rakiet, które Tanzańcy zaczęli wystrzeliwać w stronę miasta, kiedy znaleźliśmy się w odpowiedniej odległości.

Pociski smugowe przelatywały wysoko nad moją głową, a ich fosforyzujący ślad długo pozostawał na niebie - i pozostawał także w mojej głowie, kiedy zamykałem oczy: odcisnięty na siatkówce niczym negatyw fotograficzny. Pomyślałem ponownie o oku Amina, oglądanym przez oftalmoskop, i zastanawiałem się, gdzie jest i na co patrzy.

Co jakiś czas pojawiał się bardziej oślepiający błysk, kiedy któraś z rakiet trafiała w skład broni lub zbiornik z paliwem w jednym z pojazdów: oświetlony był wtedy zarys miasta - zarys, który zmieniał się za każdym razem, jako że bombardowanie zbierało obfite żniwo. To nie były tylko rakiety. Tego wieczoru haubice posłały ku Masace niemal trzy tysiące pocisków.

Nim ustał ogień zaporowy, przeciwnik zupełnie się wykruszył. Lecz tanzańscy żołnierze, którzy tej nocy wkroczyli do zniszczonego miasta, byli bardzo zmęczeni. Zmęczeni marszem i całą resztą. Wyglądało na to, że jedynie major Mabuse podjął walkę. Kiedy jednak transportowiec dotarł do zbombardowanego kościoła, było już po wszystkim. Dostrzegłem ciało majora. Rozpoznałem je po tych charakterystycznych bliznach na policzkach. Gdyby nie one, nie poszłoby mi tak łatwo: dolna część jego ciała była jedynie nieokreślonym kawałkiem mięsa, przerzuconym przez poskręcane resztki karabinu maszynowego. Tanzańcy powiedzieli, że walczył do ostatka. Przypomniałem sobie, jak siedział w tamtym barze w Mbararze, z ponurą twarzą pochyloną nad kuflem, jakby z resztek piwnej piany przywoływał demony.

Wokół unosił się swąd spalonych ciał, a wszędzie widziałem jedynie zgliszcza. Chodniki były pokryte gruzem i rozbitym szkłem, a kryte dachówką dachy budynków - zawałone i zwisające pod dziwacznymi kątami - powyginane w piękne, niekompletne kształty. Na dole,

pomiędzy stertami ciał, węszyły i grzebały psy i kury. Rozglądałem się za „Rajem Tropików”, ale ledwie można było oddzielić od siebie jeden ostrzelany budynek od drugiego, a co dopiero mówić o wyśledzeniu pirackiego szyldu.

Tamtej nocy spałem w transportowcu razem z pułkownikiem Kuchasą, który wślizgnął się do środka późno, wydzielając z siebie opary piwa. Leżałem na plecach, na kocu na podłodze, kierowca wyciągnął się na przednim siedzeniu. Pułkownik usadowił się w tyle pojazdu. Widziałem, jak w ciemności żarzy się jego cygaro.

- To była bardzo dobra akcja - rzekł, chyba sam do siebie. - Nie tylko wygraliśmy, ale także zdobyliśmy dużo cennego sprzętu. Karabiny bezodrzutowe, sześć czołgów, radia Pye 47, semteks, lekarstwa, buty i bluzy mundurowe, nawet bazookę - Idi Amin jest najlepszym kwatermistrzem, jakiego w życiu mieliśmy.

- Naprawdę? - zapytałem.

Dalej się rozwodził. Tej nocy zasnąłem z zapachem kordytu w nosie - przypomniał mi fajerwerki w noc Guya Fawkesa, tyle że był silniejszy - i przy głosie pułkownika wdzierającym się do moich poturbowanych wystrzałami uszu.

- Podoba mi się ta wojna - mówił. - Szkoliłem się w technikach piechoty klasycznej u Brytyjczyków w Sandhurst i w taktykach partyzanckich u Chińczyków. W tej wojnie jest jedno i drugie. Jest cudowna.

Obok jego słów nie ustawały, nie wiedziałem już czy naprawdę, czy tylko w mojej głowie, ryk, syk i trzask wybuchów. .. i jeszcze huk helikopterów dotarł do mnie wraz z postaciami z nocnych koszmarów, błyszczącymi oczyma majora Weira na przemian z oczyma pułkownika w oszalałym rozmazywaniu się śmigieł.

Nazajutrz rano czułem się nieco silniejszy i za pozwoleniem pułkownika Kuchasy pomagałem w ambulansach. Tanzańscy lekarze zaakceptowali mnie z szorstkim profesjonalizmem. To była wojna oglądana z zupełnie innej strony: nie potencjał militarny, lecz proste równanie $E_k = mv^2$ i próba jego odwrócenia. To znaczy, powtórzmy, rana szarpana lub zmiżdżenie spowodowane przejściem kuli bądź bardziej ogólnie - martwica tkanki, stanowiąca następstwo fali uderzeniowej wybuchu (szrapnel, rany po wybuchu). Gdy tkanka jest dociskana lub wyrywana, powstaje jama. Patogeny pojawiają się przy wlocie i wylocie rany, gdy zasysa je ujemne ciśnienie w jamie. To tyle, jeśli chodzi o teorię. Mężczyzna, nad którym pracowałem, rozmyślając o tym wszystkim, miał małą ciemną dziurę po wlocie kuli w okolicach pachwiny i (co odkryliśmy po obróceniu pacjenta) większą ranę wylotową na pośladku, z której wystawał kłębuszek zakrwawionej tkanki. Skórę miał pokrytą krwią. Oczyszczyłem ranę, po czym wszedłem do środka, wycinając głęboką powięź. Przyciąłem końce dwóch ścięgien i lekko złączyłem końce uszkodzonego nerwu.

Wciąż przybywały nosze, na których leżeli mężczyźni z różnymi ranami: oderwana część ramienia, nogi pełne odłamków, ucho przeszyte kulą, uszkodzony kręgosłup lub odłamki pocisku w brzuchu. W każdym przypadku: nitro pod język, kroplówka z morfiną w dłoń i kroplówka dożylna w przedramię (roztwór soli fizjologicznej jako tymczasowe zastąpienie straconej krwi). Następnie badanie rany.

Najpierw opłukuje się ją roztworem antyseptycznym. Następnie chirurgiczna toaleta: usuwanie kul, pozostających w ranie strzępów ubrania, luźnych kawałków kości i tkanek martwiczych. Rana jest szeroko nacinana, rozpoznaje się kłębuszki nerwowo-naczyniowe, usuwa się tkankę martwiczą - tkankę, która nie krwawi, tkankę, która podczas nacinania nie kurczy się natychmiast, tkankę, która jest zielonkawa, żółta lub niebieska, co wskazuje na posocznicę i

postępujący proces gnilny - i ranę, po dalszych irygacjach antyseptykiem, pozostawia się otwartą lub zakrytą gazą na tyle lekką, by umożliwiała swobodne drenowanie. Jeśli w ranę nie wda się zakażenie, od czterech do sześciu dni później można spróbować założyć szwy.

Jeśli nie brak zapasów krwi, tkanka jest zdrowa, nie ma krwiaka ani napięcia w tkance i, co najważniejsze (i najtrudniejsze do osiągnięcia w szpitalu polowym) - nie ma bakterii patogenetycznych, leczenie może się odbywać całkiem szybko. Z drugiej strony, jeśli zapasy krwi są skąpe lub w ogóle ich nie ma, tkanka jest martwa, zniszczona bądź zakażona, proces leczenia może potrwać kilka tygodni. Konieczne może się okazać posypanie rany proszkiem antybiotycznym (ampicylina, kloksacylina), jeśli obrażenia grożą zakażeniem kości. Ta ostatnia powinna w każdym przypadku zostać oczyszczona poprzez łyżeczkowanie i pod żadnym pozorem nie wolno jej usuwać z rany, gdyż może to doprowadzić do skurczenia się kończyny lub niezrośnięcia kości.

I następny przypadek. W spokojniejszych chwilach zaspokajaliśmy potrzeby regimentu maszerującej piechoty: wazelina na modzele, które się tworzą w miejscu, gdzie buty ocierają się o tył łydki, talk leczniczy na skrofulozę, maść na zainfekowane palce u stóp - jak również bardziej ogólne przypadki kleszczowego zapalenia mózgu, tęgoryjca, pchły piaskowej, ran po ugryzieniach i tym podobne.

Kiedy ranek chylił się ku końcowi (wtedy mniej więcej opanowywaliśmy sytuację z pierwszym napływem cięższych ofiar), wróciłem do transportowca. Aby do niego dotrzeć, musiałem wrócić przez linię frontu i już taki mój pech, że wybrałem moment, w którym wojska Amina postanowiły kontratakować.

Szedłem sobie w przeciwną stronę niż wojsko - słyszałem, jak ich plecaki obijają się o plecy i czułem olej grafitowy z ich broni - kiedy nastąpiła seria trzasków. Idący obok mnie żołnierz krzyknął jakieś niezrozumiałe dla mnie słowa i natychmiast przewrócił się na plecy. Kolumna

rzuciła się w poszukiwaniu kryjówki, a ja wraz z nią. Nad naszymi głowami zaczęły świsnąć kule, przecinając powietrze i przedzierając się przez trawę. Przygwoździło nas na kilka chwil.

Zobaczyłem, że postrzelony mężczyzna leży tuż obok mnie. Z jego otwartych ust wypływała strużka krwi. Pochyliłem się nad nim i delikatnie odsunąłem jego dłoń, którą przyciskał do klatki piersiowej. Zobaczyłem, że kula przeszła przez klatkę piersiową i - co sugerowała wypływająca z ust krew - przeszła płuco. Niemal na pewno umrze. Zdjąłem mu czapkę i ująłem w dłonie jego twarz. Jęczał cicho, a pod na wpół przymkniętymi powiekami widać było poruszające się dziko białka.

Za pomocą czapki próbowałem zatamować krwotok z jego klatki piersiowej, ale było to bezcelowe. A potem uświadomiłem sobie, że cała dolna część jego ciała także została podziurawiona jak sito. Miałem szczęście, że uszedłem stamtąd cało. Użyłem jego gwizdka i zostałem przy nim, dopóki nie pojawili się noszowi. W biegu wyglądali jak jakiś owad, pochyleni nisko, trzymając między sobą nosze. Zabrali go, odważniejsi ode mnie. Kiedy biegli, z noszy zwisała jedna drgająca noga, a w bucie pełno było krwi.

Ta potyczka trwała jeszcze przez jakąś godzinę. Kule przelatywały dokładnie nade mną, a granaty eksplodowały pośród ciemnoczerwonych błysków po moich obu stronach. Co jakiś czas wszystko cichło i można było pomyśleć, że to koniec. W takich chwilach przemykałem się w kierunku transportera. A potem na nowo rozbrzmiewała kanonada.

Kiedy wreszcie dotarłem do transportera i wdrapywałem się na górę, po raz kolejny ledwo uniknąłem nieszczęścia. Kula przeleciała tak blisko, że na twarzy poczułem pęd powietrza. Kiedy już się znalazłem w środku, w kabynie rozbrzmiewały głośne, metaliczne brzdęki, gdy kule i odłamki odbijały się od pancerza.

Wreszcie hałas ustał i ruszyliśmy naprzód. Ponownie wyjrzałem przez właz. Wkrótce znaleźliśmy się na bardziej żyznym i - tak się wydawało na początku - spokojniejszym terenie

wiejskim. Wydawał mi się znajomy. Widziałem pola prosa i kukurydzy. Uświadomiłem sobie, że lada chwila przetniemy równik. Zobaczyłem betonowe kręgi i zerknąłem w lewo w poszukiwaniu niewielkiej zagrody Angol-Steve'a. Wstrząśnięty zobaczyłem, że jest do szczętu spalona.

Dostrzegłem coś jeszcze, kilkaset metrów dalej. Z rosnącego na poboczu baobabu zwisał sznur, a na nim wisiało ciało Angol-Steve'a, chybotając się lekko na wietrze. Koszulę miał poplamioną krwią i resztkami mózgu. Zauważyłem, że jego golenie są straszliwie pokiereszowane. Najwyraźniej obgryzały je dzikie zwierzęta. Hieny, pomyślałem z odrazą.

Transporter przyspieszył. Ogarnął mnie przytłaczający smutek. Lubiłem go, z całą pewnością był nieszkodliwy i w swój ekscentryczny sposób dodawał temu światu radości.

Angol-Steve nie był jedyny. Od tamtego momentu przez całą drogę, w różnych miejscach tuż obok wyrw po pociskach i czołgów leżały porzucane okaleczone ciała ugandyjskich wieśniaków. To była bezsensowna rzeź - wycofująca się armia nie miała przecież o co walczyć z tymi bezbronnymi ludźmi, najwyżej o kukurydzę lub matoke, których nie chcieli im dać. Rzeź zrodzona ze strachu i ze świadomości, że okres brutalnej dominacji dobiega końca. Nie mogłem już na to patrzeć, schowałem się więc z powrotem w stalowej skorupie transportera.

Jakieś pół godziny później w okrągłym włazie pojawiła się sympatyczna twarz Kuchasy.

- Dorwaliśmy tych diabłów, którzy zrobili to wszystko - rzekł, widząc moje przygnębienie. - Chodź i zjedz coś. Chcemy zdobyć Kampalę z pełnymi żołądkami.

Wyszedłem z transportera i przyłączyłem się do oficerów, którzy stali wokół ogniska. Nad płomieniami wisiały dwa wielkie, czarne garnki, a w nich gotowała się *ugali* (papka z kukurydzy) i gulasz z żyłastego mięsa. Wrzuciłem sobie trochę białej brei do mięsnego sosu.

Oparzyła mi dłoń i pewnie nie była zbyt smaczna, ale nagle poczułem się bardzo głodny. Jedząc, słuchałem, jak oficerowie rozmawiają mieszaniłą suahili i angielskiego. Pułkownik wyjaśnił mi, że chcą dotrzeć do stolicy jutro przed wieczorem. Wysłał gońca, by powiedział to innym

oddziałom. „*Sika Kampala*”, rozbrzmiewał szept nad garnkami z jedzeniem. „Brać Kampalę”.

I tak zrobiliśmy. Ale nie okazało się to zupełnie proste. Następną potyczka rozegrała się we wsi o nazwie Lukaya, gdzieś pomiędzy Masaką a Kampalą. Znajdowały się tam mokradła papirusowe i kiedy tam dotarliśmy, drogę zakrywała woda, głęboka na dwie lub trzy stopy. Transporter toczył się przez nią niczym jakiś prehistoryczny potwór, rozpryskując na boki strumienie brązowej cieczy. Gdy pokonaliśmy wodę, zza papirusów wychynęło kilka ciemnych kształtów: sitatunga, wodne antylopy, którym szerokie kopyta pozwalały chodzić po bagnach i pływających dywanach roślinności.

Ważniejsze było jednak to, że po obu stronach trzęsawiska rozmieszczono około tysiąca libijskich i palestyńskich żołnierzy. Libijczyków musiał tutaj przysłać pułkownik Kadafi, który wcześniej wystosował ostrzeżenie do Tanzanii, że stanie po stronie Amina.

Okazało się, że Libijczycy są uzbrojeni w wyrzutnie rakietowe katusza i wkrótce w naszą stronę pofrunęły rakiety z krwiście czerwonymi ogonami. Szeregi tanzańskie uległy podczas tej walki przerzedzeniu - sam widziałem, jak trzech żołnierzy upadło jednocześnie niczym tancerze baletowi - i musieliśmy się wycofać, by zaczekać na wsparcie z powietrza. Kiedy już tanzańskie MIGi ostrzelały libijskie pozycje, przelatując nad nami tak nisko, że niemal dotykały drzew, piechota mogła pokonać mokradła.

Nie wzięli wielu jeńców spośród Libijczyków, a ci, których jednak pojмали, zdawali się być najżałośniejszymi istotami, jakie zdarzyło mi się oglądać. (Kuchasa mówił, że niektórzy nie wiedzieli nawet, w jakim kraju walczą). Szli za transporterem podczas ostatniego etapu szturmu na Kampalę.

Kontyngent Tanzańczyków, z którym wędrowałem, nie był jedyny. Różne inne regimenty rozmieszczono w strategicznych punktach w całej południowozachodniej Ugandzie, od Mutukula do Murongo (gdzie łączą się Tanzania, Uganda i Rwanda), a następnie ruszyły one na wschód w

stronę stolicy. Zawodową armię tanzańską wspierały grupy przeciwnych Aminowi partyzantów. W sumie stanowili siłę czterdziestu pięciu tysięcy żołnierzy tanzańskich i dwóch tysięcy partyzantów.

Wczesnym wieczorem, kiedy w polu widzenia pojawiło się siedem wzgórz Kampali, zaczęło padać. Nim ujrzelśmy pierwsze budynki, droga zdążyła się zmienić w płynne błoto, a z poboczy dobiegały charakterystyczne odgłosy wydawane przez grzęznące w mokrej trawie buty. Błoto przyklejało się do gąsienic transportowca, który głośno skrzypiał i dudnił.

Na obrzeżach miasta natrafiliśmy na słaby opór, jeśli można tak nazwać terkot ognia broni ręcznej, ale Tanzańczycy miarowo posuwali się naprzód, w razie potrzeby kryjąc się w betonowych rowach melioracyjnych. Kiedy zaczęło się ściemniać, patrzyłem na jaskrawo-pomarańczowe błyski pojawiające się u wylotu luf, podczas gdy żołnierze, strzelając, posuwali się naprzód. Moje spojrzenie przyciągnęło ich dziwne poczynania, kiedy strzelali zza rogu budynków - odsuwali od siebie broń, jakby była czymś nieprzyjemnym.

Wokół nas zapadała noc, a walkę kontynuowano w półmroku ulicznych latarni i płomieni. Część obrońców wykazała się odwagą, żeby nie powiedzieć brawurą. W pewnym momencie zza rogu wyjechał rozpędzony mercedes z ugandyjskimi żołnierzami, którzy wystawili przez okna broń. Kawalerzysta tanzański wziął po prostu do ręki jedną ze zdobytych wcześniej bazook i posłał w ich kierunku strumień ognia. Wybuch był głośny, dudnił mi w uszach. Po raz kolejny poczułem, jak drżą mi błony bębenkowe - byłem pewny, że zostały przebite.

Styl walki uległ zmianie, gdy zwycięskie oddziały wkraczały coraz głębiej do miasta.

Tanzańczycy przeskakiwali od jednej witryny sklepowej do drugiej, a huk wystrzałów z ich karabinów rozbrzmiewał echem wśród kamiennych budynków. Często trzeba było czekać, a wtedy żołnierze wyjmowali kawałki trzciny cukrowej i żuli je. Na chodnikach leżało pełno białych włókien. Gdybyśmy się wycofywali, zakazano by żucia trzciny Pułkownik Kuchasa

powiedział mi, że tropicielom łatwiej wtedy iść śladem żołnierzy.

W tych chwilach wyczekiwania pułkownik naradzał się z oficerami. Wyglądało na to, że nikt nie wie, dokąd dokładnie idą, choć dzięki dyskusji, którą słyszałem poprzedniego wieczoru, wiedziałem, że zamiarem Kuchasy jest zajęcie naczelnych pozycji na każdym z siedmiu wzgórz, zdobycie UTV i stacji radiowych, wieży zegarowej i centrum miasta oraz rezydencji Command Post Amina na Prince Charles Drive.

To się wiązało z przejściem przez pole golfowe, a także oświetlone przez księżyc ogrody rezydencji dyplomatów w Kampali, gdzie flagi poszczególnych państw wisiały nieruchomo w wilgotnym powietrzu. Osobliwie brzmiały w tej dzielnicy serie z karabinów maszynowych i wystrzały z moździerzy. Wcześniej zdążyłem wysiąść z transportera i szedłem razem z całą resztą. W pewnym momencie, kiedy przechodziłem obok bramy jednego z domów, zapaliło się światło, a na podjazd wybiegł pies i zaczął szczekać. Dalmatyńczyk. Stał w kręgu światła i ujadął. Popatrzyłem na niego, a on popatrzył na mnie, podczas gdy za mną maszerowały setki znużonych nóg. A potem ja także ruszyłem.

Większość dyplomatów, tak jak i wszyscy inni, pozostała w łóżkach, z wyjątkiem ambasadora Korei Północnej, który wyszedł na zewnątrz i zaprosił Kuchasę na śniadanie następnego ranka. Wcześniej miało miejsce dziwne zdarzenie. Słyszałem o nim, lecz go nie widziałem. Doktor Gottfried Lessing, ambasador Niemiec Wschodnich (i były mąż Doris Lessing, powieściopisarki), wyjechał w środku nocy dwoma białymi peugeotami wraz z pierwszym konsulem, jego żoną i swoją żoną. Przejeżdżali przez pole golfowe dokładnie wtedy, gdy przecinali je Tanzańczycy i Ugandyjska Armia Wyzwoleńcza. Ci drudzy wystrzelili w kierunku dwóch samochodów granaty przeciwpancerne, zamieniając pojazdy w kule ognia. Spekulowano, że próbowali uciec z powodu powiązań Niemiec Wschodnich ze State Research Bureau, jedną z siejących strach tajnych policji Amina.

Jeśli zaś chodzi o miejsce pobytu samego Amina, krążyły na ten temat różne plotki. Kilku Ugandyjczyków, którzy byli na ulicy tamtej nocy, mówiło, że poprzedniego dnia widziano go na rynku w Namirembe, jak usiłował podnieść morale mieszkańców. W pewnym momencie, w ciągu dnia, jeden z tanzańskich oficerów dojrzał przez lornetkę jego czerwone maserati - ale nikt tak naprawdę nie wiedział, gdzie jest teraz. Jedną drogę wyjazdową z miasta, tę do Jinja, celowo pozostawiono otwartą, by pozwolić uciec dyplomatom i żołnierzom libijskim: prezydent Nyerere nie chciał wplątywać Libii jeszcze bardziej w tę wojnę, którą komentatorzy z zewnątrz nazywali konfliktem arabsko-afrykańskim. Niektórzy mówili, że Amin zdążył już wcześniej uciec tą drogą, inni, że nadal się ukrywa gdzieś w Kampali.

Wczesnym rankiem wydarzyło się coś osobliwego. Z nadejściem świtu opadła mgła, otulając sobą przedmieścia stolicy. Żołnierze szcękali zębami z zimna, a kiedy tak maszerowali w swych szarych ponczach, wyglądali niczym gigantyczne nietoperze. I wtedy z mgły wyłoniła się nagle wysoka, srebrzysta postać.

- To on - wyszeptał jeden z żołnierzy.

Postać rzeczywiście posturą przypominała Amina: wysoka na dwa metry i ubrana w kąpielówki, ta sama muskularna budowa i władcza aura. Jak się okazało, już z bliska, był to posąg reklamujący kurort na obrzeżach Kampali. Faktem jednak pozostaje, że zupełnie w stylu Amina byłoby powitanie wojsk najeźdźczych tylko w kąpielówkach. Opowieść ta pomknęła ku pozostałym żołnierzom, wywołując wiele wesołości.

Jeśli zaś chodzi o mnie, to naprawdę nie miałem pojęcia, co zrobić, kiedy już znaleźliśmy się w samym sercu miasta, mijając pozamykane okiennice i zabarykadowane drzwi. Mimo wszystko nie było tu bezpiecznie. Po ulicach przemieszczały się niewielkie, zdezorientowane grupki popierających Amina żołnierzy, niektórzy byli pieszo, lecz większość w czołgach, landrowerach i pojazdach opancerzonych. Od ścian budynków odbiła się zabłąkana kula, a płonący w oddali

skład ropy naftowej emanował tym samym obrzydliwym, żółtym blaskiem, który widziałem podczas natarcia. Nad głowami nadal rozbrzmiewały salwy artyleryjskie.

Jak się dowiedziałem, dowództwo Tanzańców planowało zakwaterować się w State House. Wtedy zdałem sobie sprawę ze swojej sytuacji. Nie mogłem ot tak wrócić do bungalowu: moje powiązania z Aminem nietrudno było zinterpretować błędnie. Zdążyłem już zobaczyć wielu zwolenników Amina, poszturchiwanych bagnietami przez tanzańskich żołnierzy, którzy zdobyli skrzynki whisky i piwa i (co być może było bardziej niepokojące) paczki daggi: mocnej ugandyjskiej marihuany.

Kiedy wszedłem do szpitala, przemoczony i cały w błocie, Paterson przeżył szok - i jednocześnie był niemal zbyt zajęty, by w ogóle mnie zauważyć. Miał na sobie zielony, chirurgiczny fartuch i szybkim krokiem przemierzał oddział. Roiło się od żołnierzy Leżeli na łózkach i podłodze, jęcząc cicho i wpatrując się we mnie, gdy ich mijałem. Dojrzałem brudne bandaże, pokryte brązowymi i żółtymi plamami, i ogarnęło mnie poczucie winy. To tutaj powinienem być, pomyślałem. To tutaj powinienem być przez cały ten czas.

Paterson wydobywał właśnie pętlę uszkodzonego jelita, owijając je wokół wałka. To z pewnością bomba rozerwała brzuch pacjenta i nie był to zbyt przyjemny widok. Na torsie leżały strzępy ciała i mięśni.

- Bardzo miło z twojej strony, Nick, że do nas dołączyłeś - rzekł Paterson, a od sarkazmu w jego głosie poczułem się jeszcze gorzej. - Sądziliśmy, że ulotniłeś się w stronę zachodzącego słońca wraz z Aminem.

- Próbowałem przekroczyć granicę - odparłem.

- Cóż za odwaga - rzekł. - Dzięki, że dałeś nam znać. - Ja...

- Słuchaj, mamy od cholery roboty Nie obchodzi mnie, gdzie byłeś ani co robiłeś. Po prostu wyszoruj się i zakasuj rękawy.

Zrobiłem to, co mi kazał, przebierając się w zielony fartuch - przynajmniej był czysty i suchy - i zabrałem się do pracy. Z obu stron napływały nieprzerwanie nosze. Zaskakująco dużo było złamanych ud - to u żołnierzy, którzy stali zbyt blisko własnych dział w chwili odrzutu. Jako że wielu było Afrykańczyków z arabskimi twarzami, walczących po tanzańskiej stronie, a także Libijczyków i Palestyńczyków po stronie Amina, większość zaś żołnierzy obu armii posiadała cechy ludu Bantu - i, jak już wspominałem, mieli takie same polowe mundury, takie same płócienne plecaki i stalowe manierki - rozróżnienie ich było niemal niemożliwe. Wreszcie uświadomiliśmy sobie, że może nam w tym pomóc jedynie ich bielizna: Ugandyjczycy mieli na sobie slipy w kolorze oliwkowym, Tanzańczycy zaś granatowe. A Libijczycy, z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu, mieli na sobie białe wełniane kalesony.

Procesja trawionych przez śmierć i rany zdawała się nie mieć końca, tak więc większość dnia spędziłem przy stole operacyjnym. W mojej głowie pozostaje jeden koszmarny obraz z tego czasu: *kidogo* na stole operacyjnym, niewiele starszy od Gugu, Paterson pochyla się nad nim, otwiera mu klatkę piersiową, po czym zagłębia się w jej wnętrzu. Motyl, pomyślałem.

Ekwihuguhugu. On jest bardzo delikatny.

Późnym popołudniem udałem się chwiejnym krokiem - otumaniony ogromem pracy i brakiem snu - z powrotem do miasta. Przed wyjściem zdjąłem z siebie poplamiony krwią fartuch i spodnie, które miałem podczas operacji, i przebrałem się w taki sam czysty strój z magazynu.

Moje własne ubrania były po prostu zbyt brudne i zbyt podarte, by je włożyć.

Nie miałem pojęcia, co zrobić. Paterson niechętnie zaproponował mi pokój w swoim domu, ale nie mogłem tam przecież zostać na zawsze. Nie miałem praktycznie żadnych pieniędzy i nie miałem dokąd pójść. Na teren State House spadł wystrzelony przez czołg pocisk. Nawet jeśli mój bungalow nie został zniszczony, jest teraz bez wątpienia domem tanzańskich żołnierzy. Krążyły plotki, że tuż po tym jak spadł ten pocisk, Amin wybiegł na trawnik i odleciał helikopterem.

Wszyscy się zastanawiali, gdzie on jest. Usłyszeliśmy go tego dnia w radiu w sali jadalnej w Mulago. Mówił jeszcze bardziej niespójnie i zwodniczo niż zwykle.

Ja, prezydent Republiki Ugandy, Idi Amin Dada, chciałbym potępić raporty, że Kampala jest w rękach obcych agresorów, że mój rząd został obalony i że w Ugandzie powstał rząd opozycyjny. Ja osobiście jestem w swobodnym i radosnym nastroju. Przebywam w bardzo wygodnym miejscu. Odrzucam jako nonsens informację, że uciekłem... Zapewniam, że jako pogromca Imperium Brytyjskiego jestem gotowy na śmierć w obronie mej ojczyzny. .. która jak najbardziej przetrwa. Choć to prawda, że Tanzania wraz ze swymi przyjaciółmi syjonistami - łącznie z Kubą, Izraelem, Ameryką i Afryką Południową - zaatakowała nasz kraj. Zabito bardzo wielu niewinnych Ugandyjczyków, dzieci, młodych i starych, i kobiety, zabito lekarzy artylerią dalekiego zasięgu. Niszcząc całą Kampalę, włącznie ze szpitalem Mulago, zabijając lekarzy, pielęgniarki...

- to ostatnie oświadczenie wywołało u Patersona i reszty personelu ironiczny śmiech,

jako że Mulago wyszło z ognia zaporowego niemal bez szwanku -

...a najemnicy tyranizują ugandyjskich *wananchi*. Nawet zupełnie zmieniając dzisiaj miasto Ugandę. To nie jest miasto, dlatego też jestem zaskoczony, że ten tak zwany rząd chciał utworzyć rząd w Ugandzie po zabiciu wszystkich... Jednak żołnierze palestyńscy walczą z nami ramię w ramię na linii frontu. Mój dobry przyjaciel Kadafi przysłał nam dwa tysiące ludzi i dużą ilość broni. Zaprawdę jest to czas, kiedy kraje arabskie powinny wspierać Ugandę finansowo i materialnie...

... a uzbrojonym wojskom Ugandy nie wolno złożyć broni przed żadnym najeźdźcą.

Tchórzliwi oficerowie i żołnierze, którzy... jeśli się znajdzie kogoś, kto wycofuje się z linii ognia, musi on zostać postawiony przed sądem wojskowym, a jeśli zostanie uznany winnym, musi zostać stracony przez pluton egzekucyjny.

Posiadamy jednak pełną kontrolę nad Ugandą... mamy też Kampalę... Państwo kontrolują żołnierze, zachowując ład i porządek publiczny... Przemawiam jako prezydent Republiki Ugandy i głównodowodzący siłami zbrojnymi Ugandy Chcę to powtórzyć w kisuahili. *Mimi nataka kusema...*

Skąd on nadaje, pytali ludzie. Z jednego z przenośnych przekaźników, które zainstalował w landrowerze? Czy może skądś z miasta? Z całą pewnością nie była to główna stacja radiowa w Kampali - skąd wcześniej, natychmiast po zajęciu budynku, jeden z oficerów z Ugandyjskiej Armii Wyzwoleńczej wygłosił triumfalną odezwę.

Prosimy lud Ugandy - oświadczył oficer - by powstał i złączył swe dłonie w celu wyeliminowania kilku pozostałych morderców. Apelujemy do wszystkich ludzi na świecie miłujących pokój, by popierali narodowy ruch wyzwolenczy i potępili poprzedni reżim faszystowski.

Na innych stacjach kraje zachodnie oraz wiele afrykańskich donosiło o tanzańskiej inwazji.

- Po raz pierwszy się zdarzyło - rzekł jeden z komentatorów - że państwo afrykańskie bezkarnie zaatakowało stolicę swego sąsiada. Jeśli granice nie będą respektowane, takie inwazje nigdy się nie skończą...

Obracałem wszystkie te słowa w głowie, gdy szedłem przez Kampalę. W dół Mulago Hill, wzdłuż Kitante i Akii Bua, następnie zawróciłem w Lugard Road. W ciągu jednej nocy miasto zmieniło się nie do poznania. Kiedy mieszkańcy zdali sobie sprawę z tego, że Tanzańczycy nie zapobiegną grabieżom, a wręcz sami się do nich przyłączyli - gdy szedłem na dół, minąłem nagiego żołnierza, który miał tylko hełm na głowie i butelkę Simby w dłoni - zaczęli plądrować własne miasto.

Proces ten rozpoczął się najwyraźniej wczesnym rankiem i nadal trwał, sądząc po zalewającym ulice tłumie. W głównym pasażu handlowym niemal wszystkie mijane przeze mnie drzwi i okna były porozbijane. Zobaczyłem trzech wyrostków pchających po ulicy nowiutką toyotę, a dalej olbrzymią dziurę, którą zrobili w oknie salonu samochodowego. Inni zadowalali się rowerami, maszynami do pisania i telewizorami. Spóźnialskim musiały wystarczyć garnki i patelnie.

W innym miejscu tłumy rzucały się na cukier. Odkryto pełen magazyn i ludzie przepychali się, by zdobyć worek. Wielu nie czekało z doniesieniem łupu do domu, lecz otwierało worki na miejscu i po prostu napychało sobie cukrem usta.

W tym samym czasie, gdy rozgrywało się to wszystko, odbył się swego rodzaju zwycięski wiec. Tłum wznosił okrzyki na cześć oddziałów żołnierzy tanzańskich, którzy przeczesywali miasto w poszukiwaniu wojsk i funkcjonariuszy popierających Amina. Ludzie podążali za żołnierzami w sporych grupach, biegnąc powoli i głośno, miarowo tupiąc nogami. Niektórzy walili w bębny, inni wydawali okrzyki.

Zatrzymałem się na chodniku i przyglądałem im i wtedy zobaczyłem coś, co sprawiło, że

zaczęłam się obawiać o własne życie. Tłum nagle się odwrócił. Gubiąc rytm powolnego biegu, zaczął się przemieszczać i zagęszczać. Widziałem tylko plątaninę ubrań. Żołnierze tanzańscy odwrócili się i próbowali to powstrzymać.

Ale było już za późno. Nagle ponad tłumem pojawiła się wyrzucona w powietrze ręka. Obróciła się niczym laska, po czym opadła z powrotem na masę ciał. Z przerażeniem uświadomiłem sobie, że ktoś jest właśnie pozbawiany kończyn.

- To człowiek Amina - powiedziała dziewczyna, stojąca obok mnie na chodniku. Ponad wrzawą tłumu ledwie słyszałem jej głos. Mówiła do koleżanki. Obie miały na sobie rdzawoczerwone tuniki gimnastyczne i kremowe bluzki: mundurek jednej z wielkich szkół w Kampali. Obserwując zamieszanie na ulicy, wyęczałem słuch, by dosłyszeć ich głosy.

- Miałyby więcej szczęścia, gdyby trafił w ręce Tanzańczyków.

- Tak teraz będzie przez jakiś czas. Dopóki nie odejdzie *gogolimbo*.

- A co to takiego?

- To zły duch, który przybył w to miejsce. Mój dziadek mówi, że odejdzie dopiero wtedy, kiedy się zobaczy psa i kozła, jadących razem na rowerze.

- To by mnie wcale nie zaskoczyło. Nic mnie teraz nie zaskoczy.

- Ale wszystko będzie dobrze. Może nie teraz, ale w pewnym momencie wszystko wróci do normalności.

- Będziemy mogły wyjść za mąż.

- Chyba żartujesz. Wszyscy porządni mężczyźni nie żyją.

- Nie wszyscy.

- Większość.

- Słyszałaś o Cecylii?

- Co z nią?

- Zgwałcił ją jakiś żołnierz. Widziałam ją na ulicy. Bardzo kiepsko wyglądała. Chodziła z wyraźnym bólem.

- To straszne. Broń sprawia, że mężczyźni stają się bardzo z siebie zadowoleni.

- Spójrz na tego biednego człowieka! Prawie nic z niego nie zostało.

- Nie smuć się. Jak już mówiłam, ten okres niedługo się skończy.

- Tak myślisz? Nie jestem tego taka pewna. Mam wątpliwości.

- Co do czego?

- Co do nowych przywódców. Jestem pełna obaw.

- Wcale nie. Jesteś po prostu pesymistką. Musimy mieć nadzieję, jeśli mamy zostać ocaleni...

Z otępienia wyrwał mnie warkoczący skuter, który przejechał tak blisko mnie, że kierownicą niemal trafił w moje żebra. Zirytowany, przyglądałem się, jak toruje sobie drogę przez tłum.

Zostawiwszy dwie rozmawiające dziewczyny, dałem się porwać tłumowi. Kierował się ku miejskiej rezydencji Amina w Nakasero, obecnie przeszukiwanej przez Tanzańczyków.

Kiedy tłum tam dotarł, strażnicy próbowali go nie wpuścić, zamykając przed ścianą ciężkie drewniane drzwi. Pośród ludzi na schodach dostrzegłem pułkownika Kuchasę, krzyżącego i machającego rewolwerem. Pozbył się wcześniej dzidy i przy pasie miał kowbojską kaburę Amina. Rozpoznałem broń, którą trzymał w dłoni: srebrny rewolwer. A potem drzwi ustąpiły i tłum wlał się do środka. Podążyłem wraz z nim, powiewając połamami chirurgicznego fartucha.

Ja, Idi Amin, jestem w Holyrood. Idę przez rozbrzmiewający echem korytarz. Moje myśli krążą między przeszłością a teraźniejszością, podczas gdy światła na ścianach trzeszczą i syczą. To odgłos elektryczności, odgłos elektryczności zderzającej się z wilgocią. Moje kroki odbijają się echem przede mną i za mną. W zielonej podomce wyglądam niczym duch.

Wieża północnozachodnia. Ja, Idi Amin, stoję triumfująco, podczas gdy Rizzio umiera.

Jestem Idi, gdzie Mary Stuart, Królowa Szkotów, rodzi tego, kto zjednoczy królestwo. Ja, Idi, krocę po żwirze, patrzę, jak to wszystko się oddala. Patrzę tam, gdzie Kuba Szósty obserwuje to ze swego powozu, wyjeżdżając do Londynu. Szyba jest oszroniona... w Musselburgh zatrzymamy się na pogrzeb Lorda Setona, w Berwick będą strzelać na naszą cześć, w Buckinghamshire niejaki Oliver Cromwell, właściciel ziemski, po królewsku nas ugości...

Ja, Idi, krocę razem z Cromwellem przez pałacowe stajnie. To się dzieje kilka lat później.

Wszędzie czuć krew, ekskrementy i stal. To zapach okupacji. To zapach elektryczności.

Tak, ja, Idi Amin, jestem w Holyrood Pałace w Edynburgu. Ja, Idi, tak jak książe Karol Edward, oddaję się hulankom pod tymi wysokimi dachami. Kilka nocy przyjemności. Jego okrągłe plecy masywne niczym Skala. Jestem Idi Amin jako prześladowca Cumberland, szabla srebrząca się w jego dłoni.

Biegnę. Oddalam się od świateł z ich zapachem krwi. Ja, Idi, biegnę drogą w Meadowbank.

Powinniście wiedzieć, że jestem w stanie przebiec 100 jardów w 9,8sekundy. Jestem Idi, przyciśnięty do metalowych bram wjazdowych w Musselburgh. Jadę na koniu zwanym Afrykańska Pantera i to ja przebiegnę całą drogę. Ponieważ biegnę. Ja, Idi, biegnę z lwem i słoniem w Ogrodach Botanicznych. Potykam się o melony. Agawa i araukaria, lilie i ciężkie, lekkie płatki anielskich trąbek dotykają mojej twarzy i rąk. Podnoszę je. Podnoszę je, ponieważ ja, Idi Amin, boksuje się w Sparta Club na McDonald Road. Ja, Idi Amin, odbywam sparing z

Kennym Buchananiem. Musicie wiedzieć, że w boksie, kiedy sędzia jest przeciwko wam, pozostaje wam jedynie wygrana przez nokaut.

Teraz biegnę przez Waverley Bridge. Światło jest przede mną, ale oddala się z każdym kolejnym zadyszany krokiem. Ja, Idi, przechodzę przez Union Canal. Co to za skały? Te skały to skorupy. Ja, Idi, jestem w Tron Kirk i pluję na brukowane Heart of Midlothian przed St Giles.

Nie, nie, jestem Idi oglądający siebie w kinie na Lothian Road - gram epizod, jestem uzbrojonym najemnikiem w filmie Zenga. Lub ja, Idi, jestem w Murrayfield. Powinniście wiedzieć, że uderzenie jest bardzo mocne i że przy mojej prędkości i sposobie łapania piłki, przy blokowaniu mnie może wam się stać krzywda.

Ja, Idi, jestem w Dalmeny. Ja, Idi, jestem w Comely Bank. Ja, Idi, jestem w Dalkeith, jestem w Corstorphine. Ja, Idi, jestem w Marchmont, Merchiston i Muirhouse. Ja, Idi, jestem w Juniper Greek. Ja, Idi spiskuję, idę pomiędzy biednymi, i ja, Idi, jestem w Morningside. Wolałbym być gdzieś indziej. Wolałbym być gdzieś indziej, ponieważ jestem gdzieś indziej. Idę korytarzem pomiędzy jego sypialnią a tymi innymi pomieszczeniami...

I tak właśnie było. Wraz z resztą tłumu, z szabrownikami i zwykłymi gapiami, kroczyłem od sali do sali w prezydenckiej rezydencji Nakasero. Musiałem przykleić się do ściany, kiedy znoszono po schodach meble: kredensy, szafy, krzesło bujane. Kątem oka dostrzegłem portret Lumumby, twarz męczennika obok żyrandola i stojaka z bronią w miejscu za klatką schodową. Widziałem znoszone po schodach aparaty fotograficzne i sprzęt sportowy, łącznie z rozłożonym na części atlasem. Widziałem teleksy i telefony, nocne lornetki i aparaty nadawczo-odbiorcze Racal. Widziałem rogi nosorożca i kudu i dywany ze skór ocelotów i szakali. Widziałem butelki specjalnie robionej whisky w butelkach z podobiznami Amina. Widziałem tace ze strzelającymi piórami. Widziałem należące do attache walizki z magnetofonami w środku. Widziałem 240 garniturów i mundurów na szerokich wieszakach i widziałem wielkie pudła, z których

wysypywały się książki w miękkich okładkach.

Wszystkie te rzeczy widziałem znoszone po schodach, podczas gdy *wananchi* wychodzili stąd spieszenie ze swym nowym nabytkiem.

I wtedy ja też wszedłem na górę. Udałem się do jego sypialni. Wyraźnie było to jedno z pierwszych miejsc, do których weszli, i wyglądało jak krajobraz po bitwie. Łóżko wodne poprzebijano, wszędzie była woda. Prawie wszystko inne zostało podniesione, dotknięte lub przetrząśnięte, włącznie z komodą. Nie było umywalki z szafką, nie było telewizora, nie było sekretarzyka. A teraz panowała tutaj cisza, nie licząc wołań i krzyków, dochodzących z innych pomieszczeń.

Kiedy tam stałem, przez okno nagle wywiało zasłony, tam gdzie wcześniej zbito szyby.

Przyglądałem się, jak materiał kołysze się na wietrze. Pomyślałem o Gottfriedzie Lessingu w jego samochodzie, kiedy trafił w niego granat: zapalając się, granaty tworzą w powietrzu próżnię.

Powietrze zostało wyssane z jego płuc.

Jedną z niewielu nietkniętych rzeczy była półka z książkami z długim rzędem *Sprawozdań Rady Adwokackiej Ugandy*. Lśniły czerwienią i złotem, czerwienią i złotem i nie sposób im się było oprzeć. Nagle zostałem sam, rozejrzałem się ukradkiem. Obok drzwi przechodziło dwóch mężczyzn, dźwigających zrolowany dywan. Widziałem ich za sobą w lustrze. A potem znowu byłem sam, nacisnąłem półkę i z cichym kliknięciem otworzyły się drzwi. Przeszedłem przez próg i ponownie znalazłem się w innej części mojej historii.

Zamknąłem za sobą drzwi i zszedłem po schodkach. Znajdowałem się teraz w wilgotnym korytarzu i w nosie czułem zapach elektryczności. Światłówki włączały się i wyłączały. Stałem przez chwilę, niezdecydowany, czy wracać, czy iść dalej.

Poszedłem dalej. W tunelu jeszcze bardziej niż poprzednio było czuć stęchlizną. Z oddali dobiegał niewyraźny głos. Ktoś coś mówił. Ruszyłem w kierunku, skąd dochodził ten głos. Na betonie rozbrzmiewały moje kroki.

Zawahałem się, gdy dotarłem do wejścia na salę, a potem wszedłem do środka. Miejsce to było opustoszałe, na tyle, na ile widziałem, i jedynym dźwiękiem był przerywany syk zakłóconych fal radiowych, dochodzący od strony sprzętu komunikacyjnego w szklanej kabinie. W środku nie było żadnych operatorów, na oparciu krzesła wisiały jedynie słuchawki. Wtedy ujrzałem odbijającą się w szklanej ścianie jedną z wnęk: był to widok doprawdy przerażający. Na drewnianym stole we wnęce stał brązowy, fajansowy półmisek. Obok niego znajdował się worek z szorstkiej wełny. Na półmisku leżała, czy też spoczywała, głowa. Widać było wyraźnie jej kłębuszki nerwowo-naczyniowe, połyskujące i porozrzucane na brzegach półmiska. Włosy były oszronione.

Za stołem siedział Idi Amin. Na głowie miał wielki kapelusz brytyjskiego admirała. Jego trójgraniasty kształt sprawiał, że na ścianie z tyłu rozgrywał się dziwny teatr cieni. Policzki obwisały mu bardziej niż wcześniej, a pod oczami miał szare worki. Trzymał coś niewielkiego - laseczkę noszoną do munduru galowego.

Stałem tam w chirurgicznym fartuchu, niewidoczny za przepierzeniem, i wtedy, rozbrzmiał ponownie głos, który słyszałem na korytarzu. To Idi przemawiał do głowy.

- Przepraszam - rzekł. - Teraz wiem, że zbyt wiele czasu czciłem niewłaściwe rzeczy. Ze powinienem się teraz tutaj wypowiedzieć. W twojej wierze. Choć muszę ponownie podkreślić, że

kocham wszystkie trzy religie w Ugandzie: katolicką, muzułmańską i protestancką. Ale taki jest właśnie problem z dzisiejszą Afryką. Wszystko jest kompletnie podzielone. Nawet w mózgu w mojej głowie. To prawda, że raz po raz atakują mnie tam żołnierze. Atakują mnie, atakują mnie w moich snach i na jawie, i popełniają zbyt wiele złych uczynków.

Dlatego właśnie musiałem cię skrzywdzić. Dlatego właśnie musiałem ci odciąć głowę. Także dlatego właśnie musieliśmy zabić dla mięsa Pana Lwa i Pana Słonia w Mweya i Paraa. I dlatego musieliśmy wydalić w całości Jezusa z Ugandy Ponieważ cały czas jest tutaj niebezpieczeństwo - niebezpieczeństwo głodu i niebezpieczeństwo strzałów i niebezpieczeństwo choroby Niebezpieczeństwo... Nawet jeśli się sądzi, że otrzymuje się dobry podarunek, może to być niebezpieczna trucizna. Mówię do *muzungu* - przynieście mi banana, a oni odpowiadają: „Tak, szefie”, i przynoszą mi go i on nie jest dobry Jest zgniły. Więc wpadam w irytację. Dlatego właśnie są ciała. Mówię: „Dokładnie je spalcie”, ale wciąż nie jest dobrze. Ach, mówię ci: nie zawsze tak było, ale zawsze było ciężko. Dlatego właśnie musiałem objąć całkowitą kontrolę nad Ugandą...

Popatrzył przed siebie, a na jego twarzy widniał szeroki, zdrętwiały uśmiech. Poprawił trójgraniasty kapelusz i przesunął się na krześle. Poruszenie sprawiło, że na ścianie pojawił się cień jego głowy.

- Widzisz, pochodzę z bardzo biednej rodziny. Chcę ci o tym opowiedzieć. Tam, skąd pochodzę, mój ojciec nie miał pieniędzy Mam pracować przy kopaniu i niektórzy ludzie dają mi pieniądze na jedzenie. A potem dużo się uczyłem. Ale wtedy siłą zostałem wcielony do armii i znalazłem się w Kenii w czasie II wojny światowej i gdy był problem z Mau Mau. Po tym, jak wylądowałem w Birmie z regimentem szkockim i pokonałem wiele trudności, otrzymałem stopień starszego szeregowego i piąłem się coraz wyżej aż do teraz, kiedy zostałem generałem i prezydentem. To była długa walka i właśnie dlatego, że to była walka, jestem tym, kim jestem.

Przypomniałem sobie obojętny wyraz twarzy Amina w chwili, gdy nóż wbił się w Waziriego.

Przypomniałem sobie Angol-Steve'a, sznur oplatający jego szyję, pokieroszowane golenie.

Idi kontynuował, uderzając jednocześnie laseczką o but: - Wcale nie jestem taki zły. Ludzie mówią, że jestem Hitlerem. Dlaczego tak się czepiają Hitlera? Sprawa z Hitlerem należy do przeszłości. Wywołana przez niego wojna różni się od współczesnej. Wiem jednak o wielu sprawach. Wiem, że Izraelczycy próbowali zatruć wodę w Nilu, by mnie zabić. To powód, dla którego ludzie ze mną walczą: ponieważ wiem wiele rzeczy. Tych rzeczy nie znajdzie się zapisanych w żadnej książce, kryją się jedynie w mojej głowie. Kiedy słyszę głos, to głos przemawiającego Boga, i wiem, że on mówi prawdę i jest to ważne, i muszę wypełnić jego słowa. Ten sam głos słyszą wszyscy wielcy przywódcy Gdyby się przypatrzeć generałowi de Gaulleowi, który był wielkim przywódcą, i Napoleonowi, który był wielkim przywódcą - usłyszałoby się ten sam głos.

To prawda, że czasami błędnie go słyszę - wiem, że postępuję źle - ale walczę za ludzi na całym świecie, a szczególnie z Wielkiej Brytanii i jej Imperium. Gdyby nie prasa brytyjska, moja reputacja byłaby inna. Wymyślali różności na mój temat. Przekazywali każdą plotkę. Różne rzeczy robiono w moim imieniu, bez mojej wiedzy, i to mnie za nie obwiniano. Żołnierze są żołnierzami i nie mogłem przez cały czas chodzić do duchownych. Nie wiedziałem, co robić. Nauczono mnie walczyć. To wszystko. Jeśli niegrzeczny ze mnie chłopiec, to dlatego, że jestem prostym żołnierzem. I dlatego, że zostałem porzucony, skopany i podeptany.

Pomyślałem o Gugu, jego klatce piersiowej, otwierającej się przed moimi oczami, a potem o tym drugim *kidogo*, tym w Mulago. W tym momencie Idi wstał i zaczął przemierzać wnękę z laską pod pachą.

- Czy tęsknisz za Kampalą - zapytał, odwracając się znów do głowy - w tym swoim niebie?

Wiem, że kiedy będę musiał odejść, będzie mi jej brakować. Ponieważ Kampala to miasto, które

zbyt mocno kocham. I wiem, że ono kocha mnie: silnie czuję ciepło, które dla mnie żywi. A jeśli chodzi o najeźdźców, nie obchodzi mnie, kto będzie sprawiał kłopoty: rozprawię się z nim zdecydowanie...

Odwrócił krzesło i ponownie na nim usiadł, kładąc laskę na stole obok półmiska.

- Tak, wiem, że niebawem stąd ucieknę. Żywy Ponieważ, jak już mówiłem, moje marzenia zawsze się spełniają. I wiem, że ktoś przyjdzie tutaj szybko, by mi pomóc...

Poczułem na szyi upiorny ciężar. A potem dodał:

- Tak, wiem wiele rzeczy. Na przykład wiem, że tam jesteś, doktorze Nicholas, i że słuchałeś mnie przez ten czas. Widzisz, po tej stronie pomieszczenia jest także lustro. Wejdz i przyłącz się do nas.

Głos uwiązał mi w gardle. Uniosłem dłoń przed oczy.

- Nie bądź niemądry Jesteś moim bardzo wyjątkowym lekarzem. Chodź tutaj.

Uczyniłem krok do przodu. Rzeczywiście było tam lustro.

- Wy *muzungu* nigdy nie jesteście tacy sprytni, jak wam się wydaje - stwierdził Idi.

Zobaczyłem siebie poruszającego się w lustrze. Tym, w którym mnie obserwował. A teraz znajdował się przede mną. Trójgraniasty kapelusz tkwił na jego głowie pod zawadiackim kątem.

Na stole na półmisku: druga głowa.

Stałem tam, twarzą w twarz z nim. Drżałem. Odwrócił półmisek tak jak kierowca kierownicę. Natychmiast rozpoznałem, że to makabryczne oblicze należy do Arcybiskupa Ugandy, Rwandy i Burundi, tego, który udzielał mu ślubu.

- Nie spodziewałeś się tego, co nie? - zapytał. - Prawda jest taka, że jest mi przykro z jego powodu. Zrobiono to bez mojego pozwolenia. To był jeden z tych przypadków. Przynieśli mi w tym głowę i byłem bardzo zły. Została zamrożona.

Podniósł do góry wełniany worek. Był ciężki od krwi i topiącego się lodu.

- W każdym razie - rzekł - to wydarzyło się wcześniej. Popatrzył na swoje odbicie w lustrze.

- Ale powiedz mi, dlaczego tutaj wróciłeś? Otworzyłem usta, by odpowiedzieć, ale wydobył się z nich jedynie suchy skrzek.

- Wiem, dlatego, że mnie kochasz. W przeciwieństwie do wielu ludzi nie uważasz mnie za głupiego muntu i okrutnika, który zjada małe dzieci. Jesteś zbyt inteligentny, by tak sądzić.

Dalej nie byłem w stanie wypowiedzieć ani słowa.

- Pozwól, że powiem ci prawdę na ten temat, doktorze Nicholas. Gdy byłem sierżantem w armii angielskiej i moją misją było przeniknięcie do organizacji Mau Mau w Kenii, Ugandzie i belgijskim Kongo, zostałem pojmany przez kanibali z plemienia Mau Mau i wraz z innymi żołnierzami angielskimi zmuszony do jedzenia mięsa. Za odmowę groziła nam śmierć. Jedliśmy ludzkie mięso tylko dlatego, by wypełnić naszą misję wojskową, którą teraz uważam za bohaterską. Widzisz, to była wina Anglików. Gdyby kiedyś nie zjawili się w Afryce, gdzie wcale ich nie chcieliśmy, i nie odebrali nam naszej ziemi, nie byłoby Mau Mau. Gdyby nie było Mau Mau, nie byłoby walki z Mau Mau. Dlatego też nie jadłbym wtedy ludzkiego mięsa. Nadążasz?

- Tak - wy dyszałem w końcu. - Ale... wie pan, że na zewnątrz są żołnierze i tłumy ludzi.

Zabiją pana.

- Ależ oni tak naprawdę mnie kochają - odparł. - Zapomnieli tylko o tym. Przypomną sobie.

Ponieważ jestem dla nich jak ojciec. W każdym z tych ludzi jest cząstka mnie. W Ugandzie i na całym świecie. Całkowicie. W przeciwnym wypadku jak mogli mnie popierać?

- To znaczy?

- Chcieli być mną, żyć ze mną, ponieważ nie chcieli być sobą.

- Może... bali się po prostu pana i żołnierzy? - zaryzykowałem.

- To także prawda - odparł z namysłem. - Ale rzeczywiście chcieli także być mną lub chcieli czegoś ode mnie. Najbardziej obcokrajowcy. Amerykanie i Sowieci, Francuzi i Anglicy,

Izraelczycy i Saudyjczycy, Pakistańczycy i Hindusi, i Banglijczycy, i Koreańczycy. I Niemcy z Niemiec Wschodnich. Wszyscy byli moimi przyjaciółmi. Jedynie Niemcy z Niemiec Zachodnich mi nie pomagali. Tak, prawie cały świat był moim przyjacielem - militarnie, dyplomatycznie, ekonomicznie. Jak wielu, kupowali kawę od Ugandy - zwłaszcza Stany Zjednoczone, gdzie bardzo lubią kawę i kupowali połowę naszych zbiorów. To był nasz główny partner handlowy. Lub sprzedawali mi broń i samoloty, lub inne rzeczy. Brytania, Izrael, Ameryka - wszyscy pomogli mi wyszkolić State Research Bureau, które, jak wiesz, ma główną siedzibę tuż obok. A tak przy okazji to przepraszam, że musiałeś tam zostać. Ale musiałem dać ci nauczkę. Proszę, usiądź.

Zrobiłem to, co kazał. Nie mogłem zebrać myśli.

- Możesz się teraz odprężyć - kontynuował. - Wszystko to się skończyło. Zaczęła się nowa era. Nie mam teraz nic przeciwko wyjazdowi. Miałem wszystko, co można sobie życzyć. To naturalne, że wszystko się zmienia. Nie da się pokonać czasu.

- Dokąd pan się uda?

- Mam wielu przyjaciół na całym świecie. Pułkownik Kadafi zaproponował mi rękę swojej córki.

- Jak się pan stąd wydostanie?

Wziął do ręki laskę i machał nią, odpowiadając:

- W bazie powietrznej w Nakasongola mam dwa samoloty, samolot transportowy Lockheed C130 Hercules i mój luksusowy odrzutowiec Gulfstream. Mogą mnie zabrać wszędzie, dokąd tylko zapragnę.

- Ale jak się pan wydostanie z miasta? Aż się w nim roi od Tanzańczyków. Jak wydostanie się pan z Nakasero?

- Doktorze Nicholas, wiesz, że jestem najlepszym komandosem na świecie, a także mistrzem

w maskowaniu się.

- Nie wydostanie się pan. To niemożliwe. Dlaczego nie wyjechał pan wcześniej?

- Słyszałeś mnie. Myślałem. Myślałem i modliłem się. Teraz potrzebuję twojej pomocy!

Bez wyraźnego wysiłku złamał laskę na pół. Podskoczyłem, słysząc trzask.

- Proszę. - Jego głos był nagle cichszy i słabszy. - Błagam cię.

- Co pan chce, bym zrobił?

- Mam plan. Jest wyjście stąd, które prowadzi, jak wiesz, przez State Research Bureau. Ale będzie ono strzeżone. Widziałem ich przez judasza w ścianie. Nawet teraz zabierają stamtąd ciała. Wkładają je do worków. Możesz popatrzeć, jeśli chcesz.

- Nie - odparłem. - Nie chcę patrzeć.

- Doktorze Nicholas - rzekł. - Jesteś dobrym człowiekiem. Zdradzę ci sekret. Jest także tunel, który wychodzi obok drogi do Entebbe. Kazałem go wykopać właśnie na taką okoliczność. Bardzo bym chciał, byś czekał tam z pojazdem. Wyjście jest przy plakacie z reklamą ENVI.

Wiesz, gdzie to jest?

- Tak - odparłem. - Ale dlaczego miałbym panu pomóc?

- Ponieważ proszę cię o to. Ponieważ jesteś dobry.

Idi był człowiekiem potężnej postury, ale czasami na jego obliczu pojawiała się pewna delikatność. Tak jak teraz. To nie był Idi furiat, ze ściągniętymi brwiami i zgrzytający zębami, mocno uderzający pięścią w biurko. To było coś innego. Podeszedł i pochylił się nade mną.

- Proszę, pomóż mi - powtórzył, nachylając się niżej. Czulem w uchu jego oddech. Jego głos był tym razem powolny, słowa skapywały niczym miód.

Kręciło mi się w głowie. Miękość jego głosu obudziła we mnie uczucie, którego prawie nie byłem w stanie pojąć. Czulem oszołomienie, a jednocześnie moje myśli były tak czyste jak świeża źródłana woda. W tej długiej chwili moja wyobraźnia pracowała gorączkowo, ale nie

straciłem też zdolności analizy i wnioskowania. Wiedziałem, że od jakiegoś czasu czuję się jak potępieniec z powodu zażyłości z nim, a teraz - po wielomiesięcznym taplaniu się w grzędawisku tchórzostwa i braku zdecydowania - teraz otrzymałem szansę odwrócenia tego. Nie poprzez wydanie go Tanzańcykom (choć zauważyłem, że o ścianę obok niego opiera się pistolet maszynowy), ale w inny sposób.

Uczuciem, które do niego żywiłem, była litość, i wiedziałem, że sposobem na wydostanie się z ciemności, w którą pozwoliłem sobie wpaść, jest udzielenie mu pomocy. Tak jest. Ścieżka mego odejścia była wolna.

- Dobrze - rzekłem. - Pomogę.

Cóż, przypuszczam, że muszę się teraz przyznać. Nie udało mi się wypełnić nawet tego wątpliwego postanowienia. Wysłuchaliście najważniejszej części mojej historii i nie będę się rozwodził nad szczegółami mojej ucieczki z Ugandy i późniejszych wydarzeń.

Rzeczywiście udało mi się zdobyć transport. Kiedy wyszedłem, pułkownik Kuchasa był jeszcze pod Nakasero. Przekonałem go, że w szpitalu potrzebny jest nam landrower dla celów medycznych - aby przewieźć kilku rannych żołnierzy tanzańskich. Powiedziałem mu, że nie mamy wystarczającej liczby łóżek. A potem pojechałem tam, gdzie według słów Idiiego miało znajdować się wyjście. Zanim tam dojechałem, zapadła ciemność, ale była pełnia księżyca i nawet bez reflektorów mogłem przeczytać absurdalną rymowanąkę na szyldzie.

Ma wygląd, ma styl,

Skórę ma jak aksamit

Ma to coś, przez co za nią

Szaleją - pasjami.

Co ma?

Ma Envi!

Ponad godzinę jednak trwało, nim udało mi się zdobyć landrower, i nie wiedziałem, czy nie machnął na mnie ręką. Siedziałem tam jakiś czas za kierownicą. Po raz kolejny nie wiedziałem, co zrobić. Nie wiedziałem, czy czekać, czy odjechać. Nie wiedziałem, czy kusi mnie dobro, czy zło.

W końcu, kiedy minęła kolejna godzina, zwykła irytacja wywołana beczynnym czekaniem kazała mi przekręcić kluczyk w stacyjce. Odjechałem drogą wychodzącą z miasta, a potem nad brzeg jeziora. Nie wiedziałam, dokąd właściwie jadę, i choć nikt mnie nie widział, głupio się czułem, siedząc w aucie w fartuchu chirurgicznym.

Jechałem dalej, mijając mokradła. Wiedziałem, że niedługo dojadę do State House, gdzie jest więcej Tanzańczyków. I do mojego bungalowu. Nie mogłem tam jechać. Nigdzie nie mogłem jechać.

Zatrzymałem landrower i rozejrzałem się. Znajdowałem się w wiosce nad jeziorem, wyludnionej i niemal doszczętnie zniszczonej. Powoli dotarło do mnie, że to ta wioska, w której ja i Marina wynajęliśmy łódź.

Wysiadłem i udałem się na przystań. Było tam zacumowanych wiele jolek, kilka z silnikami przyczepnymi. Kołysały się lekko i odgłos łodzi ocierających się o drewno działał na mnie kojąco. Niemal bez namysłu zabrałem z łodzi kilka kanistrów z paliwem i wdrapałem się na największą z nich, odwiązałem cumę i pociągnąłem za sznurek.

Po drugiej stronie ciemnej powierzchni jeziora widziałem światła. Kisumu, Kenia.

Skierowałem na nie wzrok. Nicholas Garrigan poszukujący światła. Silnik warkotał, a ja sunąłem niczym zjawa przez pusty bezmiar Jeziora Wiktorii. Po raz pierwszy od lat czułem się wolny. Za rufą rozrzucone przeze mnie algi lśniły w ciemnościach na czerwono - nie jednym tylko odcieniem czerwieni, lecz mnóstwem koralowo-szkarłatno-łososiowo-rubinowo-pąsowych odcieni.

Nie wiem, ile czasu mi to zabrało. Sześć godzin? Siedem? W pewnym momencie tarczę księżycy przeciął klucz gęsi. Wydawane przez nich gardłowe odgłosy, przywołujące na wpół pogrzebane wspomnienie, sprawiły, że zatęskniłem za Szkocją.

W każdym razie niemal już świtało, kiedy dotarłem do portowego miasteczka. Wspinając się po ścianie nabrzeża, obtarłem sobie uda i golenie - dość mocno, aż do krwi - i pobrudziłem się oblepiającym beton brązowym szlamem.

Nie było tam nikogo. Przez chwilę siedziałem bez tchu na górze, a potem, wzięwszy się w garść, ruszyłem na poszukiwanie posterunku policji. Musiałem przedstawiać ciekawy widok, gdy

tak szedłem w fartuchu. Sierżant przy biurku zapisał moje nazwisko i obiecał, że spełni moją prośbę o telefon do Ambasadora Brytyjskiego w Nairobi. Czas było wracać do domu.

Tak przynajmniej sądziłem. Ostatecznie zostałem zabrany do Nairobi radiowozem. Tam, zamiast trafić do ambasady, wylądowałem w starym forcie. Zamknięto mnie w celi. Nikt nie odpowiadał na moje pytania, kiedy wołałem przez kraty Zaszokowany i wyczerpany, padłem na łóżko i zacząłem szlochać.

Wreszcie wziąłem się w garść na tyle, by rozejrzeć się po celi. Nie było tam okna, jedynie wentylator wysoko na ścianie. Mury zbudowane były z potężnych, kamiennych bloków, większych i starszych niż te w Nakasero. Na blokach dostrzegłem wyryte kikujuskie graffiti, z czego wywnioskowałem, że w tym właśnie miejscu Brytyjczycy przesłuchiwali podejrzanych za czasów ruchu Mau Mau. Ale równie dobrze mogły zostać wyryte przez jakichś niedawnych więźniów... Wiedziałem, że reżim prezydenta Moi własny dorobek w łamaniu praw człowieka.

Jak można sobie łatwo wyobrazić, miałem totalny mętlik w głowie. Nie rozumiałem, dlaczego zostałem zatrzymany. Dowiedziałem się tego dopiero później tego dnia. Około czwartej zostałem zabrany z celi do pokoju przesłuchań, gdzie wyższy rangą funkcjonariusz policji siedział za biurkiem, na którym leżała teczka z dokumentami.

- Przetrywamy tu pana z powodu podejrzenia o zabójstwo - poinformował mnie. -

Rozważamy oskarżenie pana o podłożenie bomby w lekkim samolocie, lecącym z Kampali do Nairobi. Ma pan coś do powiedzenia?

Opowiedziałem o głowie lwa i mojej totalnej niewiedzy co do jej zawartości.

- Wykorzystał mnie - zaprotestowałem. - Nie miałem absolutnie żadnego pojęcia o bombie.

Znałem nawet osobiście Swanepoela, pilota. Nieomal sam wsiadłem do tego samolotu. Żałuję, że tego nie zrobiłem.

- To bardzo niewiarygodna historia - oświadczył policjant. - Spodziewa się pan, że w nią

uwierzemy? Wiemy, że był pan blisko związany z Aminem.

- Amin wsadził mnie do więzienia. Możecie to sprawdzić. Przejrzał dokumenty w teczce.

Kątem oka dostrzegłem zdjęcie. Moja twarz. Nie miałem pojęcia, kiedy zrobiono to zdjęcie ani kto je zrobił.

- Ale był pan jego lekarzem. Mamy informacje w tej kwestii.

- To była jedynie praca. Żałuję, że zgodziłem się ją przyjąć. Nigdy nie byłem zamieszany w żadną działalność przestępczą.

- Według naszej opinii był pan tak blisko Idiogo Amina, jak nikt inny.

- Chcę rozmawiać z ambasadorem brytyjskim - oznajmiłem, przerażony, że ponownie znalazłem się w niebezpieczeństwie.

Bombardował mnie pytaniami:

- Czy pracował pan w State Research Bureau? Ile zapłacono panu za podłożenie bomby? Czy to prawda, że był pan obecny podczas tortur w siedzibie SRB?

Za każdym razem odpowiadałem, że jestem przetrzymywany niezgodnie z prawem, że nie mam nic do powiedzenia i że chcę rozmawiać z ambasadorem. Wreszcie przestał mnie zasypywać pytaniami i schował do teczki wszystkie dokumenty.

- Co teraz będzie? - zapytałem, kiedy zbierał się do wyjścia.

- Przykro mi, doktorze Garrigan - odparł. - Kenijski rząd uważa, że jest pan częścią aparatu represyjnego obalonego dyktatora Amina, i jako taki jest pan winien zbrodni przeciwko ludzkości. I że zgodnie z jego instrukcjami świadomie podłożył pan bombę w tym samolocie.

Albo oskarżymy pana o to wszystko, i naszym celem jest uzyskanie od pana przyznania się do winy albo odeślemy pana z powrotem do Ugandy, gdzie zostanie pan osądzony przez nowy rząd.

Zaprowadzono mnie z powrotem do celi. Ponownie położyłem się na łóżku - z rozpaczą,

która mnie nie opuściła przez całą noc. Pamiętam, jak mruczałem pod nosem i kołysałem się w

przód i w tył. Przypominam sobie także mętnie *muzungu* w garniturze, który w pewnym momencie stanął przed kratami, mówiąc coś do mnie po angielsku. Ale wtedy za bardzo już majaczyłem, by zareagować.

Nazajutrz rano wszedł policjant i złapał mnie bezceremonialnie. Po raz drugi w życiu zostałem wyciągnięty z celi i zaprowadzony pod prysznic, a następnie dostałem czyste ubrania, w tym wypadku ubranie w stylu safari uszyte z cienkiej czarnej bawełny.

Kiedy już się ubrałem (materiał przyklejał się nieprzyjemnie do sączących się zadrapań na moich nogach), policjant zaprowadził mnie do trzech uzbrojonych strażników. Zakuli mnie w kajdanki i zasłonili oczy. Wsadzili do jakiegoś pojazdu. Dość długo jechaliśmy. Byłem bardzo przerażony, pod pewnym względem bardziej przerażony niż kiedykolwiek wcześniej w towarzystwie Amina. Po ustawieniu siedzeń wywnioskowałem, że to landrower. Gdy jechaliśmy, przerzucałem w myślach możliwości: wiozą mnie do sądu, odwożą do Ugandy...

Otwarto tylne drzwi landrowera. Jeden ze strażników zdjął mi z oczu przepaskę, śmiejąc się przy tym okrutnie. Wyciągnęli mnie z auta. Najpierw bolały mnie oczy od słońca, ale po chwili z ulgą się przekonałem, że to lotnisko. Wtedy wiedziałem już, że nie odsyłają mnie do Ugandy: w przeciwnym wypadku zabraliby mnie do granicy w ciężarówce, tanio i łatwo. Już uznałem, że Brytyjczycy musieli interweniować w mojej sprawie - człowiek w garniturze z pewnością był przedstawicielem ambasady.

Ale zanim zdołałem podziękować swojej szczęśliwej gwiazdzie, strażnicy znowu pociągnęli mnie za sobą. Biegli ze mną, a na głowach podskakiwały im hełmy. Niemal mnie podnosili, kiedy pędziliśmy przez halę odlotów, moje nogi kręciły się bezwładnie, a wszyscy się odwracali - urzędnicy w błękitnych uniformach, spora grupa Azjatów z metalowymi kuframi i naręczami kwiatów, kenijscy biznesmeni, dzieci ekspatriantów w marynarkach i z komiksami - by zobaczyć, co się dzieje.

Wszystko zamazywało mi się wtedy przed oczami, mijałem po prostu twarze i walizki, i białe ściany, i nagle znalazłem się w dziupie z płóciennym dachem, a w twarz buchało mi gorące powietrze, unoszące się znad asfaltu.

Czekał tam jumbo jet z ryczącymi silnikami. Przy podejście schodków stali kolejni policjanci. Wyciągnięto mnie z dziupa i popchnięto w stronę schodów. Wchodząc po nich, miałem okazję spojrzeć przez ramię na zawracający samochód. Moi strażnicy siedzieli w cieniu powiewającego zadaszenia, dziwacznie formalni i dostojni z karabinami między kolanami. Ponad tym wszystkim na dachu hali obracały się talerze radaru. Moje ostatnie spojrzenie na Afrykę.

Dopóki się nie znalazłem w samolocie, Kenijczycy trzymali mnie zakutego w kajdanki. Stewardesy, z drugiej strony, zachowały się wzorowo, przynosząc mi jedzenie i napoje, kiedy już znaleźliśmy się w powietrzu, tak jakbym był zwykłym pasażerem. Wkrótce po posiłku dopadła mnie ostra biegunka i ponad godzinę spędziłem w toalecie. Potem wróciłem na swoje miejsce i zapadłem w głęboki sen - głęboki, a mimo to zatruty wspomnieniami o Aminie i rzeczach, które widziałem.

Obudziłem się kilka godzin przed Londynem. Zadrapania na nogach zaschły, ale nadal boleśnie pulsowały. Kiedy jednak kołowaliśmy nad Gatwick, powoli zacząłem się nieco rozchmurzać. Zakładając, że będę w stanie dostać się do Szkocji bez zbyt wielu kłopotów, nie będzie tak źle, powiedziałem sobie. Wylądowaliśmy, a kiedy kołowaliśmy, puścili przez megafon absurdalnie smutną piosenkę. *What do i have to do to makeyou love me?* - brzmiał głupi refren. Słuchałem go, użalając się nad sobą, przyglądając się migającym pomarańczowym światłom i żółtym liniom, namalowanym na pasie startowym. Nie mając żadnego bagażu podręcznego, szybko wydostałem się z samolotu.

Żadnych kłopotów? Niezupełnie. Kiedy tylko pojawiłem się w hali odpraw, mrugając oczyma w obronie przed jaskrawymi światłami na lotnisku i rozgardiaszem, podszedł do mnie

urzędnik imigracyjny. Miał nalaną twarz, którą się kojarzy z tanimi restauracjami i ogródkami piwnymi.

- Nicholas Garrigan? - zapytał.

- Tak - odparłem ze znużeniem.

- Mogę prosić ze mną? - Ujął mnie za ramię. - Mamy kilka pytań imigracyjnych, związanych z pańskim przyjazdem do Wielkiej Brytanii.

Zaprowadził mnie do niewielkiej, pozbawionej okien poczekalni, w której znajdowały się plastikowe krzesła i stolik. W kącie stał automat z napojami, a przy stole siedziała znajoma postać. To Stone, człowiek z ambasady. Od wyjazdu z Ugandy przybrał na wadze, ale grzywka w kolorze słomy opadała mu na czoło dokładnie tak samo.

- Witaj, Garrigan - rzekł. - Dawno się nie widzieliśmy.

- To ty - rzekłem z osłupieniem.

- Tak, postarałem się o twoje uwolnienie. - Sprawiał wrażenie bardzo z siebie zadowolonego i pewnie powinienem okazać mu więcej wdzięczności.

- Cóż... dziękuję. Ale gdyby nie ty, możliwe, że w ogóle nie znalazłbym się w takiej sytuacji.

- Pozwól, że coś ci wyjaśnię - rzekł chłodno. - Nie mamy żadnego obowiązku wpuszczać cię z powrotem do tego kraju.

- Słucham? Chyba żartujesz. Jestem Brytyjczykiem. Mam swoje prawa.

Stukał palcami w stolik.

- Nieprawda. Kiedy przyjąłeś obywatelstwo ugandyjskie, zrzekłeś się brytyjskiego.

- To niedorzeczne - oświadczyłem, wstając. - Nie zgadzam się, by traktowano mnie jak...

Urzędnik imigracyjny, który stał za mną, położył dłoń na moim ramieniu i pchnął mnie z powrotem na krzesła.

- Chyba czegoś nie rozumiesz - stwierdził Stone. - Nie możesz ot tak sobie przyjechać do

tego kraju, bez paszportu, bez obywatelstwa, i jeszcze stawiać warunki. Trzeba pozabawić formalności. Pozostaje także pytanie, czy w ogóle jesteś osobą, którą chcielibyśmy przyjąć w Wielkiej Brytanii.

- Dlaczego? - zapytałem. - Moje ręce nie są splamione krwią.

Stone machnął własną ręką.

- Jeśli chcesz wiedzieć, to za barierką w hali przylotów czeka cała grupa reporterów, którzy pragną usłyszeć twoją historię. Oni mają chyba odmienne zdanie.

Nie odpowiedziałem. Słyszałem, jak na zewnątrz przechodzą jacyś ludzie, a ich kroki wydawały się ciężkie i sprężyste na cienkiej podłodze lotniska.

- Do czego zmierzam... - ciągnął Stone. - Chciałbym, aby twoje poczynania w Ugandzie zostały przedstawione właściwie i zgodnie z prawdą: jako czyny jednego człowieka, działającego na własną rękę. Musisz zrozumieć, że twój powrót w tych okolicznościach mógłby być dla nas kłopotliwy.

- To nie mój problem.

Gestem poprosił urzędnika, by opuścił pomieszczenie.

- Posłuchaj - rzekł cicho, kiedy drzwi się zamknęły. - Twoje powiązania ze mną, zakładając, że jakieś były, oficjalnie nie istnieją. Działałeś w pojedynkę. Teraz, jak już mówiłem, chcemy dopilnować, by media nie przeinaczyły tych doniesień.

- Będę mówił tylko prawdę - odparłem.

- Pozwól, że powiem to wprost: zgoda na twój wjazd do tego kraju i zamieszkanie w nim są zależy od twego milczenia na temat działalności rządu brytyjskiego w Ugandzie. Jeśli nie jesteś gotowy przyjąć tego warunku i żyć spokojnie, kiedy już minie zainteresowanie twoim przyjazdem, z marszu wsadzimy cię z powrotem w samolot do Ugandy. Rozumiesz? Jego słowa zaszokowały mnie.

- Dlaczego... nie zostawiliście mnie po prostu w Kenii?

- Prasa zaczęła coś węszyć. A Kenijczycy szykowali się na publiczny proces. W zeszłym roku odcięliśmy im pomoc i chcieli cię wykorzystać do wywarcia na nas presji. Co zresztą im się udało.

Nie odpowiedziałem. Przesunął w moim kierunku jakieś dokumenty i wyciągnął wieczne pióro.

- W tych dokumentach jest z grubsza to, co ci powiedziałem. Dobrze ci radzę, byś to podpisał. Co więcej, te pieniądze. .. są nadal na twoim koncie. Możemy zamrozić środki na koncie, jeśli tego nie uczynisz. To proste.

Dotarło do mnie, że nie mam wyboru. Wcześniej zdecydowałem się na powrót do Szkocji, w jakieś ciche i spokojne miejsce, gdzie będę mógł się zastanowić, co zrobić z resztą życia. Jeśli to była jedyna droga do osiągnięcia tego celu, w porządku. Wziąłem od niego pióro i podpisałem, cztery razy, u doły każdej strony, nie czytając ani słowa.

Gdy to zrobiłem, Stone spłynął słodyczą. Przyniósł mi z automatu kubek herbaty.

- Cieszę się, że wykazałeś się rozsądkiem, Nicholasie - rzekł, kiedy trzymałem w dłoniach gorący, delikatny kubek. - Jeszcze jedno. Zatrudniliśmy eksperta do spraw reklamy, by pomógł ci poradzić sobie z tym całym medialnym zainteresowaniem. Nie chcielibyśmy, by coś cię zaskoczyło.

Wzruszyłem ramionami i wpatrywałem się w chropowatą plastikową ścianę za nim.

- Zarezerwowaliśmy ci pokój w hotelu. Zawiezie cię tam ten facet od reklamy, nazywa się Ed Howarth. Wyprowadzimy cię stąd tylnym wyjściem prosto do jego samochodu, aby uniknąć spotkania z dziennikarzami. W końcu i tak cię wyśledzą, więc on ma zamiar ich wyprzedzić i samemu zorganizować kilka wywiadów.

- Nie chcę tego - odparłem. - Nie zrobiłem niczego, co uzasadniałoby to wszystko.

- Nie masz żadnego wyboru. Dopóki nie przejmie kontroli nad sytuacją, gazety będą cię ścigać i wykorzystywać, i może się okazać, że złamałeś warunki umowy - podniósł plik dokumentów, które podpisałem - wcale nie mając takiego zamiaru. A tego akurat nie chcielibyśmy, prawda?

Ponownie wzruszyłem ramionami, zły, że robi mi coś takiego. Wystawił głowę za drzwi i zawołał urzędnika. Zabrali mnie z powrotem do hali odpraw i dalej długim, wyłożonym dywanem korytarzem w stronę terminali towarowych. Wyszliśmy na plac, na którym ciężarówki stały zaparkowane bądź podjeżdżały i odjeżdżały.

Było ciemno i padał deszcz. Światła ciężarówek i hangarów z cargo lśniły, odbijając się w mokrym asfalcie. Kiedy wyszedłem na zewnątrz, uderzył mnie wieczorny chłód; brytyjska pogoda, to niebo, które zdążyłem już zapomnieć, wszystko to poczułem na wskroś w całym sobie. Ale było to nawet miłe, deszczowe powietrze czyściło moich płucach. Zastanawiałem się leniwie, kiedy przechodziliśmy przez plac, jakąż to byłoby ironią, gdybym po tym wszystkim zmarł z powodu przeziębienia, którego się nabawiłem na lotnisku Gatwick.

- No dobrze, Garrigan - rzekł Stone, przerywając moje myśli. Wskazał na żółtego jaguara, zaparkowanego przed ciężarówkami. - Jesteśmy na miejscu.

Zastukał w szybę samochodu. Drzwi otworzyły się i ze środka wysiadł potężny mężczyzna w dwurzędowym garniturze, z papierosem w ustach.

- Witaj, Nick - rzekł, rzucając papierosa w kałużę niczym strzałkę i ściskając mi dłoń. -

Wyglądasz, jakby przydała ci się kąpiel, drink i uderzenie w kimono.

- Cóż, moja robota skończona - stwierdził Stone, kiedy wsiadłem do samochodu. Nachylił się. - I nie zapomnij o tym, co powiedziałem. Będziemy cię mieć na oku.

Odjechaliśmy. W samochodzie było czuć tytoń. Weir, pomyślałem, gdzie on teraz jest? Mokre, czarne światło drogi ślizgało się i nie udzielało odpowiedzi.

- Nie martw się - odezwał się Howarth. - Dadzą ci spokój, jeśli będziesz postępował zgodnie z zasadami. Już wcześniej zlecali mi takie przypadki. Rzecz tylko w tym, żeby dać ludziom to, czego chcą: rządowi, chłopakom z mediów, wszystkim. Powiedział ci pewnie, że zajmuję się twoimi kontaktami z prasą. Będą wściekli, że nie udało im się zrobić ci zdjęć po przylocie, więc będziemy musieli postępować bardzo ostrożnie. Tak sobie pomyślałem, jeśli nie masz nic przeciwko - odwrócił się, by spojrzeć na mnie, siedzącego na fotelu dla pasażera - że jutro rano udzielimy wywiadów.

- Chcę jedynie świętego spokoju.

- Obawiam się, że najpierw będziemy musieli uporać się z zarzutami - odparł. - A potem obiecuję, że będziesz miał spokój.

- Jakimi zarzutami? - zapytałem. - Wsadzono mnie do więzienia i pracowałem w kraju rządzonym przez dyktatora. To wszystko.

- Mówią, że pomagałeś mu w krzywdzeniu ludzi. Ze pomagałeś mu w torturach w jego więzieniach.

- To brednie - odparłem z przerażeniem. - Mnie również tam zamknięto.

- Nie zrozum mnie źle. Ja ci wierzę. Ale będziesz musiał wytłumaczyć, dlaczego byłeś tak blisko tego sukinsyna. A tak przy okazji, to jest on w chwili obecnej w Libii; nikt nie wie, jak udało mu się wydostać. Chodzą plotki, że w ucieczce pomógł mu jakiś tanzański oficer, który był razem z nim w Królewskich Strzelcach Afrykańskich.

- Nie obchodzi mnie, gdzie on jest.

Howarth rzucił mi ukośne spojrzenie.

- Powiedz mi coś. Dlaczego zostałeś? Dlaczego po prostu nie wyjechałeś?

Na to pytanie nie bardzo umiałem odpowiedzieć. Sam nie znałem odpowiedzi. Zawahałem się, a po chwili, kiedy się odezwałem, mówiłem powoli, tak jakbym był robotem. Jednocześnie

wpatrywałem się w orzechową deskę rozdzielczą, a jej mrugające światełka nieprzyjemnie przypominały to pomieszczenie komunikacyjne w podziemiach Nakasero.

- Zostałem, ponieważ to był najważniejszy krok. A poza tym przez pewien czas i tak nie mogłem wyjechać. I niebezpiecznie było odmawiać mu czegokolwiek. W Afryce tak się po prostu nie robi. A poza tym autentycznie czułem, że przebywając tam, mogę wpłynąć na złagodzenie jego okrucieństw.

- To jest to! - rzekł z podekscytowaniem Howarth, kiedy skończyłem. - To właściwa ścieżka. Doskonały kierunek, lepszego nie można by wybrać. Nie wspominaj Stone'a ani ambasady. Musisz się po prostu bronić, że byłeś w kropce.

- Ale to prawda! - zaprotestowałem. - Mam powody, by to mówić.

- Powtarzam ci, że ja to wiem - odparł Howarth, ponownie odwracając się do mnie z nad kierownicy. - Ale oni nie. Kiedy będziesz z nimi rozmawiał, jak już mówiłem, musisz tak dobierać słowa, by dać im to, czego chcą, a jednocześnie uszczęśliwić chłopaków z rządu.

- Ale to wszystko kłamstwa. No cóż, może nie kłamstwa, ale kłamliwy jest sposób, w jaki o tym myślisz. Nie popełniłem żadnego przestępstwa.

Roześmiał się.

- Nie martw się. To moje zadanie. Wiem, co robię. Kiedy nadejdzie pora, będziesz w doskonałej formie, rześki niczym deszcz.

Rześki jak co - ten zimny deszcz, który padał z wysoka na miasto, kiedy wysiadłem z samochodu? Nie. Jego chłód przemienił się w żółć i bolało, gdy dotykał mojej twarzy.

Tej nocy poszedłem spać z jednostajnym szumem Londynu w uszach, sączącym się do środka przez szczelnie zamknięte hotelowe okna. Nazajutrz rano, w czystym, choć lekko niedopasowanym ubraniu, które załatwił mi Howarth, czekałem na niego w hotelu. Hol był elegancki i wypełniało go światło z olbrzymiego szklanego atrium oraz brzęk filiżanek z kawą i herbatą, spożywaną przy niskich stolikach.

Z miejsca, w którym stałem - przy oknie obok roślin doniczkowych i stert turystycznych broszur - miałem dobry widok na Marylebone Road. Panował spory ruch - w metrze ogłoszono stan pogotowia i ludzie przesiedli się do samochodów - i uświadomiłem sobie, że po tylu latach w Afryce to wszystko wydaje mi się obce. Dzień wcześniej w koszu na śmieci wybuchła bomba tuż przed stacją metra na Baker Street, niedaleko stąd. Telewizja w moim pokoju doniosła, że zginęła kwiaciarka i dwoje pasażerów. Czerwonobiała policyjna taśma nadal przecinała wejście na jedną z ulic, którą widziałem z okna, a wśród przechodniów wyczuwało się atmosferę nerwowości.

Muszę przyznać, że w nocy rozważałem pomysł, by wymknąć się stąd cichaczem i nie zawracać sobie głowy wywiadami prasowymi, które w swoim biurze zorganizował dla mnie Howarth. Ale i tak musiałem się udać do jednego z oddziałów Royal Bank of Scotland i wypłacić trochę pieniędzy, i wiedziałem, że reporterzy rzeczywiście, tak jak twierdził Stone, nie spoczną, dopóki mnie nie wyśledzą. Czekałem więc cierpliwie na Howartha. Kiedy już po mnie przyjechał, podczas drogi uprzedzająco grzecznie słuchałem dalszych zaleceń, dotyczących tego, jak powinienem odpowiadać na pytania dziennikarzy bez wahania i z zimną krwią.

Biuro Howartha znajdowało się w Angel Islington, w górę wąskimi schodami tuż obok baru na White Lion Street. Na zewnątrz trzech robotników w plastikowych nausznikach rozkopywało drogę. Jeden miał młot pneumatyczny, a jego dłonie stanowiły niewyraźną plamę w miejscu,

gdzie trzymał gumowe rączki. Hałas na zewnątrz był nie do zniesienia, lecz stopniowo się zmniejszał, gdy wchodziliśmy na górę.

- Powinni się tu zjawić lada chwila - rzekł, otwierając przeszklone drzwi z wyrytym napisem: „Howarth Associates, Promocja i Zarządzanie”.

Podszedł do okna i podniósł rolety, wpuszczając do środka złote sztabki światła, które sączyło się pod kątem i tworzyło na dywanie siatkę. Nadal było słychać odgłos młota. Usiadłem na jednej z pluszowych sof i rozejrzałem się, a tymczasem mój gospodarz parzył kawę. Na stole stała gliniana donica z cyklamenami, a na ścianach wisiały różne bibeloty: albumy gwiazd pop, które promował, i fotografia boksera.

- No więc - rzekł Howarth, podając mi parujący kubek - wszystko ustalone, tak?

- Będę się cieszył, kiedy to wszystko się skończy - odparłem. - To naprawdę nie w moim stylu.

- Och, każdy tak mówi, nie będzie tak źle, zobaczysz.

Miał rację. Ostatecznie pojawiło się tylko trzech dziennikarzy, mniej, niż się spodziewałem.

Muszę przyznać, że byłem tym odrobinę rozczarowany. Usiedli razem na drugiej sofie, przede mną. Dwóch przystojnych, młodych mężczyzn w grafitowych garniturach z „The Times” i „**Telegraph**” i wyglądająca na nieustępliwą kobieta z „Daily Mail”. Zaskoczyło mnie to, że nie pojawił się żaden z korespondentów, którzy przygotowywali relacje na temat Amina, kiedy tam byłem, ale pewnie gonili gdzieś po świecie za innymi dziwakami, wojnami i cudami. Tym właśnie przecież zajmują się ci ludzie, po to właśnie są.

Dziennikarze mieli na kolanach notesy, a wraz z nimi zjawili się fotografowie. Ci drudzy

ustawiali się w różnych pozycjach w pomieszczeniu, gdy mówiłem, majstrując przy

obiektywach, a czasami (choć nie mogłem pojąć, jak uzgadniają to pomiędzy sobą) błyskali

fleszami. Wypełniało to biuro Howartha białymi błyskami, które raziły moje oczy, i kiedy

mówiłem, uświadomiłem sobie, że ktoś musiał ponownie opuścić rolety, ponieważ siatka złotego światła na dywanie zniknęła.

Pisząc to, słucham kasety z tym wywiadem. Howarth ją nagrał i nalegał, bym wziął od niego kopię. Słucham teraz tego nagrania, z piórem w dłoni, a w tle wyraźnie słychać odgłos młota.

Wykasowałem jednak mamrotanie i momenty wahania. Nie ma sensu odtwarzać „mmm” i „eee”.

„Telegraph” : Jak pan odpowiada na zarzuty uczestnictwa w torturach, który to zarzut przedstawił panu nowy rząd Ugandy?

NG: To szaleństwo. Wszystko jest nieprawdą. Byłem lekarzem, pracowałem w głównym szpitalu w Kampali. Zrobiono ze mnie kozła ofiarnego, ponieważ leczyłem także Idiego Amina.

„Times” : Jaki był pański związek z Aminem?

NG: Sparzyłem się. Amin był postacią charyzmatyczną. Przyciągnął mnie do siebie w czasie, kiedy w Ugandzie dobrze się działo. A potem wszystko zaczęło się psuć.

„Times” : Ale niektórzy ludzie opisują pana jako prawą rękę Amina, jego pomocnika - jak pan się ustosunkuje do takich zarzutów?

NG: Nie byłem jego pomocnikiem. Jak wielu innych, wykonywałem swoją pracę, jako lekarz.

„Mail” : A co się na nią składało?

NG: Zwykle czynności medyczne. Od czasu do czasu musiałem wykonać jedno lub dwa inne zadania dla Amina, takie mało znaczące czynności typu urzędniczego: sporządzanie broszur dla Ministerstwa Zdrowia i tym podobne. Musicie zdać sobie sprawę z tego, że im bliżej było końca, tym mniej było tam kompetentnych ludzi.

„Mail” : Ale dlaczego został pan tam aż do końca? Musiał pan przecież wiedzieć o potwornościach, które działy się dookoła.

NG: Nie sądzę, byście wiedzieli, czym jest strach. W takiej sytuacji życie zaczyna się

poruszać po torach tramwajowych. Ma się wtedy klapki na oczach i nie widzi tego, co się dzieje.

„Telegraph” : No ale co z przestępstwami i zabójstwami, o które został pan oskarżony?

NG: Nigdy nie byłem osobiście zamieszany w żadne przestępstwo ani zabójstwo. Jestem niewinny. Moim jedynym przestępstwem jest to, że dałam się pojmać w tę machinę, a potem pozostałem tam.

„Times” : Jaki on był?

NG: Jak już mówiłem, miał charyzmę. Ale ten człowiek był bezwzględnym tyranem. To prawdziwa tragedia, że komuś, kto przed uzyskaniem niepodległości został przez Brytyjczyków mianowany na stopień oficerski, pozwolono znaleźć się w takiej sytuacji, psychicznie i moralnie.

Howarth: Pozostańmy przy pytaniach związanych z doktorem Garriganem. Nie może on ponosić odpowiedzialności za wszystko, co się wydarzyło w Ugandzie...

„Mail” : Czy nie powinien pan, jako lekarz Amina, pomagać mu w zachowaniu zdrowia?

NG: Wciąż próbowałem namówić go na leczenie, ale on nie słuchał. Brał jedynie garście aspiryny i innych leków bez mojej wiedzy, popijając brandy albo piwem. Miał taką manię, kiedy wpadał w agresywny nastrój. Nawet jego żony nie były bezpieczne.

„Times” : Uważa pan, że był szalony?

NG: Szalony? A jaka jest definicja szaleństwa? Z całą pewnością robił rzeczy, które pan lub ja uznalibyśmy za szalone. Prawdę mówiąc, nie jestem pewny, czy on wiedział, że zachowuje się okrutnie i że opowiada bzdury. Cechowała go pokrętna błyskotliwość, która w takich sytuacjach brała kontrolę nad nim, jak również nad innymi.

„Times” : Brała kontrolę nad panem?

NG: Próbowałem się jej oprzeć. I wydaje mi się, że tak się stało. Było w nim jednak coś hipnotyzującego. Wydawało się, że potrafi czytać w myślach innych.

„Telegraph” : Czy jest pan zły, że ludzie oskarżają pana o to wszystko?

NG: Oczywiście, że jestem zły. Wykonywałem jedynie swoją pracę.

„Mail” : No, ale co z konkretnymi oskarżeniami, że widziano pana w siedzibie State Research Bureau i że brał pan udział w torturach?

NG: Ani razu nie brałem udziału w żadnych torturach.

„Mail” : A William Waziri? Rząd ugandyjski twierdzi, że był pan tam, kiedy go torturowano i zabito.

NG: Byłem tam, ale jako więzień. Przechowywany wbrew woli. Waziri był moim przyjacielem. Posłuchajcie, nie wiem, dlaczego mi to robicie. Ja tylko pracowałem, dbałem o zdrowie innych ludzi, tak jak powinien czynić każdy lekarz. Nie zrobiłem nic złego, chyba że złem jest oglądanie kilku strasznych zdarzeń.

„Times” : Ale jak mógł pan pozostać na posadzie u człowieka, który robił te straszne rzeczy? A nawet być jego przyjacielem. Czy nazwałby pan siebie przyjacielem Amina?

NG: Po pierwsze zatrudniony byłem przez Ministerstwo Zdrowia, oddelegowała mnie brytyjska agencja rządowa. Po drugie byłem jego wrogiem. Wiedziałem o tym, zanim nastąpił koniec.

„Times” : Ale czy na początku był pan jego przyjacielem? **NG:** Poznałem go. Tak jak wielu innych. To było nieuniknione. To wszystko, co mogę powiedzieć.

„Mail” : Jak to było przebywać blisko niego?

NG: Jakby się chodziło po skorupkach jajek.

„Telegraph” : Co chce pan przez to powiedzieć?

NG: Amin czerpał prawdziwą przyjemność z bawienia się moim życiem w kotka i myszkę.

Proszę posłuchać, musicie zrozumieć, że kiedy wreszcie dotarło do mnie, że Amin to doktor Jekyll i mister Hyde, było za późno. Jednego dnia Amin był dla mnie dobry, a następnego żądnym mej krwi. Nie tylko ze mną tak było. Ogromnie lubił upokarzać wszystkich białych w Ugandzie.

„Times” : Co z oskarżeniami Kenijczyków? Twierdzili, że podłożył pan bombę w kenijskim samolocie.

NG: Fakt, że mnie wypuścili, stanowi dowód mojej niewinności. Rzeczywiście przekazałem pilotowi samolotu paczkę. Ale nie wiedziałem, że jest w niej bomba.

[Pamiętam, jak w tamtej chwili zrobiło mi się słabo i głowa pękała mi z bólu. Wiedziałem jedynie, że muszę się bronić. Cokolwiek powiem tym ludziom, i tak nie uwierzą, że mówię prawdę].

NG: Czy mogę prosić o szklankę wody?

[Howarth przynosi mi ją. Moja dłoń, jak sobie przypominam, drży, gdy biorę ją od niego, a płyn ślizga się obrzydliwie w szklance. Pauza. Na taśmie słychać jedynie szuranie i szelest papieru. Pisk przewijanego filmu w aparacie. A potem kaszel].

NG: To wszystko kłamstwa. Absurdalne kłamstwa. Wkłada się mnie do tego samego worka, co Amina, ponieważ ludzie czują się winni tego, co się tam stało.

„Telegraph” : Co pan robi teraz?

NG: Poradzę sobie. Wielka Brytania to cudowny kraj, bardzo się cieszę, że tutaj wróciłem. Nasza demokracja naprawdę nabiera barw w oczach człowieka, który przeszedł przez to, co ja.

„Times” : Jak pan będzie spędzał czas?

NG: Planuję spokojnie cieszyć się życiem. Planuję wrócić do Szkocji.

„Times” : Po tych wszystkich morderstwach? [Cisza].

„Mail” : Jaka jest pańska sytuacja finansowa? Krążyły historie, że Amin wypłacił panu duże sumy z kasy ugandyjskiego Ministerstwa Skarbu.

NG: W tej kwestii mam absolutnie czyste sumienie.

Howarth: Myślę, że na tym poprzestaniemy. Nick przeszedł prawdziwe piekło, co zresztą słyszeliście. Nie miał żadnego obowiązku odpowiadać na wasze pytania i uważam, że dał wam

mnóstwo materiału. Teraz potrzebuje odpoczynku.

[Kaseta wyłączona]...

Całkiem możliwe, że trochę sobie popłakałem, kiedy dziennikarze już poszli.

Howarth poczęstował mnie whisky.

- Już po wszystkim - rzekł łagodnie, siadając przy mnie. Strząsnął popiół i wyjrzał przez okno.

- Wszystko wróci do normy. Podaj mi adres tego miejsca w Szkocji, gdzie planujesz się zaszyć.

I znowu odgłos młota pneumatycznego. Uporczywy.

- Nie znam go - odparłem. - Nigdy tam jeszcze nie byłem. To dom, które zostawił mi stary wujek. Chata.

- Chata?

- Mały domek.

- No cóż, daj mi znać - rzekł, podając mi wizytówkę.

Skorzystałem potem z jego biurowego telefonu, by zadzwonić do Moiry i powiedzieć jej, że nic mi nie jest i że wracam na północ. Dziwnie było słyszeć jej głos. *Dlaczego jedziesz do tej chatki?* 'Wyobrażać sobie jej zaniepokojoną twarz, kiedy z nią rozmawiałem. *Nie bądź niemądry, przyjedź do mnie.* Pamiętam, że kiedy z nią rozmawiałem, Howarth palił przy oknie, patrząc w dół na robotników i udając, że mnie nie słucha. *Chcę być sam. Możesz przesłać tam moje rzeczy?* *No wiesz?*

Następnie pożegnałem się z Howarthem i poszedłem wypłacić trochę pieniędzy. Tak się akurat złożyło, że po drugiej stronie ulicy znajdował się oddział Royal Bank of Scotland.

Częściowo byłem zadowolony, a częściowo zły, gdy się przekonałem, że pieniądze Stone'a nadal są na moim koncie: nosiły ponure piętno, ale nie miałem żadnych innych środków, z których

mógłbym się utrzymywać. Nadal nie mam, chyba że ta pisarska próba okaże się niespodziewanie lukratywnym przedsięwzięciem.

Postanowiwszy jechać wieczorem do Fort William pociągiem sypialnym, wróciłem autobusem do hotelu na Marylebone Road. Moje próby odpoczynku skończyły się tak, że przez większość dnia oglądałem telewizję. Zalew obrazów był wyczerpujący po tylu latach spędzonych w Afryce, gdzie miałem dostęp jedynie do serwisu zagranicznego i mogłem popatrzeć na reporterów UTV, niewystawiających nosa poza studio. I gdy oglądałem wiadomości, nie byłem w stanie odseparować ich w myślach od Amina.

Tego dnia rząd Callaghana rozwiązywał się niemal z godziny na godzinę, a po jego tak zwanej „zimie niezadowolenia” nadchodziła wiosna. Przypomniałem sobie, jak przyjechał do Kampali jako Sekretarz Spraw Zagranicznych Wilsona, jak on i Amin ściskali sobie dłonie podczas jego misji miłosierdzia, która miała uratować Denisa Hillsa. Grabarze i śmieciarze zawieszali strajk: migawki z wracającymi do koszar ciężarówkami brytyjskiej armii, które już nie musiały opróżniać koszy na śmieci, przywiodły mi na myśl te komiczne, lecz śmiercionośne Rewolucyjne Zmechanizowane Jednostki Samobójcze, które jeździły dokładnie takimi samymi pojazdami. Pewnie eksportowaliśmy je do Ugandy. Poza tym, kiedy jeden z moich rodaków narzekał na wynik referendum dotyczącego przekazania władzy parlamentowi szkockiemu, pomyślałem - wiem, to absurdalne - o Aminie i kasecie z muzyką Black Watch, piszczałki i bębny, której kiedyś kazał mi słuchać. I wkrótce miała się rozpocząć, co uświadomiłem sobie w osłupieniu, kampania wyborcza przed wyborami powszechnymi. Na ekranie często pojawiały się zdjęcia ptasiej twarzy pani Thatcher: wyglądało na to, że ma ona w zanadrzu wiele ekscytujących planów wobec Wielkiej Brytanii, a jednak byłem w stanie myśleć jedynie o liście Amina z wyrazami uznania dla jej wyglądu - „urocza, radosna, świeża”.

Wieczorem pękała mi głowa. Na stację Euston pojechałem taksówką. Z samochodowego

radia sączyła się irytująca piosenka reggae, gdy przy skurczu mych organów wewnętrznych daliśmy nura w podziemny przejazd. Przenikający aż do krwi, pełen wigoru rytm - co jakiś czas, gdy zatrzymywaliśmy się na światłach, przerywany przez klikanie zamków w drzwiach taksówki - wzbudzał we mnie dziwne, niepewne uczucia. Nagle pomyślałem o innej jeździe taksówką, z Entebbe do Kampali, drogą, którą później poznam tak dobrze: ciemna dziura w miejscu, gdzie powinno być radio, oko cyklopa w desce rozdzielczej.

Powinienem być się tego spodziewać, ale i tak przeżyłem wstrząs, kiedy zobaczyłem nagłówek w jednej z gazet, które kupiłem na peronie na Euston: LEKARZ AMINA WRACA DO BRYTANII. Poniżej mniejszymi literami napisano: „Czy jego ręce są splamione krwią?”. Tak więc podczas pierwszych godzin długiej podróży, w żółtym świetle lampy w kuszecie, przeczytałem różnorakie półwersje mnie i moich słów. W rzeczywistości czułem się tak, jakbym czytał o kimś zupełnie innym, i to złagodziło ból. Nadal mam wycinki z tych gazet i odtworzę tu teraz jeden z nich, by oddać ich klimat:

BRYTYJSKI lekarz, który uległ urokowi Idiogo Amina, zaprzeczył wczoraj, jakoby torturował więźniów, przetrzymywanych przez ugandyjskiego dyktatora. „To wszystko nieprawda. Zrobiono ze mnie kozła ofiarnego” - twierdził dr Nicholas Garrigan, który wrócił do Londynu po zwolnieniu z kenijskiego więzienia.

Przyznał jednak, że przyglądał się torturowaniu ugandyjskiego lekarza, później zabitego przez opryszków Amina w cieszącej się złą sławą głównej siedzibie tajnej policji w stolicy kraju, Kampali. „Byłem tam, ale byłem więźniem. Nie uczyniłem nic złego. Wykonywałem jedynie moją pracę” - oświadczył.

Oświadczył także, że nie wiedział, iż w wypchanej głowie lwa, którą zgodnie z instrukcjami Amina dostarczył do samolotu na lotnisku w Entebbe, znajdowała się bomba, która zabiła kenijskiego biznesmena i jego pilota.

Dr. Garriganowi drżały dłonie, gdy rzekł: „Amin był bezwzględnym tyranem, ale miał charyzmę. Przyciągnął mnie do siebie w czasie, kiedy w Ugandzie dobrze się działo. A potem wszystko zaczęło się psuć. Było w nim coś hipnotyzującego. Wydawało się, że potrafi czytać w myślach innych. Jednego dnia Amin był dla mnie dobry, a następnego żądny mej krwi”.

Dr Garrigan nie wie, dlaczego został w Ugandzie wśród tych wszystkich popełnianych przez Amina potworności. „Nie sądzę, byście wiedzieli, czym jest strach. - rzekł. - Czasami nie widzi się rzeczy takimi, jakie są. Nigdy osobiście nie byłem zamieszany w żadne przestępstwo ani zabójstwo”.

Rząd kenijski, po interwencji Ministerstwa Spraw Zagranicznych, uznał, że dr Garrigan został wrobiony w dostarczenie bomby, która zabiła Michaela Robertsa, dyrektora firmy z Nairobi, i jego południowoafrykańskiego pilota, Frederika Swanepoela. Źródła dyplomatyczne sugerują, iż możliwe jest, że Swanepoel dostarczył Izraelczykom plany lotniska w Entebbe przed ich śmiałym szturmem w 1976 roku, mającym na celu uratowanie zakładników, przetrzymywanych tam przez bojowników palestyńskich. Amin, o który sądzi się, że przebywa teraz w Arabii Saudyjskiej, zamordował Swanepoela, podobnie jak wielu innych, którzy ośmielili się go zdradzić. Nowo utworzony rząd Ugandy nadal twierdzi, że Garrigan, który był osobistym lekarzem prezydenta Amina, brał udział, w torturach i zabójstwach. „Mieszkał w tym samym kompleksie, co Amin” - powiedział rzecznik. - „Bardzo dobrze wiedział, co się dzieje. Chcemy, by wrócił tutaj i rozliczył się ze swych czynów...”

Rozliczył się? Już ja im dam rozliczenie. Wszystkie artykuły zawierały mniej więcej to samo i napisane były w podobnym stylu. Zaskoczył mnie jednak fragment o tym, że Swanepoel pomagał Izraelczykom. To wiele tłumaczyło. Zastanawiałem się, dlaczego reporterzy nie zapytali mnie o to, ale potem uświadomiłem sobie, że pewnie zdobyli te informacje od korespondentów z Kampali lub Nairobi dopiero po rozmowie ze mną. Przeklinając ludzi, przeklinając siebie, wyłączyłem światło i zapadłem w sen, ukołyszany ruchem pociągu.

Obudziłem się wcześniej i gdy poranne światło nabrało łagodności, przyglądałem się położonemu tuż przy torach północnemu krańcowi Loch Lomond. Uświadomiłem sobie wtedy,

gdy wjechaliśmy w rdzawe pustkowie Rannoch Moor - zagony trawy i wrzosu poprzecinane imponującymi blokami skalnymi - jak bardzo ugandyjski krajobraz zatłoczony był drzewami i krzakami, jak przytłaczające były jego soczyste, nieokiełznane pasy zieleni.

Kiedy dotarliśmy do Fort William, zadzwoniłem z budki do Moiry, wiedząc, że będzie się martwić. *Widziałam gazety. Nie zrobiłeś tego wszystkiego?* - zapytała mnie nerwowo. *Me zrobiłem niczego, czego bym się wstydził. To, co mówią w Kampali, to brednie. To typowe, tak właśnie się dzieje, kiedy w powietrzu wisi zemsta.* Ponownie mnie błagała, bym do niej przyjechał, i potwierdziła, że przesłała dziennik i kasety. *Teraz potrzebuję ciszy i spokoju, a chata starego Eamonna zapewni mi to.*

Po rozmowie z nią wynająłem samochód, korzystając z wypłaconych z banku pieniędzy, i zrobiłem zakupy: głównie ubrania, jako że nie miałem niczego poza tym, w co byłem ubrany w tej chwili, plus dwie butelki whisky i karton niezbędnych artykułów spożywczych. Następnie udałem się w długą podróż wzdłuż jeziora i wąwozu na zachód. Drogi były puste, ale kręte, i było także dosyć mglisto, więc musiałem zachować ostrożność. W niektórych miejscach mgła wspinała się po przedniej szybie niczym jakaś zjawą. Zdażyłem już zapomnieć, jaka potrafi być upiornie niesamowita.

Od Mallaig dzieliło mnie zaledwie piętnaście mil, kiedy samochód się zepsuł. Silnik zaczął warkotać i pluć i zatrzymałem się na poboczu. Chwilę wcześniej przejechałem przez kałużę. Podejrzywałem, że woda rozprysła się i dostała do czegoś. Kiedy silnik zakasłał, po czym zamilkł, poczułem się, jakby został wyłączony w mojej głowie: powróciły wszystkie złe myśli związane z Aminem.

Stanąłem na poboczu, użalając się nad sobą. Mgła zdażyła się podnieść i choć wciąż było dość zimno, pojawiały się jasne przebłyski słońca. Omiotłem spojrzeniem wrzosowisko. Nagle za krzakiem nieopodal mnie zobaczyłem uszy zająca.

Między nimi przeświecało zimowe słońce, przekształcając tkankę i chrząstkę w różowy celofan. Przysunąłem się o krok, a zając natychmiast podskoczył i ruszył biegiem przez wrzosowisko, kiwając się z boku na bok.

Obserwowałem go, dopóki nie zniknął mi z pola widzenia, po czym wróciłem do samochodu. Otworzyłem maskę i pogrzebałem przy świecach. Następnie wsiadłem i przekręciłem kluczyk. Prawie załapało. Wyrwałem stronę z wiadomościami sportowymi z jednej z tych przeklętych gazet, wytarłem w nią świecę i ponownie przekręciłem kluczyk. Tym razem, dzięki Bogu, udało się. Ponownie ruszyłem w drogę i wkrótce z za zakrętu wyłoniły się domy i linia brzegowa Mallaig.

Po krótkim oczekiwaniu wjechałem na prom, podskakując na stalowych płytach w miejscach, w których łączyły się z nabrzeżem. Wsiadłem, głęboko odetchnąłem morskim powietrzem i znalazłem sobie przyjemne miejsce na dziobie, skąd mogłem obserwować kilwater. Przeprawa promowa trochę trwała. Na poziomie wzroku przelatywały głuptaki i mewy. W zatoce widziałem łodzie rybackie i jachty: jeden z nich podpłynął tak blisko, że słyszałem łopotanie wydętego wiatrem żagla.

Poszedłem na górę, na rufę. Widać już było poszarpane szczyty Cuillins (później wejść na King's Chimney i Inaccessible Pinnacle), i wkrótce ponownie spuszczone stalowe płyty. Wsiadłem do samochodu, stanąłem w kolejce i sturlałem się. Następnie, wdychając wlewający się przez okno zapachu torfu i wrzосу, ruszyłem w górę przez Skye: Knock Bay, Isleornsay, Broadford, Dunan - i wreszcie Sconser.

Z firmą wypożyczającą samochody załatwiłem pozostawianie pojazdu w ich tutejszym składzie. Zrobiłem tak, a potem przesiadłem się na niewielką łódź, by odbyć nią ostatni etap podróży: Nicholas Garrigan zupełnie sam z kartonem jedzenia i ubraniami w plastikowych torbach. Było to mniej wspaniałe przybycie - wyspa mniejsza, skały i góry mniej imponujące -

ale nie potrafię opisać uczucia czystej radości, którego doświadczyłem, kiedy z mgły wyłoniła się góra Maelrubha i z każdą sekundą rosła, widać było nawet zarys jej ruin - wysoki kamienny krzyż, sam krąg, czubki sosen wokół niego wbijające się w chmury.

Kiedy zacumowaliśmy, zauważyłem, że przy nabrzeżu znajduje się Morrisons. Jego szyld wydawał się dziwnie nowoczesny pomiędzy masztami i stertami sieci i lin. Niepotrzebnie kupowałem jedzenie. Był tam też hotel, Ossian, sklep z wyrobami żelaznymi i dostawcy okrętowi.

Na wyspie jest tylko około stu domostw, nie miałem więc zbytnich trudności ze znalezieniem mojej chaty. Prosty wskazówek udzielił mi rybak w żółtym sztormiaku, który powiedział, że dość dobrze znał Eamonna. Udałem się kamienistą ścieżką prowadzącą między sosnami, tak jak mi powiedział. Pełno tam było owczych bobków: zielono-brązowych kul z muszkietu.

Drzewa wreszcie rozdzieliły się, ukazując polanę w kształcie półksiężyca, porośniętą wysoką trawą. Pośrodku stał kamienny domek z dwoma kominami i łupkowym dachem. Tuż przy drzwiach rosła samotna jarzębina z powyginanymi przez wiatr gałęziami.

Na schodku na ganku leżała gruba, szara koperta. Podniosłem ją i rozpoznałem pismo Moiry. To na pewno dziennik, pomyślałem. Nie spodziewałem się, że dotrze tutaj przede mną.

Otworzyłem drzwi. Wnętrze wyglądało niemal dokładnie tak, jak pewnie zostawił je wujek Eamonn - talerz na stole w kuchni, czajnik na piecu, otwarte drzwi, tak jakby ktoś właśnie przez nie przeszedł, niezaścielone łóżko w sypialni z niskim sufitem - a wszystko pokrywała warstwa sześciomiesięcznego kurzu.

Rozejrzałem się. To wcale nie taka mała chatka, pomyślałem, ma więcej niż jedno pomieszczenie. Wujek ją rozbudował, doprowadził prąd i założył telefon: zaskoczyło mnie to, że nie odcięli jednego ani drugiego, ale pewnie tutaj wszystko wolniej się dzieje. (Rzeczywiście tak jest.) I tak był to niewielki domek i czuć w nim było stęchlizną, ale była to kryjówka *par*

excellence. Ogarnęło mnie dziwne uczucie, gdy obchodziłem pomieszczenia. Spędzę tutaj resztę życia, pomyślałem - i to się jak na razie sprawdza.

Kiedy zakończyłem obchód, pomajstrowałem przy niebieskiej butli gazowej Calor i wreszcie udało mi się włączyć piecyk. Usmażyłem sobie kilka małych kiełbasek z kartonu i zjadłem je z chlebem i sosem pomidorowym.

Następnie rozpałem ogień, wykorzystując kilka polan, które były ułożone na ganku. Kiedy zaczął się palić na dobre, umościłem się na fotelu z przesyłką od Moiry na kolanach i butelką whisky na podporządku. Nalawszy sobie do wyszczerbionej porcelanowej filiżanki, siedziałem w ośpieniu przez jakieś pół godziny. Lampa na niezbyt starannie otynkowanym suficie mrugała przy większych podmuchach wiatru.

Po kilku łykach whisky zabrałem się - w tym przyćmionym świetle i w stanie półprzytomności - za czytanie nalepki z tyłu butelki: „Osiem lat temu zaczęliśmy czynić plany na dzisiaj, odkładając zapasy słodowych i zbożowych whisky, aby zapewnić państwu mieszankę o niezrównanej jakości. Rezultat? Whisky Belfs Extra Special jest teraz jeszcze bardziej wyjątkowa. W ośmioletniej Belfs znajdziecie więcej charakteru, więcej powodów do ekscytacji, do stymulacji i do odkrycia”.

A potem rozerwałem kopertę i zacząłem przeglądać jej zawartość. Dziwnie się czułem, ponownie widząc swój stary dziennik, jego pogiętą czarną okładkę i nadjedzony pleśnią czerwony grzbiet, moje drobne i niewyraźne pismo pomiędzy linijkami; i kiedy odwracałem kartki, przypominały mi się czasy na werandzie w Mbararze albo w ogrodach State House, kiedy robiłem zapiski - i przypominały mi się także grube palce Amina, przerzucające kartki na sekretarzyku, a potem jego utkwione we mnie spojrzenie.

Woda z chlupotem obija się o dziób. Brzeg mam za plecami, a przed sobą szerokie morze. Dokoła mnie nurkują mewy, dłoń trzymam na sterze swego życia. Niezupełnie, ale jestem ponownie w łodzi Malachiego, a fale są bardziej wzburzone niż zwykle, nawet jak na wczesny ranek. Dobrze nabrać do płuc nieco świeżego powietrza po kolejnej nocy przy biurku - mam nadzieję, że ostatniej.

Mewy się nawołują. Wzrokiem pilnuję pomarańczowej boi, którą zabrałem jako znacznik. Niezwykle trudno było mi przypomnieć sobie wszystko, zapisać to tak, jak się wydarzyło, zmierzyć się uczciwie ze sobą, jednocześnie unikając wątpliwych korzyści, które daje patrzenie na wszystko z perspektywy czasu. Jest już po wszystkim, wstrętne maska opadła, ale nadal prześladowuje mnie obraz Amina. Wydaje się, że za każdym razem, gdy włączam radio lub telewizję, przypomina mi się on. Rząd ugandyjski (dalej toczy się tam walka pomiędzy różnymi frakcjami) wystosował oficjalną skargę do Arabii Saudyjskiej w związku z ukrywaniem go, oświadczając, że powinien wrócić na proces.

Za każdym razem, gdy próbuję teraz o nim myśleć, ogarnia mnie rodzaj psychicznej oniemiałości. Amina cechowała giętkość wypowiedzianych słów, i to właśnie najbardziej pamiętam w związku z nim: jego gangsterską sofistykę, jego niewiarygodny język. Potrafił sprawić, że tańczyliśmy, jak nam zagrał, tak, i pozwalaliśmy mu na to. A zarazem jedynie częściowo zdawał sobie sprawę ze swego czaru. Źle go rozumiał. Według mnie jest w tym wszystkim, w miejscu, w którym zetknęliśmy się ja, Idi Amin i świat, coś, czego nie umiem rozgryźć. Za każdym razem, gdy się temu przyglądam, wszystko się zmienia. Zmienność. Może odpowiedzią jest uświadomienie sobie tego.

Wystarczająco długo jestem na dworze. Minęła przynajmniej godzina, odkąd odbiłem od brzegu i zanurzyłem się w zimnej, szarej jasności Inner Sound. Twarz zaczyna mi pierzchnąć od

wiatru i jestem teraz gotowy, by zawrócić. Gotowy, by zawrócić, i szczęśliwy, mając świadomość, że świat Amina, z całą tą krwią i iluzjami, odchodzi niepostrzeżenie. To wszystko jest już za mną. Po raz pierwszy od jakiegoś czasu jestem szczęśliwy, szczęśliwy, wiedząc, że cokolwiek by się teraz działo, mogę być sobą.

Pcham gumowy uchwyt silnika, czuję opór wody, a następnie świat obraca się wokół własnej osi i znowu mam przed sobą wyspę. Widzę wysoki krzyż i ruiny Maelrubha wysoko na górze, a poniżej łupki i dwa kominy na dachu mojej chatki. Gdybym narysował trójkąt, którego podstawą byłaby chatka, a wierzchołkiem krzyż, w samym środku znalazłaby się plama poczerniałej ziemi, gdzie podczas obrzędów paliło się ognisko. Palenie Clavie.

A więc tak to się odbywa. Beczkę ze smołą Archangel przepiłowuje się na dwie części. Dolną część przytwierdza się za pomocą specjalnie wykutego gwoźdźca do słupka. Gwóźdź trzeba wbić kamieniem, a nie młotkiem. Wszystkie narzędzia muszą być pożyczone bądź подарowane. Nic nie można kupić. Do beczki są doczepione klepki od beczki na śledzie i całe to ustrojstwo, napełnione nasiąkniętym smołą drewnem, podpala się, po czym król Clavie i jego świta obnoszą je po wyspie. Jeśli on upadnie albo się potknie, sprowadzi pech na siebie i całą wyspę. Później ustawia się beczkę na kamiennym krzyżu, a król i jego ludzie rozbijają ją. Wszyscy zbierają żarzące się kawałki i trzymają je w domu jako przynoszący szczęście talizman.

Aż do następnego roku. Tym razem - wszystko widziałem - wywiązała się bójka pomiędzy hipisami a ludźmi króla, którym nie spodobało się to, że mają towarzystwo. Kiedy zapytałem Malachiego, czym jest Clavie, odparł: „To diabeł, nie wie pan? Sądziłem, że pan to wie, doktorze”.

Silnik warkoce i łąd staje się coraz bliższy. Mam wrażenie, że tracę poczucie czasu. Przedemną z wody wyłania się góra. Odpływa w objęciach mgły. A potem ponownie się pojawia w zasięgu wzroku. Jej porośnięte kolcolistym granitowe zbocza - powierzchnia porusza się lekko w

miejscach, gdzie znajdują się kolonie petreli lodowych i maskonurów - przedstawiają naturę tak dziką, jakiej jeszcze nie zdarzyło mi się oglądać. Mimo że dane mi było słyszeć dziwaczne jęki niezmiernych lasów afrykańskich i straszliwy skowyt lamparta i hieny, ta wyspa owiec i skał napawa mnie trwogą. Może się do niej przyzwyczaję, może po prostu jest tak, że jedno dziwne zjawisko determinuje kolejne.

Jeden z pojemników na kraby turla się po dnie łodzi. Wszędzie walają się łuski od ryb, których Malachi używa na przynętę. Wyglądają jak dziecięce paznokcie.

Wiem, kim się stałem. Wiem, co widziałem. Wiem o wszystkich tych ludziach, którzy zginęli - a jednocześnie nie wiem o nich. I wiem także, że mam już za sobą większość życia, tak jak i Amin. Ciekawi mnie, jak długo będzie żył, jak będzie wyglądać to życie. Osobiście nie byłem w stanie cofnąć się do normalności życia. Widziałem tych wszystkich ludzi na przystankach autobusowych w Londynie, czekających na pojazd, który zabierze ich do pracy. Już wolałbym jeszcze raz spróbować szczęścia w Ugandzie, niż jeździć każdego dnia autobusem do pracy.

Tak, większość życia mam za sobą, moja moc - ta niegdysiejsza - jest roztrwoniona, osłabiona, tak jak warkot tego silnika, gdy zanurza się w wodzie, której kręgi wybiegają daleko poza słoneczne światło i brzeg lądu, muskając srebrzyste makrele, śliskie zielone wodorosty i przypominające koronkę płatki anemonów. Silnik terkoce, milknie, znowu staje się głośniejszy... podczas gdy ponad tym wszystkim zarówno mały narybek, jak pokaźne kształty głębszego oceanu zamykają uszy na jego wcześniejsze ruchy, odpływają na oślep od swojej groźby, swojej obietnicy. Albo płyną w jej kierunku.

Z tyłu głowy czuję powiew zimnego, słonego wiatru. Gwałtownego. Przede mną rozciągają się pseudogotyckie krenelaże hotelu. Jestem już przy pomoście, a wokół mnie dryfują wodorosty. Okręcam cumę wokół jednego z pachołków z kutego żelaza przed Ossianem i udaję się przez lasek sosnowy do chatki, mijając po drodze pochyłe głązy pokryte porostami i skupisko

podupadłych chat na polanie, pomiędzy którymi pasą się ciemnobrązowe owce. Nagle przypominam sobie Bacwezi, ich święty gaj figowy.

Z irytacją dostrzegam, że znad drzwi spadło kapryfolium. Będę musiał ponownie je przyczepić. Na kamiennym schodku leży świeża gazeta. Biorę ją do ręki i wchodzę do środka. Kładę ją na kuchennym stole i nastawiam czajnik, by zaparzyć kawę.

Tymczasem siadam i zabieram się za czytanie. Nagłówek na stronie trzeciej brzmi następująco: „Terror z domieszką szkockiej kraty”. A poniżej czytam:

Wczoraj wieczorem pracownicy Wydziału Specjalnego Policji oświadczyli, że udało im się chyba namierzyć nadawcę listowych bomb i konstruktora zdalnie sterowanych urządzeń, które eksplodowały w Szkocji w ciągu ostatnich dwóch lat.

Nazywany najbardziej skutecznym terrorystą podkładającym bomby w szkockiej historii, narodowy ekstremista, major Archibald Drummond Weir, został dwa dni temu aresztowany w swoim domu w Broughton. Postawiono mu zarzut działalności terrorystycznej. Domniemywa się, że jest sprawcą wielu eksplozji, łącznie z bombą zdetonowaną przy wejściu do Clyde Tunnel w czerwcu i wysłanie drugiej w zeszłym tygodniu na Downing Street, która eksplodowała w odległości zaledwie siedemdziesięciu pięciu stóp od premiera. Przygotowywane są kolejne zarzuty w związku z bombami podkładanymi bądź wysyłanymi do takich miejsc, jak Izba Gmin, siedziby firm państwowych (siedziba główna British Steel) i Urzędu Miasta w Glasgow.

Major Weir, były oficer wywiadu armii brytyjskiej i ekspert z dziedziny technologii radiowej, przyznaje, że jest przywódcą Armii Rządu Tymczasowego, który wziął na siebie odpowiedzialność za większość eksplozji. Zaprzecza jednak, jakoby działał jako *agentprovocateur* służb bezpieczeństwa, co wcześniej sugerowano.

„Mój klient nie uznaje rządów Whitehall” - oświadczył wczoraj adwokat majora

dziennikarzom przed posterunkiem policji w Broughton. „Poprosił mnie o odczytanie następującego oświadczenia: »Od czasów młodości moim upragnionym celem była restauracja Stuartów. Wierzę w całkowicie niepodległą Szkocję z jej własną historią, kulturą i przemysłem - kraj z własnym rozumem, kraj, który może decydować o swoim losie. Szkocja nie wybrała sobie kopalni, Szkocja nie wybrała sobie stoczni, Szkocja nie wybrała stacji nuklearnych i wiążącej się z nimi białaczki. Dlatego robiłem to, co robiłem«".

Źródła ujawniają, że Weir działał aktywnie w kręgu nacjonalistów, odkąd został odwołany z Ugandy Idiego Amina, gdzie sprawował funkcję attache wojskowego w Ambasadzie Brytyjskiej w Kampali. Informator z Wydziału Specjalnego ujawnił, że to właśnie tropem Amina trafiono do Weira, który podczas pobytu w Afryce potajemnie pomagał dyktatorowi wspierać sprawę nacjonalistów.

.Wiedzieliśmy, że przed obaleniem Amin miał kontakty z grupami nacjonalistycznymi. Mieliśmy świadomość, że niektóre z wcześniejszych urządzeń zostały skonstruowane z wykorzystaniem sprzętu pierwotnie przeznaczonego przez Ministerstwo Obrony dla ugandyjskiej armii, jeszcze zanim wyszedł na jaw terror rządów Amina. Później trzeba było wysledzić tych, z którymi dyktator był powiązany". Czajnik zaczyna gwizdać, lecz nie wstaje.

Tymczasem inne elementy nacjonalistyczne utrzymują, że major jest pacyfikatorem M15, pozującym na tajnego ekstremistę w celu wypłoszenia z kryjówki potencjalnych terrorystów, i że jego aresztowanie to blef.

Oświadczenie wydane przez Narodową Szkocką Armię Wyzwolenia cytuje dzienniki poety i działacza Hugh MacDiarmida, który zmarł w roku 1978: MacDiarmid był przewodniczącym Klubu 1320. Ich członkowie, do których początkowo należał i Weir,

wierzyli, że brytyjskie państwo imperialne nie odda władzy Szkocji bez użycia siły
Nazwa klubu pochodzi od roku ogłoszenia Deklaracji z Arbroath. MacDiarmid szybko
rozpoznał Weira jako policyjnego szpiega i zadenuncjował go. Wtedy Weir zniknął. Teraz
wiemy, że wyjechał do Ugandy, by zaangażować się w inne finansowane przez
Brytyjczyków poczynania przeciwko państwom narodowo niezależnym.

Szkocka Partia Nacjonalistyczna, która zakazuje członkostwa zarówno w ART, jak i
Klubie 1320, oświadczyła, że nie akceptuje żadnych form przemocy. „Szkocja pilnie
potrzebuje samostanowienia, ale przemoc nie jest właściwą ku temu drogą. Bomby nie są
odpowiedzią”.

Po prawej stronie artykułu zamieszczono zdjęcia Weira, wyprowadzanego z dość nędznie
wyglądającego domu do radiowozu. Na głowie ma beret z kraciastym wykończeniem. Gwizdek
nie daje za wygraną. Zdejmuję czajnik z pieca i z mętlikiem w głowie parzę kawę, jednocześnie
przyglądając się fotografii w gazecie.

Dzwoni telefon. Podskakuję. Z jakiegoś powodu zastanawiam się, czy aby nie Sara. Ostatnio
dużo o niej myślałem.

- Halo?

- Witaj, mój dobry przyjacielu. Czy to ty, doktorze Nicholasie?

Nie odpowiadam. Wyobrażam sobie Sarę, wynurzającą się z morza niczym syrena.

- Halo, halo?

Słyszę dochodzący z zewnątrz jęk oceanu. Myślę o wyspie, mojej wyspie, unoszącej się na
wyspach „jak motyl”, jak ujęła to tamta broszura, i o wzgórzu pana Malumby, porwanym przez
jakąś magiczną siłę aż na afrykańskie niebo, przytłaczającym wszystko pod sobą.

- Wiem, że mnie słyszysz. Tak. Jestem tutaj w Arabii Saudyjskiej i uczę się demokracji.

Pilnie potrzebuję twojej rady. Saudyjski kontakt w Londynie zdobył dla mnie twój telefon. To

prawda. Zawsze byłeś dla mnie dobry i potrzebuję twojej rady. Rząd amerykański poprosił mnie o ponowną interwencję u ajatollaha Chomeiniego, mego dawnego przyjaciela, w sprawie zakładników przetrzymywanych w Iranie. Mam to zrobić? Tak mi się wydaje, mimo że powiem im, że gdybym to ja dowodził tą niemądrą misją uwolnienia ich, zakończyłaby się ona sukcesem... tak jak niedawny szturm ambasady irańskiej w Londynie przez waszych SAS. Oni potrafią walczyć, są tak dobrzy, że to naprawdę muszą być sami Szkoci. W każdym razie świat sprawia wiele problemów Irańczykom, prawda?

Widzę, jak w pobliżu okna łopoczą brązowe skrzydła wydrzyka, wspaniałego wydrzyka z białą plamką, który żywi się, zmuszając inne ptaki do wypluwania.

- A jeśli już jesteśmy przy temacie szturmów, to oglądałem z uwagą film fabularny o wizycie Izraelczyków w Entebbe. Mówię, że to głupie i absurdałne, by karmić opinię publiczną fikcyjnymi wydarzeniami i oszukiwać ludzi w imię pieniędzy Wiesz, że jeden z aktorów zmarł na planie filmowym? To była kara zesłana przez Allaha i powinna stanowić nauczkę dla tych, którzy chcą naśladować feldmarszałka Amina...

Kiedy tak mówi i mówi, moje spojrzenie wędruje ku urwisku spadającemu do morza. Całość wygląda bardziej bajkowo i romantycznie niż - muszę przyznać, że moje myśli biegną tym torem - cokolwiek dane mi było widzieć poza teatrem. To doskonałe miejsce, by zbójcy lub zwolennicy jakiejś fanatycznej idei, wędrując od jednego skalistego zbocza do drugiego, mogli tu się gromadzić wokół swego przywódcy.

- ... co o tym sądzisz? Doktorze Nicholas? A skoro pytasz, jestem bardzo szczęśliwy tutaj, w Jeddah. Mam chevy caprice, ładny dom na plaży i przekonałem się, że łatwiej mieć jedną żonę. Noszę białe szaty i niezwykle uważnie studiuję Koran. I każdego dnia pływam. W Morzu Czerwonym...

W końcu kończę tę rozmowę, a im dalej odsuwam słuchawkę od ucha, tym jego głos staje się

bardziej odległy. Przyglądam się leżącej na widełkach słuchawce. A potem mówię do siebie, że muszę przypiąć to kapryfolium na ganku. Wygrzebię spośród narzędzi Eamonna młotek i gwoździe i tak właśnie zrobię.